

TERESA DRISCOLL

ZAPŁACISZ

MAMI

ZAPŁACISZ

AUTORKA BESTSELLERA  
**OBSERWUJĘ CIĘ**

**sqn**  
WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON



**ZAPŁACISZ**

**MI**

**ZA TO**



**TERESA  
DRISCOLL**

**ZAPŁACISZ  
MI  
ZA TO**

**TŁUMACZENIE: MONIKA NOWAK**

**KRAKÓW 2021**



## ROZDZIAŁ 1

### Alice

-- Załatwię cię żyłką do sera.

To właśnie mówi. Ten pierwszy raz, kiedy słyszę jego głos w swoim uchu. W swojej głowie. W swoim życiu.

Jest środa, trzecia po południu, ale nie uświadamiam sobie znaczenia tego akurat dnia tygodnia, bo nawet mi nie zaświtało, że wszystko zaczęło się wcześniej, że to przecież trzecia środa.

Początkowo wydaje się to po prostu nierzeczywiste. Głos w telefonie jest zniekształcony przez jakieś urządzenie. Mechaniczne echo tak mnie deprymuje, że z miejsca się rozłączam. Później pożałuję, że nie słuchałam uważniej, gdyż policja zasypie mnie pytaniami ("Użył pani imienia?", "Dźwięki w tle?", "Rytm głosu?"), a mnie będzie wstyd, że nie potrafię udzielić na nie odpowiedzi.

Ja, która przecież zarabiam na życie zwracaniem uwagi na szczegóły.

Na razie jednak siedzę, nagle osamotniona w tętniącej życiem redakcji, i nie mam pojęcia, jak zareagować. Szokuje mnie fakt, że moją reakcją jest nie tylko strach, ale także reakcja najbardziej brytyjska z możliwych -- skrępowanie. Tak. Zupełnie niestosownie, wręcz absurdalnie, czuję skrępowanie wywołane tym, że tak mną łatwo wstrząsnąć. Nadal jestem dziwnie oderwana od redakcji. Pozostaję tak głęboko świadoma aspektów fizycznych, że wyczuwam puls w swoich palcach, nadal zaciśniętych na odłożonym telefonie.

Patrzę na wierzch prawej dłoni i echo tamtego mechanicznego głosu -- "żyłką do krojenia sera" -- sprawia, że zabieram rękę i kładę ją na kolanach. Oczami wyobraźni widzę, jak personel w lokalnych delikatesach używa takiej ostrej jak żyłeczka żyłki do przecinania wielkiej gomółki sera. Myślę o tym, że ta właśnie żyłeczka wżyna się w...

Nie. Prostuję się. Zastanawia mnie, czemu ktoś miałby powiedzieć coś tak potwornego. Czemu miałby coś tak potwornego choćby pomyśleć...

Odwróciwszy głowę w prawo, widzę, jak do newsroomu wraca Jack. Z kawą w ręce szybko zajmuje miejsce obok mnie. Miga światelko, sygnalizując nowe połączenie. Jack podnosi słuchawkę, ja zaś wstrzymuję oddech, szybko jednak staje się oczywiste, że dzwoni ktoś zupełnie inny. Malująca się na twarzy Jacka konsternacja ustępuje miejsca irytacji. Przewraca oczami, przenosi aparat do lewego ucha i wyjaśnia, że "nie zajmujemy się rozwodami, proszę pani..."

Odchrząkuje, przez chwilę słucha, po czym odzywa się znowu.

-- Tak, jestem przekonany, że to wszystko jest dla pani prawdziwym koszmarem, ale przykro mi, nie zajmujemy się rozwodami. Nie rutynowo... chyba że...

Słyszę reakcję; ktoś krzyczy. Jack odsuwa telefon, przekleństwa dzwoniącej przelewają się do newsroomu, następnie słuchawka wraca do ucha.

-- Życzę powodzenia w tej sprawie, proszę pani, ale teraz zmuszony jestem się rozłączyć.

Gdy Jack dopija kawę, a potem wrzuca kubek do kosza, ja się odwracam w lewo, gdzie nad klawiaturą siedzi pochylony Adam, nasz korespondent do spraw kryminalnych. Jako że wisi nad nim deadline, stuka zawzięcie w klawiaturę; przygotowuje raport sądowy potrzebny na już do elektronicznego wydania gazety. Nie podoba mi się pomysł przerwania jemu albo Jackowi, czy komukolwiek innemu, bo nadal nie wiem, jak to przetworzyć. Jak mam się czuć.

Dziwne telefony to dla nas chleb powszedni. W zeszłym tygodniu zadzwoniła jakaś kobieta ze skargą, że śledzi ją chmura...

-- Wszystko w porządku, Alice?

-- Tak. Pewnie.

Nie. Problem w tym, że ja jeszcze nigdy nie odebrałam tego typu telefonu. Ponownie odwracam głowę w stronę Jacka. Nadal myślę o żyłce do sera. Ostrej jak brzytwa. Przecinającej powoli i gładko...

-- Rany, Alice. Nie wyglądasz, jakby wszystko było w porządku. Przynieść ci wody?

Dopiero teraz słyszę swój głośny oddech.

-- Nic mi nie jest. -- Wciągam powietrze przez nos, a następnie wypuszczam je ustami, próbując się uspokoić. -- Po prostu miałam

przed chwilą podejrzany telefon. Nieco wytrącił mnie z równowagi.

-- Podejrzany w jakim sensie?

W końcu patrzę Jackowi w twarz.

-- Czubek. Zadzwoił do mnie czubek. Nic takiego.

-- Nie wygląda mi to na nic takiego. No dobra, to co ci powiedział ten czubek?

Waham się; dociera do mnie, że nie chcę powtarzać tych słów, bo nie chcę tym samym tchnąć w nie życia.

-- Co ten ktoś powiedział, Alice?

-- Nic takiego.

-- Proszę. Powiedz mi...

-- Mężczyzna. To był mężczyzna korzystający z jakiegoś urządzenia do zmiany głosu. Powiedział: "Załatwię cię żyłką do sera".

-- Jezu. -- Jack przeczesuje palcami włosy i wstaje. -- Ja pierdołę. Urządzenie do zmiany głosu? No dobra. Przyniosę ci wodę, a potem idziemy z tym od razu do Teda.

Podbiega do automatu z chłodzoną wodą i wraca z kubkiem, który następnie wciska mi w dłoń.

-- Wypij to -- mówi, patrząc mi w twarz. -- Powoli...

Woda jest lodowato zimna i kiedy patrzę na kubek, myślę o tym kontraście: zimnej wodzie na języku i ciepłych, dotykających plastiku palcach.

"Żyłka do sera".

Jack bacznie mi się przygląda.

-- Nic mi nie jest, Jack. Naprawdę. Trochę się tylko zdenerwowałam. Czubek.

-- Która linia? Twoja czy ogólna? No bo czy trafił na ciebie przypadkiem? Użył twojego imienia?

Pierwsze z listy rozsądnych pytań, z udzieleniem odpowiedzi na które będę miała problem. Zerkam na rząd światełek przy telefonie. Środkowe światło? Tak.

-- Linia trzysta jeden. Wykorzystuję ją do mojej rubryki, ale to także linia ogólna. Nie wydaje mi się, żeby użył mojego imienia. -- Urywam i wytężam pamięć. -- Nie. Słuchaj, ktoś najpewniej po pro-



stu próbował zwrócić na siebie uwagę. Niepotrzebnie się tak przejęłam.

Jack kręci głową.

-- Przypadkowe obrzucania przekleństwami ignorujemy. Z bezpośrednimi groźbami i zmianami głosu udajemy się do Teda. Tak każe protokół. Chodź.

Z kubkiem wody udaję się za nim do usytuowanego w rogu redakcji boksu naczelnego. Jack puka do otwartych drzwi.

-- Co znowu? Oby jakiś nowy temat, bo dopiero co miałem na linii prawnika i przez niego nabawię się wrzodów żołądka...

-- Sorki, Ted. Alice miała przed chwilą telefon od czubka. Groźba ze strony mężczyzny korzystającego z urządzenia do zmiany głosu. Uznaliśmy, że lepiej to zgłosić.

Powtarzam, co usłyszałam przez telefon, i widzę, jak Ted wciąga policzki.

-- No dobrze. Chodziło mu o ciebie? Użył twojego imienia, Alice?

-- Nie.

-- Dobrze. To dobrze. -- Ulga na jego twarzy. -- Pewnie jakiś przypadkowy oszołom, któremu nie spodobało się coś, co napisaliśmy. A czy po odebraniu podałaś swoje imię?

Ściągnąwszy brwi, przewijam w myślach tamte sekundy.

-- Nie. Tylko nazwę gazety.

-- A on na pewno nie użył twojego imienia?

-- Nie.

Ted kiwa głową.

-- Dobrze. Okej. Wobec tego przypadkowy czubek. Wpiszę ten fakt do rejestru, ale dobrze, że to nic osobistego. Niemniej pa-skudne. Ten zmieniacz głosu. Jakieś oprogramowanie? Da się tak zrobić przez telefon?

-- Nie wiem. -- Zastanawiam się dlaczego mnie nie przyszło coś takiego do głowy. Z jakiegoś powodu wyobraziłam sobie jakieś fizyczne urządzenie. Ale może Ted ma rację. Specjalne oprogramowanie? Może jakaś aplikacja?

-- Dobrze się czujesz, Alice? -- pyta mnie teraz Ted. -- Chcesz wyjść dziś wcześniej? Przewietrzyć się?

-- Nie, nie. Oczywiście, że nie. Nic mi nie jest. Pomyśleliśmy po prostu, że damy ci o tym znać na wypadek, gdyby znowu zadzwonił. Zdenerwował kogoś innego.

-- Jasne. Tak jak mówiłem, umieszczę stosowne info w systemie, żeby wiedziały o tym inne działy. W razie powtórki zgłosimy to do Alana. Właściwie chyba i tak mu o tym wspomnę.

Alan to rzecznik prasowy miejscowej policji. Ed chodzi z nim na piwo. Jest w porządku.

-- Dzięki.

Wracam do swojego biurka i od razu czuję się lepiej. Mają rację. To przypadkowy telefon. Najpewniej ktoś, kto żywi urazę do gazety, ktoś, komu nie spodobał się jakiś artykuł. Może dotyczący jednego z procesów? No to wracam do pracy...

-- Przepraszam, Jack. Niepotrzebnie tak się przejęłam.

-- Daj spokój. Po prostu nie odbieraj już dzisiaj połączeń na linię trzysta jeden. Ja się tym zajmę. Na wypadek gdyby ten czubek podjął jeszcze jedną próbę. Palant trzepie pewnie przy tym konia.

Krzywię się.

-- Sorki, Alice. Tego akurat mogłem nie mówić.

-- Nie. Masz rację. I czuję się już dobrze, serio. Chyba pójdę do kawiarni po porządną kawę. Zaczepnę świeżego powietrza. Też ci przynieść?

-- Poproszę cappuccino. Chcesz, żebym poszedł z tobą?

-- Nie trzeba, naprawdę.

Nachylam się w lewo i szturcham Adama, po czym pokazuję gest przechylenia kubka, on jednak kręci głową, nadal pochłonięty artykułem. Biorę torebkę i schodzę na dół. Cieszę się, że choć na chwilę opuszczam budynek. Wieje wietrzyk, słysząc jednostajny szum ulicznego ruchu. Wysoki sygnał przy przejściu dla pieszych. Znajome dźwięki i znajomy zgiełk, które działają na mnie uspokajająco.

Kiedy jednak przez okno pobliskiej kawiarni widzę, jak właściciel pisze na małym kubku moje imię -- najczęściej zamawiam właśnie małą kawę -- to jeszcze zanim wejdę do środka, czuję nieprzyjemne ściskanie w żołądku.

-- A ty co, Giovanni, nagle się stałeś jasnowidzem?

-- Nie. Przed chwilą zadzwonił facet i dał twoje zamówienie. Powiedział: "Alice będzie potrzebowała podwójnego espresso. Już tu idzie..."

-- Jaki facet?

-- Nie wiem. Jeden chłopak z redakcji żarty robi. Ty miła dziewczyna, Alice. Powiedz chłopakom, żeby się dorośli. -- Grozi palcem.

-- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Jaki facet? Jakie żarty? -- Myślę o Jacku, ale on nie ma w zwyczaju robić takich numerów.

-- Jakiś żartowniś z takim czymś, co zmienia głos. Niefajnie. -- Nakłada wieczko na kubek i przesuwa go w moją stronę. -- Powiedz chłopakom w tej swojej redakcji, że mogą dzwonić zamówienia, ale bez żarty. A jak telefon odbiera jedna z moich dziewczyn? Niefajnie.

## ROZDZIAŁ 2

### Alice

Kilka godzin później czekam w domu na Toma. Czekam na niego nowa i paranoiczna wersja mnie.

Sprawdziłam oboje drzwi i wszystkie okna. W telefonie stacjonarnym ustawiłam wyświetlanie numeru dzwoniącego. W komórce wyłączyłam lokalizację, zresetowałam hasła do Facebooka i Twittera, a konto na Instagramie ustawiłam jako prywatne. Umówiłam się już z firmą ochroniarską, że jutro z samego rana sprawdzą dom, który wynajmuję. Zamówiłam "alarm osobisty z policyjnym atestem", który powinien dojść rano. Krótko mówiąc, zrobiłam wszystko, co poradziła policja, a oprócz tego wygooglowałam informacje o gazie pieprzowym.

Mimo to nie czuję się bezpieczna.

Alan z biura prasowego sprowadził z wydziału kryminalnego panią detektyw sierżant. Wyjaśnienia złożyliśmy zarówno ja, jak i personel pobliskiej kawiarni. Początkowo dobrze się czułam z tym całym oficjalnym zamieszaniem; można było odnieść wrażenie, że zawodzi to czymś pozytywnym. Nie do końca mam pewność, czego się spodziewałam -- zdecydowanego zakończenia tej sprawy? Kiedy jednak Alan i policjantka wymienili znaczące spojrzenia, dotarło do mnie, że robią to wszystko w ramach przysługi dla mojego zwierzchnika.

-- Co teraz będzie? -- zapytałam.

Wystarczającą odpowiedzią były pełne zakłopotania milczenie i ich miny.

Okazuje się, że o ile nie wskażę oczywistej osoby podejrzanej -- kogoś, kogo zdenerwowałam swoim artykułem, albo kogoś, kto mnie dręczy -- niewiele można zrobić. Raport trafi do akt. A my możemy jedynie czekać...

"Od teraz ważne jest zachowywanie czujności i gromadzenie dowodów, Alice. Jeśli gość znowu zadzwoni albo wydarzy się coś niecodziennego, koniecznie wszystko zapisz. Informuj nas na bieżąco.

Oczywiście miejmy nadzieję, że to był jedynie jakiś przypadkowy czubek, który po prostu zgadł, że udasz się do kawiarni".

Dodali, że traktują tę sprawę bardzo poważnie. Wtedy właśnie otrzymałam długą listę środków ostrożności, które powinnam zastosować. Skorzystanie z usług agencji ochrony i osobisty alarm, bla, bla, bla. Dano mi też ulotki.

Ale odkąd wróciłam do domu, czytam w necie o stalkingu i anonimowych telefonach z groźbami, no i to dość przygnębiająca lektura.

Wygląda na to, że tacy dzwoniący doskonale wiedzą o swojej przewadze.

Policja nie jest w stanie zapewnić ochrony. Ani nowego samochodu. Ani nowego miejsca zamieszkania. A do czasu ewentualnej "eskalacji" (nawet nie chcę myśleć co to, u licha, znaczy), w gruncie rzeczy niewiele może zrobić.

Krótko mówiąc, jestem z tym sama.

Ponownie się rozglądam, po czym wstaję i zaczynam krążyć po pokoju. Zaciągam zasłony, mimo że ciemno zrobi się dopiero za godzinę. Robię sobie kolejną kawę, a kiedy czuję jej zapach, dociera do mnie, że wypłam jej dzisiaj zdecydowanie za dużo, i wylewam zawartość kubka do zlewu.

W końcu siadam przy stole w kuchni i wbijam wzrok w zasuwę przy tylnych drzwiach. I w tym momencie słyszę klucz obracający się w zamku drzwi wejściowych.

Czuję się sobą mocno rozczarowana. Dlatego w chwili, kiedy do domu wchodzi Tom, ja wybucham płaczem.

-- Hej, hej. Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Co z policją? Co ci powiedzieli?

Przez chwilę pozwalam mu się przytulać, potem jednak odsuwam się i rękawami wycieram twarz. Po raz kolejny czuję zażenowanie; nie chcę, aby ktokolwiek, nawet Tom, widział mnie w takim stanie.

Kiedy rozmawiałam z policją, zadzwonił do niego Jack i teraz Tom czeka na moją relację.

-- W sumie to nie wiem, czy nie przesadzam, Tom. Szczerze? Nie potrafię znaleźć sobie miejsca.

Wyrzucam z siebie, że to najpewniej jakiś psychol, który liczy na taką właśnie reakcję, no i dlatego żałuję, że tak się posypałam.

Siadam na sofie. Tom zajmuje miejsce obok mnie i ujmuje moją dłoń. Początkowo stara się mnie uspokajać. Jest zdania, że to najpewniej czysty przypadek. Że to ktoś, kto nienawidzi gazety. Kiedy jednak opowiadam mu o telefonie do kawiarni, na jego twarzy pojawia się niepokój.

-- Więc mówisz, że zadzwonił także do kawiarni? Ten facet zna twoje imię? Możliwe, że cię obserwował?

-- Niewykluczone. Raczej nie. Policja uważa, że udało mu się po prostu zgadnąć. Albo może i zrobił jakiś research, żeby mnie nastraszyć.

-- Ale użył twojego imienia?

-- Tak.

Wyraz jego twarzy ulega zmianie. Tom się podnosi z sofy i początkowo stoi w bezruchu. Zdaje się nad czymś zastanawiać, a potem zaczyna chodzić tam i z powrotem.

-- Więc ten koleś cię namierza, konkretnie ciebie, a policja pozwala ci wrócić do domu twoim samochodem? Każe czekać, żeby zobaczyć, co się będzie działo?

Wyjaśniam, że redakcja chciała mi wezwać taksówkę, ale wolałam nie zostawiać tam swojego samochodu. Poza tym policji udało się mnie uspokoić. To znaczy trochę. Na tym etapie tak naprawdę niewiele można zrobić. Możliwe, że to przypadkowy telefon. Możliwe, że ten ktoś więcej nie zadzwoni.

-- Nie, nie. Nie podoba mi się to, że wiedział, że będziesz w kawiarni. A jeśli cię obserwuje? Śledził cię w drodze do domu? Nie powinni ci pozwolić tak odjechać, Alice. Nie po takich dwóch telefonach. Urządzenie zmieniające głos, na litość boską.

Nie mówię mu, że Jack zaproponował, że mnie odwiezie i ze mną zaczeka.

-- Policja nie może dać ci jakiejś ochrony? Nadzoru albo czegoś w tym rodzaju? Przynajmniej do czasu, aż się dowiemy, czy ten ktoś



ma coś przeciwko gazecie albo tobie.

-- Wygląda na to, że nie. Nie na podstawie dwóch telefonów. Nie dysponują odpowiednimi środkami, Tom.

-- Więc ot tak przyjechałaś do domu? -- Zerka na drzwi, jakby ktoś mógł nas w tej chwili obserwować.

-- Trochę pojeździłam po okolicy. Na wszelki wypadek. -- Nie chcę mu mówić, że tak naprawdę przez prawie godzinę przejechałam absurdalną liczbę kilometrów, klucząc, skręcając i zawracając, w razie gdyby ktoś rzeczywiście mnie śledził.

-- No dobrze. Odwołam oczywiście kolację. Możemy zamówić coś na wynos.

Znowu jest przy mnie, dłonią dotyka mojego policzka, a ja patrzę mu w twarz i mam takie same wyrzuty sumienia jak zawsze, kiedy Tom spogląda na mnie takim wzrokiem.

Coś takiego sprawia, że myślę o tamtej innej twarzy. Sprzed lat. Oraz o twarzy Jacka. Przestań, Alice... Zerkam na drugi koniec pomieszczenia i zalewa mnie kolejna fala poczucia winy.

Potrzebuję chwili dla siebie, więc proszę Toma, by zrobił mi kawę. Parter to otwarta przestrzeń i przyglądam się teraz, jak Tom przechodzi do aneksu kuchennego. Włącza czajnik i z półki nad kuchenką zdejmuje puszkę z kawą. Dociera do mnie, że oprócz konsternacji nadal czuję to dojmujące rozczarowanie samą sobą.

Jestem kimś, kto zawsze podziwiał w innych hart ducha. W pracy często mam styczność z czymś takim. Regularnie o tym piszę. Szczerze? Zawsze miałam nadzieję i wierzyłam w to, że sama jestem silniejsza. Przeprowadzam wywiady z ludźmi, których życie zostało kompletnie zniszczone, a oni odbili się od dna. Mężczyzna, który w Afganistanie stracił stopę, a mimo to przebiegł maraton. Kobieta, która rzuciła się przed troje dzieci, kiedy pijany kierowca wjechał na chodnik. Patrzę, jak Tom nalewa wrzącą wodę do kubków, a w mojej głowie kłębi się tak wiele historii. Tak wiele przykładów odwagi.

A co się dzieje tego pierwszego razu, kiedy zostaję poddana testowi?

-- Nie, Tom. Powinniśmy iść na tę kolację, tak jak zaplanowaliśmy. Muszę, do cholery, wziąć się w garść. To przecież niedorzeczne.

Dokładnie czegoś takiego chce ten człowiek.

-- Kolacja nie jest ważna. -- Tom wraca z kubkami do części jadalnianej i stawia je na ławie.

-- Ważna. -- Tą kolacją w ulubionej restauracji Toma mieliśmy uczcić jego sukces w pracy. Przez dwa ostatnie miesiące naprawdę ciężko pracował nad pozyskaniem nowego, ważnego klienta. Jego firma jest zachwycona.

Piję powoli kawę i na pierwszy plan wysuwają się nowe emocje. Tym razem gniew.

-- Dokładnie czegoś takiego chce ta menda. Mieszać mi w głowie.

-- Ja naprawdę nie muszę dziś nigdzie wychodzić, Alice. Możemy zamówić kolację na wynos. Chińszczyznę. Albo coś tajskiego. Na co tylko masz ochotę.

-- Nie. Mówię poważnie. Wezmę prysznic. Przebiorę się. Pieprzyć zboki tego świata, idziemy.

W drodze do restauracji przekonuję się, że pomimo tej całej braury co chwila oglądam się na jadące za nami samochody. Kiedy zajeżdżamy na parking, prawie kręci mi się w głowie od tej karuzeli uczuć. Strach i gniew. Niepokój i wściekłość. Tak. Wręcz furia wywołana tym, że ktoś na drugim końcu linii telefonicznej zrobił mi coś takiego w niespełna minutę.

Dlatego po złożeniu zamówienia decyduję się na szczerłość.

-- Wiesz co, Tom? Wstyd mi. Tyle zawsze truję o harcie ducha innych ludzi, a spójrz tylko na mnie. -- Unoszę rękę, aby mu pokazać, że się trzęsie.

-- Och, Alice. Czemu zawsze jesteś dla siebie taka surowa? Nic dziwnego, że tak to tobą wstrząsnęło. To, co powiedział, było pa-skudne. Każdym by wstrząsnęło.

Milczę. Staram się nie myśleć o delikatesach, o żyłce przecinającej powoli gomółkę sera. Zastanawiam się, co musiało sprawić, że ktoś powiedział coś tak potwornego. Odrywam kawałek bułki i smaruję go zdecydowanie zbyt grubą warstwą masła.

-- Okej. Czy w ostatnim czasie gazeta nadepnęła komuś na od-cisk? Jakiś trolling online? Skargi na któryś z twoich artykułów? Sprawy sądowe? Coś w tym rodzaju? -- Używa swojego prawniczego

tonu, praktycznego i spokojnego. Nachyla się, tak że widzę w jego okularach swoje odbicie.

Kręcę głową. Policja też mnie o to pytała, ale nie przychodzi mi do głowy nikt ani nic; już dawno nie opisywałam przestępstw i procesów sądowych.

-- Ostatnio piszę głównie reportaże dotyczące kampanii Maple Field House.

-- I nikt się o to nie rzuca? Mam na myśli kampanię.

-- Paru miejscowych polityków nadal jest zażenowanych tym, że do niej doszło. Poza tym wprost przeciwnie. Wszyscy się cieszą z takiego, a nie innego zakończenia. Zresztą żadna w tym moja zasługa. To mieszkańcy przeprowadzili tę kampanię. Ja jedynie wszystko opisywałam.

Tom wzdycha z rozdrażnieniem i poprawia się na krześle, jakby próbował wykombinować jakiś inny motyw.

Szczerze mówiąc, pisanie artykułów poświęconych Maple Field House pochłonęło mnie do tego stopnia, że od dawna nie zajmowałam się żadnymi newsami. Przez niemal rok byłam główną dziennikarką tej kampanii i Ted niesamowicie się cieszył, że zapewnia nam ona taki rozgłos.

Maple Field House to ponury i przestarzały ciąg sklepów w kształcie litery U z trzema piętrami mieszkań powyżej. W czasach świetności sklepy te przeżywały eldorado. Ale gwoździem do trumny okazały się zmiany w nawykach klientów i kiepski projekt budynku.

Większość lokali stoi obecnie pusta -- zaledwie kilka z nich przekształcono w sklepy z rzeczami używanymi. W mieszkaniach nad nimi panuje paskudna wilgoć, do tego lokatorzy borykają się z różnymi problemami konstrukcyjnymi. Budynek należy do miasta, ale nie modernizowano go od lat, gdyż komitet do spraw mieszkaniowych nie potrafił zdecydować, czy zainwestować w mieszkania, czy przenieść lokatorów na nowe osiedle.

Przez ten brak zdecydowania warunki coraz bardziej się pogorszały. W całym budynku rozpanoszył się suchy murz. Blokowały się zsypy na śmieci. Mający dość takiej sytuacji lokatorzy zainicjowali kampanię, której celem była rozbiórka budynku. Kampanię, którą

generalnie ignorowano, dopóki nie zaczęłam pisać o wilgoci mającej wpływ na zdrowie dzieci -- zwłaszcza tych cierpiących na astmę.

W końcu się udało -- rada miasta miała dość zawstydzania przez te wszystkie artykuły w naszej gazecie, "South Devon Informer". Komitet do spraw mieszkaniowych wyraził zgodę na rozbiórkę i relokację lokatorów.

Obecnie wszyscy mają zapewnione lokale tymczasowe, a pojedyncze rodziny zaczynają się wprowadzać do domów z pierwszego etapu budowy nowego osiedla.

Jeśli mam być szczerą, cały ten temat okazał się dla mnie bardzo korzystny. Dzięki ciągłym aktualizacjom miałam co robić, poza tym fajnie pracować nad czymś wartościowym i jednocześnie zaskarbiać sobie uznanie naczelnego.

-- Wiesz, że już dawno wypadłam z grafiku sądowego -- dodaję. -- Ludzie na okrągło wkurzają się na prasę, Tom, wiesz o tym, ale osobiście od wieków nie napisałam niczego kontrowersyjnego. A przynajmniej nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

Wbijam wzrok w swoje danie. Okoń morski z perfekcyjnie chrupiącą skórą. Rozdzielałam płyty widelcem, przyłapuję się jednak na tym, że wpatruję się w błyszczący metal.

"Załatwię cię żyłką do sera..."

-- Nie jesteś głodna?

-- Chyba za dużo miałam dzisiaj wrażeń. -- Odkładam widelec.

Uśmiecha się.

-- Wiesz co, masz rację. To najpewniej zwykły czubek, który więcej się do ciebie nie odezwie. -- Tom kroi swój stek. -- Ale jeśli chcesz, to do czasu, aż nabierzemy pewności, możesz zamieszkać u mnie. Albo ja wprowadzę się do ciebie.

Nie patrzy mi przy tym w oczy i nie wiem, jak zareagować. Prawda jest taka, że nie podoba mi się pomysł sypiania samej, ale w normalnych okolicznościach spędzamy razem noce tylko w weekendy albo po takich wieczorach jak dziś. Tom zajmuje się obecnie prawem handlowym. Praca wymaga od niego dość częstych podróży do Londynu, co w sumie mi odpowiada. Nie jestem gotowa na to, aby z kimś zamieszkać. Nie znowu...

-- To może zostać u mnie dziś na noc, tak jak planowaliśmy, a potem się zobaczy? -- mówię. -- Jutro na pewno poczuję się lepiej. To pewnie jednorazowy incydent. Wszystko się uspokoi, kiedy będę mieć pewność, że tak właśnie jest.

-- Okej. O ile nie próbujesz tylko zgrywać odważnej. -- Przechyla głowę i się uśmiecha. -- Albo upartej.

-- *Moi?*

Oboje się śmiejemy i uświadamiam sobie, że po raz pierwszy od tamtego przekłętego telefonu pozwalam sobie na chwilę rozluźnienia. To taki mój mały triumf.

Tom ponownie się do mnie uśmiecha, a ja mam ochotę przewinąć szybko czas do dnia, kiedy to wszystko stanie się dla nas opowiadaną na imprezach anegdotą. "A pamiętasz tamtego czubka, który próbował cię nastraszyć...?"

Tak. Nagle poprawia mi się nastrój. Ponownie biorę do ręki widelec. Wkładam do ust spory kęs ryby, która okazuje się przepyszna.

Niedługo wszystko znowu będzie normalnie.

## ROZDZIAŁ 3

### Alice

W kolejną środę kurier przywozi przesyłkę. O dziesiątej rano.

Na pudełku widnieje naklejka z logo cukierni, która niedawno wygrała ważną nagrodę. Zaledwie w zeszłym tygodniu pisałam artykuł o jej właścicielce, ona zaś przysłała mi mail z podziękowaniami.

-- Niech ktoś przyniesie kawę! -- wołam i wstaję, aby w teatralny sposób zaprezentować prezent. -- To z tej nagrodzonej cukierni. Na pewno same pyszności.

Tak się cieszę, że czuję się dzisiaj jak dawna ja. Przez pierwszych czterdzieści osiem godzin po tamtym głupim telefonie nie potrafiłam znaleźć sobie miejsca. Denerwowałam się w samochodzie. Denerwowałam się w redakcji; bałam się odbierać telefon. Ale mijały kolejne dni -- czwartek, piątek, weekend -- a ja się powoli uspokajałam. I coraz bardziej było głupio mi z powodu przesadzonej reakcji.

W sobotnie popołudnie jak zawsze udałam się do klubu fitness. W niedzielę rano odwiedziłam mamę, a wieczorem poszłam z Tomem do kina. W poniedziałek przestałam o tym tak dużo myśleć, natomiast wczoraj pracowałam już zupełnie normalnie. Odbierałam telefon. Wybrałam się nawet do pobliskiej kawiarni.

Myślę o tym wszystkim, kiedy patrzę na pudełko. Cieszę się, że będę mogła czymś poczęstować kolegów z pracy. Jedyne pytanie, jakie krąży w mojej głowie, brzmi: czy to jedno duże ciasto, czy pojedyncze porcje? Czy będę musiała poszukać noża?

Pudełko ma zamknięcie kopertowe. Ostrożnie wyciągam jedną klapkę, potem drugą.

Zdażył podejść do mnie Jack. Stoi blisko, aby mieć dobry widok. Amator słodkości. Otwieram ostatnie klapki.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że to nie ciasto. Do pudełka zaglądamy we czworo: ja, Jack, sekretarka naczelnego Samantha, no i Nigel, jeden ze starszych fotografów.

-- Kwiaty? -- odzywa się Samantha. W jej głosie słyhać konsternację. -- Ale są przecież zniszczone. Spójrzcie na łodygi. Dziwne.



-- O nie... -- Jack zaczyna zamykać klapki, żebym nie widziała zawartości, ja jednak odpycham jego rękę.

-- Chcę zobaczyć.

-- Nie, Alice. To kolejny numer. Musimy wezwać policję. Mogą tam być odciski palców.

Po raz kolejny odpycham jego rękę.

Różowe peonie. Ulubione kwiaty mojej matki.

-- Co się dzieje? -- Ted wyszedł ze swojego boksu.

-- Och, czyli to od tego faceta od żyłki do sera? -- Znowu głos Samantha, jej dłoń przy ustach.

Wpatruję się w kwiaty. Skąd on, u licha, wie o peoniach? Są ciemnoróżowe i ułożone w krótki bukiet, jednak lodygi ciasto owinięto żyłką -- żyłką do sera, z drewnianymi uchwytami, taką, jakich się używa w delikatesach -- przez co większość została pokiereszowana, a kwiaty wędzną.

Co gorsza, w środek bukietu wetknięto karteczkę...

-- Chryste. No tak. -- Ted robi głośny wydech. -- Zostawcie ten karton. Znowu zadzwonię do Alana. Każę przysłać kogoś z wydziału kryminalnego. Może tym razem uda im się przydzielić kogoś wyższego rangą.

-- Poważnie. Nie powinniśmy tego dotykać, Alice. To materiał dowodowy -- mówi Jack, ale nie jestem się w stanie powstrzymać.

Wyjmuję kartkę i zaczynam ją czytać.

-- Dobry Boże. Moja matka. -- Wiadomość jest dla mnie takim szokiem, że serce z miejsca wali mi jak młotem i zmienia się temperatura ciała. Najpierw robi mi się gorąco. Potem zimno. Potem znowu gorąco. -- Muszę sprawdzić, czy z moją matką wszystko w porządku. -- Ręka mi się trzęsie i muszę usiąść, kiedy sięgam po telefon.

-- Dlaczego? Co się dzieje, Alice? Co tam jest napisane?

-- Ćśś. Ćśś. -- Machnięciem ręki proszę o ciszę, sama zaś czekam na połączenie. Przyciskam słuchawkę do ucha i odczytuję pozostałą część wiadomości.

I wtedy, gdy cała drzę ze strachu o matkę, dociera do mnie, że dzień tygodnia ma znaczenie.

Środa.

I że zeszłotygodniowy telefon wcale nie stanowił początku tego wszystkiego.

## ROZDZIAŁ 4

### On -- wtedy

Siedzi na skraju swojego łóżka i wbija wzrok w widniejące na pościeli rakiety i gwiazdy. Ma pięć lat, a jego babcia twierdzi, że zdecydowanie za szybko rośnie.

"Mój mały astronauta".

W głowie słyszy głos babci. Dziwne, bo przecież ona jest teraz w kuchni. Czuje dziwne ściskanie w żołądku, kiedy przypomina sobie dzień, w którym kupili tę pościel w specjalnym sklepie z tanimi rzeczami. Leżała w wielkim czerwonym plastikowym koszu. Takim jak na śmieci, tylko fajniejszym. WYPRZEDAŻ. Pamięta jak przeliterował to słowo z pomocą babci. Takiej dumnej.

"Bardzo mądry z ciebie chłopczyk..."

W jego wnętrzu dochodzi do dziwnej eksplozji emocji. Tak jak ma to miejsce podczas startu rakiety. Są błyski, jest głośno i dziwnie. Chłopiec nie wie czy jest rozgniewany, czy nie. Zły. Smutny. Niedobry?

"Mój odważny, mały żołnierz".

Bo i tak mówi na niego babcia. Podnosi wzrok na drzwi, bo z kuchni dobiega jakiś brzęk. Zawsze tak mówi w środę...

W środy na śniadanie chłopiec dostaje płatki czekoladowe. A po podwieczorku lody. Szykuje go właśnie teraz -- paluszki rybne, frytki i fasolka. Jego ulubione danie.

"A teraz lody z sosem czekoladowym dla mojego odważnego, małego żołnierza".

Tyle że on wcale nie jest odważny, prawda?

W tym właśnie problem.

W szkole uczą się czytać w grupach i on jest w Czerwonej Grupie. Najlepszej w całej klasie. Ma książkę o dziewczynce, która boi się ciemności i poznaje niedźwiedzia, który także boi się ciemności.

Dziś rano chciał powiedzieć nauczycielce, że on także boi się ciemności. Ale mu nie wolno. To tajemnica.

Środy to ich tajemnica. Jego i babci...

-- Wszystko w porządku, słonko?

Uświadamia sobie, że ma ochotę w coś kopnąć bardzo, bardzo mocno i że jest niegrzecznym chłopcem. Na ogół kocha babcię. Na ogół ma ochotę mocno się do niej przytulać.

Ale w środy w ogóle nie rozumie dorosłych. Ma ochotę kopać i gryźć, i krzyczeć na cały świat.

Czuje, że do oczu napływają mu łzy, i myśli o zeszłej środzie w szkole, kiedy Patrick przyłapał go na płakaniu w kącie biblioteki. I kiedy musiał zepchnąć Patricka z krzesła.

Niedługo skończy sześć lat. Ciekawe, czy wtedy będzie odważniejszy.

## ROZDZIAŁ 5

### Matthew

Matthew Hill przygląda się córce, która leży na ziemi w alejce ze słodyczami. Praktycznie gotów jest się poddać. Na końcu języka ma karygodny szept: "Nie mów mamie". Ale nagle pojawia się problem; spektakularne zachowanie Amelie przyciągnęło widownię. Kilkoro klientów supermarketu wpatruje się teraz w niego, ewidentnie czekając na jego następny ruch.

Matthew próbuje przywołać na twarz wyraz spokoju, jednak to go przerasta. Nikt cię ostrzega, myśli. Zaledwie sześć miesięcy temu jego córeczka była aniołkiem w sukience w kwiaty.

-- Nienawidzę cię!

Amelie ponownie uderza nogami w ziemię, ręce gniewnie zaciska w pięści. Aż pobieleły jej kostki. Rzuca się na podłogę jak jakaś wściekła foka.

Matthew raz jeszcze zerka na widzów; przekupstwo niestety nie wchodzi w grę. Zbyt wielu świadków.

-- Tata zaraz stąd sobie pójdzie, Amelie. Zamierzasz tu zostać i zamieszkać w supermarkecie czy wolisz wrócić ze mną do domu?

-- Chcę ciastka Pippy Pocket.

Matthew spogląda na odpowiednią półkę, a w tym czasie dwie panie w średnim wieku otwierają szeroko oczy. Zdają się zastanawiać: ciekawe, czy się ugnie.

-- Gdybyś była grzeczną dziewczynką, może i dostałabyś ciastka Pippy Pocket. Ale już po raz piąty kładziesz się na podłogę, Amelie. Nie będzie więc dzisiaj Pippy Pocket. Zapłacimy za zakupy i wyjdziemy.

Krzyk okazuje się imponujący, zarówno jeśli chodzi o natężenie, jak i wysokość dźwięku. Matthew odruchowo unosi ręce i odwraca się w stronę widzów.

-- Widzicie? Jestem niewinny. Nawet jej nie tknąłem.

-- Bunt dwulatka?

Głos za nim wydaje się starszy. Jego właścicielka podchodzi do Matthew. Ma siwe włosy. Nosi gruby płaszcz mimo niezbyt chłodnego dnia.

Mężczyzna próbuje się uśmiechnąć, co mogłoby sugerować, że panuje nad sytuacją.

Szczerze? Gdyby nie miał widowni, zdecydowałby się na przekupstwo. Kupiłby te cholerne ciastka tylko po to, żeby zabrać małą z ziemi i wyprowadzić ze sklepu. Ale słyszy już w uchu głos Sally, swojej żony.

"Nie możesz ulegać jej napadom złości, Matt. Jeśli nie przestaniesz tak robić, będziemy mieli przekichane".

Przekichane. Słowo to odbija mu się echem w głowie. Matthew wpatruje się w leżące na ziemi dziecko i zastanawia się, co się stało z tym aniołkiem, którego złożono mu w ramionach. Z tą siedzącą na krzeselku do karmienia słodką dziewczynką z jasnymi loczkami, która bez przerwy się uśmiechała. Gdy zza węgła spoziera kolejna para zainteresowana źródłem krzyków, Matthew dochodzi do wniosku, że słowo "przekichane" doskonale określa jego obecne życie.

-- A może pan pójdzie do kasy, a ja będę ją miała na oku. Podda się. -- Starsza pani w płaszczu przysuwa się i szeptem przedstawia propozycję strategii.

Matthew przygląda się jej uważnie. Nie wygląda na porywaczkę dzieci. Problem w tym, że lata pracy w policji, a obecnie jako prywatny detektyw, każą mu podejrzewać praktycznie każdego.

-- Damy sobie radę, dziękuję pani.

-- Jak pan chce, ale dla mnie ta mała wygląda tak, jakby gotowa była leżeć do nocy. -- Kobieta przygląda się Amelie, nadal walącej stopami w podłogę. -- Miałam jedną taką. To znaczy wyjątkowo upartą. Tyle że pańska jest przy tym bystra, prawda?

Matthew mruży oczy. Ogląda się na kasy i uświadamia sobie, że odbicie w szybie za nimi pozwoli mu monitorować to, co się dzieje z jego córką i babciową porywaczką dzieci.

-- Dziękuję -- szepcze w końcu. -- Bardzo jestem pani wdzięczny. -- A do córki rzuca: -- No dobrze, Amelie. Tatuś wychodzi. Mam nadzieję, że spodoba ci się życie w supermarkecie, ale po-



winieniem cię ostrzec, że w nocy robi się tu bardzo zimno. No i gaszą wszystkie światła.

Odwraca się i pchając wózek, oddala się w stronę kas, jednocześnie nie odrywając wzroku od odbicia w szybie.

Amelie niemal od razu przestaje krzyczeć, ale pozostaje na ziemi. Po jakimś czasie unosi głowę, aby sprawdzić, co się dzieje. Babcia stoi na czatach. Po kolejnej chwili dziewczynka wstaje. Na jej twarzy maluje się konsternacja, która wkrótce ustępuje miejsca niepokoju. Gdy Matthew wyklada na taśmę rzecz po rzeczy, nucąc cicho pod nosem, Amelie zaczyna powoli iść alejką. Mężczyzna ponownie zerka na odbicie w szybie, po raz kolejny dziwiąc się, jak bardzo odstaje wzrostem od wszystkich innych w kolejce, ale się nie odwraca.

Wkrótce czuje, jak córka przytula się do jego lewej nogi, i słyszy jej ciche pochlipywanie. Ramiona unoszą jej się i opadają pod dojmującym ciężarem porażki. Matthew gładzi ją po włosach, ale nie przerywa pracy.

-- Chcesz pomóc tacie wykladać zakupy?

Zdażył się już nauczyć, że to nie pora na kontakt wzrokowy. Dzięki temu zmniejszy się upokorzenie Amelie, które bardzo łatwo mogłoby się przerodzić w kolejny napad złości. Podaje pudełko z płatkami, które ona kładzie na taśmie. Następnie chleb w papierowej torbie.

I tak zgodnie działają, aż w końcu pociąganie nosem cichnie, a ramiona nieruchomieją.

-- Przepraszam, tatusiu.

W tym momencie eksploduje mu serce. Ponownie gładzi córeczkę po włosach, co stanowi sygnał, że między nimi wszystko już dobrze. Zastanawia się czy zawsze tak będzie. Miłość. Wojna. Miłość. Wojna. Nagle ma ochotę się cofnąć i kupić wszystkie leżące na półce ciastka Pippy Pocket, by jej pokazać, jak bardzo jej wybacza i jak mocno kocha. Wie jednak, że musi się oprzeć tej pokusie, dlatego raz jeszcze głaska Amelie i nadal podaje jej lżejsze zakupy.

Odwraca się i uniesieniem ręki dziękuje tajemniczej babci, która uśmiecha się do nich. Przypominają mu się słowa jego mamy, wypowiedziane podczas jej ostatnich odwiedzin, że nie wolno mu pra-

gnąć, aby dany czas minął, bez względu na to, jak będzie ciężko. Według niej te lata przelecą zbyt szybko i pewnego dnia Matthew cofnie się pamięcią i zapragnie się znaleźć tu i teraz. Razem z napadami złości i całą resztą.

Problem w tym, że kiedy jest się tu i teraz -- razem z tą nieprzewidywalną dwulatką, która nie chce zasnąć, nie chce założyć kurtki, nie chce usiąść w foteliku i nie chce wstać z ziemi -- okazuje się to strasznie wyczerpujące. Na tyle, że nie da się nie marzyć o następnym etapie. Trochę. Troszeczkę. Spokojniejszym.

Gdy kończą wypakowywanie zakupów, odzywa się jego telefon. Widzi na wyświetlaczu, że to połączenie automatycznie przekazane z jego biura w Exeter. Cholera. Dziś akurat zaczyna pracę później, żeby Sal mogła się wybrać do fryzjera, ale nie chce, by jego klienci odnieśli wrażenie, że pracuje na pół etatu. Irytuje się także na myśl, że ktoś mógłby się zorientować, że nadal nie ma sekretarki czy asystentki.

-- Halo? Matthew Hill, prywatny detektyw.

Kasjerka unosi brwi, on zaś w odpowiedzi otwiera szeroko oczy.

-- Dzień dobry, panie Hill. No tak. Eee... Nazywam się Tom Stellar. -- Sądząc po głosie, jest po trzydziestce. Denerwuje się, co jest dość oczywiste. Większości klientów trudno wykonać ten pierwszy krok. Zadzwoń. -- Zastanawiam się czy byłby mi pan w stanie pomóc. Właściwie to mojej dziewczynie. -- Długą chwilę milczy.

-- Proszę kontynuować.

-- Ktoś ją prześladowa. Według nas jakiś stalker. Początkowo to były nieprzyjemne telefony. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że to minie, niestety robi się coraz gorzej. Przesyłka do pracy. Naprawdę bardzo się martwię. Wygląda na to, że policja niewiele zdoła zrobić, więc pomyślałem... -- mówi coraz szybciej.

-- Dobrze, panie Stellar. Słyszę pana, ale w tej akurat chwili zajmuję się pewną sprawą i nie bardzo mogę swobodnie rozmawiać. Niedługo do pana oddzwonię, dobrze? W ciągu godziny? Czy to panu odpowiada?

-- Och. -- W głosie dzwoniącego słycać przygnębienie. -- Po prostu strasznie się martwię. Sprawa jest pilna.

-- Zapewniam pana, że wkrótce oddzwonię. Wtedy wszystko mi pan opowie i razem zdecydujemy, co dalej.

-- Dobrze. Okej. Moja dziewczyna rozmawia w tej chwili z policją, ale jest bardzo zdenerwowana, a ja, jeśli mam być szczery, nie mam wielkiego zaufania do policji. Ostatnim razem wyglądało to tak, jakby ją zbyto. Odesłano do domu, samą, uwierzy pan?

Matthew wzdycha, nie przestając gładzić włosów córki. Nie lubi, kiedy ktoś krytykuje policję. W głębi duszy odczuwa lojalność względem tej instytucji, lojalność, której nie potrafi się wyzbyć. Większość funkcjonariuszy wykonuje swoją zadania najlepiej jak potrafi. To niełatwa praca; kto jak kto, ale on zna ją od podszewki. Prawda jest jednak taka, że przypadki stalkingu są dla policji prawdziwym koszmarem. Niezwykle trudno się je prowadzi. I zawsze ma się za mało środków na to, co by się chciało zrobić.

Dociera do niego, że po raz pierwszy poproszono go, jako prywatnego detektywa, o zaangażowanie się w sprawę stalkingu, i nie do końca ma pewność, co powiedzieć. Czy w ogóle się nad tym zastanawiać. W głębi duszy wątpi, aby udało mu się pomóc. Nie w pojedynkę.

-- Zadzwońnię niedługo, panie Stellar. W tym czasie proszę spróbować zdobyć od swojej dziewczyny najbardziej aktualne informacje i razem zastanowimy się, co z tym zrobić.

## ROZDZIAŁ 6

### Alice

Siedzę w gabinecie naczelnego i kiedy patrzę przez przeszklenie na newsroom, widzę kilka przyglądających mi się twarzy. Szybko odwracają się z zażenowaniem.

-- Więc twierdzi pani, że to już czwarty incydent? -- Policjantka wpatruje się w leżącą na biurku między nami torebkę na dowody. Obraca ją, aby odczytać, co napisano na kartce dołączonej do więdących kwiatów. -- I do każdego dochodzi w środę?

Przytakuję. Chcę się odezwać, boję się jednak, że się rozpłaczę, a nie ma opcji, abym zrobiła to na oczach tej kobiety i zerkających w naszą stronę dziennikarzy. Dobrze, że Ted udostępnił nam to pomieszczenie, szkoda jedynie, że nie ma w nim rolet. Miałabym więcej prywatności.

Całe szczęście mojej mamie nic nie jest. Rozmawiałam z personelem domu opieki, w którym przebywa. Jest przy niej opiekunka i zapewniono mnie, że zachowują należyte środki bezpieczeństwa; rejestrują wszystkich dzwoniących i bez mojej zgody nie dopuszczają żadnych gości.

Podnoszę wzrok na policjantkę. Wydaje się bardzo miła i doskonale rozumie, dlaczego tak panikowałam z powodu mamy. Wstyd mi teraz, że nie pamiętam, jak się nazywa. Jej stopień to komisarz, co sugeruje, że policja traktuje moją sprawę nieco poważniej -- albo że Ted bardziej naciskał na swego kumpla Alana. Już pierwsze zadawane przez nią pytania świadczą o jej kompetencji; rzekłabym, że jest bystrzejsza niż policjantka, którą przysłano w zeszłym tygodniu. Ma sympatyczną i otwartą twarz, ale jest w zaawansowanej ciąży i z jakiegoś krępującego powodu mocno mnie to niepokoi. Nie znajdziecie większej feministki ode mnie, mimo to czuję się w tej chwili jak oszustka -- wszystkimi myślami sprzeniewierzając się kobiecej solidarności.

Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale nie podoba mi się pomysł wciągania sympatycznej ciężarnej kobiety i jej nienarodzonego

dziecka w tę całą potworność. W sprawę człowieka, który mówi, że użyje żyłki do sera, który wspomina o mojej matce i który -- o czym jestem przekonana -- miał okazję być w moim domu. Co rusz przyłapuję się na tym, że zerkam na jej brzuch. Przypominam sobie, jak opiekuńcza byłam względem mojej siostry Leanne, kiedy była w ciąży. Myślę o tym nowym życiu; o cudzie, który za kilka krótkich miesięcy stanie się prawdziwym, małym człowiekiem. Niewinnym dzieckiem. A potem myślę o tym okrutnym i potwornym mężczyźnie...

-- Myślę, że był w moim domu. -- Mówiąc te słowa, sięgam po kubek z wodą. Wcale nie planowałam wspominać o tym już teraz. Sama nie rozgryzłam jeszcze, czy to rzeczywiście prawda. Muszę wyjąć telefon i otworzyć kalendarz, by raz jeszcze sprawdzić daty.

-- Bez pośpiechu, Alice. Kiedy będziesz gotowa, opowiesz mi o wszystkim od samego początku. Powoli. Dlaczego uważasz, że był w twoim domu?

Przewijam kalendarz, aby sprawdzić datę swojego wyjazdu do Londynu, następnie sprawdzam maile wysłane do wynajmującego. Tak. Jezu. Wszystko pasuje.

-- Okej, no więc kiedy zadzwonił do mnie do redakcji, w zeszłym tygodniu, kiedy użył tego zmieniaacza głosu, myślałam, że to pierwszy incydent. Miałam nadzieję, że jedyny.

-- Tak. Czytałam raport sporządzony przez koleżankę. Nie było w nim wzmianki o innych incydentach.

-- To dlatego, że wtedy nie dodałam jeszcze dwóch do dwóch. Ale dzisiaj to pudełko z wiadomością, wzmianką o mojej mamie. -- Ponownie wbijam wzrok w leżącą na stole torebkę z karteczką.

Policjantka raz jeszcze ją odwraca i czyta na głos.

-- "Ulubione kwiaty twojej matki? Jak kwiat na twoim samochodzie? Och! A brakowało ci żarówki, Alice?"

-- Przepraszam. Zapomniałam jak się pani nazywa. Niegrzeczne to z mojej strony, ale jestem trochę rozkojarzona i nie zarejestrowałam, gdy się pani przedstawiała. -- Oblewam się rumieńcem. Nie użyła przypadkiem imienia Mandy?

-- Komisarz Melanie Sanders.

-- No tak. Dziękuję.

-- Proszę mi mówić po imieniu.

-- Okej. Dziękuję. -- Robię pauzę. -- Melanie. -- Nie chcę mówić, że to wcale nie wydaje się na miejscu: nazywanie jej po imieniu. Jakby była moją przyjaciółką. Kumpelą. Jakbym miała pewność, że mogę jej ufać.

-- Więc porozmawiajmy o tym, co napisano na kartce, Alice. Kwiat na samochodzie. O co chodzi?

Robię wydech, widząc to oczami wyobraźni. Peonia na przedniej szybie. Dlaczego się nie zorientowałam na samym początku?

-- Kiedy to przeczytałam, tę wzmiankę o kwiecie, nagle sobie uświadomiłam, że to on. To znaczy ten pierwszy incydent. Pierwsza środa. Przed chwilą sprawdziłam w kalendarzu. Byłam w Londynie w siedzibie głównej spółdzielni mieszkaniowej zaangażowanej w opisywaną przeze mnie historię. Rozbiórka kompleksu Maple Field House i wybudowanie nowych lokali.

-- Tak, czytałam o tym. Świetnie się wszystko zakończyło.

-- To ja opisywałam całą kampanię. No więc udałam się do Londynu na wywiad dotyczący roli spółdzielni mieszkaniowych w sytuacji, kiedy miasta przeznaczają tak niewiele środków na nowe budownictwo socjalne. Do Plymouth dojechałam samochodem, a tam wsiadłam w pociąg. Samochód zostawiłam na dworcowym parkingu. Kiedy wróciłam... dość późno, bo na stacji Paddington napisałam i wysłałam swój artykuł, na przedniej szybie leżał kwiat wraz z bilecikiem. Nie będę kłamać, zaskoczyło mnie trochę, że to peonia. Ulubiony kwiat mojej matki. -- Lekko drży mi głos. Kaszlę, licząc, że policjantka tego nie zauważy. -- Ale bilecik wyglądał jak z kwiaciarni, a na parkingach często znajduje się różne ulotki. Uznałam, że to prezent. Chwył reklamowy, jakiś sprytny marketing. I że wybór takiego, a nie innego kwiatu to zbieg okoliczności.

-- Co było napisane na tym bileciku? Masz go jeszcze?

-- Nie. Niestety. Mój samochód stał jako ostatni w rzędzie i po prostu uznałam, że wszyscy kierowcy je dostali. Peonię zabrałam do domu i wstawiłam do wody. Bilecik wyrzuciłam.



-- Spróbuj sobie przypomnieć, Alice. Co było na nim napisane? Zamknij oczy, jeśli chcesz; czasami to pomaga. Spróbuj sobie wyobrazić, że siedzisz w samochodzie z bilecikiem w ręce.

Krępuję się, ale Melanie kiwa zachęcająco głową, więc robię, co mi każe, i zaskakuje mnie, że niemal od razu coś sobie przypominam. Tak. Bilecik miał różową obwódkę. Taką koronkową. Ale sama kartka była matowa. Cienki kartonik. Mało profesjonalny.

-- To była jedna z tych tanich wizytówek, które można zamówić w internecie albo samemu wydrukować. Miała fikuśną, różową obwódkę, a nazwa firmy to... -- Zaciskam powieki i widzę te słowa. -- O cholera.

-- Jaka?

Otwieram oczy, zaszokowana tym, że tak dokładnie sobie wszystko przypomniałam.

-- "Środowa Mądrość. Wyraż to kwiatami..." Tak było napisane. No wiesz, jak hashtag na Twitterze. Środowa Mądrość. Uznałam, że to nazwa kwiaciarni. Ale tak wcale nie było, prawda? Dobry Boże... to był początek. -- Słyszę, że głos mi się zmienia; zaczynam się trząść.

Komisarz Sanders nachyla się nad stołem.

-- Okej. Spróbuj zachować spokój, Alice. Twojej mamie nic nie jest. My też zadzwoniliśmy do domu opieki. Ale musimy dotrzeć do powodu, dla którego ta osoba w ogóle wspomniała o twojej matce. Pomożemy ci. Te wszystkie rzeczy są potworne. Niepokojące. Ale jeśli teraz połączysz to wszystko w jedną całość, ułatwisz nam zadanie. Więcej materiału dowodowego oznacza więcej tropów do sprawdzenia. Na przykład wizytówka. Co jednak z wyborem takiego, a nie innego gatunku kwiatów? Peonia na samochodzie, a teraz peonie w tym bukietku. Dlaczego to jest ważne? I kto jeszcze może wiedzieć, że to ulubione kwiaty twojej matki?

Patrzę w lewo i ze ściągniętymi brwiami przyglądam się trzem wysokim stertom gazet na stoliku bocznym.

-- To żadna tajemnica. Cała rodzina wie, że mama uwielbia peonie. -- Z ogromną niechęcią rozmawiam o niej w tym kontekście; jakbym ją w to wszystko wciągała. Oczami wyobraźni widzę mamę

i jej butlę z tlenem. Słyszę rżący oddech... -- Najpewniej wspomniałam o tym całkiem sporej liczbie osób. -- Dociera do mnie, że ta liczba jest stanowczo zbyt duża. -- Na miłość boską, możliwe, że napisałam nawet o tym w jednym z artykułów. Zdarza się, że piszemy felietony poświęcone życiu prywatnemu.

-- Okej. Będziemy więc musieli się im przyjrzeć. Czy możesz zebrać wszystkie swoje felietony z ostatnich... powiedzmy, sześciu miesięcy?

-- Jasne.

Następnie komisarz Sanders -- znowu nie mogę się przemóc, żeby nazywać ją Melanie; jeszcze nie teraz -- chce, abym opowiedziała jej o żarówce i o tym, dlaczego uważam, że ten człowiek był w moim domu. Wiem, że trudno to będzie wytłumaczyć. Tyle że teraz mi się przypomina, że o tym także napisałam w jednym z tych cholernych felietonów.

Potrzebuję czasu, aby poukładać to sobie w głowie, więc mówię, że czuję się trochę dziwnie, i pytam czy mogłabym się napić herbaty z cukrem.

Gdy czekamy, aż ktoś przyniesie nam z kawiarni napoje, uświadamiam sobie, że to wszystko łączy się ze sprawą gwałciciela. Pierwszy incydent. Żarówka. Niedobrze robi mi się na samą myśl.

Postępowanie sądowe opisywał Adam, nasz dziennikarz zajmujący się sprawami kryminalnymi, ale sporo rozmawialiśmy o tym w redakcji i nieźle mnie to wystraszyło. W naszym rejonie grasował gwałciciel -- zimą, sześć, może osiem miesięcy temu -- który miał wyjątkowo paskudny *modus operandi*. Cztery sprawy -- wszystkie w południowym Devonie i wszystkie bardzo do siebie podobne. Obserwował mieszkające samotnie singielki i rozpracowywał ich grafik. Następnie włamywał się do nich po zmroku, w czasie, kiedy wracały z pracy. Wykręcał pierwszą żarówkę -- na korytarzu albo w salonie -- tak że sądziły, iż się przepaliła i niczego nieświadome wkraczały w ciemność. Wtedy przystępował do ataku. W masce.

Gwałciciel trafił do więzienia. Ale mnie tak wytrąciła z równowagi ta potworna sprawa, że na wszelki wypadek zaczęłam nosić w torbie latarkę, czasem nawet wsuwałam ją w kieszeni. Przez jakiś

czas serce waliło mi za każdym razem, kiedy wracałam do domu po zmroku. I o tym wszystkim napisałam w swoim felietonie.

Mrużąc oczy, zastanawiam się, jak mogłam być taka głupia. Jak mogłam odsłaniać tak przed wszystkimi swoje uczucia. W felietonie w lokalnej gazecie. W wersji drukowanej, ale także tej dostępnej online. Czemu ja to, u licha, zrobiłam? Dlaczego my, piszący, tak bardzo się uzewnętrzniamy?

Ponownie myślę o sobie i swoim głupim koniku -- obsesji na punkcie odwagi i tchórzostwa. Tak naprawdę o tym był właśnie tamten felieton. Stanowił próbę dokonania oceny, czy definiuje nas odczuwany strach. A może jest on po prostu czymś ludzkim. Pamiętam, że zacytowałam Nelsona Mandelę. Pewnie trochę to z mojej strony pretensjonalne. "Odkryłem, że odwaga to nie brak strachu"... Napisałam, że wcześniejsze pokolenia dowodziły swojej odwagi w czasie wojen. Obecnie większość ludzi nie zostaje poddana prawdziwemu testowi. Odwaga? A może tchórzostwo? Kiedy przyjdzie co do czego... czym się wykażemy?

Przede mną stoi już herbata, więc robię kilka łyków, a potem opowiadam komisarz Sanders o gwałcicielu, o swoim felietonie i o tym, że trzy tygodnie temu -- również w środę -- po powrocie do wynajmowanego domu przekonałam się, że pierwsza żarówka jest przepalona. To była lampa w holu, który zaprojektowano tak, że sufit znajduje się na poziomie piętra, nie byłam więc w stanie sama wymienić żarówki. Przez tamtą sprawę z gwałcicielem wystraszyłam się. To znaczy wiedziałam, że sprawca został aresztowany, ale to był taki nieprzyjemny zbieg okoliczności i fakt, że w wejściu nie ma światła, naprawdę wytrącił mnie z równowagi.

-- Od razu napisałam do właściciela z prośbą o wymianę żarówki -- wyjaśniam policjantce. -- Dzięki temu wiem, że to była środa. Sprawdziłam datę wysłania maila. Właściciel do teraz tego nie załatwił i byłam naprawdę zła. Wysłałam kilka ponaglących maili. Teraz jednak, kiedy przeczytałam wiadomość na tej kartce... - - Wskazuję głową na leżącą na biurku torebkę. "Brakowało ci żarówki, Alice?" -- Martwię się, że ten człowiek, kimkolwiek jest, prze-

czytał mój felieton, jakimś sposobem dostał się do mojego domu i wykręcił żarówkę, żeby mnie zdenerwować. Przestraszyć.

Wyraz twarzy komisarz Sanders ulega zmianie. Kobieta odwraca się do siedzącego obok niej sierżanta.

-- Okej. Będziemy więc musieli wrócić do domu i sprawdzić, czy żarówka pozostaje na miejscu, to znaczy czy się po prostu przepaliła, czy w ogóle jej nie ma. Mówisz, że to bardzo wysoko?

-- Tak. Potrzeba do tego specjalnej drabiny.

-- Dobra, zlecę to dochodzeniówce. Pudełko na ciasto. Kartka. Twój dom. Tak się zastanawiam... -- Ponownie zerka na swojego partnera. -- Czy kiedy już poszukamy odcisków palców i tak dalej, masz jakieś miejsce, w którym mogłabyś się zatrzymać? Tylko na trochę. Na czas wymiany zamków. My dokończymy wtedy wszystkie potrzebne analizy. Jeśli się okaże, że żarówki rzeczywiście nie ma, będziemy się musieli dowiedzieć, kto jeszcze ma klucz do twojego domu.

Czuję nieprzyjemny ucisk w żołądku. W zeszłym tygodniu dom obejrzała prywatna firma ochroniarska. Wtedy jeszcze nie widziałam, że ktoś dostał się wcześniej do środka. Z jednej strony liczyłam na to, że policjantka zaprzeczy mojej teorii: "Nie, to mało prawdopodobne, by ten ktoś był w twoim domu". Wcześniej zastanawiałam się, czy nie przesadzam. Czy nie zachowuję się jak paranoiczka. To, że komisarz Sanders traktuję tę teorię bardzo poważnie, sprawia, że czuję się jeszcze gorzej.

-- Klucze? Oczywiście właściciel domu. Zapasowe klucze ma sąsiadka, na wszelki wypadek. I mój partner Tom.

-- Będziemy musieli porozmawiać z twoim partnerem i sąsiadką. I właścicielem. O sposobie przechowywania kluczy. -- Ponownie zerka na sierżanta, który coś sobie notuje.

-- No tak. Oczywiście. Tom chętnie pomoże...

-- A teraz -- policjantka jeszcze bardziej poważnie -- chcę porozmawiać o aluzji do żyłki do sera, Alice.

Nagle wyczuwam w ustach jakiś płyn. Muszę przełknąć ślinę. Zakaszleć.

-- Fakt, że ktoś powiedział właśnie coś takiego, jest niepokojący i mocno nieprzyjemny. Ale także niecodzienny, Alice. I chcę się dowiedzieć, czy istnieje jakiś powód: osoba albo incydent, co do których uważasz, że mogą się z tym łączyć. Może to ktoś, kto pracuje w delikatesach? Na dziale serów? Przychodzi ci ktoś taki do głowy?

Kręcę głową, nie chcąc nawet o tym myśleć. Wizja żyłki do sera, ostrej jak żyłeczka, przecinającej nie ser, lecz...

"Załatwię cię żyłką do sera".

-- Przepraszam. Mogłabym prosić o wodę? W newsroomie jest automat. -- Zerkam na przepierzenie, a sierżant wychodzi z gabinetu.

Komisarz Sanders kontynuuje:

-- Pomyśl, Alice. Pisałaś o jakichś producentach sera? Delikatesach? Czymś podobnym?

Ponownie kręcę głową.

-- A w domu nie używasz żyłki do sera, Alice?

Przyłapuję się na tym, że pocieram dłonie. Bardzo, ale to bardzo chciałabym, żeby przestała o tym mówić. To znaczy wiem, że to jej praca. Ale...

-- Nie, nie. Na litość boską! Kroję ser po prostu nożem. Ale widziałam, jak się jej używa. Żyłki do sera. Robią to w lokalnych delikatesach. I w moim supermarkecie. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś używał jej w domu.

-- No tak. Będziesz musiała nam podać nazwy supermarketu i delikatesów, w których robisz zakupy, Alice. Na wszelki wypadek.

-- Jasne.

Wraca sierżant z plastikowym kubkiem z wodą. Pociągam łyk.

-- Dziękuję. Jestem wdzięczna za wszystko, co robicie. Naprawdę. Tylko że... -- Staram się zachować spokój, ale nagle zaczyna mnie to przerastać. Zaciskam usta, nic to jednak nie daje.

-- Wszystko w porządku, Alice.

Jej życzliwość tylko pogarsza sprawę.

-- Przepraszam. -- Odstawiam kubek i szukam w kieszeni chusteczki. Podnoszę wzrok i ponownie spoglądam na redakcję. Dwie

osoby się odwracają, jakby czuły zażenowanie, ale nie widzę, kto to taki.

-- Nie przepraszaaj. Naprawdę dużo na ciebie spadło. Ale możesz na nas liczyć. Sprawdzimy każdy trop i znajdziemy tego człowieka. I zakończymy to.

Patrzy mi w oczy i widzę, że mówi poważnie. A raczej chce, aby tak było.

Mnie jednak niełatwo jest uwierzyć, że ta policjantka ma nad tym całym koszmarem większą kontrolę niż ja.

## ROZDZIAŁ 7

### Alice

Cztery dni później, w niedzielę, przyglądam się siostrze i myślę, jak bardzo jest podobna do naszej matki. Niemal potrafię przewidzieć, co zaraz powie. Szykuję się na ukłucie oburzenia na dźwięk słowa, którego nie znoszę.

"Nie bądź taka uparta".

Zamykam oczy i słyszę echo głosu mamy; rozbrzmiewającego w pobliżu, kiedy dąsałam się podczas tych wszystkich sporów z okresu dzieciństwa -- od wyzwania, jakim jest spróbowanie nowej potrawy, do awantury o prace domowe. Pamiętam, że nawet kiedy byłam mała, wzbierała we mnie wściekłość za każdym razem, kiedy przypinano mi jakąś łatkę. Nie odważna. Nie bohaterska. Nie taka, jaka chciałam być...

Tylko uparta.

Zarówno wtedy, jak i teraz mam ochotę wyrwać z siebie to słowo -- poczuć pieczenie, jak w przypadku zbyt długo noszonego plastra.

Moja siostra Leanne wpatruje się we mnie z tak dobrze mi znanym rozdrażnieniem spajającym miłość i każdą naszą siostrzaną kłótnię.

-- Będiesz im musiała powiedzieć. -- Leanne nalewa mi kawy ze stojącej na stole kafetierki.

Przyglądam się naczyniu i do głowy przychodzi mi myśl, że podsumowuje ono dzielące nasze życie różnice. Kafetierka jest designerska. Piękna. Elegancka stal nierdzewna, podwójne ścianki, dzięki którym kawa pozostaje gorąca, no i do tego aż miło na nią popatrzeć. Ja swoją plastikową kupiłam w miejscowym supermarkecie. Jest tania. Wesoła. Serwuje zimną kawę z pomarańczowym, plastikowym uśmiechem.

-- To nie jest istotne, Leanne.

-- Skąd ta pewność, Alice? Jesteś cholernie uparta.

Krzywię się, a ona kręci głową.

-- Przepraszam. -- Unosi ręce, jakby się poddawała. -- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Tyle że strasznie się martwię i uważam, że nie masz racji. Musisz powiedzieć policji absolutnie wszystko.

I tak to się ciągnie już z pół godziny. Muszę jakoś położyć temu kres. Wystarczy, że wypytywała mnie policja, a ja nie potrafiłam udzielić właściwych odpowiedzi.

Zdecydowałyśmy, że mama pozostanie na razie w domu opieki w Devon, niedaleko mnie. Na początku, spanikowane, sądziłyśmy, że może się okazać konieczne przeniesienie jej w jakieś inne miejsce. W trybie natychmiastowym. Zwłaszcza Leanne skora była do tego, aby mieć mamę blisko siebie w Londynie, policja jednak uważa, że dom opieki w Devon ma dobrą ochronę. No i nie chcemy denerwować mamy, chyba że rzeczywiście będzie jej grozić niebezpieczeństwo.

-- To co, Leanne, nadal chcesz nas zawieźć do mamy? Pasuje ci to?

Posyłam jej spojrzenie, które mówi, że musi przestać mnie wypytywać, co powiedziałam policji, a czego nie. Jestem tak zmęczona nieustannym myśleniem o tym podłym, pozbawionym twarzy człowieku. Tym nieznanym, który w tak krótkim czasie wywrócił moje życie do góry nogami. Wyrzucił mnie z domu. Z pracy.

Leanne kiwa głową, a ja w ramach podziękowania wyciągam rękę i muskam jej dłoń. Jak to jest, że czasami miłość znajduje się tak blisko nienawiści? Nie, nie nienawiści. Ale na pewno irytacji. Zawsze poruszamy się między dwoma uczuciami -- ja i Leanne. Miłością -- i tym czymś innym.

Gdy dopijamy kawę, rozglądam się po wielkiej kuchni. Błaty z czarnego błyszczącego marmuru kontrastują z białymi frontami zaopatrzonymi w stylowe uchwyty ze stali nierdzewnej. Niebieska, podwójna kuchenka Aga nie nosi żadnych śladów użytkowania. Ani jednego odcisku palca na perfekcyjnej powierzchni. Lśniące życie mojej siostry.

Czy jestem zazdrosna? Nie. To nie jest zazdrość...

-- Bardzo jestem ci wdzięczna, że tu przyjechałaś, Leanne.



To prawda. Rzuciła wszystko, aby do mnie dołączyć -- syna i córkę zostawiła w Londynie pod opieką niani i ich taty Jonathana. To jest ich drugie lokum, oszalałymi, kryty strzechą dom w Dorset. Ogrodzony i podłączony do alarmu. Z kamerami. Bezpieczny.

-- Możesz się tu zatrzymać, na jak długo będzie trzeba, możesz też przyjechać do Londynu. Jak wolisz. Przykro mi jedynie, że sama nie mogę dłużej zostać. -- Robi pauzę. -- Jonathan się zastanawiał, czy nie chcesz tu jakiegoś towarzystwa. Co prawda dwa razy w tygodniu przychodzi sprzątaczką, ale nie podoba mi się pomysł, że po moim wyjeździe miałabyś tu zostać sama. Do czasu, aż znajdą tego faceta.

-- Co rozumiesz przez towarzystwo?

-- Och, nie wiem. -- Oblewa się rumieńcem. -- Ochroniarza? Moglibyśmy wynająć go na firmę. Nie przejmuj się kosztami.

-- Teraz to mówisz zupełnie jak Tom. Nie jestem cholerną gwiazdą pop. Nie chcę ochroniarza. Chcę odzyskać swoje życie, Leanne.

-- Wiem, skarbie. Tyle że wszyscy tak bardzo się martwimy.

-- No wiem, wiem. Ale cztery dni. Nie odezwał się od czterech dni. To dobry znak, nie sądzisz? Może sobie odpuścił. -- Staram się, aby w moim głosie słychać było nadzieję, nikogo jednak nie przekonam.

Powtarzam sobie, że jest niedziela. Dzień, w którym odwiedzimy mamę. Dobry dzień. Bezpieczny.

To nie niedziele interesują tego człowieka.

W czasie jazdy ze wszystkich sił staram się nie oglądać za siebie, nie ulegać temu nowemu, uporczywemu niepokojowi, że ktoś może mnie śledzić. Leanne puszcza muzykę klasyczną. Nie znam kompozytora, ale dźwięki te są kojące. Piękne.

Wyglądam przez szybę od strony pasażera -- zamazana linia drzew i przeświecające między nimi słońce. Mrużę oczy i zastanawiam się, czy pamiętałam o włożeniu do torby okularów przeciwsłonecznych.

Pakowałam się w pośpiechu.

Kiedy policja potwierdziła, że w moim domu brakuje żarówki, wszystko wskoczyło na kolejny poziom. Właściciel oświadczył, że nikogo nie przysłał, że nikt nie miał dostępu do kluczy. Nie miało to sensu...

Przesłuchano Toma. Przesłuchano sąsiadkę dysponującą zapasowymi kluczami. Także moich współpracowników. Każda porządna znana mi osoba nagle stała się podejrzanym, gdy tymczasem prawdziwy sprawca przebywa Bóg wie gdzie.

Potem pojawiła się nowa komplikacja. Policja odkryła, że pracownica agencji nieruchomości od ponad roku w tajemnicy łamie protokół. Aby oszczędzić sobie czasu, nie towarzyszy robotnikom, lecz daje im klucze do wynajmowanych nieruchomości, co stanowi jawne naruszenie zasad. W zeszłym roku miałam kilka napraw -- centralne ogrzewanie i tym podobne. Co oznacza, że każdy mógł zrobić sobie klucz do mojego domu. Reakcja okazała się natychmiastowa: postępowanie dyscyplinarne oraz wymiana zamków w wielu lokalach.

Policja informuje mnie na bieżąco o rozwoju sprawy, ale nie ma na razie żadnych konkretnych tropów. Żyłkę do sera, która znalazła się w przesyłce z kwiatami, bez problemu można kupić przez internet. To taniocha importowana z Chin, z setkami opinii. Sama je sprawdziłam. Jedna para napisała, że kupiła taką żyłkę z uchwytemi po to, aby pokroić tort weselny, uwierzycie? Ja byłam zaszokowana; pojęcia nie miałam, że tak łatwo można kupić coś takiego. Że ktoś mógłby w ogóle tego szukać.

W domu ani na pudełku na ciasto nie znaleziono żadnych odcisków palców. Kurierowi zapłacono gotówką i podano fałszywe dane, nie udało się też wyjaśnić kwestii wizytówki nieistniejącej kwiatarni, którą mi zostawiono za wycieraczką samochodu. Wygląda na to, że mój stalker jest sprytny. Zadaje sobie niemało trudu. Komisarz Sanders żywi przekonanie, że czytuje on moje felietony i wykorzystuje zawarte w nich informacje, aby mnie nastraszyć. Pytanie tylko dlaczego. Komu, u licha, tak mocno nadepnęłam na odcisk?

Leanne i ja miałyśmy dylemat, czy przenieść mamę do innego domu opieki. To mama wybrała Devon -- aby być bliżej morza --

a nie Londyn. Podoba jej się tutaj. Policja uważa, że ten człowiek, kimkolwiek jest, nie zna miejsca jej pobytu. Dręczył mnie jedynie tym, że wspomniał o niej po przeczytaniu moich felietonów.

Naprawdę nie wiem, co myśleć; chcę jedynie mieć pewność, że moja matka jest bezpieczna.

Tom z kolei traci cierpliwość do policji i umówił mnie na jutro z jakimś prywatnym detektywem z Exeter, cieszącym się doskonałą opinią. Tak jak Leanne chce, bym w czasie, kiedy będę sama, miała jakieś dodatkowe zabezpieczenie. Myślę, że wolałby, abym zamieszkała u niego, ale mnie nieszczególnie się to uśmiecha. Ostatnio tak często wyjeżdża służbowo do Londynu, że to kiepskie rozwiązanie. Nie może być za mnie odpowiedzialny przez okrągłą dobę, zresztą wcale bym tego nie chciała.

Nie. Na razie ten dom w Dorset to lepsze rozwiązanie. Jest niczym Fort Knox. Wadą bycia zamożnym jest konieczność przejmowania się włamywaczami. Aczkolwiek cholera wie, jak po powrocie do pracy pokonam problem odległości. Redakcja "South Devon Informera" mieści się między Plymouth a Ivybridge, jakieś dwadzieścia minut od mojego wynajmowanego domu. Ale z Dorset to kawał drogi.

-- Mówiłaś, że jak długo nie będziesz chodzisz do pracy?

Odwracam się do Leanne. Zupełnie jakby potrafiła czytać mi w myślach -- a może z twarzy. Mój przełożony uparł się, żebym wykorzystała cały zaległy urlop. Za nadgodziny. Według niego to rozsądna opcja. Ale dla mnie jest niczym kara.

-- Gdyby to zależało ode mnie, wróciłabym już jutro.

-- Uparta jesteś.

-- Nie. Nie uparta. Chcę jedynie doprowadzić do końca temat kampanii Maple Field House. Właśnie planowane jest wyburzenie. Mnóstwo się dzieje i nie rozumiem, dlaczego mam pozwalać, żeby moje życie ulegało takiej zmianie. Żeby ten człowiek powstrzymał mnie przed robieniem tego, co kocham.

-- To tylko na jakiś czas. Pogódź się z tym, Alice. Proszę. Nie wychylaj się i przebywaj w bezpiecznym miejscu, dopóki policja go nie

znajdzie. Jak już mówiłam, zawsze możesz przyjechać do nas, jeśli tylko nie przeszkadza ci chaos.

-- Wiesz, że nie znoszę Londynu.

-- Co z ciebie za dziennikarka?

-- A co to niby ma znaczyć? Świat nie obraca się wokół stolicy. Świetne historie można znaleźć dosłownie wszędzie. Równie ważne co te w dużym mieście. A nawet ważniejsze, bo bywają niedostrzegane. Nigdy nie trafiają do szerszego grona odbiorców.

Leanne posyła mi jedno z tych swoich spojrzeń.

-- Przepraszam -- mówię. -- Nie chciałam się tak nakręcać. -- To kolejna rzecz, którą wypominają mi mama i siostra. "Kiedy wsiądziesz na swojego konika, to nic nie jest w stanie cię uciszyć".

Dojeżdżamy do domu opieki i dopada mnie znajome połączenie miłości i strachu. Uwielbiam się spotykać z mamą. Nie cierpię spotykać się z nią tutaj.

I pomyśleć, że sądziłam, że to raka muszą się bać palacze...

Wpisujemy się do księgi gości i cieszę się, kiedy widzę, że w recepcji siedzi jedna z pracownic, nadzorując wejście i sprawdzając przepustki. Po raz kolejny utwierdzam się w przekonaniu, że to miejsce jest dobrze chronione. W tylnych drzwiach znajduje się specjalny zamek, który wymaga podania PIN-u. Wszystko nam wyjaśniono, kiedy oglądałyśmy to miejsce dwa miesiące temu.

-- Wasza matka jest u nas bezpieczna. -- Kobieta z imieniem Wendy na plakietce uśmiecha się do nas. -- Sprawdzamy wszystkich odwiedzających. Priorytetem jest bezpieczeństwo.

Odpowiadam jej uśmiechem, boję się jednak, że gdy się odezwę, załamie mi się głos.

Leanne trzyma w ręce bukiet jasnoróżowych peonii. Patrzę na nie i przypomina mi się nasz ogród w Hastings z czasów, kiedy byliśmy małe. Peonie w każdym możliwym kolorze.

"Uważajcie na kwiaty podczas gry w tenisa, dziewczynki. Uważajcie na peonie..."

-- Gotowa? -- Leanne w imieniu nas obu bierze głęboki oddech.

Dotyka mojego ramienia, a ja jedynie kiwam głową, starając się nie myśleć o tamtym kwiecie na samochodzie. O peoniach związa-

nych żyłką do sera...

Mama jest w swoim pokoju; siedzi na czerwonym krześle z wysokim oparciem i wygląda na ogród. Na niewielkim, stojącym obok niej stoliku widzę książkę i szklankę z wodą. Ubrana jest w ładną jasnoniebieską bluzkę i pasującą do niej spódnicę, włosy zaś ma upięte w schludny kok. Dopiero kiedy się odwraca i wita nas uśmiechem, mnie uderzają elementy jej nowej rzeczywistości. Klatka piersiowa unosząca się z każdym oddechem. Cienkie rurki w nosie. Sprzęt do terapii tlenowej.

-- Witajcie, kochane. -- Uśmiecha się promiennie, ale musi zrobić pauzę na kilka głębokich oddechów. Obecnie dwa czy trzy słowa wystarczą, aby ją zmęczyć. Uśmiecha się, ale w jej oczach dostrzegam frustrację: tak wiele pragnie powiedzieć, a nie może.

Podchodzimy więc po kolei, aby pocałować ją w policzek, ona zaś wyciąga ręce do kwiatów. Następnie oddajemy się grze, w której przez większość czasu my mówimy, a mama słucha -- dołączając do rozmowy wtedy, kiedy czuje, że temu podoła. Wszystkie udajemy, że to normalne. Dwie córki wypełniające ciszę, ponieważ ich matka nie potrafi już jednocześnie mówić i oddychać.

-- Piękne, prawda? Z każdym kolejnym kolorem myślę, że to mój nowy ulubieniec. Do czasu, aż zobaczę następny kolor znaleziony przez Leanne. -- Mój głos jest niemal śpiewny. Zbyt mocno się staram.

-- Ze mną jest tak samo. Aczkolwiek muszę przyznać, że ten błąd róż trudno będzie przebić.

Gdy Leanne podchodzi bliżej, mama przez chwilę gładzi płatki. Następnie wskazuje na półkę z książkami i dwoma pustymi wazonami. Moja siostra kiwa głową i zaczyna się krzątać przy małej umywalce. Z torby wyjmuje nożyczki, a w mojej głowie pojawia się myśl, że to takie dla niej typowe. Pamiętać o zabraniu nożyczek.

Przytaczamy historie z przeszłości, pomijając wszystko to, co nieprzyjemne. Oczywiście nie wspominam o stalkerze. Zamiast tego informujemy mamę, że nabrałyśmy ochoty na kilka wspólnych dni, więc wybrałyśmy się do domu Leanne w Dorset, gdzie nadrabiamy siostrzane zaległości.

-- Nie klóćcie się? -- Mina mamy mówi więcej niż słowa. Nauczyła się, że daje radę wypowiedzieć maksymalnie trzy naraz. Słowa. Jej mowa jest obecnie niczym tańczenie walca. Raz, dwa, trzy...

-- Niewiele. Nic jeszcze nie stłukłam. Nie rozbiłam żadnego lustra.

Mama prawie wybucha śmiechem, ale w porę się powstrzymuje. Jeszcze trudniej by jej się wtedy oddychało. "Proszę się starać o zachowanie neutralnego tonu rozmowy -- powiedziała raz pielęgniarka. -- Wiem, że to trudne, ale zbyt wielkie podekscytowanie może zaowocować atakiem".

Zastanawiałam się wtedy, co rozumie przez "atak". Wkrótce się dowiedziałyśmy.

Mama cierpi na końcowy etap przewlekłej obturacyjnej choroby płuc. Tlen kupuje nam jedynie trochę czasu. Wkrótce -- nie do końca wiemy kiedy -- żadna jego ilość nie okaże się wystarczająca.

A tymczasem "atak" oznacza tymczasowy pobyt w szpitalu. W domu opieki troszczą się, by na co dzień mamie niczego nie brakowało, ale nie chcą ponosić odpowiedzialności za poważniejsze leczenie.

"Dysponujemy odpowiednim sprzętem, dopóki stan waszej matki jest stabilny -- tak nam powiedziała przełożona pielęgniarek. - - Ale nie zapewniamy tutaj opieki hospicyjnej. Będziemy musiały odbyć kolejną rozmowę, jeśli... cóż, kiedy sytuacja ulegnie zmianie".

Tak więc Leanne i ja odwiedziłyśmy miejscowe hospicjum i zastanawiałyśmy się, czy Londyn -- blisko mojej siostry -- nie byłby przypadkiem lepszy. W tajemnicy przed mamą szukamy miejsca, w którym umrze.

Bardzo się staram odsuwać od siebie myśli o tym, co nieuchronne -- tak by każde odwiedziny osadzone były w terażniejszości -- ale to sztuczka, której jeszcze się nie nauczyłam. Szczególnie okrutnym paradoksem dla mnie pozostaje fakt, że matka nadal jest taka piękna. Ma ładną cerę. Błyszczące włosy.

Myślę o leżącej na kuchennym blacie paczce papierosów i mam ochotę cofnąć się w czasie i wyrzucić ją do kosza.

Zamiast tego coś tam opowiadam, a kiedy Leanne kończy układać kwiaty w wazonie, proponuję, abyśmy poszukały w ogrodzie jakiegoś przyjemnego miejsca, gdzie mogłabym mamie poczytać.

-- Ta książka. Tak? -- Biorę do ręki podniszczony egzemplarz *Wichrowych Wzgórz*. Pełniącą funkcję zakładki pocztówka znajduje się dokładnie tam, gdzie ją umieściłam w zeszłym tygodniu.

Leanne przywozi z korytarza wózek i sprawnie przesadzamy na niego mamę. Butla z tlenem trafia do wiszącego na oparciu worka. Na korytarzu natrafiamy na pielęgniarkę, która korzystając ze swojej karty, wypuszcza nas do ogrodu.

To dobrze, myślę. Rzeczywiście dbają o względy bezpieczeństwa.

Na dworze znajdujemy ławkę dla mnie i Leanne, z której mamy widok na położoną w centralnej części ogrodu fontannę. I z której można dostrzec w oddali morze. Otwieram książkę w miejscu, gdzie tydzień temu skończyłam czytać. To rozdział opisujący ucieczkę Heathcliffa.

W ogrodzie spędzamy około godziny. Leanne przynosi w tym czasie herbatę i ciasteczka. Oddech mamy nadal jest ciężki, ale na zewnątrz wydaje się odrobinę bardziej miarowy. Może to tylko moje wyobrażenie, a może rzeczywiście tak jest, gdyż mama wie, że nie będzie musiała mówić. Ani chodzić. Ani robić niczego innego. Jedynie przygląda się fontannie i słucha, jak czytam.

-- Przyjemny dziś wietrzyk.

Raz, dwa, trzy...

-- Tak, mamó. Upajaj się nim. Zamknij oczy, jeśli chcesz. I słuchaj. Znasz mnie. Uwielbiam dźwięk swojego głosu.

Uśmiech. Moja matka ma najpiękniejszy uśmiech...

Później, po powrocie do domu w Dorset, kiedy echem w mojej głowie odbijają się słowa z *Wichrowych Wzgórz* wymieszane z szumem fontanny, dostaję esemesa od Toma, który prosi, abym się nie spóźniła na spotkanie z prywatnym detektywem.

Obracam w myślach te słowa. "Prywatny detektyw".

Zdążyłam się już pobawić w dziennikarkę. Sprawdziłam go online. Matthew Hill zyskał sporą renome, kiedy jakiś czas temu po-

mógł rozwiązać sprawę zaginionej dziewczyny. Ciekawi mnie, w jaki sposób według Toma może pomóc i mnie.

Ale teraz nie chodzi już tylko o mnie. Zamykam oczy i widzę penonie. Pojedynczy kwiat na moim samochodzie i okaleczony bukiet w pudełku. Muszę zapytać tego człowieka -- Matthew Hilla -- czy potrafi zapewnić bezpieczeństwo także mojej matce.



## ROZDZIAŁ 8

### On -- wtedy

-- Wszystko w porządku?

W jego śnie ktoś go budzi w jaskini. To na pewno babcia. Wyszła jakiś czas temu. Kiedy jednak unosi powieki, przekonuje się, że wcale nie znajduje się w jaskini. W pomieszczeniu jest zbyt jasno. Tak jasno, że aż go bolą oczy.

-- Nic się nie stało. Po prostu znowu zasnąłeś.

Głos okazuje się znajomy i chłopiec podnosi wzrok. To nie jaskinia, lecz klasa. Panna Henderley. Przysiadła na brzegu jednej z ławek. Wszyscy inni zdążyli już wyjść.

Nierozumiejącym wzrokiem chłopiec rozgląda się po pomieszczeniu. W oknie dostrzega trzy śmiejące się z niego twarze. Bruce, Luke i Helena. Panna Henderley odwraca się i macha ręką, dając dzieciom znak, by sobie poszły.

-- Nie zwracaj na nich uwagi.

-- To już koniec lekcji? Muszę iść na świetlicę? -- Prostuje się. Ma zdrętwiałe ręce w miejscach, gdzie opierała się na nich głowa. I dziwnie go ściska w żołądku. Jakby zbyt szybko zjadł posiłek. Nie potrafi określić, czy jest głodny. A może zbyt pełny. Albo czy boli go brzuch.

-- Nic się nie stało. Chcę jedynie z tobą porozmawiać, zanim pójdziesz się bawić.

-- Ja nie spałem. Udawałem tylko.

-- W porządku. Jak już mówiłam, nic się nie stało. Tyle że trochę się o ciebie martwię. To nie pierwsza taka sytuacja. Znaczący, zaśnięcie podczas lekcji. Czy dzieje się coś niedobrego? Coś w domu? Martwisz się czymś? Chcesz o tym ze mną porozmawiać? Tak sobie pomyślałam, że może powinniśmy uciąć sobie pogawędkę z twoją babcią, kiedy przyjdzie po ciebie.

-- Nie. Nie róbmy tego. Nic mi nie jest.

-- Sprawdziłam w dzienniku i to zawsze w czwartki jesteś taki zmęczony. W środę wieczorem uprawiasz może jakiś sport? Cho-

dzisz na pływalnię albo grasz w piłkę czy coś w tym rodzaju? A może oglądasz do późna telewizję?

-- Nie. Nic takiego. Nic mi nie jest. Mogę iść się teraz bawić?

-- A może chodzi o matematykę? Martwisz się tym przedmiotem? Wiem, że w czwartki mamy sporo matematyki, ale naprawdę dobrze ci idzie. I na matematyce, i na zajęciach z czytania. Absolutnie nie masz się czym martwić. Chcę, żebyś to wiedział.

-- Nie martwię się. -- To kłamstwo. Martwi się milionem różnych rzeczy.

Spuszcza wzrok i na swojej szkolnej bluzie dostrzega plamę po sosie. Teraz już pamięta, że na lunch jedli zapiekanekę pasterską. A więc jest popołudnie. Popołudniowa przerwa. Prawie koniec na dziś. Tak. Najpierw świetlica. Potem dom.

W tym samym momencie przypomina sobie także inne rzeczy. Walenie do drzwi wczoraj wieczorem. Ciemno. Późno.

"Jesteś tam? Jest tam kto? Wiem, że tam jesteś"...

Przypomina sobie, że kiedy zaczął się ten łomot, nagle zachciało mu się do toalety. Siedział na łóżku i się martwił, że może narobić w majtki. Na samą myśl o tym to uczucie wraca.

-- Muszę iść do ubikacji.

-- No to idź. Później się zobaczymy. Na świetlicy. -- Panna Henderley robi pauzę. -- Porozmawiam z twoją babcią. Powiem, jak świetnie radzisz sobie w szkole.

Reszta popołudnia niemiłosiernie się wlecze. Pobyt na świetlicy także. Normalnie chłopiec lubi te zajęcia, ale nie dzisiaj, bo dziś martwi się tym, co panna Henderley powie babci. Po dzwonku została w klasie, aby sprawdzać prace domowe, i powiedziała "do zobaczenia", przez co jeszcze bardziej mu doskwiera to dziwne uczucie w żołądku.

Zajęcia świetlicowe organizowane są w auli. Na ławkach i krzesłach stoją kartony z zabawkami, puzzlami i grami. Kiedy odpowiedzialna za te zajęcia Louise każe im się zbierać, chłopiec robi to wyjątkowo szybko, by wyjść, nim pojawi się panna Henderley. Na próżno.

Kiedy dociera do drzwi, ona już czeka na korytarzu.

Po kolejne dzieci zjawiają się rodzice, a Louise odhacza ich na swojej liście. Przez szybę w podwójnych, prowadzących na korytarz drzwiach chłopiec widzi, że panna Henderley rozmawia właśnie z babcią.

Kiedy Louise wywołuje jego imię, do drzwi podchodzi babcia i wyjaśnia, że muszą na chwilę pójść do klasy, aby porozmawiać z jego wychowawczynią.

O nie.

W klasie obie -- panna Henderley i babcia -- pytają go o to samo: dlaczego w czwartki jest taki zmęczony i czy coś go martwi.

Ponownie mówi, że nic go nie martwi -- i nie spuszcza przy tym wzroku z babci.

Jego babcia ma wiele różnych twarzy. Czasem udaje, że nie jest zmęczona. A czasem, że nie jest zła. W tej chwili też coś udaje, tyle że on nie wie co.

Kiedy wychodzą ze szkoły i ruszają w stronę domu, babcia bierze go za rękę, następnie targa mu włosy i mówi, że jest jej przykro. I każe mu się nie przejmować. Z jakiegoś powodu chłopcu chce się płakać.

-- Niczego jej nie powiedziałem.

-- Wiem, kochany chłopcze. Nie jestem zła. To nie twoja wina.

W domu robi mu gorącą czekoladę w jego ulubionym kubku -- tym z dużym zielonym smokiem.

-- Mam pomysł -- oświadcza babcia. -- Na następną środę. Możemy spróbować czegoś innego. Możesz iść ze mną, ale będzie to nasza nowa, wyjątkowa tajemnica. Coś w rodzaju zabawy w chowanego. Będę musiała znaleźć ci jakąś kryjówkę. Możesz to dla mnie zrobić? Być bardzo, ale to bardzo cicho. I chować się. Jak w zabawie.

Doskonała wiadomość. Najlepsza wiadomość w całym jego życiu.

-- To mogę iść z tobą? No i mamy nową tajemnicę? -- Nie do końca rozumie, o co w tym wszystkim chodzi, ale brzmi to o wiele, wiele lepiej niż stara tajemnica.

-- Tak. Nową tajemnicę. Nadal nie wolno ci nikomu o tym mówić, zwłaszcza w szkole. Możesz iść ze mną, lecz będziesz się musiał ukrywać. To co, spróbujemy?

-- Tak. -- Zarzuca jej ręce na szyję i całuje w policzek.

## ROZDZIAŁ 9

### Matthew

Opierając nogi na biurku, Matthew odchyła się na krześle. Ściąga brwi, bo dopada go jakieś dziwne uczucie. Mruży oczy, próbując je nazwać...

Ach, tak -- jest wypoczęty. Zupełnie zapomniał, jak to jest. Zapomniał, czym skutkuje porządne wyspanie się. Z uśmiechem wspomina szok, którego doznał dziś rano.

Obudziła go Sal. Potrząsała nim, a oczy miała rozbiegane i pełne niepokoju. Następnie chwyciła go za ramię, a drugą rękę uniosła, sygnalizując, że powinien posłuchać. Sądził, że chodzi jej o jakiś dziwny dźwięk. Czyżby ktoś włamał im się do domu?

Wyteżył słuch, szykując się już do sięgnięcia po broń. Ale nie -- nic...

Spojrzenie w bok potwierdziło coś jeszcze dziwniejszego niż cisza. Budzik pokazywał godzinę ósmą. To niemożliwe. Przez pięć, może sześć ostatnich miesięcy Amelie ustawiała własny budzik.

Na czwartą czterdzieści pięć.

Próbowali dosłownie wszystkiego. Czytali książki i niezliczone materiały w internecie. Obserwowali na Instagramie tego koleśka z mnóstwem córek, milionami fanów i mnóstwem rad. Nic nie działało.

"Może po prostu nie potrzebuje dużo snu -- dumiała mama Sal podczas ich ostatniego niedzielnego lunchu. Jak Margaret Thatcher. Ona nie potrzebowała dużo snu..."

Na to porównanie Matthew zrobiło się zimno.

Próbowali kłaść Amelie później. Wcześniej. Nie dopuszczali do drzemki w dzień. Dodawali jedną drzemkę. Eliminowali nabiął. Zwiększali ilość nabiąłu. Nic nie działało...

Aż do dziś; aż do tego cudownego poranka, kiedy ich bystra, fantastyczna i absolutnie wspaniała córka obudziła się nawet nie o ósmej... lecz o ósmej trzydzieści.

Stuka długopisem o biurko. Nuci pod nosem. Uśmiecha się.

W tym momencie dzwoni telefon.

Matthew bierze głęboki oddech, bojąc się, że to ta nowa para klientów chce odwołać spotkanie. Niestety często tak bywa -- ludzi oblatuje strach. Zerka na zegarek. Jego agencja dobrze sobie radzi, niemniej ten akurat miesiąc jest spokojny. Przydałoby mu się kilka nowych zleceń.

-- Wrócili. -- Głos w komórce brzmi znajomo. -- Myślałem, że zniknęli, panie Hill. Pamięta pan? Minęło już całkiem sporo czasu. Podczas naszej ostatniej rozmowy obaj sądziliśmy, że zniknęli na dobre. Okazuje się, że nie mieliśmy racji. Wrócili i jest ich nawet więcej. Musi mi pan pomóc.

-- Nadal malutcy? -- pyta Matthew i serce mu zamiera. Dzwoniący to niejaki Ian Ellis, który krótko po otwarciu agencji bombardował go telefonami. Ian jestem przekonany, że chcą go porwać miniaturowi ludzie. Przypominający liliputów. Dzwoni z tym do niego od lat.

-- Tak. Nadal wielkości kciuka. Ale tym razem mają inne ubrania. Myślę, że może mieć to związek z brexitem. Wyglądają europejsko. I są uzbrojeni. Mówiłem im, że głosowałem za pozostaniem w Unii, ale ich to nie rusza. Nie pozwalają mi przejść przez korytarz do łazienki. A przecież muszę korzystać z toalety. Nie chcę być niedelikatny, panie Hill, ale może dojść do wypadku.

Matthew przygryza wargę. W pewnym momencie Ian stał się potwornie namolny i dzwonił po kilka razy dziennie. Detektyw starał się być miły i próbował mu pomóc. Ian był człowiekiem żyjącym na marginesie społeczeństwa, który wystawiał na próbę cierpliwość lekarza rodzinnego, miejscowego szpitala i służb ratunkowych. W ramach przysługi dla dawnych kolegów z policji Matthew często starał się go "ułagodzić", aby ograniczyć jego telefony na numer alarmowy.

Zdarzały się okresy z całym mnóstwem telefonów. Po których następowała cisza. Aż w końcu telefony zupełnie ustały i Matthew w zasadzie zapomniał o Ianie, pewien, że jego problemy zostały rozwiązane.

-- No cóż, to dość niespodziewane po tak długim czasie, Ianie. Czy coś mogło to wywołać? Wydawało mi się, że podczas naszej

ostatniej rozmowy zgodziliśmy się co do tego, że zniknęli na dobre. Wydarzyło się ostatnimi czasy coś, co mogło ich przywołać?

Cisza. Matthew słyszy, jak jego rozmówca bierze głęboki wdech. Spodziewa się zwyczajowego opisu aktywności i strojów "małych ludzi", zamiast tego pojawia się inny dźwięk. Detektyw wytycza słuch i dociska telefon do ucha. Ku jego przerażeniu odkrywa, że brzmi to jak cichy płacz.

-- Wszystko w porządku? -- Matthew przyzwyczajony jest do tego, że Ian go irytuje. Przepęlnia smutkiem. Frustruje. Wkurza się, że społeczeństwo nie ma zasobów, aby radzić sobie z ludźmi takimi jak on. Teraz po raz pierwszy czuje się autentycznie wstrząśnięty. I dręczy go poczucie winy.

-- Nic się nie stało, panie Hill. Nic tego nie wywołało. Dlaczego musiał pan o to pytać? Wy, ludzie, zawsze to robicie. Nie macie żadnego prawa mnie o to pytać. -- A potem kolejna rzecz dzieje się po raz pierwszy. To Ian się rozłącza.

Matthew się prostuje. Dręczy go niepokój, spowodowany zarówno telefonem od Iana, jak i tym, jakie wywołał w nim uczucia. I wtedy domofon obwieszcza przybycie pary od "sprawy stalkera". Detektyw wciska guzik, zapraszając klientów na górę. Ostrzega także przed stromymi schodami.

Nim staje w drzwiach, czekając na klientów, postanawia złamać daną sobie obietnicę. Tak. Jeśli Ian znowu do niego zadzwoni, umówi się z nim na spotkanie.

-- Przepraszamy za spóźnienie. Problem z parkowaniem.

Tom, który zadzwonił do niego w supermarkecie, wyciąga rękę. Uścisk dłoni ma zdecydowany, ale na twarzy maluje się nerwowość. Trzyma opiekuńczo rękę na plecach swojej dziewczyny. To nic niezwykłego. Matthew gestem wskazuje, aby usiedli. Proponuje coś do picia.

-- W kuchni po sąsiedzku mam przyzwoity ekspres. Zaparzę nam kawę, a potem możemy spokojnie porozmawiać.

Matthew lubi przyglądać się klientom z sekretnego punktu obserwacyjnego, przez szparę w drzwiach. Pomaga mu to ocenić, z czym ma do czynienia. On i Sally mieszkają teraz w domu nad mo-

rzem, ale zatrzymał mieszkanie sąsiadujące z biurem, co okazuje się bardzo przydatne.

Patrzy, jak Tom ujmuje i ściska dłoń swojej dziewczyny. Ma wysportowaną sylwetkę i krótkie, ciemne włosy. Dopasowany T-shirt pod bardzo ładną niebieską marynarką. Płaski brzuch. Jakieś trzydzieści pięć lat? Jego dziewczyna wygląda na kilka lat młodszą -- jest jasnowłosa i szczupła, może nawet za bardzo, ma na sobie sukienkę w kwiaty i dzinsową kurteczkę. Tom uśmiecha się do niej krzepiąco, ona jednak jest bardzo blada i widać, że nie czuje się komfortowo. Matthew zastanawia się, czy to skutek stalkingu, czy też niechęć do udziału w tym spotkaniu.

Wróciwszy z tacą, na której stoją trzy kubki i dzbanuszek ze spienionym mlekiem, Matthew postanawia od razu przejść do sedna sprawy.

-- No dobrze. Alice, Tom przekazał mi przez telefon sporo szczegółów. Naprawdę mi przykro, że spotkało panią coś takiego. Nim jednak przejdziemy do omówienia ewentualnych działań, muszę się dowiedzieć, jak się pani czuje z tym, że tu przyjechała. Co pani sądzi o moim potencjalnym zaangażowaniu w tę sprawę?

-- Oboje uważamy, że policja robi za mało. Nie mają odpowiednich środków. -- Tom się nachyla. Jest poruszony. -- To dla nas obojga szok. Jak mało mogą zrobić.

-- Zgadza się z tym pani, Alice? -- Matthew solidaryzuje się z Tomem. Gdyby chodziło o Sally, zrobiłby dokładnie to samo, ale musi to usłyszeć od samej poszkodowanej.

Kobieta w końcu podnosi wzrok na swojego chłopaka, posyła mu blady uśmiech, po czym spogląda na detektywa.

-- Nie będę kłamać. To był pomysł Toma, nie mój. Bardzo się o mnie martwi. Liczy, że zdoła pan zrobić więcej niż policja.

-- A na czym stanęło z policją? Kto kieruje tą sprawą?

-- Teraz komisarz Melanie Sanders. Słyszałam, że jest bardzo dobra. To prawda? Z tego, co mi wiadomo, pracowaliście kiedyś razem.

Matthew mruży oczy. A więc Alice go sprawdziła. Robi powolny wdech, pamiętając, że przecież to dziennikarka.



-- Tak. Znam ją i to prawda. To znaczy, jest bardzo dobra. Szkoliliśmy się razem. I można powiedzieć, że niedawno pracowaliśmy wspólnie nad sprawą zaginięcia. Jest pani w dobrych rękach.

-- Ale nie chcą zapewnić ochrony. -- Tom ponownie się nachyla. - Nie dziwi to pana? Sądziłem, że w pierwszej kolejności zostanie zaproponowany jakiś rodzaj ochrony. Przecież ten człowiek jej grozi. Możliwe, że był w jej domu. Może nawet ją obserwuje.

Matthew stuka w klawiaturę. Otwiera notatki, które sporządził podczas rozmowy z Tomem, kiedy do niego oddzwonił po powrocie z supermarketu.

-- Czyli ekspertyzy sądowe nic nie przyniosły? Oświetlenie, dom, pudełko na ciasto?

-- Niestety nie -- odpowiada Alice. -- Najwyraźniej używa rękawiczek. Jest całkiem sprytny. A przynajmniej ma doświadczenie. Według policji to ktoś, kto czyta moje felietony. Kto możliwe, że żywi jakąś osobistą urazę.

-- I naprawdę nikt nie przychodzi pani do głowy? Były chłopak? Ktoś z opisywanej przez panią sprawy w sądzie? Nikt?

-- Nikt. Naprawdę.

Wyraz twarzy Alice ulega zmianie i Matthew bacznie się jej przygląda. Zauważa, że puszcza rękę Toma. Interesujące.

Tom wygląda na mocno zaniepokojonego, nerwowo drga mu stopa. Detektyw ponownie rzuca okiem na jego drogą marynarkę. Samiec alfa. Tak. Sądząc po wyglądzie, uprzywilejowany. Najpewniej przyzwyczajony jest do sprawowania kontroli nad swoim życiem. Nie podoba mu się obecne uczucie bezradności. Matthew sprawdził już konto Toma na LinkedIn i stronę jego kancelarii. Młody wilk. Prywatna szkoła, potem prawo w London School of Economics. Matthew się zjeża -- to jego naturalna reakcja na szkolnictwo prywatne. Upomina siebie w myślach; ocenianie Toma na podstawie jego edukacji jest nie fair. To zrozumiałe, że jego reakcja jest taka, a nie inna. Gdyby chodziło o Sally...

-- No więc zastanawiałem się, czy zgodziłby się pan na prowadzenie obserwacji -- mówi Tom. -- Pilnowanie Alice w środy. Wygląda na to, że ten człowiek wybiera ją za cel ataku właśnie w środę...

-- Pan Hill nie jest ochroniarzem, a ja nie jestem celebrytką, Tom -- mówi kobieta. -- Nie możemy oczekiwać, że będzie za mną chodził. Nie mogę iść przez życie, oczekując ochrony.

-- Nie zapewniam ochrony osobistej jako takiej -- wyjaśnia Matthew.

-- Tak, wiem. Czytałem na pańskiej stronie. -- Tom sprawia wrażenie jeszcze bardziej niespokojnego. -- Zastanawiałem się jednak, czy nie moglibyśmy do pracy nad tą sprawą wynająć pana na jeden dzień w tygodniu. I gdyby była to środa, mógłby pan mieć Alice na oku i jednocześnie przy odrobinie szczęścia gromadzić jakieś dowody, które pomogłyby w ujęciu tego człowieka. Położyły temu kres. -- Oczy Toma są wielkie, a spojrzenie błagalne.

Matthew widzi tę desperację na jego twarzy i dochodzi do wniosku, że jednak go lubi. Nie może zaprzeczyć, że regularne zlecenie bardzo by mu się przydało. Ale czymś takim generalnie się nie zajmuje. Za bardzo przypomina to ochronę. Nie chce ustanawiać w ten sposób precedensu.

-- A pani co o tym sądzi, Alice? -- Matthew stara się, aby ton jego głosu był neutralny.

-- Naprawdę nie wiem. To znaczy owszem, boję się. Przyznaję się do tego z ogromną niechęcią. Ale potwornie boję się także tego, co jeszcze robi ten człowiek. Poczulałabym się lepiej, gdyby ktoś przynajmniej aktywnie nad tym pracował. Nie mam pojęcia, dlaczego takie znaczenie ma dla niego środa. Ani czy to nie zbieg okoliczności.

-- Dla mnie wygląda to bardziej jak schemat niż zbieg okoliczności -- stwierdza Matthew, ponownie zerkając na notatki.

-- Tak, zgadzam się.

W oczach Alice widzi prawdziwy strach. Z jakiegoś powodu ponownie biegnie myślami ku swojej żonie. No i córce.

-- No dobrze, a co państwo na to, żebym popracował nad tą sprawą w najbliższą środę? Miałbym wszystko na oku od samego rana do czasu, kiedy poczuje się pani bezpieczna. Kiedy Tom może dołączyć do pani wieczorem? Mówiła pani, że mieszka obecnie w Dorset? -- Raz jeszcze zerka na widniejące na monitorze zapiski.

-- Tak. W domu mojej siostry. Ma świetne zabezpieczenia; czuję się tam względnie bezpieczna. Ale mam na środę umówiony wywiad i naprawdę nie chcę go odwoływać. Gdyby mógł tam pan ze mnąjechać albo mieć wszystko na oku, poczułabym się o wiele lepiej.

-- Sądziłem, że ma pani dwa tygodnie urlopu? -- Matthew sprawdza informacje, które uzyskał od Toma.

-- Tak. Na razie nie bywam w redakcji. Czekamy, aż to się uspokoi. Ale na ten wywiad umówiłam się już jakiś czas temu. Mam się spotkać z miejscową aktorką, która rzadko bywa osiągalna. To nie lada wyczyn, więc nie chcę oddawać tematu innemu dziennikarzowi. Kwestia zawodowej dumy.

-- Okej. Prześlę ustalenia mailem. A po środzie zobaczymy, na czym stoimy, i dokonamy przegrupowania. Tak? -- Matthew bierze głęboki oddech, bo teraz nastąpi ta trudna część. -- I znają państwo stawkę...

-- Proszę przesłać rachunek bezpośrednio do mnie. Pieniądze nie stanowią problemu. -- Tom siedzi wyprostowany.

-- Tom. Proszę cię. Chętnie sama się tym zajmę...

-- Bez dyskusji. Mój pomysł, więc to ja płacę. Proszę przesłać rachunek do mnie, panie Hill. Za tyle godzin, za ile pan uzna za stosowne. Tak?

Matthew kiwa głową, a Tom ponownie bierze Alice za rękę.

-- Myśli pan, że on tak na poważnie? -- Jego głos nagle staje się cichszy. -- Zakładam, że chce jedynie nastraszyć Alice. O to mu chodzi? Tak?

Kiedy Matthew się odzywa, starannie dobiera słowa.

-- Komisarz Melanie Sanders to jedna z najlepszych funkcjonariuszek, jakie znam. Zrobi wszystko, co w jej mocy, aby to powstrzymać. Ale nie będę państwa okłamywać. Policja ma ograniczone środki, a sprawy stalkingu bywają bardzo trudne. I oczywiście mocno stresujące dla ofiar. Mogę jedynie obiecać, że zrobię, co tylko zdołam, by wzmocnić działania policji.

Matthew nie wspomina, czego się dowiedział ze swojego researchu: że prawdziwa odpowiedź na pytanie Toma uzależniona jest od tego, jakiego rodzaju stalkera ma Alice.

Dobra wiadomość jest taka, że większość stalkerów to nie zabójcy.

Zła -- że wielu zabójców para się najpierw stalkingiem...

## ROZDZIAŁ 10

### Alice

Wtorek. Co rusz spoglądam na skrót "wt." podświetlony na telefonie. Do tej pory nieszczególnie zwracałam uwagę na dzień tygodnia, ale teraz nagle jest to coś, o czym myślę na okrągło. Im bliżej środy, tym mniej snu.

Kiedyś nie przejmowałam się dniem tygodnia jako takim; interesowało mnie tylko, czy wówczas pracuję, czy nie. W moim zawodzie nie ma wyraźnego podziału na dni robocze i weekend, ponieważ w weekendy pracujemy na zmianę. Zdarza się, że zamiast niedzieli mam wolny wtorek. Innym razem poniedziałek za pracę w sobotę. Każdy tydzień wygląda inaczej, więc w wiszącym w kuchni kalendarzu zaznaczałam po prostu dni wolne na zielono i uśmiechałam się nad poranną kawą, kiedy zbliżał się jeden z nich.

Dawniej mój tydzień kształtowały inne rzeczy. Zajęcia pilatesu w czwartkowe wieczory. Lekcje francuskiego we wtorki.

A teraz? Siedzę sama w kuchni mojej siostry w Dorset i zadaję sobie pytanie, czym tak naprawdę jest dla mnie wtorek. Odpowiedź jest bardzo prosta: dniem zbyt bliskim środy.

Nie potrafię się zrelaksować, bo cały czas się zastanawiam. Co, u licha, będzie następne? Co ten człowiek może zrobić jutro? Czy jestem bezpieczna? Czy moja matka jest bezpieczna? Czy wsparcie Matthew Hilla rzeczywiście rozwiąże problem? Zapewni nam wszystkim bezpieczeństwo? I czy w ogóle prawidłowo to odczytałam -- czy ten człowiek będzie mnie obierał za cel w każdą środę, czy też ten dzień to jedynie zbieg okoliczności?

Mój naczelny niezmiennie nalega, abym wykorzystała cały zaległy urlop. Powtarzam sobie, że to z jego strony życzliwe i rozsądne, w duchu zastanawiam się jednak, czy Ted po prostu nie chce usunąć problemu z redakcji. Nie pozwoli mi pisać o stalkingu, prześladowaniu czy jak tam decydujemy się to określić. Twierdzi, że powinniśmy sprawę traktować tak, jak dawniej fałszywe alarmy o podłożeniu

bomby. "Nie karmmy tego tlenem rozgłosu. Tego właśnie chcą, Alice. Ani słowa w gazecie. Żadnych felietonów. Nic".

Ted nadal mówi o "gazecie", jakby najważniejsza była jej fizyczna wersja -- a tak już oczywiście nie jest. Czytelnicy naszego tygodnika wymierają. Dosłownie.

Nasza "gazeta" jest jak wszystkie inne, każdy artykuł i zdjęcie umieszcza najpierw online, co stanowi bezowocną próbę opracowania nowej strategii dotyczącej publikacji reklam i pozyskiwania dochodów.

Prawda jest taka, że znajdujemy się na finansowej równi pochyłej. Tych niewielu czytelników, którzy nam pozostali, ma swoje lata. Jak już mówiłam... dosłownie wymierają. Reklamodawcy wykruszyli się z wydania papierowego, a nie znaleźliśmy jeszcze sposobu na to, aby zarabiała na nas reklamy online. Niesamowita konkurencja. To oznacza, że niedługo najpewniej zostaniemy bez pracy. Ci mądrzy przenieśli się już do komunikacji: PR-u i marketingu albo tajemniczo brzmiącej optymalizacji w sieci wyszukiwania.

Ja od zawsze pragnęłam pisać i nie mam pewności, czy potrafiłabym się przestawić na sprzedaż.

Sprawdzam godzinę. Dopiero dziesiąta. Za daleko mam z Dorset na wieczorne lekcje francuskiego, czekają mnie więc nuda i niepokój. Nie wyobrażam sobie odliczania godzin podczas siedzenia w tej twierdzy, dlatego udaję się na górę do swojego pokoju po torbę sportową. Na szczęście pomyślałam o tym, aby zabrać strój do pływania.

W pierwszej chwili nawet nie chcę myśleć o opuszczeniu tego domu. O oddaleniu się od zapewniającego bezpieczeństwo systemu kamer i alarmów. Leanne by się wściekła. Musiała wrócić do Londynu i swojej rodziny i chce, abym tu pozostała do czasu, aż to wszystko się skończy. A może powinnam po prostu obejrzeć kolejny film?

Obracam w myślach dostępne opcje. Rozglądam się po kuchni i moje spojrzenie zatrzymuje się na dużym telewizorze. Myślę o tych wszystkich cholernych filmach, które zdążyłam obejrzeć.

Mam ich dość. Tak samo jak tego zamknięcia. Uczucia porażki. Bycia kontrolowaną. Przez kilka minut trzymam w ręce kluczyki od

samochodu i w końcu podejmuję decyzję. Chwilę później nowoczesna brama automatycznie się otwiera. Życie mojej siostry w duchu smart.

Gdy pokonuję pierwsze wzniesienie, zastanawiam się, kiedy nastąpi kres tych pytań, które obecnie sprawują kontrolę nad moim życiem. Czy opuszczenie bezpiecznej kryjówki to szaleństwo? Być może. Najprawdopodobniej. Powinnam zawrócić i siedzieć w domu? Być może. Najprawdopodobniej.

Podkręcam radio nieco zbyt mocno i jadę nieco zbyt szybko. Gdy dojeżdżam do głównej drogi, wydaje mi się, że mam na ogonie czerwony sportowy samochód. Po pięciu minutach serce wali mi jak młotem. A potem na światłach samochód nagle zawraca, mnie zaś robi się głupio.

Do mojego klubu fitness w Devon mam za daleko, dlatego jedyna opcja to publiczny basen. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam na takim basenie, coś mi jednak świta, że dzieci Leanne mają tam lekcje pływania i że to miejsce jest okej. Bywanie w miejscu bez prywatnego członkostwa jest czymś zupełnie nie w stylu mojej siostry, a to oznacza, że ten basen naprawdę musi być w porządku.

Dzięki nawigacji odnajduję go bez problemu. Duży parking. A ja zaczynam czuć, że przebywanie na terenie takiego obiektu to dobry pomysł -- będzie mnie tu otaczać wiele osób. Nikt nie obierze mnie za cel w tłumie, no nie? Szybko się przebieram; zaskakuje mnie długi rząd gustownych kabin. Wspólna przestrzeń również nieźle się prezentuje. Mnóstwo tu szafek i miejsca. Woda okazuje się cieplejsza, niż się spodziewam, i nie mija wiele czasu, a poddaję się rytmowi, który zawsze pomaga mi się zrelaksować.

Ruch, ruch i oddech... Ruch, ruch i oddech.

Bardzo szybko pokonuję jedną długość na torze dla "poważnych" pływaków, oddzielonym od reszty basenu pomarańczowym sznurem z małymi niebieskimi bojkami. Podczas drugiej długości nieco zwalniam i pozwalam myślom meandrować.

Z jakiegoś powodu oczami wyobraźni widzę Jacka, próbującego ugłaskać tę kobietę od rozwodu w czasie, kiedy odebrałam tamten pierwszy telefon. "Załatwię cię żyłką do sera". Pamiętam jego opano-

wanie. W jego oczach widziałam niepokój, jego zachowanie było jednak wyważone i rozsądne -- dzięki temu poczułam się trochę mniej głupio.

Nie po raz pierwszy żałuję całą sobą, że przekroczyłam granicę z Jackiem. Zrobiłam z siebie pośmiewisko. Kiedy to było? Siedem, może osiem miesięcy temu? Krótco przed tym, jak poznałam Toma.

Bóg jeden wie, co ja sobie wtedy myślałam. Ten biedak dopiero co stracił żonę -- przegrała walkę z rakiem jajnika. Od niespełna roku był wdowcem, a ja praktycznie próbowałam się z nim umówić. ("Może być włoska kuchnia, jeśli chcesz, Jack. No wiesz, chociaż w jeden wieczór nie musielibyśmy gotować. Co o tym myślisz?")

Możliwe, że zgodził się tylko z grzeczności. Kto wie. W pracy świetnie się dogadywaliśmy i było mi go naprawdę żal. Że tak stracił żonę. Ale nie będę ukrywać (ruch, ruch i oddech) -- naprawdę mi się podobał, więc moje zachowanie było także nieco egoistyczne. Powinam się wstydzić.

Wieczór okazał się katastrofą. Zamówiliśmy gin i oliwki. Przekonałam się, że poza redakcją potwornie się denerwuję w jego towarzystwie. W ogóle tego nie przemyślałam, no i zbyt dużo mówiłam. Zadawałam zbyt wiele pytań. Za dużo i za szybko piłam. Kiedy na stole pojawiły się główne dania, Jack był blady, a ja lekko wstawiona. A potem -- o zgrozo! -- zaczęłam na dobre flirtować. Choć zawinił alkohol i w głębi duszy wiedziałam, że to fatalny pomysł, nie potrafiłam się powstrzymać. W pewnym momencie wyciągnęłam rękę nad stołem i dotknęłam jego dłoni. Biedny Jack. Na jego twarzy odmalowała się konsternacja, którą chwilę później zastąpiło zażenowanie. Napiałam się więcej wina. Po raz drugi dotknęłam jego ręki, a on cofnął ją tak, jakby się oparzył. Byłam o wiele bardziej pijana, niż zdawałam sobie sprawę. Jack nagle zaczął coś mamrotać o sprzecznych przekazach i niefortunnym nieporozumieniu.

"Tak mi przykro, Alice. Ale niepotrzebnie się zgodziłem. Nie mogę. To się wydaje... sam nie wiem. Niewłaściwe. Najlepiej chyba już sobie pójdę".

Nie dokończył nawet posiłku. Uregulował rachunek. Zamówił mi taksówkę, po czym zniknął.



Dość długo przebywanie w redakcji było koszmarem. Ja się rumieniłam. On się rumienił. Kiedy więc kilka tygodni później na scenie nagle pojawił się Tom, zaczęłam się z nim spotykać z niemal absurdalnym entuzjazmem.

W końcu kupiłam Jackowi kawę i otwarcie go przeprosiłam.

"Przepraszam cię. Za tamten wieczór we włoskiej restauracji. Naprawdę nie chciałam, abyś uznał, że to randka czy cokolwiek z tych rzeczy. Boże, nie. Nie chciałam... Wiesz, ja mam chłopaka. Toma. Jest prawnikiem. Niedawno się poznaliśmy. Umówimy się niedługo na jakiegoś drinka i was sobie przedstawię".

"Super, Alice. Przepraszam, że w restauracji zachowywałam się trochę dziwnie..."

"Nie przepraszaj. Wina leży wyłącznie po mojej stronie. Zdecydowanie za dużo wypiłam. W każdym razie chciałam przeprosić, tak by wszystko znowu było między nami okej. Żebyśmy znowu się kumplowali. No i musisz poznać Toma. Polubisz go".

Daję nura pod sznurem z niebieskimi bojkami i podpływam do brzegu basenu. Zdejmuję barwione okulary i przytrzymuję się ręką krawędzi, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do jaskrawego światła. Prześlizguję się spojrzeniem po twarzach obecnych tu osób. Widzę mężczyznę z dwójką małych dzieci i od razu się zastanawiam, dlaczego nie są teraz w pracy i szkole.

Siedzący na podwyższeniu ratownik także przeczesuje wzrokiem basen. Wygląda na potwornie znudzonego i przechodzi mi przez myśl, że pewnie niemal lubi, kiedy dzieje się coś dramatycznego, bo wtedy przynajmniej czuje się przydatny. Nie. To okrutne.

Zastanawiam się, co Matthew Hill rzeczywiście myśli na temat swojej pracy. O byciu moim cieniem w środę. Ma nadzieję, że nic się nie wydarzy? Czy też w duchu liczy, że się okaże użyteczny?

Praca dziennikarza oznacza, że wykonujemy rutynowe "telefony sprawdzające" na policję i straż -- rano, w południe i wieczorem. Mamy nadzieję, że nikomu nic się nie stało; nikomu nie życzymy niczego złego.

A mimo to w głębi duszy pragniemy się znaleźć w posiadaniu porządnego materiału.

## ROZDZIAŁ 11

### Matthew

Matthew Hill widzi, jak kobieta z wózkiem próbuje pokonać niewysoki stopień prowadzący do kawiarni. Powinien jej pomóc albo przynajmniej przytrzymać drzwi? Przez chwilę się jej przygląda, ale rezygnuje. Jakiś mężczyzna zajmujący stolik bliżej wejścia przytrzymuje drzwi i wszystko kończy się dobrze. Lepiej niż dobrze, bo dziecko -- ze smoczkiem w buzi -- nadal śpi.

Jest wtorek, a jego jutrzejsze zlecenie to nadzór nad Alice. Coś go w tej sprawie mocno niepokoi i na gwałt potrzebna mu jakaś wskazówka. Zerka na zegarek, ponownie podnosi wzrok na piramidki z saszetek z cukrem i sprawdza stabilność stołu. Pomocne się okazało umieszczenie serwetki pod jedną z nóg. Ułożył już cztery piramidki na drugim poziomie i zaczyna sądzić, że może uda mu się dzisiaj dotrzeć do trzeciego. Super, że ta kawiarnia nie przerzuciła się na te cienkie, podłużne saszetki. Matthew delikatnie ujmuje dwa nowe kwadraciki z papieru, potrząsa nimi i się nachyla.

-- Widzę, że w ogóle się nie zmieniasz. -- W głosie Melanie Sanders słychać uśmiech. Najwyraźniej weszła do lokalu za matką z wózkiem, a on jej nie dostrzegł. Gwałtownie się odwraca... i piramidki się rozsypują.

-- Mel! -- Z miejsca żałuje swojego zaszokowanego tonu, ale jej widok mocno go zaskoczył.

-- Tak, wiem. Jestem wielka. Wieloryb. A i tak jeszcze miesiąc muszę chodzić do pracy. Nawet nie udawaj, że nie jesteś przerażony.

-- Nie jestem. Ale serio, to na pewno nie bliźniaki? -- Całuje ją w oba policzki i opuszcza wzrok na ogromny brzuch.

-- Gdybym dostawała funta za każdym razem, kiedy ktoś...

-- Sorki. Ale naprawdę? Nie masz w rodzinie bliźniąt?

-- Poszłam na dodatkowe USG, żeby się upewnić. To po prostu bardzo duże dziecko. Ale możliwe, że coś się naturze pomyliło. Może urodzę słonia.

Matthew z uśmiechem wstaje i wskazuje na witrynę ze słodkościami.

-- Kawa? Ciasto?

-- Jedno i drugie. Jeśli jest, to ciasto marchewkowe. Żrę za dwoje. Za Anglię. Może dlatego ten maluch jest taki wielki.

Wróciwszy do stolika z kawą i ciastem dla Mel, Matthew postanawia chwilę odczekać. Zdarzało im się już nieoficjalnie współpracować -- i osiągnęli na tym polu sukcesy -- ale takie spotkanie jest dla niej mimo wszystko ryzykowne. Ma zdradzić informacje dotyczące prowadzonej właśnie sprawy. On to wie. Ona także.

Melanie zanurza palec w piance cappuccino, po czym zlizuje z niego mleko i czekoladową posypkę i wzdycha.

-- Okej. To powiedz mi jeszcze raz: jak to się stało, że pracujesz nad sprawą stalkera Alice Henderson?

-- Wynajął mnie jej chłopak. Pewnie wiesz, że według niego policja robi za mało.

-- Och, tak. Bardzo dobitnie wyraził swoje niezadowolenie. A ty co o nim sądzisz? O tym Tomie? Oczywiście sprawdziliśmy go. Nie jest notowany, do tego ma żelazne alibi. Ale czy powinien pozostać na mojej liście? Jest irytujący, ale raczej czysty.

-- Też tak uważam. Trochę rozpieszczony. Do tego w czepku urodzony, ten typ. Odnoszę wrażenie, że jemu bardziej zależy na niej niż na odwrót, ale wydaje się autentycznie zaniepokojony, a mnie w sposób oczywisty cieszy jego wsparcie. Próbowałam obojgu wytłumaczyć, jakimi środkami dysponuje policja.

-- Cóż, oboje wiemy, że nie jesteśmy w stanie zrobić tyle, ile byśmy chcieli. Przydzielono mi tę sprawę tylko dlatego, że komendant zna naczelnego tej gazety, a ja szykuję się powoli na macierzyński. Chyba uważają, że mogę działać głównie zza biurka.

-- A co mówi ci intuicja, Mel?

-- Jak już mówiłam, Tom jest czysty. Sprawdziliśmy go na wszystkie strony i nie znaleźliśmy absolutnie niczego. Młody wilk. Popularny. Czysty jak łza. A za każdym razem, kiedy stalker przypuszczał atak na Alice, on był w sądzie.

-- To czemu się przyglądacie? Tej żyłce do sera? Alice mi mówiła, że ją o to wypytywałeś. Cokolwiek dziwaczna groźba.

-- Sprawdziliśmy personel w jej delikatesach i supermarkecie. Czysto. Szczerze? Według mnie to były chłopak albo ktoś, kogo zdenrowowała jednym ze swoich artykułów. Ale to drugie jest jak szukanie igły w stogu siana. Nie uwierzyłbyś, jak dużo piszą dziennikarze. Nie miałam pojęcia, że są aż tak płodni. Alice zdarza się pisać dość osobiste felietony, które możliwe, że dotknęły jakiegoś czubka. No a co jest twoim zadaniem, Matt?

-- Mieć ją na oku w każdą środę i sprawdzić, czy ten dzień rzeczywiście jest znaczący.

-- Czyli ochrona? -- Mel unosi brwi. -- Trochę jak Kevin Costner, co? Nie sądziłam, że to w twoim stylu.

Mężczyzna oblewa się rumieńcem i dopija kawę.

-- W normalnych okolicznościach nie przyjąłbym tego zlecenia, ale ona, ta Alice, sprawia wrażenie sympatycznej. A tego rodzaju sprawy są takie frustrujące. Oboje wiemy, że bez zapewnienia jej ochrony niewiele da się zrobić. Zastrzegłem, że nie będę ochroniarzem jako takim, ale chętnie pobawię się raz w tygodniu w całodobowy nadzór.

Melanie wzdycha.

-- Okej. Coś ci powiem, ale niech to zostanie między nami. Bardzo się cieszę, że ty też nad tym pracujesz. Oboje wiemy, że o ile nie dojdzie do eskalacji, nie mam co liczyć na wsparcie w ludziach. Technicy niczego jak na razie nie znaleźli, sprawca ewidentnie zna się na swojej robocie. Prawdę mówiąc trochę martwię się matką. Tym, czy rzeczywiście także ona nie stanowi celu i czy czegoś nie przeoczyliśmy. A może ten człowiek wspomniał o niej tylko po to, by jeszcze bardziej wystraszyć Alice? Sprawdzamy też kwestie finansowe. Kto by zyskał, gdyby matce stała się krzywda.

-- Jak wygląda ochrona w tym domu opieki?

-- Całkiem dobrze. Mają kamery i porządne zabezpieczenie drzwi. Raz dziennie wysyłam tam umundurowanych funkcjonariuszy, aby nie przestawać wywierać na nich presji. Ale ich procedury pozostają

bez zarzutu. -- Robi pauzę. -- Może warto, abyś też tam zajrzał? Sprawdził, czy cię wpuszczą do środka. Jeśli masz czas.

-- Dobry pomysł. Tak właśnie zrobię. -- Matthew głośno wypuszcza powietrze i spogląda Mel w oczy. -- Myślisz o sprawie Rachel Allen?

Policjantka przytakuje.

-- Ja też.

Kiedy studiowali razem w akademii policyjnej, przydzielono ich do sprawy stalkingu w Devon. Dwudziestokilkuletnią kelnerkę przesładował barman, który się w niej zadurzył. Wydzwaniał do niej i wysyłał mnóstwo esemesów, a także kwiaty, czekoladki i misie. Nie pojawiły się groźby jako takie, a barman nie był notowany. Matthew i Mel musieli zdać na zajęciach relację z postępów sprawy. Jeden z kolegów otrzymał reprimendę, kiedy rzucił żart: "Szkoda, że mnie nikt nie przysłał kwiatów i czekoladek".

Zespół dochodzeniowy żywił przekonanie, że barman jest nieszkodliwy i że zadurzenie w końcu minie. Matthew pamięta, jak starzy wyjadacze sygnalizowali, że najpewniej tracą tylko czas...

Aż Rachel Allen znaleziono uduszoną pod prysznicem. Matthew nigdy nie zapomni tamtych zdjęć.

Barman dostał się do mieszkania przez okno i stracił nad sobą panowanie, kiedy dziewczyna zaczęła wołać o pomoc. Udusił ją paskiem od szlafroka. Podczas przesłuchania utrzymywał, że są sobie przeznaczeni -- "ale Rachel ciągle z tym walczyła".

-- Okej, Matt. -- Twarz Melanie spochmurniała i Matthew się zastanawia, czy ona także pamięta tamte potworne zdjęcia. -- W idealnym świecie znajdujemy tego faceta w czasie, kiedy jeszcze się jakoś toczę. Zapewniamy Alice bezpieczeństwo i gromadzimy wystarczającą liczbę dowodów, aby wszcząć postępowanie. Ja punktuję u szefa i spokojnie mogę przejść na macierzyński i raczyć się ciastem marchewkowym. Co oznacza, że będę wdzięczna za każdą twoją pomoc.

-- Będziemy w kontakcie, Mel. Jeśli tylko się czegoś dowiem, od razu dam ci znać. Zobaczymy, co się wydarzy w najbliższą środę, i wtedy znowu porozmawiamy.

-- Dziękuję. A mogę zapytać, jak twojej Sally udało się mieć taki mały, zgrabny brzuszek? Z tego, co pamiętam, to na tym etapie ledwo co było po niej widać. -- Przybita Mel wbija wzrok w naciągniętą do granic możliwości koszulkę na brzuchu.

-- Nie mam zielonego pojęcia. Ale jeśli ma cię to pocieszyć, to wiedz, że ten mały, zgrabny brzuszek, którym była Amelie, nagle się zamienił w dziecko iście szatańskie. Nie mów nikomu, ale na poniedziałek umówiłem egzorcystę.

## ROZDZIAŁ 12

### On -- wtedy

Babcia dużo opowiada o "pracy", tyle że on nic z tego nie rozumie. Dla niego pracą jest uczenie w szkole. Bycie kierowcą autobusu, astronautą albo superbohaterem. Nie pojmuje, jak parzenie herbaty i robienie kanapek może być pracą.

To właśnie babcia mówi, że robi w środowe noce. Robi to także w poniedziałek, wtorek i piątek, ale środa wygląda inaczej. Babcia nazywa to nocną zmianą. "Do mnie należy pilnowanie, aby wszystkim było komfortowo. Czasem ktoś nie może zasnąć, robię więc herbatę i kanapki. Pomagam pójść do łazienki. Tego typu rzeczy".

Zapytał babcie, dlaczego nie mogłaby zostać w domu i to jemu robić herbatę i kanapki i nazywać to pracą, na co usłyszał: "Życie tak nie działa. Dla ciebie robię różne rzeczy dlatego, że jesteś moim małym żołnierzem. Nie otrzymuję za to pieniędzy, skarbie. Robię to wszystko dlatego, że cię kocham. Praca jest wtedy, kiedy dostaje się za nią pieniądze. Ja tymi, które dostaję, opłacam rachunki -- za mieszkanie, jedzenie i twój klubik piłkarski".

Wiele razy mówił babci, że jej zapłaci, jeśli zostanie w domu w środowe noce. Mogliby pójść do tej skrzynki w ścianie, która daje pieniądze. Mógłby zapłacić jej dużo więcej, niż dostaje w tej głupiej pracy. Ale ona mówiła, że tak to nie działa. I że w tej skrzynce w ścianie jest za mało pieniędzy.

Chłopiec bardzo kocha swoją babcie, ale ma dość, kiedy dorośli ciągle powtarzają to samo: "Życie tak nie działa".

Maca kieszeń i wyczuwa w niej cukierka, którego dostał na przerwie od George'a. Dobrze. Siedzi na łóżku w swoim pokoju razem z małym plecakiem, gotowy na ich nową tajemnicę. Babcia każe mu obiecać, że będzie się zachowywał cichutko jak myszka. I że będzie odważny. Zagrają w pewną grę -- podobną do zabawy w chowanego, tyle że on będzie się musiał schować na kilka godzin, zwinąć w kulkę i zasnąć. Tak więc ma w plecaku dwa kartoniki soku, paczkę ciastek i latarkę. I cukierka, którego George kazał mu schować, tak by nie

napytali sobie w szkole biedy. Chłopiec patrzy na plecak i martwi się, że babcia kazała mu zapakować latarkę. Nie znosi ciemności, ale babcia powiedziała, że ta latarka to "tylko na wszelki wypadek".

-- Gotowy, mój mały żołnierzu? -- Głos babci zza drzwi brzmi nieco dziwnie. A kiedy chłopiec wychodzi do małej kuchni połączonej z salonem, jej oczy wyglądają tak jak wtedy, kiedy słowa nie pasują do uczuć. Jak kłamstwo, ale nie takie paskudne jak u włamywacza czy mordercy. Po prostu kłamstwo, którego celem jest uniknięcie kłopotów, tak jak wtedy, kiedy powiedział pani w szkole, że w domu jest wszystko w porządku. Patrzy na babcię i postanawia nie mówić na razie nic więcej o ciemności i latarce. Zapyta o to, kiedy już będą na miejscu.

Schodzą na dół, trzymając się za ręce. Nie znosi schodów, bo czuć na nich ubikacjami, no i trzeba uważać, jak się idzie. A potem strasznie długo idą chodnikiem na przystanek autobusowy. Wracą to dziwne uczucie w jego żołądku. Kiedy babcia wychodzi w środę wieczorem do pracy, zawsze mówi, że będzie blisko. Kiedyś w środy chodził spać do mieszkania pani, która miała na imię Jan, ale Jan się wyprowadziła, więc nie może już tam chodzić. A babcia nie znalazła nikogo innego i dlatego mają swoją tajemnicę. Babcia mówi, że narobiłby strasznych kłopotów, gdyby komukolwiek powiedział, że nie może znaleźć innej opiekunki. Wtedy przyszliby ludzie i go zabrali.

Przez wiele tygodni babcia powtarzała, że musi być odważny; i że gdy była małą dziewczynką na rodzinnej farmie, często musiała zostawać sama, kiedy jej tata nocą opiekował się owcami. Coś takiego jest najzupełniej bezpieczne, dlatego musi iść spać do swojego pokoju jak grzeczny chłopiec i nie wolno mu otwierać drzwi ani nigdy, ale to nigdy nie zdradzić nikomu ich tajemnicy -- a ona wróci w trymiga. Zanim chłopiec się obudzi. Ale teraz on widzi, że to nieprawda z tym, że babcia pracuje niedaleko. To całe kilometry od domu...

Zastanawia się, czy gdyby puścił się biegiem, to znalazłby w ciemnościach drogę powrotną, tyle że zdążył już pozapominać zakręty. Było ich za dużo.

Autobus okazuje się dwupiętrowy i babcia się zgadza, by usiedli na górze. Jest zimno i śmierdzi trochę tak jak na schodach i w ubi-



kacji w szkole, ale babcia go obejmuje i bawią się w szpiegowanie. On wygrywa.

Kiedy wysiadają z autobusu, muszą jeszcze długo iść, w końcu jednak docierają do miejsca, gdzie pracuje babcia. Nazywa się ono Dom Opieki Stokrotka, ale chłopiec nigdzie nie widzi stokrotek czy choćby trawy. Wygląda trochę jak szkoła, tyle że bez placu zabaw. Czy to znaczy, że mieszkający tu ludzie w ogóle się nie bawią?

Wchodzą tylnym wejściem, tak by nikt nie widział. Babcia ma specjalną kartę, którą skanuje, i wtedy otwierają się drzwi. Nosi ją na wstążce na szyi. Przykłada palec do ust, dając chłopcu do zrozumienia, że muszą być cicho, i prowadzi go korytarzem do małego pomieszczenia.

W tym pomieszczeniu nie ma okna, jest za to mnóstwo półek z różnego rodzaju rzeczami. Kocami, poduszkami i kartonami.

Babcia rozkłada w kącie kilka poduszek i koców, robiąc prowizoryczne posłanie. Mówi, że to tutaj będzie spał i że musi się zachowywać bardzo cicho i być bardzo grzeczny.

Nie podoba mu się to małe pomieszczenie. Ani trochę; jest jeszcze mniejsze niż jego pokój, no i to naprawdę okropne, że nie ma w nim okna.

-- Mogę ci pomóc robić herbatę i kanapki? Będę bardzo grzeczny.

-- Nie, skarbie. Tak naprawdę nie wolno ci tutaj być, kiedy pracuję, ale musisz więcej spać, aby nie być zmęczonym w szkole. To musi być nasza tajemnica, więc teraz pójdziesz spać, a ja będę do ciebie zaglądać, kiedy tylko będę mogła.

-- A jeśli zachce mi się do ubikacji?

-- Chce ci się teraz?

-- Nie. Chyba nie. -- Nieruchomieje i przez chwilę skupia się mocno na tym, czy chce mu się siusiu. Kręci głową. -- Nie chce.

-- Dobrze. Niedługo tu przyjdę i znowu cię o to zapytam. Co ty na to?

-- Możesz zostawić zapalone światło?

-- Tak, oczywiście. A gdyby pojawił się jakiś problem, masz przecież latarkę.

-- Jaki problem?

-- Tak tylko powiedziałam. Spróbuj teraz zasnąć, żebyś w szkole nie był zmęczony. Muszę iść i pracować. Bądź grzecznym chłopcem dla babci. Dobrze?

Po jej wyjściu rozgląda się i w lewym uchu słyszy swoje serce. Kiedyś się martwił, że serce przeniosło mu się do głowy i że ona wybuchnie, ale babcia mówi, że tak się dzieje, kiedy jest zbyt cicho, i że ma się tym nie przejmować. To normalne. Chłopiec spogląda na poukładane na półkach ręczniki i je liczy, a potem próbuje liczyć owce.

Nic to nie daje. Niby jest zmęczony, ale w zasadzie to nie jest. Wyjmuje z kieszeni cukierka i wkłada go do buzi. Jest różowy, lecz wcale nie smakuje truskawkami, jak się spodziewał -- smakuje trochę jak lekarstwo na kaszel. W pierwszej chwili jest tylko trochę dziwnie, potem jednak robi mu się w buzi coraz goręcej, aż w końcu chłopiec ma wrażenie, że usta mu płoną i że zaraz się udusi. Kaszłąc i plując, siada i wtedy do niego dociera, że to cukierek-psikus. Paru chłopców rozmawiało o nim w zeszłym tygodniu. George zrobił mu psikusa. Chłopiec jest wściekły i wypluwa cukierek na koc, ale już za późno. W ustach czuje pieczenie. Są gorące jak wulkan.

Stara się być cicho, niestety mu nie wychodzi. Gdy kaszle i rzezi, drzwi się otwierają. Jest przerażony, że babcia będzie na niego zła, ale jest jeszcze gorzej.

To nie babcia. To bardzo gruby mężczyzna z czerwoną twarzą, ubrany w jakiś uniform. Robi krok w prawo, żeby dobrze przyjrzeć się chłopcu.

-- Co tu się, do cholery, wyprawia?

## ROZDZIAŁ 13

### Alice

Wyglądam przez okno i widzę, że pod domem nadal zaparkowany jest samochód Matthew Hilla. Środa. Macham do niego, a on w odpowiedzi miga światłami. Wysłał mi wiadomość o szóstej rano, kiedy tu przyjechał, a ja zaproponowałam kawę, odpisał jednak, że ma ze sobą termos i zaczeka na podjeździe do czasu, aż będę go potrzebowała.

Puszczam zasłonę i siadam na łóżku w pokoju gościnnym Leanne. Czuję się wykończona. Nie mogłam zasnąć. Pamiętam zielone cyfry na wyświetlaczu budzika przebijające się przez ciemność: 3:00, 4:00, 5:00. Zerkam na zegarek -- jest ósma. Mnóstwo czasu, aby wziąć prysznic i spróbować się dobudzić, następnie raz jeszcze przejrzeć notatki i jechać na umówiony wywiad.

Pod strumieniem gorącej wody ze wszystkich sił staram się nie myśleć o czekającym mnie dniu. O tamtym człowieku. Zamiast tego myślę o Melindzie Belstroy i zastanawiam się, jaka się okaże na żywo. Nigdy nie wiadomo. Tyle już razy się pomyliłam -- spodziewałam się spotkania z gwiazdą, jednak gwiazda okazywała się potwornie nudna. Innymi razy przekonywałam się zaskoczona, że śmieję się i miło spędzam czas w towarzystwie kogoś, kogo poglądy polityczne przyprawiają mnie o dreszcze.

Melinda Belstroy stoi na czele nowej kampanii na rzecz fundacji starającej się o wsparcie i tolerancję w miejscu pracy dla osób z zaburzeniami afektywnymi dwubiegunowymi. Niedawno ujawniła, że sama na nie cierpi, a mnie udało się z nią umówić na wywiad. Ludzie pokroju Melindy na ogół rozmawiają wyłącznie z prasą ogólnokrajową. My, na prowincji, mamy szczęście, jeśli uda nam się namówić taką osobę na krótki telefon. Ale Melinda miała okazję przeczytać mój artykuł poświęcony świadomości dotyczącej zdrowia psychicznego w szkołach. Udostępniła go w sieci i od tamtego czasu sporo konwersowałyśmy ze sobą na Twitterze. Tak więc kiedy się ubiegałam o ten wywiad, dopisało mi szczęście. Nie ma takiej opcji,

żebym oddała go komuś innemu tylko dlatego, że zdaniem naczelnego potrzebna mi przerwa.

Sucha i ubrana przeglądam w iPadzie swoje notatki i pytania. Wczoraj wieczorem znowu oglądałam tamten dokument Stephena Frya. Ten, w którym się zastanawia, czy wcisnąłby guzik uwalniający go od choroby. Zapytam o to Melinę pod koniec wywiadu. Tak. Lekki banał, ale sądzę, że okaże się fajnym zakończeniem.

Przed wyjściem zgodnie z instrukcją Leanne sprawdzam mechanizm zawiadujący alarmami i kamerami, aby się upewnić, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Kiedy wychodzę przed dom Matthew opuszcza szybę i mówi, że mnie zawiezie, ja jednak kręcę głową. Protestuje, ale jestem nieugięta. Zgodziłam się, by przez cały dzień był moim cieniem, nie chcę jednak być zmuszona wprowadzać Melindy w sytuację. Wolę, aby Matthew był dyskretny. Zapewniam go, że cały czas będę sprawdzać, czy za mną jedzie, i w końcu się poddaje.

Ruch okazuje się niezbyt duży. Denerwuję się -- bądź co bądź to piąta środa. Żarówka, kwiat na samochodzie, telefon, a potem pudełko. Czy dzisiaj też coś się wydarzy?

Przygryzam dolną wargę i zerkam w lusterko wsteczne. Matthew dyskretnie jedzie za mną. Jest byłym policjantem i cieszy się doskonałą reputacją. Z pewnością często prowadzi obserwacje. Mówię sobie: będzie dobrze, Alice.

Z Meliną spotykam się w domu wakacyjnym jej agenta niedaleko Salcombe i kiedy nawigacja kieruje mnie na prywatny podjazd, prawie przecieram oczy ze zdumienia. Dom jest trzypoziomowy i ma wielkie balkony, z których można podziwiać fantastyczny widok na niewielką zatokę. Podobnie jak w domu Leanne jest tu prywatna brama, która otwiera się, gdy zwracając się do małego głośnika, podaję swoje imię i nazwisko. Mówię, że Matthew w samochodzie za mną także jest z gazety i że będzie mi towarzyszył podczas wywiadu, jeśli można. Nie słyszę protestu.

Melinda ubrana jest w dzinsy i białą koszulę. Nie ma makijażu. Według mnie lepiej prezentuje się właśnie tak, a kiedy przecho-

dzimy do wielkiej biblioteki z widokiem na zatokę, staram się zachować spokój, jakbym regularnie bywała w tego typu posiadłościach.

Melindzie towarzyszy jej pracownica od PR, więc wiem, że nasz czas jest ograniczony. Rozmawia nam się bezproblemowo i ku mojej uldze Melinda pozwala, bym nagrywała iPadem nasz wywiad. Okazuje się bardziej otwarta i rozluźniona, niż się spodziewałam, i wywiad idzie nam dobrze. Historie z dzieciństwa, kiedy po raz pierwszy się zorientowała, że jest "inna". Wyparcie w okresie dojrzewania, kiedy sądziła, że jest po prostu nerwowa i przewrażliwiona. A potem diagnoza w wieku dwudziestu kilku lat, leki i terapia, które utrzymywała w tajemnicy, bojąc się, że to zniszczy jej karierę -- aż do teraz. Ma trzydzieści osiem lat i jak mówi, obecnie mniej się przejmuję tym, co myślą o niej ludzie, i pragnie zachęcić innych do większej otwartości.

Po kolejnych dziesięciu minutach widzę, że kobieta od PR wierci się na swoim miejscu, więc zadaję ostatnie pytanie. Czy użyłaby przycisku? Uwolniłaby się od choroby dwubiegunowej, gdyby mogła? Przypominam jej, że część osób z dokumentu Stephena Frya twierdziło, że te zaburzenia napędzają ich kreatywność i są po prostu częścią nich. Nauczyli się je akceptować.

Obserwuję uważnie, jak Melinda odwraca się i spogląda przez okno na morze. Zaskakuje mnie fakt, że do jej oczu napływają łzy. Mam wyrzuty sumienia. Ale czuję także ekscytację i upewniam się, że wszystko nadal się nagrywa. Już sobie wyobrażam, jak wplotę to w artykuł. Może użyję tego we wstępie...

-- Będę musiała to przemyśleć, Alice. Mogę później do ciebie napisać? -- Melinda odwraca się od okna i zerka na swoją towarzyszkę, która wygląda na zaniepokojoną. Mówię więc, że możemy tak się umówić, i wręczam wizytówkę.

Po wszystkim Matthew -- który w czasie wywiadu siedział bez słowa i raczył się kawą -- sugeruje, byśmy przed powrotem do domu Leanne zatrzymali się gdzieś, aby coś przegryźć i porozmawiać o dalszej części dnia. Przy biegnącej wzdłuż wybrzeża ulicy znajduje się kawiarnia, więc uzgadniamy, że pojedę za nim. Po mniej więcej dzie-

sięciu minutach Matthew zatrzymuje się na parkingu, a ja zaraz potem.

Wysiadam z samochodu jako pierwsza i odwracam się, bo słyszę zbliżający się motocykl. I wtedy to się dzieje.

Motocyklista trzyma w ręce butelkę i lodowato zimny płyn opryskuje mi twarz i przód bluzki. W następnej sekundzie widzę, jak Matthew wyskakuje ze swojego auta, a motocyklista odjeżdża, dodając gazu. I słyszę krzyk...

Mój.

## ROZDZIAŁ 14

### On -- wtedy

-- Do diabła, coś ty za jeden?

Skulony pośród poduszek i koców w małym, pozbawionym okien pomieszczeniu nie podaje swojego imienia. Pamięta, że to ma być przecież tajemnica. Nagle bardzo mu się zachciewa do ubikacji i pragnie zawołać babcię.

-- Albo zaraz mi powiesz, kim jesteś, albo będę musiał wezwać policję i opiekę społeczną. Rozumiesz?

Pamięta, że babcia tak mówiła. "Opieka społeczna" się zjawi, jeśli powie komuś w szkole o środowych nocach. Powiedziała, że mogą go zabrać, dlatego chłopiec kręci teraz głową i nic nie mówi, mocno zaciskając usta.

Straszenie się boi, że przyjedzie także policja, i postanawia, że będzie walczył i gryzł. Ale nagle w drzwiach pojawia się nowa twarz i oblewa go fala ulgi. Babcia.

Gruby mężczyzna nadal wygląda na wściekłego. Babcia także jest czerwona na twarzy, ale wchodzi do pomieszczenia, kuca i bierze chłopca w ramiona. A potem odwraca się do grubasa.

-- Proszę, Stan. Pozwól mi wytłumaczyć. To był tylko ten jeden raz. Sytuacja wyjątkowa.

-- Więc on jest z tobą? Przyprowadziłaś go tutaj?

-- To mój wnuk, Stan. Normalnie mam na środową noc opiekunkę, ale dziś źle się poczuła. Dostałam już ostrzeżenie, a nie stać mnie na utratę tej pracy, wiesz o tym. Nie mogłam znaleźć nikogo tak na ostatnią chwilę.

Siedząc na prowizorycznym posłaniu, chłopiec wtula się w babcię i zastanawia, dlaczego opowiada takie dyrdymałki. Nie ma już opiekunki. Ta pani z piętra niżej, u której kiedyś zostawał na noc w środy, wyprowadziła się kilka miesięcy temu. Dlaczego babcia nie mówi Stanowi prawdy? I co to znaczy, że dostała ostrzeżenie? W szkole ostrzeżenie to coś bardzo złego. Timothy zawsze dostaje ostrzeżenia, a potem musi iść do pani dyrektor.

-- Tak nie wolno, Martho. Wiesz o tym. Nie mamy ubezpieczenia. A gdyby coś mu się stało? Bez nadzoru? Znalezlibyśmy się w niezłych tarapatach. Dochodzenie. Rozpętałoby się piekło.

-- Ale to tylko ten jeden raz. Proszę, Stan. Nic nie mów. To grzeczne dziecko.

-- Nocami to ja jestem za wszystko odpowiedzialny, Martho. Nie mogę tak tego zostawić. Nie będę ryzykował posadą. Powinnaś była zadzwonić i wyjaśnić, jak się sprawy mają.

-- Ja już stąпам po cienkim lodzie, Stan. Chcą, żebym pracowała dwie noce w tygodniu, tak jak pozostali, i tylko tymczasowo idą mi na rękę. Jeśli się dowiedzą...

-- Rozumiem. W takim razie zrobimy tak... -- Stan zamyka za sobą drzwi i w końcu ścisza głos. Wbija wzrok w podłogę, jakby się intensywnie zastanawiał. -- Okej. Ten jeden raz powiem, że nagle się rozchorowałaś, Martho. Grypa żołądkowa. Że odesłałem cię do domu, bo się bałem, że możesz zarazić pensjonariuszy. Będę cię krył... ale tylko ten jeden raz. Zabierz stąd chłopca i to ma się już nigdy nie powtórzyć. Rozumiesz? Ostatnia szansa, tak?

-- Jesteś aniołem, Stan. Tak bardzo ci dziękuję. Obiecuję, że więcej się to nie powtórzy. -- Babcia wstaje, zaczyna zbierać poduszki i składać koce. -- Chodź. Idziemy do domu.

Chłopiec wstaje i podnosi z ziemi swój plecak. Patrzy najpierw na Stana, a potem na babcię. Pociąga ją za rękę, żeby się nachyliła, i wtedy szepcze jej do ucha, że musi do ubikacji. Ona odszeptuje, że będzie musiał wytrzymać i wysiusia się w ogrodzie, kiedy już wyjdą, tak żeby nikt ich nie zobaczył.

No więc mocno się koncentruje i stara się wytrzymać, przez cały czas patrząc przy tym na Stana.



## ROZDZIAŁ 15

### Alice

Widzę teraz niebo, a to oznacza, że leżę na ziemi. Nadal krzyczę, ale Matthew trzyma mnie za ramiona i nie pozwala dotykać twarzy.

-- Woda! Dajcie ten dzbanek z wodą! -- Krzyczy do ludzi, którzy siedzą przy stoliku przez kawiarnię. -- I karetka. Wezwijcie karetkę!

Ciężko dyszę i nastawiam się na ból, kiedy Matthew powoli polewa mi wodą twarz. Woda okazuje się lodowato zimna i to także jest szokiem, niemal takim samym jak ten, którego doznałam, kiedy przejeżdżał motocykl. Przeskakuję gorączkowo spojrzeniem z lewa na prawo, czekając, co będzie dalej. Ból i pieczenie? Myślę o swoim wyglądzie. Wzroku. Twarzy w lustrze. Jak źle będzie -- jak szybko działa kwas...

-- Zamknij oczy, Alice. Nie otwieraj ich. -- To ponownie głos Matthew. Polewa mi wodą najpierw lewe oko, potem prawe. Zaciskam dłonie na jego ramionach, bojąc się go puścić. Wbrew temu, co mówi, otwieram na chwilę oczy, bo się boję, że nie będę widzieć. Ulga. Znow widzę niebo. Słyszę, jak Matthew rzuca w stronę ludzi: -  
- Więcej wody. Jak najszybciej.

Nie przestaje polewać mnie lodowatą wodą. Ponownie zamykam oczy i nie czuję pieczenia. Zimna woda je powstrzymuje. Ciekawe, ile minie czasu, nim poczuję najgorszy ból.

-- Już dobrze, Alice. Wszystko będzie dobrze. Jestem przy tobie. Będzie dobrze.

Głos Matthew jest niski i spokojny i myślę, jakie to niesamowite, że umie to robić -- że umie nie panikować. Policyjne szkolenie?

Raz jeszcze otwieram oczy i przekonuję się, że bacznie mi się przygląda. Zbiera mi się na płacz, bo wyobrażam sobie, że widzi to, co się dzieje z moją twarzą. Skóra się zmienia? W pewnej chwili przestaje polewać mnie wodą i ściąga brwi.

-- Nie. Nie przestawaj. -- Mój głos to jęk. Przeraza mnie to, co się stanie za chwilę. Bez wody będzie piekło, a ja tak bardzo się boję bólu...

-- Nie. Naprawdę jest dobrze, Alice. To nie kwas. To nie może być kwas. Z twoją skórą nic się nie dzieje.

Gdy wypowiada te słowa, lekko opadają mu ramiona. Puszczam go i zupełnie nieruchomieję -- staram się przetworzyć jego słowa.

"Nie kwas".

Matthew dotyka mojej twarzy.

-- To woda, Alice. Woda. Musiał cię oblać wodą. Nie kwasem.

Łamie mu się głos i chwilę później Matthew siedzi na ziemi obok mnie. Przeczesuje włosy palcami i robi krótkie, głośne wydechy.

Patrząc w niebo, unoszę rękę i opuszką palca dotykam ostrożnie prawego policzka. Nic nie piecze. On ma rację. Nie piecze...

Przyciskam mocniej palec do policzka. Nic.

Nie piecze. To nie kwas.

A potem płaczę z ulgą i zamykam oczy. Słyszę, jak Matthew każe odwołać karetkę. Ponownie głos ma spokojny i zdecydowany. Zalewa mnie fala ulgi, ale jest mi strasznie zimno i nagle cała zaczynam się trząść.

-- Nic jej nie jest. To była woda. Będzie potrzebować czegoś ciepłego do picia i koca, ale karetka nie jest już potrzebna. Możecie poprosić w kawiarni o herbatę z cukrem i jakieś spokojne miejsce, gdzie można usiąść? -- Przez chwilę milczy. -- Ale nic jej nie będzie.

Dziesięć minut później siedzę na zapleczu kawiarni otulona krafiastym pledem, ściskając w dłoniach kubek ze słodką herbatą. Nadal się trzęsę. Słyszę dobiegający zza drzwi gwar i wyobrażam sobie, że wszyscy plotkują o tym, co się stało.

Personel kawiarni zastanawiał się, czy ze względu na doznany przeze mnie szok nie wezwać jednak karetki, ale zarówno ja, jak i Matthew mamy w tej kwestii inne zdanie. Najbardziej to chciałabym stąd teraz odjechać; pragnę wrócić do domu. A raczej do domu Leanne.

Ale Matthew mi przypomina, że najpierw czeka nas rozmowa z policją. Na zgłoszenie na numer alarmowy odpowiedzieli miejscowi funkcjonariusze, lecz detektyw rozmawia właśnie przez telefon z komisarz Melanie Sanders. Przekazuje jej wszystkie szczegóły i wyjaśnia, że zrobił telefonem zdjęcie motocykla, niestety tablica re-

jestracyjna była zasłonięta. Policjantka wysłała na miejsce własnych techników, którzy sprawdzą, czy nie pozostał jakiś materiał dowodowy. Może butelka wyrzucona gdzieś niedaleko? Złożono już wnioski o sprawdzenie nagrań ze wszystkich kamer przemysłowych i monitorujących ruch uliczny.

A potem wyraz twarzy Matthew zupełnie się zmienia. Przyciska telefon do ucha i zerka na mnie.

-- Jesteś pewna, Mel?

Minę ma coraz bardziej ponurą, a mnie zaczyna nieprzyjemnie ścisnąć w żołądku.

-- Jest jeszcze w szoku, Mel. Ale tak, oczywiście. Zapytam ją. A kiedy tu skończymy, przywiozę ją prosto do ciebie. Tak, oczywiście. Jak najbardziej. Ale pamiętaj, że doznała potwornego szoku.

W końcu się rozłącza i siada naprzeciwko mnie.

-- Jak się teraz czujesz, Alice? -- W jego głosie nadal słychać niepokój, ale także coś nowego, dziwnego, czego nie rozumiem.

-- Lepiej. Trochę lepiej. Jestem po prostu roztrzęsiona. Już mi cieplej. Rozmawiałaś z Tomem?

-- Tak. Odchodzi od zmysłów. Jest także na mnie wściekły, ale mniejsza z tym. Poinformujemy go o wszystkim najszybciej jak się da. Ale najpierw musimy porozmawiać z policją. Pomóc zgromadzić więcej dowodów.

-- Oczywiście. -- Z jego twarzy próbuję wyczytać, co się stało.

-- Jest coś jeszcze. Coś, czego się dowiedziałem od Melanie Sanders. Nieoficjalnie. Coś, czego w ogóle nie rozumiem. -- Bruzdy biegnące w poprzek jego czoła stają się jeszcze wyraźniejsze.

-- Co? Co powiedziała? -- Nagle widzę wpatrującą się we mnie siostrę. Echo jej głosu... "Będziesz im musiała powiedzieć".

Matthew robi długi wdech.

-- Nie wiem, jak to ująć. To znaczy wiem, że nadal jesteś roztrzęsiona. Ale dowiedziałem się od Melanie, że tak naprawdę nie masz na imię Alice. I że mam cię przywieźć na komisariat. Po to, aby cię przesłuchano w sprawie tego ataku. Ale także abyś się wytłumaczyła. -- Robi pauzę. -- Wszyscy musimy się dowiedzieć, kim ty, u licha, naprawdę jesteś.

## ROZDZIAŁ 16

### Alice

W głębi duszy podejrzewałam, że w końcu wyjdzie to na jaw.

Kiedy jedziemy samochodem Matthew na spotkanie z Melanie Sanders, wyciszam telefon. Mam cały ciąg wiadomości głosowych od Toma, ale nie jestem w stanie z nim teraz rozmawiać; zamiast tego napisałam, dokąd się udajemy, i zapewniłam, że odezwę się najszybciej, jak to możliwe.

Zerkam na profil Matthew. Kamienna mina. Próbuję sobie wyobrazić twarz Toma, kiedy pozna prawdę, i ściskanie w żołądku staje się jeszcze bardziej nieprzyjemne. Odwracam głowę i przyglądam się przez szybę połam, żywopłotom i drzewom -- patchworkowej strzałce kierującej w stronę czekającego mnie chaosu.

Tak. Zawsze wiedziałam, że kiedyś w końcu prawda wyjdzie na jaw; wiedziałam, że ten dzień nadejdzie. Miałam jedynie nadzieję, że nie stanie się to wtedy, kiedy mam na głowie to, co teraz.

Zamykam oczy i go widzę. Alexa. I jak zawsze w takiej chwili czuję wściekłość na samą siebie. Patrzy na mnie w moich wspomnieniach -- taki przystojny, pewny siebie, zabawny i inteligentny. Słyszę, jak gra na pianinie w naszym domu, i przekrzykując muzykę, prosi, abym mu zaparzyła kawę. A co jest najgorsze? Pamiętam, jak w tamtej chwili, na samym początku, totalnie w niego wierzyłam. Wierzyłam w nas. Autentycznie nie miałam pojęcia, co nas czeka. Uważałam się za szczęściarę. Teraz wzdrygam się na to wspomnienie, ale taka jest prawda.

Naprawdę czułam, że los się do mnie uśmiechnął.

Poznałam Alexa na koncercie charytatywnym w Highlands. To był mój pierwszy miesiąc pracy w małym tygodniku i wysłano mnie na koncert razem z fotografem o imieniu Hugh. Reprezentował starą szkołę -- był kompetentny, ale cyniczny, i miał ochotę porobić zdjęcia najszybciej, jak się da, a potem urwać się ze znajomymi na curry.

Ja jednak zawsze kochałam muzykę. Cieszyłam się z tego zlecenia i nie miałam nic przeciwko temu, aby zostać dłużej, zwłaszcza kiedy przedstawiono mi organizatora. Alex Sunningham był niemożliwie przystojny i mocno ze sobą walczyłam, by się nie oblać rumieńcem. Po jego minie natychmiast się domyśliłam, że moja reakcja bardzo mu się podoba. Wyobrażałam sobie, że jest przyzwyczajony do takich reakcji, i byłam na siebie zła, że się od razu odsłoniłam.

W czasie, gdy Hugh ustawiał Alexa przy pianinie wraz z innymi artystami, ja wyjęłam notes i udawałam, że stenografuję. Co jakiś czas zerkałam przy tym na scenę. Oprócz Alexa znajdowało się na niej dwoje skrzypków i wiolonczelistka. Odegrali razem fragment jakiegoś utworu, żeby Hugh mógł porobić zdjęcia. Muzyka była cudowna i pomyślałam, że to może być rzeczywiście bardzo przyjemny wieczór.

Po wyjściu Hugh Alex stanął przed mikrofonem i przeprosił pojawiających się gości za zamieszanie ze zdjęciami. Wyjaśnił, że w wypadku imprez dobroczynnych nie da się przecenić znaczenia rozgłosu. Dodał, że koncert rozpocznie się za mniej więcej dziesięć minut, a potem, ku memu zdziwieniu, podszedł do mnie.

-- Co robicie, kiedy pojawia się golas albo wybucha pożar?

-- Słucham?

-- Czy zamieszczacie pozowane zdjęcia, nawet jeśli wydarzy się coś ekscytującego? -- Wyraźnie się ze mną droczył.

-- Przykro mi. Fotografowie zawsze mają mało czasu. Na pewno jest pan do tego przyzwyczajony. A tak między nami, Hugh nie przepada za wydarzeniami kulturalnymi. No ale zawsze pozostaje mi to. -- Zrobiłam pauzę i pokazałam mu swój telefon z aparatem. -- Na wypadek gdyby wydarzyło się coś ekscytującego.

-- Cóż, postaramy się pani nie rozczarować... Jennifer. -- Wypowiadając moje imię, zniżył głos. I patrzył mi w oczy dłużej, niż wypadało.

Czmychnęłam na swoje miejsce. Zażenowana. Skonsternowana. Zaintrygowana.

Koncert okazał się wyjątkowy. Alex był zarówno świetnym pianistą, jak i ciepłym gospodarzem. Wyjaśnił, że wiolonczelistka i skrzypkowie to jego przyjaciele z akademii muzycznej, którzy zgodzili się zagrać charytatywnie i tym samym wesprzeć zbiórkę na badania poświęcone chorobom nowotworowym. Młodszy brat wiolonczelistki przechodził obecnie chemioterapię, walczył z rzadkim nowotworem kości, a mnie ścisnęło w gardle, kiedy słuchałam, jak Alex opisuje te nowe badania i konieczność zrobienia wszystkiego, co możliwe, aby pomóc przyjaciółce.

Później odbyły się występy uczniów Alexa. Dowiedziałam się, że uczy on gry na pianinie, zarówno w miejscowej szkole, jak i prywatnie. Niektórzy pianiści byli całkiem dobrzy, inni dopiero zaczynali przygodę z muzyką.

To był uroczy wieczór, a kiedy dobiegał końca, w moim brzuchu trzepotały motyle, utwierdzając mnie w przekonaniu, że Alex znowu do mnie podejdzie.

-- Więc opowiesz mi o tym, zanim spotkamy się z Melanie? Nie sądzisz, że jesteś mi to winna, Alice? A może Jennifer? Czy też kim naprawdę jesteś? -- Do teraźniejszości przywołuje mnie głos Matthew. Słysząc w nim bardziej rozczarowanie niż gniew. -- To znaczy wiem, że sporo dziś przeszłaś. Ale zaczyna się robić bardzo poważnie. A ja, jeśli mam być szczery, nie mam pojęcia, co myśleć. Nie wiem, jak mam ci pomóc... ani czy w ogóle powinienem.

Otwieram oczy i odwracam się w stronę Matthew.

-- Moje prawdziwe imię i nazwisko to Jennifer Wallace. Swego czasu byłam zaręczona z muzykiem Alexem Sunninghamem. Sądziłam, że mnie kocha i że nasz związek jest prawdziwy. Okazało się jednak, że wykorzystywał mnie jako przykrywkę do czegoś innego. Było o tym głośno w mediach. Dlatego zmieniłam nazwisko.

-- Jezu. -- Matthew nie odrywa wzroku od drogi. -- O czym konkretnie mówimy?

-- Słuchaj. Naprawdę nie mam ochoty przywoływać teraz tego wszystkiego, niech ci wystarczy moje zapewnienie, że nie zrobiłam niczego złego. Niemniej było to upokarzające i straszne i nigdy nie wybaczę sobie, że go nie przejrzałam, Matthew. Ale on teraz siedzi

w więzieniu. I trafił tam wcale nie przez moje zeznania. Nie sądzę, aby żywił do mnie urazę; prawdę mówiąc, wątpię, by w ogóle o mnie myślał. I nie może mieć nic wspólnego z tym, co dzieje się teraz, dlatego, że, jak już mówiłam, odsiaduje wyrok.

Słyszę echo kłótni z Leanne w jej kuchni. "Wiem, że przebywa w więzieniu, Alice, ale i tak musisz powiedzieć policji. Nie sądzisz, że będą wściekli, jeśli zachowasz to przed nimi w tajemnicy? Przecież i tak się dowiedzą".

Myślę o tym, ile czasu zajęło biednej Leanne przyzwyczajenie się do używania mojego drugiego imienia. Myślę o mojej matce i tych kilkorgu bliskich przyjaciółach, którzy także pomogli w mojej transformacji.

-- No cóż -- mówi Matthew. -- Tak czy inaczej musimy raz jeszcze porozmawiać, Alice. Nadal tak mam się do ciebie zwracać?

Nie wiem, co odpowiedzieć, mam mętlik w głowie. Zbliżamy się do komisariatu i Matthew zdążył mnie już ostrzec, że nie może ryzykować i podwozić mnie pod samo wejście. Melanie Sanders mogłaby mieć nieprzyjemności. Obiecał jej jednak, że dowiezie mnie bezpiecznie na przesłuchanie i zaczeka, aż wejdę do budynku.

-- Nie ufasz mi, że tam wejdę? -- Bacznie mu się przyglądam, on jednak milczy.

Zatrzymuje się w miejscu, z którego widzi wejście, i głośno wzdycha. Przeczesuje palcami włosy. Zdążyłam się już przekonać, że robi tak zawsze, kiedy stara się zebrać myśli.

-- Jak już mówiłem, nie wiem nawet, jak mam cię nazywać, nie mówiąc o tym, co powinienem myśleć. Nie myśl, że nie współczuję ci tego, przez co dzisiaj przeszłaś. Ale to trudna sytuacja. Mel Sanders jest moją byłą koleżanką z pracy i dobrą znajomą, co oznacza poważny konflikt interesów.

-- Przykro mi, Matthew.

-- Tak. Mnie też.

## ROZDZIAŁ 17

### Matthew

Kiedy Alice -- a raczej Jennifer -- znajduje się już na komisariacie Matthew odjeżdża za róg i ponownie się zatrzymuje.

Jest oszołomiony. Uderza dłonią w kierownicę, pełen frustracji, gniewu, ulgi i konsternacji. Dopiero teraz uchodzą z niego nagromadzone emocje. Kiedy ulicą śmignął motocyklista, Matthew poczuł się tak, jakby to jego oblano kwasem. Tych kilka pierwszych, koszmarnych sekund. Kiedy polewał wodą twarz Alice, myślał jedynie o tym, że już do końca życia będzie okaleczona, pewnie nawet ślepa, i że to on... to on do tego dopuścił. Powinien był ją przekonać, aby jechała razem z nim; nie powinien był pozwolić, by to ona podjęła decyzję. Jesteś idiotą, Matthew, wyrzuca sobie. Straszny z ciebie idiota".

Ulga, którą poczuł, kiedy się w końcu przekonał, że to nie kwas, okazała się jednocześnie cudowna i dezorientująca. Niesamowicie trudno mu było kontrolować tę huśtawkę sprzecznych emocji, miał jednak pełną świadomość, że ze względu na Alice musi zachować spokój. A potem, kiedy jakoś już sobie radził z tym rollercoasterem uczuć, nastąpił kolejny zwrot akcji.

Ani razu nie przyszło mu do głowy, że Alice nie jest z nim szczerą. Kiedy wraca myślami do tamtego pierwszego spotkania w swoim biurze, coś do niego dociera: założył wtedy, że jej powściągliwość to wynik strachu i konsternacji. Teraz coś mu mówi, że pozostawała onieśmielona również przez tę fałszywą tożsamość. Czy się martwiła, że wynajęcie prywatnego detektywa zwiększy ryzyko ujawnienia prawdy?

Co z niego za detektyw, że jej nie przejrzał? Zaraz sobie jednak przypomina, że przecież policja też dopiero teraz odkryła ten fakt, więc Alice wykazała się dużym sprytem; musiała mieć także wsparcie najbliższej rodziny i przyjaciół.

Wchodzi na jej profil na Facebooku, który zdążył już porządnie przepatrzyć po przejęciu sprawy. Na wszystkich zdjęciach Alice ma



gładko zaczesane włosy i taki sam sympatyczny wyraz twarzy. Uśmiechnięta. Delikatne rysy. Prawie bez makijażu. Atrakcyjna, ale w stylu dziewczyny z sąsiedztwa. Żadnego wydymania ust, mocno podkreślonych brwi czy ujęć w sposób oczywisty podkreślonych przez aplikacje. Profil założono ładnych parę lat temu i na pierwszy rzut oka wszystko prezentuje się całkiem zwyczajnie, aczkolwiek teraz Matthew zauważa, że liczba znajomych jest mniejsza, niż można by się spodziewać. Choć nawet to nie jest jakoś szczególnie podejrzane, bo wiele osób zamyka swoje studenckie konta i zakłada nowe -- aby się zdystansować od zdjęć, wygłupów i znajomych, których nie chcą przenosić do dalszego życia.

Następnie Matthew sprawdza w wyszukiwarce Alexa Sunninghama. Od razu wyskakuje mnóstwo artykułów z tabloidów.

Wcześniej się zastanawiał, czy Alex był ukrywającym się gejem albo dopuszczał się oszustw za plecami Alice, prawda okazuje się jednak dużo gorsza. Trafił do więzienia za seks ze swoimi dwiema nieletnimi uczennicami. Matthew przeskakuje ze strony na stronę, szukając nowych informacji. Coś mu teraz świta, ale nie przypomina sobie, by ta sprawa trafiła do telewizyjnych wiadomości. Może czytał o niej w gazetach albo internecie? Nie ma pewności.

Pierwsze artykuły mówią o tym, że Alex, zaręczony z dziennikarką Jennifer Wallace, nagle zniknął razem z piętnastoletnią uczennicą. Alex i Jennifer mieszkali w Highlands, nastolatka zaś przychodziła do ich domu na lekcje pianina. Początkowo uważano, że para zbiegów pozostaje gdzieś na terenie Szkocji, stąd apel lokalnej policji. W końcu ich znaleziono na wyspie Skye, kiedy dziewczyna zachorowała i rozpoznał ją miejscowy lekarz. Początkowo uczennica, której danych nie podano, była lojalna wobec kochanka i zdruzgotana faktem, że ich "romans" został odkryty. Twierdziła, że bardzo kocha Alexa i że zamierzali się pobrać w Gretna Green, gdy tylko skończy szesnaście lat.

Wkrótce jednak wyszła na jaw cała obrzydliwość tej historii. Ujawniła się druga uczennica, twierdząc, że rok wcześniej była w związku z Alexem, a on ją porzucił, dlatego uprosiła rodziców, aby

nie posyłali jej już na lekcje pianina. Czowała zbyt wielki strach i zażenowanie, aby powiedzieć komukolwiek prawdę.

Obie dziewczyny były zbulwersowane, kiedy się dowiedziały o sobie nawzajem, i ostatecznie przystały na współpracę z policją. Przedstawiły dowody, dzięki którym Alex trafił do więzienia.

Matthew ogląda wszystkie znalezione zdjęcia. Niezły przystojniak z tego Alexa.

-- Obleśny padalec -- szepcze.

Przysłupuje się na tym, że myśli o swojej ślicznej, małej Amelie; wyobraża ją sobie jako dorosłą, piękną kobietę i dopada go strach.

W większości gazet pojawiają się zdjęcia samego Alexa, w jednej jednak zamieszczono wywiad na wyłączność z nastolatką, z którą zniknął -- zrzekła się prawa do anonimowości, aby ostrzec inne dziewczyny przed tym, jak łatwo dać się omotać. Jest mocno wymalowana i jej zdjęcie przepęlnia go niepokojem.

Tylko dwóm artykułom towarzyszy małe zdjęcie narzeczonej, Jenny Wallace. Autorzy tekstów dają jasno do zrozumienia, że nie miała pojęcia o tym, co się dzieje. Nie wydała żadnego oświadczenia, a jej zeznania w sądzie okazały się mało znaczące w porównaniu z tym, co wyjawiały obie nastolatki.

Na tym zdjęciu Alice wygląda zupełnie inaczej. Gdy się przyjrzeć uważniej, da się ją rozpoznać, ale jako Jennifer miała długie ciemne włosy. Teraz ma jasnego boba z grzywką, no i jest dużo szczuplejsza.

W chwili, kiedy Matthew przygryza wargę, zastanawiając się, co właściwie począć z tą całą wiedzą, dzwoni telefon. Krzywi się na widok imienia Toma na wyświetlaczu.

-- Halo?

-- Co się dzieje? Gdzie ona jest? I co się, do cholery, stało, Matthew? Przecież płacę ci za to, aby była bezpieczna.

Matthew bierze długi, powolny wdech.

-- Rozumiem twoje zdenerwowanie. Uwierz mi, sam jestem na siebie zły. To mną wstrząsnęło. Ale Alice się uparła. Nie chciałajechać ze mną...

-- Namierzylili ten motocykl? Jestem właśnie w drodze na komisarjat, ale Alice nie odbiera telefonu. Nie odpisuje nawet na ese-

mesy. Złapali tego faceta? Już po wszystkim? Znaleźli go?

-- Nie wiem, ale nie sądzę. -- Po chwili milczenia Matthew dodaje: -- Tom. Pojawiły się nowe komplikacje, o których Alice będzie musiała z tobą porozmawiać.

-- Komplikacje? Co to znaczy "komplikacje"?

-- Nie dysponuję na razie wszystkimi informacjami, będziesz więc musiał porozmawiać z Alice. A teraz musimy postanowić, co z resztą dnia. To znaczy, czy chcesz, abym kontynuował swoją pracę po tym, jak Alice skończy rozmawiać z policją.

Cisza. Matthew spodziewa się, że zostanie zwolniony.

-- Przejmę opiekę nad Alice na resztę dnia. Myślę, że tak będzie najlepiej. -- Ton głosu Toma jest oschły.

-- W porządku. Rozumiem. Przeżyła trudne chwile. Dam znać, jeśli dowiem się czegoś nowego. Może uda się dotrzeć do jakiegoś przyzwoitego nagrania z kamer przemysłowych albo innych dowodów.

-- Dobrze. Wobec tego do usłyszenia.

Nie zostało nic więcej do dodania, więc Matthew się rozłącza i natychmiast dzwoni do domu. Rozpaczliwie potrzebuje się zakotwiczyć.

-- Hejka. Jak się masz jako Kevin Costner? -- Głos Sal jest wesoły, a w tle słychać operę. Jej ulubioną. Wyobraża sobie żonę w czerwonej bluzie i džinsach w kuchni z widokiem na morze i oddałby w tej chwili wszystko, aby być tam teraz z nią. Aby żadne z wydarzeń tego dnia nie miało miejsca.

-- Szczerze mówiąc, trochę się wszystko rozkraczyło, ale mniejsza z tym. Jak się mają moje dziewczyny?

-- Co to znaczy, że się rozkraczyło? Wszystko okej?

-- Tak. Nic mi nie jest. To co porabiacie?

-- Och. Ja sprzątam, więc prawdę mówiąc, trochę jestem wykończona. Twoja książeczka aktualnie raczy drzemać, dzięki czemu mam chwilę przerwy od marudzenia o ciastka Pippy Pocket. Nie mam pojęcia, co w tym tygodniu w nią wstąpiło. Pippy Pocket to, Pippy Pocket tamto. Mówię ci, gdyby ta cholerna Pippy Pocket stała teraz przede mną, rąbnęłabym ją w łeb.

Matthew po raz pierwszy dzisiaj szczerze się uśmiecha, przypomina sobie córkę na podłodze w supermarkecie. Jej wrzask i rzucanie się.

-- Wiesz, że czeka nas jeszcze faza Barbie, Sal.

-- Nawet mi nie mów.

-- Okej, no to uściskaj ją od tatusia, kiedy się obudzi, a niedługo się zobaczymy.

-- Już kończysz? Co się stało? Myślałam, że pracujesz aż do wieczora?

-- Jej chłopak wcześniej wyszedł z pracy, więc przejmuje obowiązki ochroniarza.

-- No tak.

-- W takim razie do zobaczenia. Kocham cię.

-- Ja ciebie też.

Matthew rzuca telefon na fotel pasażera i wpatruje się w niego przez chwilę, jakby żałował, że rozmowa nie trwała trochę dłużej. Później wszystko Sally opowie, na razie jednak nie chce jej martwić. W końcu zapina pasy. Wraz z kliknięciem pojawia się przeblysk wspomnienia. Ryk motocykla. Krzyk Alice. Zaciska dłonie w pięści, następnie przekręca kluczyk w stacyjce i postanawia zahaczyć w drodze do domu o supermarket.

Aby kupić ciastka Pippy Pocket.

## ROZDZIAŁ 18

### On -- wtedy

Są już prawie w domu. Nie palą się żadne latarnie i chłopiec się cieszy, że w ciemności jego wstyd jest ukryty.

-- Przestań się martwić -- mówi babcia i ściska mu dłoń, jakby potrafiła czytać w myślach. -- To tylko mały wypadek. Nie twoja wina. Zaraz doprowadzimy cię do porządku.

W domu opieki, po tym, jak znalazł ich Sam, chłopiec bardzo się starał wytrzymać. Zaczekać, aż będzie mógł iść w krzaki -- ale nie dał rady. Stan obserwował, jak odchodzą, co czyniło to wszystko jeszcze gorszym. Gdy wyszli tylnymi drzwiami, poczuł, jak coś ciepłego cieknie mu po nogach. Modlił się, aby nie było tego za dużo, wkrótce jednak na spodniach pojawiła się mokra plama, która powiększała się coraz bardziej.

-- Możesz iść w krzaki, tam -- szepnęła babcia, wskazując głową na zacieniony fragment ogrodu. Po chwili jednak skrzywiła się, a na jej twarzy pojawiła się konsternacja.

Chłopiec też to poczuł i chciało mu się płakać.

-- Och, no tak. -- Wpatrywała się w mokrą plamę na spodniach. -- Nic nie szkodzi. To moja wina. Nie twoja. Tak mi przykro, szkrabie.

Teraz, kiedy wchodzą po wiodących do mieszkania schodach, zapala się automatyczne światło i chłopiec nie może znieść, że znowu widzi plamę. Marzy, aby się znaleźć w mieszkaniu, pobiec do łazienki i ściągnąć spodnie -- jednak kiedy idą korytarzem na trzecim piętrze, ku jego przerażeniu w mieszkaniu sąsiadującym z ich mieszkaniem rozlega się jakiś hałas. Babcia przykłada palec do ust i szuka w torbie klucza. Nagle drzwi sąsiada się otwierają i w progu staje odziany w szlafrok Brian.

-- Wszystko w porządku, Martho? Wydawało mi się, że coś słyszę... -- Ze ściągniętymi brwiami patrzy na zegarek.

-- Nagła sprawa rodzinna -- oświadcza babcia. -- Wszystko już załatwione, ale musiałam zabrać chłopca ze sobą.

-- Mogę ci w czymś pomóc? -- Wyraz twarzy Briana jest nieco dziwny. -- Mam nadzieję, że to nic poważnego? O tej porze...

-- Nie, dziękuję ci. Wszystko pod kontrolą. A teraz idziemy spać. -  
- Babcia wydaje się trochę zdenerwowana, ale uśmiecha się do sąsiada. -- Przepraszam, że cię obudziliśmy.

Następnie otwiera drzwi i wpuszcza chłopca do środka. Szepcze, żeby wrzucił mokre ubranie do kosza z praniem. Przygotuje mu szybką kąpiel i przyniesie czystą piżamkę.

W łazience chłopiec rozbiera się do naga i wszystkie ciuchy wkłada do stojącego w rogu dużego kosza. Kiedy był mały, sądził, że to kosz zaklinacza węży i że babcia pozwoli mu zabrać go do dużego pokoju, gdzie będzie mógł dmuchać w swój mały gwizdek i zaklinać wyimaginowane węże. Czasami, kiedy babcia była zajęta w kuchni, chował się w koszu i nasuwał pokrywę, żeby ją zaskoczyć. Podejrzywał, że babcia wie, że tam jest, ale zawsze udawała zdziwioną.

Teraz się martwi, że woń jego ubrań zniszczy kosz. Jest bardzo zmęczony i żałuje, że nie mają prysznic, tak jak w telewizji. Uważa, że tak byłoby szybciej, nic jednak nie mówi, bo nagle przypomina mu się Brian. Jest gruby jak Stan i chłopiec myśli, że nie podoba mu się ani jeden, ani drugi.

-- Przepraszam -- bąka, kiedy otwierają się drzwi.

Babcia przysiadła na skraju wanny, odkręca wodę i wlewa odrobinę płynu do kąpiel. Jest różowy i chłopiec się martwi, że to taki dziewczynski płyn, ładnie jednak pachnie, więc dzisiaj nic nie komentuje. Poza tym lubi pianę.

-- Musisz się pospieszyć, skarbie. Jutro masz szkołę. Ale umyjemy cię, wypachnimy i zapomnimy o tym wszystkim.

-- Przepraszam, babciu, że narobiłem hałasu. Kolega dał mi cukierka-psikusa i przez niego kaszlałem. Nie chciałem...

Babcia odgarnia mu włosy i się nachyla, aby pocałować go w czoło. On się jednak odsuwa. Mimo że pozbył się mokrych ubrań, nadal czuje się lepki.

-- Co zrobimy w przyszłą środę, babciu? -- Już teraz się tym martwi i musi wiedzieć. Patrzy, jak babcia sprawdza temperaturę wody, po czym kiwa głową, każąc mu tym samym wejść do wanny. Woda

jest ciepła, a piana taka przyjemna. Chłopca ogarnia wielka ulga, że już nie pachnie tak brzydko.

Zastanawia się, czy powinien powiedzieć babci, co się stało w zeszłą środę, kiedy była w pracy. Pukanie do drzwi w środku nocy. "Jesteś tam? Wiem, że tam jesteś"...

Ale babcia nie odpowiada na jego pytanie o przyszłą środę. Nadal sprawdza temperaturę wody, a w końcu zakręca kurek. Chłopiec obserwuje jej twarz z bardzo bliska i czuje przerażenie. Oczy jej błyszczą i bardzo się boi, że babcia zaraz się rozplacze.

Kocha babcię i wie, że to jego wina.

Wszystko to jego wina.

## ROZDZIAŁ 19

### Alice

-- Więc naprawdę nazywasz się Jennifer Wallace. I kiedy zamierzałaś nam o tym powiedzieć?

Wzruszam lekko ramionami; usta mam zaciśnięte. Wpatruję się w komisarz Melanie Sanders i mam ochotę zapytać, czy go złapano. Mniejsza o Alexa Sunninghama -- mężczyznę, o którym próbuję zapomnieć każdego dnia. Czy złapano motocyklistę? Człowieka, przez którego zaledwie dwie godziny temu uwierzyłam, że topi mi się skóra. Że mam okaleczoną twarz...

-- Masz pojęcie, ile czasu zmarnowałaś, Jennifer, ukrywając to przed nami? Uprawiając gierki?

Jenny. Chcę powiedzieć, że ludzie nazywali mnie Jennifer wyłącznie w gniewie. Że moje prawdziwe imię to Jenny...

Komisarz Sanders nadal wygląda na wkurzoną. Na biurku przed nią leżą jakieś akta i przyłapuję się na tym, że moje myśli zaczynają błądzić, bo nie chcę tu być. W tym miejscu. Przy tym biurku. Wbijam wzrok w dokumenty rozłożone na poplamionej drewnianej powierzchni i zastanawiam się, kiedy policja przestanie pracować z materiałami drukowanymi. Jeśli jest tu podobnie jak w newsroomie, nie ma na to szans. Wszyscy lubimy drukować różności.

Część leżących na blacie kartek to wydruki artykułów poświęconych sprawie Alexa. Inne to chyba jego akta więzienne, ale trudno mi odczytać tekst do góry nogami. Policjantka przyłapuje mnie na tym, że mrużę oczy, wpatrując się w kartkę, i przechyla ją pod takim kątem, że przestaję widzieć cokolwiek.

-- Nie uprawiam żadnych gier -- mówię w końcu, zaskoczona tym, jak cichy jest mój głos. Przepelnia mnie gniew, spodziewałam się więc, że mój głos okaże się silniejszy. To nie ja jestem przestępcą. Nie zrobiłam niczego złego. To Alex Sunningham i ten stalker są przestępcami.

Chcę czuć jeszcze większy gniew i chcę, aby mój głos zabrzmiał pewniej, ale to, co się wydarzyło przed kawiarnią, zupełnie mnie po-



raziło. Ciągłe wracam myślami do stojącego nade mną Matthew, powoli polewającego wodą moją skórę. Zamykam oczy, przeżywając na nowo tamte sekundy strachu przed oślepieniem.

Kiedy unoszę powieki, widzę, że komisarz Sanders mi się przygląda, a wyraz jej twarzy lekko się zmienił.

-- To było straszne, to, co ci się dzisiaj przytrafiło, Jennifer. Nadal sprawdzamy zapis z kamer. Na razie brak konkretów, ale go znajdziemy. Nie myśl, że ci nie współczuję, ale powodem, dla którego tak jestem wzburzona -- zawiesza głos, jakby starała się nad sobą zapanować -- jest to, że gdybyś była z nami szczerą, mielibyśmy w tym śledztwie przewagę.

-- To nie ma nic wspólnego z Alexem Sunninghamem -- mówię.

-- Och, no tak. Taka jesteś tego pewna? Masz wieloletnie doświadczenie w policyjnych śledztwach?

-- On siedzi w więzieniu. I o ile z niego nie uciekł... -- Unoszę brwi, świadoma, że mój ton jest niestosowny, niemal sarkastyczny. -  
- Nie miałam powodu, aby wam mówić.

Melanie Sanders kręci głową i wbija wzrok w sufit, demonstrując niedowierzanie. Następnie przenosi go na mnie, bierze do ręki kartkę, odwraca ją i kładzie przede mną.

To kopia jakiegoś dokumentu dotyczącego zwolnienia warunkowego. Dane wrażliwe -- adresy mailowe, nazwiska i uwagi -- zostały zamazane, dociera jednak do mnie sens tego dokumentu.

Nie. To niemożliwe.

-- Ale dlaczego mi o tym nie powiedziano?

-- Cóż, formalnie rzecz biorąc nie jesteś jedną z jego ofiar, prawda? A nawet gdybyś była, a ktoś ze zwykłej grzeczności chciałby cię o tym poinformować, nie wiedziałby, gdzie cię znaleźć. Przez to, że zmieniłaś nazwisko. -- Stuka w kartkę palcem wskazującym. -- Został zwolniony przedterminowo prawie dwa miesiące temu, Jennifer. Alex Sunningham był za kratkami bardzo grzeczny. Wyrok skrócono za wzorowe zachowanie.

Krew odpływa mi z twarzy. Znowu odczuwam zmiany temperatury. Zimno. Potem gorąco. Tak jak wtedy, kiedy w redakcji zobaczyłam dołączoną do kwiatów karteczkę.

Alexa skazano na pięć lat pozbawienia wolności. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że zostanie zwolniony tak wcześnie. Jako absolutne minimum uznawałam trzy lata, a minęło zaledwie dwa i pół roku...

-- Ale w żadnej gazecie nie pojawiła się wzmianka o jego zwolnieniu. -- Ponownie wbijam wzrok w skserowaną kartkę. -- Naprawdę nauczyciel może uwieść dwie nieletnie dziewczyny i wyjść po dwóch latach? I nie ma o tym nic w wiadomościach?

-- To nic niezwykłego, wyrok skrócono za dobre zachowanie. Zwolnienie warunkowe. Wiesz, jak to działa. -- Pauza, podczas której wyraz twarzy komisarz Sanders ulega zmianie. -- Aczkolwiek w tej chwili to dość delikatna sprawa. Niedługo pojawi się komunikat prasowy.

-- Dlaczego? Jaki komunikat? Chyba nie sądzicie, że Alex może mieć z tym związek? Z tym wszystkim, co mi się przytrafia? -- Spuszczam wzrok. -- To nie moje zeznania posłały go za kratki. Nie ma powodu, aby mnie prześladować.

-- Czy naprawdę nie zdawałaś sobie sprawy, że powinien się znaleźć na liście możliwych podejrzanych, Jennifer? Ty, inteligentna kobieta, dziennikarka. Masz przecież świadomość do, czego jest zdolny ten człowiek. Kłamstwa. Oszustwa. Brak kompasu moralnego. Zadaliśmy ci pytanie, czy istnieją jacyś byli partnerzy, którym powinniśmy się przyjrzeć. Ktoś, kto może mieć motyw, kto może być cwany.

W mojej głowie nagle wiruje milion myśli. Nie wspomniałam o Alexie, bo sądziłam, że nadal odsiaduje wyrok. I chciałam udawać, że nigdy go nie znałam; że nie byłam tą naiwną, głupią, łatwowierną dziewczyną, tą frajerką, która się w nim zadurzyła.

A teraz nagle ponownie znajduję się na sali sądowej i próbuję sobie przypomnieć to, jak na mnie patrzył. Obwiniął mnie? Wyglądał jak ktoś, kto pewnego dnia może mnie winić? Zwrócić się przeciwko mnie?

-- Nie, nie. Winą obarczył rodzinę tamtej dziewczyny. Tej, z którą uciekł. To oni doprowadzili do postawienia go w stan oskarżenia i przekonali córkę, by zeznawała. Ja autentycznie nie miałam poję-

cia, co się dzieje. Szczerze? Wysłałam na kompletną idiotkę. I masz rację. On nie ma kompasu moralnego, ale nie postrzegam go jako agresywnego. Kogoś, kto zrobiłby to, co robi ten człowiek.

-- Więzienie zmienia ludzi, Jennifer. Nawiązują kontakty i zdarza się, że przechodzą na ciemną stronę mocy. Miał dużo czasu na myślenie. Musimy go znaleźć. A ty musisz zacząć być ze mną stuprocentowo szczerą. W każdej kwestii.

-- Znaleźć go? -- Unoszę głowę. Co to znaczy "znaleźć go"? Sądziłam, że takie osoby pozostają pod nadzorem. Gdyby policja rzeczywiście go podejrzewała, to czy nie chciałaby od razu sprawdzić jego alibi na te koszmarnie środy? Żywię silne przekonanie, że to by go z miejsca wykluczyło.

Nagle drzwi się otwierają. Wchodzi jakaś kobieta w cywilnym ubraniu i szepcze coś do ucha komisarz Sanders. Ta kiwa głową. Po chwili kobieta wychodzi.

-- Jest tu Tom, twój chłopak, Jennifer.

-- Wolałabym, gdyby nadal nazywano mnie Alice. To moje drugie imię. Z chrztu. Teraz jestem Alice.

-- Cóż, przekonamy się. Podobno Tom rzuca paragrafami. Robi szum, żądając widzenia z tobą. Usłyszał, że będzie musiał zaczekać. Rozumiem, że on wie wszystko o tym Alexie? O twojej przeszłości? O zmianie nazwiska?

Zbliżam lewą rękę do ucha i za nie pociągam. Mam wrażenie, że drga mi głowa. Wzbiera we mnie napięcie.

Nie chcę myśleć na razie o Tomie; o tym, jak mu, u licha, wszystko wytłumaczę. Staram się ogarnąć echo słów Melanie Sanders, które są pozbawione sensu.

-- Dlaczego powiedziałaś "znaleźć go"? Przecież kurator z pewnością zna miejsce pobytu Alexa.

## ROZDZIAŁ 20

### Alice -- wtedy

Kiedy koncert dobiegł końca, grupa wspierających fundację wolontariuszy zaserwowała kawę, herbatę i ciasta. Rozczarował mnie brak wina. Ale zaraz potem głupio mi się zrobiło, że tak chodzi za mną shiraz.

Przeprowadziłam wywiady z kilkorgiem występujących oraz osobą reprezentującą fundację, cały czas udając, że nie jestem świadoma wzroku Alexa na swoim ciele. Miał charakterystyczne spojrzenie mężczyzny pewnego własnej atrakcyjności i wyraźnie mnie zachęcał, abym także na niego spojrzała. Opierałam się tak długo, jak umiałam. Planowałam udać się do domu na ten kieliszek wina.

A potem w końcu, kiedy ludzie zaczęli się wykruszać, on znalazł się obok mnie, nachylił i szepnął:

-- Lubisz delfiny, Jennifer?

-- Jenny. Wszyscy mówią na mnie Jenny. I oczywiście, że lubię delfiny. A to niezgodne z prawem?

-- To co, masz teraz czas? -- Zrobił pauzę. -- Czy nie?

Kompletnie mnie tym zaskoczył. Z bliska cudnie pachniał -- drogą wodą po goleniu. Choć spodziewałam się, że do mnie podejdzie, sądziłam, że usłyszę niezobowiązujące zaproszenie na drinka któregoś wieczoru w przyszłości. Nie spodziewałam się takiej bezpośredniości. Nie podobało mi się, że jest taki pewny mojego zainteresowania, i próbowałam się trzymać swojego postanowienia. Próbowałam myśleć o tym rozkosznym dźwięku, jaki towarzyszy napełnianiu kieliszka winem.

-- Ciepłe ubranie. Termos z kawą. Delfiny. -- Przechylił głowę. -- Zainteresowana?

Dochodziło wpół do dziesiątej, a na dworze panował zaskakujący chłód. Teraz już wiedziałam, co Alex ma na myśli; kilka kilometrów stąd znajdował się słynny punkt obserwacyjny. Odkąd tu pracowałam, bywałam tam wielokrotnie, ale ani razu nie dopisało mi szczęście. Ciekawe, jak on chciał wypatrzeć cokolwiek po ciemku. Wy-

obrazila sobie wiatr i chlod kontra kieliszek czerwonego, bogatego w smaku wina.

W myslach oswiadczylam: "Nie. W zadnym razie". Ale popelnilam blad i podnioslam wzrok na Alexa, a wtedy z moich ust wyplynelo slowo "Tak". Później, otuleni dwoma kocami wyjetymi z bagaznika jego auta, siedzieliśmy na lawce i po polgodzinie ujrzałam w swietle księzyca trzy delfiny. Czegoś takiego nie dalo się zmyslic.

Przepadlam.

Tamtego pierwszego wieczoru nie poszliśmy do lozka, ale drugiego owszem. I trzeciego. I czwartego. Dwa tygodnie później wprowadzilam się do jego domu na wzgórzu ze wspanialym widokiem na morze. To bylo lekkomyślne, zupełnie nie w moim stylu, ale także trochę wspaniale.

Każdego wieczoru stawalam o zmierzchu w oknie sypialni i wypatrywalam w oddali delfinów, Alex zaś obejmowal mnie w talii i opieral brode na moim ramieniu. Chwila spokojnego i zupełnie nieoczekiwanego zadowolenia.

-- Ale ty przeciez ledwo go znasz -- zaprotestowala przez telefon Leanne, kiedy jej wyznalam, ze juz razem mieszkamy.

Wyslalam jej na Messengera zdjecie oraz krótki filmik, na którym Alex gra w pokoju muzycznym na imponujacym pianinie Steinwaya. "Jezu -- odpisala. -- Ma brata bliźniaka?"

I tak oto uleglam czarowi Alexandra Sunninghama, pojecia nie majac, co mnie czeka. Razem gotowalismy, razem się śmialismy i chodziliśmy na dlugie spacerzy w grubych kurtkach i niedorzecznych wełnianych czapach.

Jako stazystka mialam skromne dochody i nie minelo wiele czasu, a odczulam nie tylko emocjonalne korzyści ze wspólnego mieszkania, lecz także finansowe. Alex byl nauczycielem gry na pianinie -- mial uczniow w różnym wieku. Raz w tygodniu bywal w miejscowej podstawowce, aby nauczac oraz akompaniowac dzieciakom grajacym na skrzypcach, saksofonie i innych instrumentach orkiestrowych. Regularnie zatrudniano go także do akompaniowania podczas różnego rodzaju egzaminow. Przez reszte czasu uczyl w domu.

Godziny pracy miał nieregularne i przyzwyczaiałam się, że gdy wracam z redakcji, wita mnie rodzic pijący kawę w naszym salonie, gdy tymczasem w sąsiednim pokoju jego dziecko uderza w klawisze.

Nigdy wcześniej z nikim nie mieszkalam i zaszokowała mnie łatwość, z jaką mi to przyszło. Powodem był głównie fakt, że każde z nas miało własne życie zawodowe. Dom, piękny segment z czerwonej cegły, Alex otrzymał w spadku po babci -- razem z pianinem -- więc wiodło nam się lepiej niż większości osób na tym etapie związku i drogi zawodowej.

Co oznaczało, że urządzaliśmy sobie wycieczki. Do Londynu. Edynburga. Barcelony. Rzymu. A osiem miesięcy po tamtym pamiętnym koncercie Alex zafundował mi wyjazd niespodziankę do Sorrento i tam mi się oświadczył. A ja zaskoczyłam samą siebie, mówiąc "tak".

-- Jesteś pewna, że to wszystko nie dzieje się ciut zbyt szybko?" -- Leanne, choć lubiła Alexa, pozostawała lekko nieufna. Z kolei moja matka, której zdrowie wtedy jeszcze dopisywało, wykazała się w kwestii naszego pośpiechu zaskakującą beztroską. Sama przecież była w ciąży, kiedy wychodziła za tatę, no a wszystko świetnie się ułożyło.

Ślub zaplanowaliśmy na następną wiosnę i każdemu, kto tylko chciał słuchać, mówiłam, że to wcale nie jest za szybko. Uważałam się za szczęściarę. Podobała mi się nowa praca i miałam narzeczonego, za którym oglądały się wszystkie kobiety i który komponował dla mnie piosenki. Jak mogłabym nie kochać takiego życia?

Po pewnym czasie pojawiła się niewielka zmiana w organizacji pracy, początkowo prawie niedostrzegalna. Alex zapytał, czy mogłabym odgrywać rolę "przyzwoitki" młodszych uczniów, których rodzice nie mogą uczestniczyć w lekcjach. W grę wchodziłyby weekendy i co któryś wieczór. Powiedział, że czymś najzupełniej zrozumiałym ze strony rodziców jest dbanie o kwestie ochrony, z kolei jemu bardzo zależało na reputacji.

Pamiętam, że go zapytałam, czy chodzi mu o to, bym w trakcie lekcji przebywała w tym samym pomieszczeniu. Czy będę tam musiała siedzieć z książką albo czymś w tym rodzaju? Alex odparł --

i później musiałam przekazać to policji słowo w słowo -- że wystarczy, abym przebywała w sąsiadującym z pokojem muzycznym salonie, bo tak właśnie robią rodzice towarzyszący swoim dzieciom. Drzwi do pokoju muzycznego będą otwarte, co zapewni ochronę wszystkim zainteresowanym.

I tak to właśnie wyglądało. Raz na jakiś czas rodzic podwoził ucznia i pozostawiał go samego, a ja czytałam albo oglądałam film na iPadzie, mając doskonały widok na pokój muzyczny. Całkowicie ufałam Alexowi i uważałam, że taki układ zapewnia ochronę jemu, nie dziecku. Martwiłam się nawet, że jeśli nie będziemy ostrożni, ktoś może wysunąć fałszywe oskarżenia, zwłaszcza że niektóre uczennice wyraźnie się w Alexie durzyły.

Dwa, może trzy miesiące później wydarzyło się coś, co mnie zaniepokoiło. Z perspektywy czasu był to jedyny moment -- o czym powiedziałam policji -- kiedy powinnam była coś zrobić.

Pewnego zimnego, październikowego ranka, krótko przed urodziniami Alexa, wróciwszy z zakupów, zastałam go chodzącego po salonie z telefonem przy uchu. Przeczesał palcami włosy i jasne było, że odbywa trudną rozmowę. "Nie wolno ci tego robić. Daj spokój, rozmawialiśmy przecież o tym. Czeka cię świetlana przyszłość. Tak wiele osób troszczy się o ciebie..."

Alex podniósł na mnie wzrok i zrobił minę dającą do zrozumienia, że jest w kropce. Przechyliłam głowę, pytając w ten sposób, czy mogę pomóc. Zaprzeczył i kontynuował rozmowę łagodnym tonem, starając się uspokoić dzwoniącego.

Udałam się do kuchni. Cały czas słyszałam to, co mówi Alex. Czułam niepokój, bo brzmiało to tak, jakby jego rozmówca był zdesperowany, być może nawet miał myśli samobójcze. Alex był cierpliwy i serdeczny, dodawał dzwoniącemu otuchy; namawiał go, aby ten z kimś porozmawiał, uzyskał profesjonalną pomoc. Aby pamiętać, że "przed nim całe życie". Raz za razem powtarzał, że wszystko będzie dobrze. Że dzwoniący musi patrzeć przed siebie, a nie wstecz.

Rozmowa trwała długo, a ja krążyłam niespokojnie po kuchni. Chodziło nie tylko o to, że jakiś uczeń ma kryzys związany ze zdro-

wiem psychicznym, lecz także o fakt, że Alex używa tonu, który jest nieco dziwny. Jakby zbyt delikatny. Graniczący z intymnością.

Kiedy w końcu się rozłączył, wszedł do kuchni. Wyglądał na wykonanego.

-- O co, u licha, chodziło?

-- Jedna z moich nastoletnich uczennic ma kryzys. Kompletnie się załamała. Podejrzewałem, że może się okaleczać, bo widziałem ślady na jej rękach. Widać je, kiedy gra. Ale nie miałem pojęcia, jak fatalną sytuację ma w domu. Popełniłem błąd, że o to zapytałem. Rozmowa wymknęła się spod kontroli.

Byłam ogłuszona. Dlaczego wcześniej mi o niej nie wspomniał?

-- Która uczennica?

-- Nie znasz jej. Ma piętnaście lat. Przychodzi we wtorki rano.

-- Co? Sama?

-- Tak. Sama.

-- Ale przecież mamy zasadę: rodzice albo ja.

-- Owszem, dla młodszych uczniów. I kiedy rodzice się martwią. Ale ona ma piętnaście lat, Jenny. Jest praktycznie dorosła. Nie potrzebuje przyzwoitki. Szczerze? Tak naprawdę to potrzebuje przyjaciela. Ma koszmarnych rodziców.

Uszom nie wierzyłam.

-- Czy ty oszalałeś? To ty potrzebujesz przyzwoitki, jeśli ta dziewczyna ma piętnaście lat, a do tego jest niestabilna emocjonalnie. Okalecza się. Musimy natychmiast zadzwonić do jej rodziców. Albo do Samarytan czy jakiejś podobnej organizacji. Nie możemy tak tego zostawić.

-- Wszystko jest już pod kontrolą. Ona rozmawia właśnie ze swoją mamą. Zresztą nie jest niestabilna, tylko bardzo nieszczęśliwa.

-- Więc dlatego wasza rozmowa wydawała się taka intymna?

-- Po prostu byłem miły, Jenny. -- Ton jego głosu się zmieniał; Alex posłał mi takie spojrzenie, jakbym była bez serca. -- A co wolałabyś, żebym zrobił? Kazał się jej odzepić i zabić?

Znów zaczęłam krążyć po kuchni. Odczuwałam głęboki niepokój, a teraz na dodatek Alex wyzwał we mnie poczucie winy.



-- Więc ma myśli samobójcze? Grozi, że zrobi sobie krzywdę? Cóż, mam rację: musimy zadzwonić do jej rodziców. Do opieki społecznej. Nawet do jej lekarza. Przecież w takich przypadkach stosuje się specjalne procedury, prawda?

-- Oczywiście. Tak. Początkowo planowałem zrobić właśnie coś takiego. Ale, jak już mówiłem, jest teraz z nią mama, która usłyszała, jak rozmawia przez telefon i płacze. Tak więc dziewczyna przebywa pod opieką osoby dorosłej. Obiecała, że porozmawia z mamą. Że spróbuje uzyskać wsparcie.

-- A jeśli tak się nie stanie? A jeśli zmyśliła tę rozmowę z mamą? A jeśli zrobi sobie krzywdę, Alexie, a ty jesteś ostatnią osobą, z którą rozmawiała?

-- Jestem przekonany, że to tylko typowy w tym wieku melodramatyzm. Myślę, że nic jej nie grozi. Już mówiłem, że jest z nią teraz mama. Martwiłem się wtedy, kiedy była sama. Jeśli mam być szczerzy, to ty zachowujesz się teraz melodramatycznie.

-- Ja? Melodramatycznie? Jezu, Alex...

No i wtedy zaczęła się kłótnia. Nasza największa i najbardziej nieprzyjemna kłótnia, w której on mnie oskarżył o bezdusność, natomiast ja jego o bycie naiwnym i nieodpowiedzialnym. Ostatecznie zgodził się zadzwonić do matki tej dziewczyny, aby się upewnić, że wie o wszystkim. Słuchałam tej rozmowy i w końcu trochę mi ulżyło.

Później będę musiała przedstawić policji wszystkie szczegóły związane z tym epizodem i naszą kłótnią. Nie miałam pojęcia, że dziewczyną na drugim końcu linii była tamta pierwsza piętnastolatka, którą Alex uwiódł, a później rzucił. Jej matka nie miała pojęcia o traumie córki. Przez cały czas była w pracy, a Alex wcale do niej nie zadzwonił. Najwyraźniej tylko udał, że to robi.

Przez to, że towarzyszyły mi wtedy panika i wściekłość, naprawdę niczego nie dostrzegłam. Zachowanie Alexa uważałam za bezbrzeżnie głupie. Martwiłam się, że ta dziewczyna się w nim zadurzyła i że Alexowi grozi realne niebezpieczeństwo. Że tylko ściągnie na siebie kłopoty, pomagając nastolatce, która niesłusznie może go o coś oskarżyć. Albo zrobić sobie krzywdę.

Otwarcie zażądałam, by przestał ją uczyć.

Od razu się zgodził i obiecał, że będzie ostrożniejszy. Później czułam się zażenowana własną naiwnością. Ale cały ten epizod był zaledwie jednym maleńkim potknięciem i Alex niezmiennie sprawiał wrażenie solidnego, rozsądnego, lojalnego i we mnie zakochanego. Nie miałam powodu podejrzewać go o skoki w bok, a już w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że mógłby to robić z osobą nieletnią.

Dzieląc się detalami tej kłótni z policją, czułam się potwornie głupio. Ale był to jedyny łopot czerwonej flagi w trakcie trwania naszego związku. A Alex tak zmanipulował tę naszą kłótnię, że ostatecznie to ja uznałam siebie za bezduszną.

Prawda była taka -- choć teraz brzmi to doprawdy idiotycznie -- że martwiłam się wtedy o jego reputację. Byłam wściekła, bo się bałam, że ta dziewczyna może mu przysporzyć problemów i że Alex jest zbyt życzliwy i naiwny.

## ROZDZIAŁ 21

### On -- wtedy

Jest środa, tydzień po tej awanturze ze Stanem w Domu Opieki Stokrotka. Dzień w szkole zdaje się nie mieć końca, chłopcu jednak to nie przeszkadza.

Cały czas spogląda przez okno na chmury. Podczas matematyki robi to tak długo, że aż nauczycielka się gniewa. Słyszy, jak wypowiada jego imię, i szybko odwraca głowę. Panna Henderley chce, aby odpowiedział na pytanie, problem w tym, że go nie słyszał. Nadal buja w obłokach, marząc o tym, że jego mama żyje -- marzy, że ma normalnych rodziców, tak jak Jim i Helena.

-- Nie wiem -- mówi teraz.

Patrzą na niego wszyscy uczniowie, a paru się śmieje, że skoro on nie wie, to nikt nie będzie wiedział. Normalnie to on jako pierwszy wykonuje poprawne obliczenia.

-- Dość tego -- oświadcza panna Henderley. -- Starajcie się uważać, wszyscy. Musicie mnie słuchać.

Kiedy dzwonek obwieszcza koniec lekcji, chłopca ściska nieprzyjemnie w żołądku. Noga za nogą udaje się do szatni, gdzie bardzo powoli zakłada kurtkę. Ponownie myśli o chmurach i żałuje, że nie potrafi latać. Nie chce iść do domu. Nie chce jeść podwieczorku. Nie chce śródowych paluszków rybnych, fasolki i lodów. Nie chce tak wcześnie przebierać się w piżamkę. Pragnie latać po świecie. Tak jak te rakiety na jego pościeli.

Z szatni wychodzi jako jeden z ostatnich i na drugim końcu placu zabaw dostrzega babcię w niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym i różowej apasce. W te dni, kiedy pracuje na poranną zmianę, on zaś pozostaje na świetlicy, widok babci bardzo go cieszy. Ale nie w środę, kiedy odbiera go zaraz po lekcjach i muszą iść "szybko, szybko". Pada deszcz, więc chłopiec zakłada kaptur. Podoba mu się to, że kaptur tłumi otaczające go hałaśliwe dźwięki. Często korzysta z tej wymówki. "Nie słyszę cię".

Babcia bierze go za rękę i pyta, jak mu minął dzień.

-- Przepraszam, nie słyszę.

Babcia ściska mu dłoń i odpuszcza pytania. Idą ścieżką wzdłuż której rosną dęby. Chłopiec wie, że to dęby, bo w zeszłym tygodniu na plastyce poznawali różne rodzaje liści. Musieli nazbierać liście, zanurzać je w farbie i tworzyć obrazki. Odciskał je mocno na kartce. Prysk, prysk, prysk -- opryskiwał farbą Suzie, która siedziała obok niego. Nauczycielka kazała mu nie używać aż tyle farby, on jednak wtedy też udął, że nie słyszy.

Droga do domu nie trwa długo i chłopiec żałuje, że nie mieszkają gdzieś dalej.

Babcia zapewnia, że intensywnie szuka innej pracy bez nocnych zmian, ale jest już za stara, no i niezbyt dobra w wielu rzeczach. Chłopiec oświadcza, że według niego jest świetna w wielu rzeczach. Powinna wydawać obiady w jego szkole. Babcia mówi jednak:

-- Życie tak nie działa.

W szkole pracuje wystarczająco wiele pań wydających obiady.

Później siedzi przy stole w kuchni i wpatruje się w paluszki rybne i fasolkę.

-- Nie możesz zostać w domu? Proszę, zostań.

Jej oczy znowu się robią takie dziwne, jakby się miała rozpląkać, i siada na krześle obok niego.

-- Wiem, że to trudne, skarbie, ale nie zrobiłabym tego, gdybym naprawdę nie musiała. Wiele razy ci to mówiłam. Tylko dzięki pracy mamy pieniądze na czynsz i rachunki. A Stan na mnie doniesie, jeśli nie pojawię się na nocnej zmianie. -- Odgarnia mu włosy z czoła. -- Pamiętasz, opowiadałam ci o tym, że kiedy mieszkałam na farmie, tato musiał wychodzić do owiec i mnie zostawiał. Też tego nie lubiłam. I też nie miałam mamusi, pamiętasz? Odeszła od nas, kiedy byłam bardzo mała. Ale nigdy nic się nie stało, kiedy tato wychodził do owiec. A mieszkaliśmy na zupełnym odludziu. Jesteś tutaj bezpieczny. Jeśli tylko przestrzegasz zasad.

Chłopiec kroi paluszek rybny na dwie części. Potem na cztery. I osiem.

Myśli o lekcjach matematyki i swojej nauczycielce. Jest miła.

-- Moglibyśmy poprosić panią Henderley, aby się mną opiekowała w środy w nocy. Zgodziłaby się. -- Proponował to już wiele razy i nie rozumie, dlaczego babcia nie uważa tego za dobry pomysł. Panna Henderley opiekuje się nimi wszystkimi przez cały dzień. Na pewno opieka nad jednym chłopcem przez jedną noc to nic trudnego.

Na twarzy babci widać nagle niepokój.

-- Rozmawialiśmy o tym, skarbie. Zbyt niebezpiecznie mówić o tym innym, zwłaszcza w szkole. Bo mogą donieść opiece społecznej, że sobie nie radzę. I znowu mogliby mi cię zabrać. A nie chcesz tego, prawda?

Kręci głową. To prawda, nie chce, aby to się powtórzyło.

-- To co, będziesz odważny? Tak? Tylko do czasu, aż znajdę nową pracę. A teraz jedz. Na deser lody. Twoje ulubione.

Dwie godziny później babcia znowu ma na sobie niebieski płaszcz i różową apaszkę. Chłopiec ubrany jest w piżamkę, choć jest jeszcze wcześnie. Dopiero szósta.

Babcia powtarza zasady. Nie wolno mu dotykać kuchenki ani niczego, co jest na prąd. Nie wolno mu otwierać drzwi ani odbierać telefonu. Żadnych zapalek, świec ani ognia. Może oglądać telewizję do czasu, aż mała wskazówka pokaże ósmą, a potem musi iść do łóżka. W jadalni i kuchni światło ma być zgaszone, ale w pokoju wolno mu mieć zapaloną małą lampkę.

-- Możemy kupić walkie-talkie? -- Patrzy jej w twarz.

-- Nie stać mnie na takie rzeczy, skarbie. I nie sądzę, aby coś takiego się sprawdziło.

-- W wojsku się sprawdza.

-- Nie jesteśmy w wojsku. Nic ci nie będzie. Jeśli tylko będziesz przestrzegał zasad. Z mieszkania wolno ci wyjść wyłącznie w przypadku pożaru. Masz wtedy wyjść i biec. Ale pożar nie wybuchnie, jeśli będziesz grzeczny, więc nie musisz się tym martwić. Przy zamkniętych drzwiach jesteś tu bezpieczny. -- Patrzy na zegarek. -- Przykro mi, ale muszę już iść. Jesteś grzecznym chłopcem. Małym żołnierzem babci. Pamiętaj, nie jestem... -- Urywa.

Zazwyczaj mówi, że "nie jest daleko", ale chłopiec wie już, że to nieprawda. Pamięta podróż autobusem i długi spacer. Do oczu napływają mu łzy, a babcia bierze głęboki oddech. Całuje go w czoło, mocno przytula i wychodzi.

Ogląda telewizję, ale same w niej nudy. Wypija sok i zjada herbatniki, które babcia zawsze mu zostawia. Z mieszkania pod nimi dobiega jakaś muzyka i podoba mu się to. Nie podoba się dopiero później, kiedy dźwięki cichną.

Trochę mu zimno, więc zakłada szlafrok i pakuje się z książeczkami do łóżka. Niektóre słowa umie już przeczytać, ale nie wszystkie. To dlatego tak bardzo się stara w szkole -- żeby czytać sobie w środy, kiedy zostaje sam. Czasem, kiedy czyta książkę, tak jakby wkleja się w kartki i zupełnie zapomina, gdzie się znajduje. Coś takiego przydałoby mu się właśnie teraz.

Rozgląda się po pokoju w nadziei, że nie ma tu żadnych pajaków. W jedną środę w rogu czaił się wielki pajak, więc chłopiec musiał przenieść się z kołdrą do dużego pokoju i leżeć na sofie. Zamknął drzwi i obłożył dół drzwi poduszkami, żeby pajak się stamtąd nie wydostał. Po powrocie do domu babcia wykrzyknęła: "A co się tu wyprawia?!".

Chłopiec zwija się w kłębek i próbuje zasnąć, lecz robi się coraz ciszej. Nie lubi tej części wieczoru -- kiedy robi się tak cicho. I nie lubi ciemności. Nigdy nie gasi lampki, a pod poduszką trzyma latarkę na wypadek, gdyby nie było prądu.

Często płacze, zwłaszcza jeśli koledzy w szkole opowiadali straszne historie. Zawsze biegnie się bawić, kiedy tylko ktoś zaczyna o tym mówić. O duchach i w ogóle.

Babcia mówi, że duchy nie istnieją, ale on wcale nie jest tego taki pewny. Stara się przestać o tym myśleć. Chce mu się siusiu, boi się jednak przejść przez duży pokój teraz, kiedy jest zgaszone światło.

Czeka i czeka, lecz coraz trudniej mu wytrzymać. Pamięta, co się stało tydzień temu, po tym, jak Stan znalazł go w schowku na pranie.

Włącza latarkę. Wychodzi z łóżka i skrada się w stronę drzwi, po czym omiata snopem światła duży pokój. A kiedy przez niego prze-

chodzi, znowu rozlega się pukanie do drzwi. Tak jak dwa tygodnie temu.

-- Halo? Wiem, że tam jesteś. -- Głos nie jest bardzo donośny, na tyle tylko, aby go usłyszeć przez drzwi.

Chłopiec nieruchomieje. Do tej pory zdarzyło się to zaledwie raz. Wtedy był cicho jak myszka i pukanie i głos w końcu ucichły.

Powinien był powiedzieć o tym babci, ale bał się, że się na niego rozgniewa za to, że wyszedł z łóżka.

Znowu pukanie. Raz, dwa, trzy. Nie jest bardzo głośne. Puk, puk, puk. Raz, dwa, trzy...

-- Widzę pod drzwiami światło. Wiem, że tam jesteś. Wpuść mnie, inaczej zadzwonię na policję.

Chłopiec stoi w kompletnym bezruchu. Policję? Myśli o babci i o tym, jak bardzo będzie zła, jeśli zjawi się policja. Stara się wstrzymać oddech, ale serce wali mu bardzo, ale to bardzo głośno. Może powinien zgasić latarkę? Tyle że za bardzo się boi ciemności.

I wtedy ktoś unosi klapkę na listy w drzwiach i chłopiec widzi nos tego kogoś, kto próbuje zajrzeć.

-- Widziałem, jak twoja babcia wychodzi. Wiem, że jesteś sam. Jeśli zaraz nie otworzysz, to dzwonię na policję.

Teraz chłopiec rozpoznaje głos. To Brian.

Gruby Brian z mieszkania obok.

## ROZDZIAŁ 22

### Matthew

-- Co się stało? O czym mi nie powiedziałaś?

Matthew nie odpowiada od razu. Zamiast tego spogląda na żonę, a potem jego wzrok ześlizguje się na talerz. Stek z frytkami. Wyszmażony idealnie, soczysty i zapewne przepyszny. Jednak z jakiegoś powodu nie ma ochoty wbijać noża w mięso, dlatego stek stygnie.

-- Jak to możliwe, że nic ci nigdy nie umknie, Sally? -- Ponownie wpatruje się w mięso, zastanawiając się, co się stało z jego apetytem; przecież kocha steki. Ale wtedy dostrzega czerwień pośrodku pierwszego plastra i dociera do niego... Jest idealnie średnio wypieczony, lecz ten błysk surowizny przywołuje pewne wspomnienie. Matthew nie należy do osób delikatnych, ale jego myśli uparcie wracają do tamtego okrutnego, fałszywego ataku. Ciało. Kwas. Te potworne chwile, kiedy czekał, aż skóra Alice zmieni kolor.

-- Czary. Nie mów nikomu, ale jestem pełnoprawną dobrą wróżką. To może ty teraz zjedz, ja zajrzę do naszej księżniczki Pippy Pocket, a potem wszystko mi opowiesz. Umowa stoi?

Kiwa głową. On i Sally są małżeństwem już ładnych kilka lat. Bardzo ją kocha, zastanawia się jednak, czy kiedykolwiek dane mu będzie w pełni zrozumieć funkcjonowanie kobiecego mózgu. Czasami wyobraża sobie podczas śniadania dorosłą Amelie. I to, jak obie rozmawiają w zupełnie obcym języku. O tym, kto powiedział co i kiedy. O modzie i plotkach.

I poduszkach.

Uśmiecha się do Sally i ma wyrzuty sumienia, że nie zawsze jej słucha. Poznał ją w pracy -- podczas trudnej i pełnej emocji sprawy dotyczącej jej dwóch przyjaciółek z dzieciństwa. Czasami robi mu się zimno na myśl, co by się stało, gdyby Beth, przyjaciółka Sal, zdecydowała się zatrudnić innego prywatnego detektywa. Jak wyglądałoby jego życie?

Na pewno byłoby w nim mniej poduszek, myśli złośliwie, wyobrażając sobie niezliczone obleczone jedwabiem poduchy walające



się na ich łóżku.

-- A ty co się tak nagle szczerzysz?

-- Nieważne. Kocham cię, Sally.

-- Ja ciebie też. Jedz.

Sally wychodzi z kuchniojadalni i udaje się na górę. Matthew sły-  
szy protesty córki, sugerujące, że wcale nie jest zmęczona. Ponownie  
się uśmiecha. Czy dziecko kiedykolwiek powie, że jest inaczej? Do-  
biega go wspólny śpiew, a potem ostrzeżenie Sally: "A teraz spać".

W końcu jego żona schodzi na dół, on zaś zabiera się do jedzenia.

-- Wreszcie. Potrzebujesz żelaza, Matt. Jakoś tak mizernie wyglą-  
dasz. Czytałam niedawno w gazecie, że niedobór żelaza występuje  
częściej, niż się sądzi. No to dawaj. Zamieniam się w słuch.

Sięga po butelkę wina, on jednak zasłania dłonią kieliszek i kręci  
głową. Po raz kolejny myśli o Alice i przepełnia go niepokój. Możli-  
we, że jeszcze gdzieś dziś pojedzie.

-- Można powiedzieć, że nawaliłem. Alice nie chciała jechać  
moim samochodem. Powinienem był na to nalegać, no ale nie nale-  
gałem. Doszło do ataku z użyciem fałszywego kwasu i to było  
straszne.

-- Czym jest, u licha, atak z użyciem fałszywego kwasu?

Opowiada o motocyklicie i lodowato zimnej wodzie w butelce.  
I o tym, że zakładali najgorsze.

-- W sumie to znak czasów. Motocyklista wiedział, że uznamy to  
za kwas. Tym straszniejszy jest jego czyn.

-- Potworność. I dziwne to... zadać sobie tyle trudu dla fałszy-  
wego ataku? No bo przecież mógł zostać złapany. Na pewno będzie  
zapis z kamer?

-- Na razie nie ma. I wydaje mi się, że to było ostrzeżenie. Coś  
w stylu: "Zobacz, co mogę ci zrobić, jeśli będę miał taką ochotę".  
Klasyczne stalkingowe zagranie. Chodzi o zastraszenie Alice.

Sally wygląda na wstrząśniętą. Matthew opowiada jej o podwój-  
nej tożsamości swojej klientki.

-- Więc nie pracujesz już nad tą sprawą? W sumie to dobrze,  
skoro klientka nie może ci nawet powiedzieć prawdy o sobie. To się  
staje stanowczo zbyt skomplikowane.

Uśmiecha się, słysząc ten dowód żoninej lojalności. Sally pragnie go chronić i podoba mu się, że tak się przejmuje. W rzeczywistości jednak gniew już mu minął. Poczytał więcej o sprawie Alexa Sunninghama i żał mu Alice -- albo Jennifer czy tam jak chce, aby ją nazywano.

-- To co, nie pracujesz już nad tym? -- Sally nachyliła się, bacznie mu się przyglądając.

-- Cóż, jej chłopak mnie zwolnił, więc nie.

-- To dobrze. Powinniśmy trochę zainwestować w reklamę. Znaleźć ci jakieś lepsze zlecenia. Fajnie, że dostałeś właśnie przelew za to korporacyjne szkolenie. Wystarczy na kilka miesięcy. I nie podoba mi się, że podjąłeś się sprawy, przy której musiałeś opuścić swoją strefę komfortu. Od początku wiedziałam, że to kiepski pomysł. To było prawie jak praca ochroniarza, zajęcie nie dla ciebie. Zresztą skoro policja nie jest w stanie zapewnić tej kobiecie bezpieczeństwa, to jak ty masz to zrobić? Sam? -- Wstaje od stołu i zaczyna się krzątać po kuchni.

W tym momencie Matthew dostaje esemesa. Od Melanie.

Za godzinę w naszej kawiarni. Dasz radę?

Chowa telefon do kieszeni i wbija wzrok w plecy żony, wkładając jej naczynia do zmywarki. Będzie się martwić, jeśli jej powie, że spotyka się z Melanie. Komisarz Sanders niezmiennie go namawia na powrót w szeregi policji, Sally jednak nie ma pewności, czy to byłoby dla niego dobre. Martwi się, że przywoła duchy z przeszłości. Matthew odszedł z policji, gdyż obwiniał się o śmierć dziecka. Nadal dręczą go czasem koszmary. Sally będzie się denerwować, jeśli wspomni o Melanie.

-- Muszę gdzieś wyskoczyć. Nie masz się czym martwić. Możliwe, że wpadnie mi nowa sprawa. Niedługo wrócę.

Żona się odwraca.

-- O ile tylko nie jest to ten koleś, który uważa, że próbują go porwać mali ludzie.

-- Kto wie. -- Puszczą do niej oko, po czym podchodzi, aby ją pocałować.

Niewykluczone, że rzeczywiście sprawdzi, co u Iana i jego ludziów. Jeśli nie dzisiaj, to niedługo.

W kawiarni została godzina do zamknięcia. Wieczorami serwują tu burgery z frytkami, aby napędzić sprzedaż, i Matthew jest zaskoczony, że choć pochłonął stek, perspektywa zamówienia burgera wydaje mu się kusząca. Na szczęście ma dobry metabolizm, ale za kilka lat będzie się musiał zacząć pilnować.

Nie. Burger to jednak zły pomysł.

Melanie zjawia się zaledwie kilka minut po nim i wydaje się jeszcze większa niż podczas ich ostatniego spotkania.

-- Jesteś pewna, że masz na to wszystko energię, Mel? Nie łatwiej byłoby ci odejść wcześniej na macierzyński? Lada chwila urodzisz trojaczki.

Kobieta przechyliła głowę i pokazuje mu język.

Podchodzi kelnerka, aby przyjąć zamówienie -- dla niego tylko kawa, za to Melanie ponownie decyduje się na ciasto marchewkowe, a do niego zamawia herbatę earl grey.

-- Pięknie. Alice okazała się Jennifer. -- Matthew bierze ze stojącej na stole miseczki saszetkę z cukrem, szybko się jednak mityguje i ją odkłada. Nie ma czasu na zabawę.

-- Mój szef się wściekł. -- Mel nachyla się w jego stronę. -- Więc zasady są takie jak zawsze. Nie spotykamy się i nie rozmawiamy o tym.

Unosi ręce gestem poddania.

-- Jasna sprawa, wiesz przecież, że słowa nie pisnę.

-- Okej. No więc przywołałam Alice do porządku, ale jeśli mam być szczerą, to trochę mi jej szkoda. Teraz, kiedy znam całą historię. I zważywszy na to, co stało się dziś rano.

Ulżyło mu, kiedy to usłyszał. Melanie nie jest osobą, z którą warto zadzierać. Pod tą łagodną i aktualnie ciężarną przykrywką kryją się nerwy ze stali. Gotów się był założyć, że dała Alice nieźle popalić.

-- Nie powiedziałam jej jeszcze wszystkiego, Matt. Tak przy okazji, chce, abyśmy nadal nazywali ją Alice. To jej drugie imię i twierdzi, że siostra i matka przyzwyczyły się do niego. No ale mniejsza

z tym. Mówię ci o tym dlatego, że w ciągu doby pojawi się to w gazetach i chcę wiedzieć, co myślisz. Alex Sunningham przepadł.

-- Chyba nie mówisz poważnie?

-- Chciałabym. Po raz kolejny nie zameldował się u kuratora. I zniknął z hostelu, w którym mieszkał. Planowaliśmy przez jakiś czas tego nie rozgłaszać, wygląda jednak na to, że się nie uda. I nie dlatego, że chcemy go przesłuchać w związku z Alice. Ona musi wiedzieć, ma prawo wiedzieć, że to nasz główny podejrzany. Miałam nadzieję, że do teraz uda nam się go znaleźć...

Matthew unosi lewą brew. Melanie wzdycha i oboje się prostują, kiedy zjawia się kelnerka z zamówieniem. Po jej odejściu Mel kontuuje:

-- Nioletnia, tamta piętnastolatka, z którą uciekł, także zniknęła z domu.

-- Żartujesz?!

-- Niestety nie.

-- Sądziłem, że udzieliła prasie ogólnokrajowej wywiadu, aby ostrzec w ten sposób inne dziewczyny. Myślałem, że teraz go nienawidzi. Co o tym myślisz? Że ją dorwał? Że to zemsta?

-- Na tym etapie nie wiemy, co myśleć. Ona ma teraz osiemnaście lat. Jest w trakcie zdawania egzaminów i wybiera się na studia. Jej rodzice są w rozsypce. Taki brak kontaktu jest nie w jej stylu. Nikt nie wie, co sądzić: czy to zbieg okoliczności, agresywne posunięcie ze strony Alexa, a może jeszcze coś innego...

Matthew wzdycha i bierze łyk kawy. Przez głowę przebiegają mu myśli dotyczące Alexa Sunninghama.

-- I chcesz wiedzieć, co o tym sądzę? Na temat tej nastolatki, ale także Alice... Pytasz, czy moim zdaniem to zemsta?

-- Tak. Jezu, Matt. Nie mogę odżałować, że nie pracujesz ze mną nad tym oficjalnie. Ale jako że i tak siedzisz w tej sprawie, to mam nadzieję, że uda ci się pomóc. Wierzę twojej intuicji. Wiesz o tym. No więc jakie jest twoje zdanie? Co powinnam myśleć? Oczywiście warunki zwolnienia Alexa zakazują mu jakichkolwiek kontaktów z tą dziewczyną. Będę współpracować z drugim zespołem, który bada zaginięcie nastolatki i naruszenie przez Alexa warunków zwolnienia.

Ale czy zakładamy, że stał się agresywny? Jak myślisz? Szczerze mówiąc, mam mętlik w głowie.

-- Kilka lat za kratkami mogło zmienić tego gościa w zupełnie innego człowieka. Oboje wiemy, że jest mendą, ale równie dobrze mógł się w nim uruchomić agresor. Miał mnóstwo czasu na myśli pełne goryczy. Skrzywienie dotychczasowych przekonań. Przypuszczam, że byłby zdolny do stalkingu. I zemstczenia się na tej nastolatce.

-- Zgadzam się z tobą. Musimy go znaleźć bardzo, ale to bardzo szybko. Plan jest taki, że jeśli dziewczyna nie odnajdzie się do rana, to zostanie zwołana konferencja prasowa.

-- Co oznacza, że w mediach znowu się zrobi głośno o sprawie Alexa Sunninghama.

-- Tak. A Alice, a raczej Jennifer, będzie musiała zdecydować, jak to rozegrać. Ty jej możesz o wszystkim powiedzieć, chcę jednak znać jej reakcję. Zgoda?

Matthew dopija kawę, następnie wyjmuje telefon.

-- Okej. Ale jest moją klientką, więc to delikatna sprawa.

Milknie, przypomniawszy sobie, że formalnie rzecz biorąc, został zwolniony. Podnosi wzrok na Mel. Tak naprawdę nie jest gotowy na odpuszczenie tej sprawy. Nie po tym dzisiejszym ataku. A dlatego, że wciąż pamięta tamte potworne zdjęcia ze sprawy ze studiów. Udużonej pod prysznicem Rachel Allen. Takiej młodej...

Coś mu mówi, że to dlatego Mel jest teraz taka poruszona. Sfrustrowana i zaniepokojona tym, że mogą coś błędnie odczytać.

-- Nie do końca mam pewność, na czym stoję z Alice, więc otwarcie ją poinformuję, że współpracujemy. Och, i jeszcze jedno, Melanie. Przysługa za przysługę. -- Przewija w telefonie zdjęcia. -- Chciałbym wiedzieć, do kogo należy ten samochód. Czarny golf. -- Pokazuje jej zdjęcie, ona zaś wyjmuje swój telefon i fotografuje zbliżenie na tablicę rejestracyjną.

-- Dlaczego?

-- Może to nic takiego. Ale widziałem go dwa razy w czasie, kiedy miałem oko na Alice. Niewykluczone, że nas śledził. Pewności nie miałem. Tamten motocyklista odwrócił moją uwagę.

-- Okej. Sprawdzę i dam ci znać. A tymczasem chcę, żeby Alice pomęczyła się do jutra za to, że nas wprowadziła w błąd. W ramach przysługi napiszę do ciebie, jeśli ta dziewczyna się nie pojawi, abys mógł ostrzec Alice, zanim o wszystkim dowiedzą się media. Chcę jednak wiedzieć, jak zareaguje. Będę szczerą: według mnie w tej chwili ty masz większą szansę niż ja na to, aby ją rozgryźć. Koniecznie muszę się dowiedzieć, czy twoim zdaniem możemy jej zaufać. A potem będę ją musiała ponownie ściągnąć na przesłuchanie. Może ma jakiś pomysł w kwestii tego, dokąd mógł uciec. Ona musi z nami współpracować, Matt. Koniec tych niemądrych gier. Musi nam pomóc go znaleźć... dla własnego dobra.

## ROZDZIAŁ 23

### Alice

Spaliśmy w jednym łóżku, ale było to równie krępujące jak po kłótni -- każde na swoim brzegu, uważając, by nie dotknąć drugiego.

Mamy czwartek. A ja nadal jestem w szoku po wczorajszym ataku. Żenuje mnie świadomość, że wiedzą już o Alexie i że zarówno policja, jak i Matthew i Tom są na mnie źli. Ale czuję także ogromną ulgę, że w lustrze widzę to samo. Co rusz dotykam twarzy, nadal zdumiona tym, że nie ma na niej uszkodzeń. Cieszę się również, że mam trochę czasu na przegrupowanie, nim dojdzie do kolejnego incydentu. Przed następną środą.

-- Kawy?

Głos Toma przywołuje mnie do rzeczywistości. Do jego nastroju, który trudno odczytać. Po raz pierwszy widzę go w spodniach od piżamy i zastanawiam się, skąd je wziął -- nie miałam pojęcia, że w ogóle takowe posiada.

-- Poproszę.

Obserwuję, jak chyłkiem opuszcza pokój, a potem się rozglądam, rejestrując porządek i bardzo męski wystrój, tak bardzo różny od tego, który mam u siebie. Jego mieszkanie w Exeter mieści się na drugim piętrze bloku na nabrzeżu, z dużym balkonem, z którego rozciąga się widok na rzekę Exe. Jest stąd dogodny dojazd zarówno do centrum, jak i na dworzec, co Tomowi bardzo teraz odpowiada, bo przecież tyle czasu spędza w Londynie. Dawniej zajmował się prawem karnym, obecnie jednak jego domeną jest prawo spółek. To obszar bardziej lukratywny i dotyczący niemal wyłącznie miast.

Czasami Tom przebąkuje o wynajęciu czegoś w Londynie, ale podobnie jak mnie podoba mu się życie w nadmorskim miasteczku, no i bardzo lubi swoje mieszkanie. Ma porządne zabezpieczenia, więc nie musi się o nie martwić podczas wyjazdów. Jest tu wideofon i kamery, więc w tej chwili idealnie odpowiada także mnie -- czuję się tu niemal równie bezpiecznie jak w domu Leanne w Dorset.

Naprzeciwko łóżka stoi wielka szafa, za którą Tom kilka miesięcy temu zapłacił krocie i w której wiszą jego garnitury i płaszcze. Po obu stronach łóżek znajdują się szafki nocne. Ze świecą szukać tu bałaganu obecnego w moim wynajmowanym domu. Zerkam na stronę Toma -- na szafce stoi oprawione w ramkę zdjęcie jego rodziców. Jest podobny do ojca. Był chirurgiem, matka lekarzem rodzinnym. Syn późno pojawił się w ich życiu. Nic dziwnego, że obecna sytuacja jest dla niego taka niekomfortowa. Tom nie ma pojęcia, jak bardzo uprzywilejowane jest jego życie.

W końcu wraca z dwoma kubkami. Biorę od niego jeden, próbując przywołać uśmiech na twarz.

-- No więc mam cię nazywać Alice czy Jenny? -- W jego głosie słychać napięcie.

-- Alice. Postanowiłam pozostać przy Alice. To moje drugie imię. Znaczący, prawdziwe drugie imię, no i podoba mi się, gdy widnieje pod artykułami. Już się do niego przyzwyczaiłam.

-- No tak. -- Pije kawę i wpatruje się w unoszącą się z kubka parę. Wyraźnie unika mojego wzroku.

-- Posłuchaj, Tom, wolno ci się gniewać. Sprawa jest poważna. Wiem o tym. Spróbuj to z siebie wyrzucić. Bądź szczery. Jeśli musisz się na mnie gniewać, to się gniewaj.

Przez chwilę stoi w zupełnym bezruchu i dostrzegam w jego oczach ból, co ponownie jest dla mnie policzkiem. Właśnie to okazało się najtrudniejsze, kiedy wczoraj zabrał mnie z komisariatu i tu przywiózł. Ból zamiast gniewu.

-- To nie tak, że jestem zły. Po prostu to nadal jest dla mnie szok. Pedofil, Alice. Ty naprawdę mieszkałaś z pedofilem...

-- Nie mogłam o tym wiedzieć, Tom. Uwierz mi, bicuję się za to każdego dnia, zastanawiając czy może istniało coś, co mogłam albo co powinnam była zrobić, by ochronić tamte dziewczyny. Ale nie miałam o niczym zielonego pojęcia.

-- Tak. Oczywiście. Niepotrzebnie to powiedziałem. Musiało to być dla ciebie straszne... -- W końcu podnosi na mnie wzrok. -- Czy dlatego tak ci jest trudno?

-- Słucham?



-- Ze mną, Alice. Staram się nie naciskać. Daję ci przestrzeń i pozwalam, aby wszystko działało się w swoim tempie. Ale prawda jest taka, że nie wiem, na czym z tobą stoję...

Otwieram usta, aby odpowiedzieć, ale w tym momencie dzwoni leżący na nocnej szafce telefon i zerkam na wyświetlacz.

-- To Matthew. Lepiej odbiorę.

-- Dziwię się, że ma czelność dzwonić. Pomógł wczoraj, że ho, ho.

Odwracam się w stronę okna i przyciskam telefon do ucha. W przeciwieństwie do Toma nie obwiniam Matthew za wczorajszy atak. Sama jestem sobie winna, bo uparłam się jechać swoim samochodem. Spodziewam się, że dzwoni teraz do mnie, by zapytać o przesłuchanie przez Melanie Sanders, i zdumiona jestem, kiedy się okazuje, że niemal brak mu tchu.

-- No dobrze. Nie będę owijał w bawełnę, Alice. Lepiej, żebyś od razu się o tym dowiedziała. Alex Sunningham złamał zasady zwolnienia warunkowego i zniknął. Podobnie jak tamta nastolatka, z którą uciekł. Dziewczyna do dzisiaj nie skontaktowała się z rodzicami, więc w mediach pojawi się apel o namierzenie Alexa. Istnieje spore ryzyko, że temat podłapią brukowce, może nawet telewizja. Uznaliśmy, że powinniśmy cię ostrzec. No i policja chce cię dzisiaj ponownie przesłuchać.

Przyciskam telefon do ucha tak mocno, że aż wgniatam je w wyświetlacz. Przez chwilę nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu.

-- Co się stało? -- pyta Tom, stając obok mnie.

Na chwilę opuszczam rękę z telefonem. Zaciskam powieki, próbując zebrać myśli, po czym ponownie powoli przykładam aparat do ucha.

-- Nie wiem, co powiedzieć, Matthew. Nie wiem, co myśleć. Co uważa policja? Naprawdę sądzą, że ta dziewczyna z nim uciekła? Czy też że ją porwał albo jeszcze coś innego?

-- Nie wiedzą. Jest obecnie dorosła, ale nie w tym rzecz. Warunki jego zwolnienia zakazują mu wszelkiego kontaktu z tą dziewczyną, a teraz jest także głównym podejrzanym w twojej sprawie, więc muszą go znaleźć w trybie pilnym. -- Pauza. -- Posłuchaj, chcę być z tobą szczery. Melanie Sanders prosiła, abym przekazał jej twoją re-

akcję, i nie mogę sobie w tym przypadku pozwolić na wątpliwości. Ona jest świetną policjantką, Alice, i zarówno ty, jak i ja potrzebujemy mieć ją po naszej stronie. Koniec z ukrywaniem przed nią cze-  
gokolwiek. Musisz być stuprocentowo szczerą z nią i ze mną. No więc masz jakiś pomysł, jakieś przeczucie w kwestii tego, gdzie mógł się zaszyć Alex? Przychodzi ci coś do głowy? Przyjaciele? Krewni? Szczególne miejsca? Cokolwiek, co moglibyśmy przekazać poszukującym go policyjnym zespołom.

Próbuję się zastanowić. Patrzę to w prawo, to w lewo, ale nie potrafię tego ogarnąć. Tak bardzo i tak długo starałam się nie myśleć o tym przeklętym człowieku, a teraz nagle się okazuje, że przebywa na wolności. Nie wiadomo gdzie. To dla mnie zbyt wiele.

-- Nie mam bladego pojęcia, gdzie on może być, Matthew. Taka jest prawda, przysięgam. Jeśli mam być szczerą, to nigdy więcej nie chciałabym słyszeć o tym mężczyźnie. Ale rozumiem. Od teraz będę z tobą szczerą. I z policją. Obiecuję. I dziękuję, że mi o tym powiedziałeś. -- Nowa myśl. -- Wiesz, kiedy to wszystko zostanie upublicznione? -- O nie. Moja matka. Spoglądam na budzik i zaczynam wstawać z łóżka. Moja matka zawsze ogląda telewizyjne wiadomości. Jezu.

-- Nie wiem. Dam ci znać, jeśli dowiem się czegoś więcej. No dobrze, czujesz się bezpieczna, Alice? Nie jesteś sama? To znaczy wiem, że to nie środa i że nie prowadzę już tej sprawy, ale...

-- Jestem z Tomem. Nadal jest zły na mnie, i na ciebie też. -- Kiedy wypowiadam te słowa odwracam się i patrzę na Toma. -- Zresztą wcale mu się nie dziwię. Chciałabym jednak, żebyś dalej nam pomagał, Matthew. Jesteś na to gotowy? Zapłacimy ci, to znaczy ja ci zapłacę.

Cisza.

-- Okej. To pytanie było nie fair. Nie musisz od razu odpowiadać. Zadzwoń do ciebie po spotkaniu z matką.

Kiedy kończę rozmowę, Tom piorunuje mnie wzrokiem.

-- Żartujesz? Ty naprawdę chcesz, aby Matthew Hill nadal się tym zajmował? Po tym, co się stało?

-- Chcę. Proszę, Tom. Wiem, że udajesz, że nie jesteś wściekły, i że dusisz to w sobie, ale bardzo cię proszę o cierpliwość. Pojedziesz ze mną do mamy? Ten temat pojawi się w wiadomościach. Alex Sunningham dał nogę. Wyjaśnię ci wszystko po drodze, ale muszę ostrzec moją matkę. W przeciwnym razie będzie się potwornie zamartwiać.

Godzinę później parkujemy pod domem opieki. Tom jest już w innym nastroju, wydaje się bardziej zaniepokojony niż zły. Ostatecznie zgodził się -- choć niechętnie -- aby Matthew dalej prowadził tę sprawę. Obserwuję go z fotela pasażera; wiadomość o zaginięciu Alexa Sunninghama mocno nim wstrząsnęła. Twierdzi, że czuje się bezradny, i tylko dlatego zgodził się na ponowne zatrudnienie Matthew. Uważa, podobnie jak komisarz Sanders, że to Alex stoi za przesładowaniem mnie, aczkolwiek mnie samej nadal trudno w to uwierzyć.

-- Mam wejść z tobą? -- Rozgląda się po parkingu, sprawdzając, czy nikt nas nie śledził.

-- Nie. Mają tu dobre zabezpieczenia. Dam sobie radę. Czuję się tutaj bezpieczna.

-- A mówiłaś mamie o stalkingu?

-- Nie, oczywiście, że nie. Jest za bardzo chora. Ale oczywiście wie o wszystkim, co dotyczy Alexa, i zna powód mojej zmiany imienia i nazwiska. Muszę się pospieszyć. Zaczekasz tutaj?

-- Jasne.

Zerkam na zegarek. Cholera, minuta po pełnej godzinie, co oznacza porę wiadomości. Szybkim krokiem udaję się do budynku, niestety w recepcji muszę zwolnić. Zostaję wpisana na listę gości, otrzymuję przepustkę, następnie pielęgniarka prowadzi mnie do pokoju mamy.

Gorzej być nie może. W chwili, kiedy wchodzę do pomieszczenia, mama trzyma w ręce pilota i skacze po kanałach. Na jednym prezentowana jest historia podpalenia. Na drugim prognoza pogody. Ale mama przełącza na kanał z wiadomościami na satelicie i oto on. Alex Sunningham. Pełnoekranowe zdjęcie. Głos w tle przedstawia apel policji o pomoc w odnalezieniu miejsca pobytu tego człowieka,

następnie zostaje puszczony materiał filmowy przypominający jego przeszłość, a na końcu pojawia się starsze zdjęcie Alexa, pozującego z uśmiechem przy pianinie.

Mama odwraca się w moją stronę. Nagle oddycha z jeszcze większym trudem niż normalnie, jej klatka piersiowa mozolnie unosi się i opada, w oczach zaś maluje się niepokój.

-- To znowu on. W telewizji... -- A potem rzeczywiście walczy o oddech, przyciskając prawą dłoń do piersi. Zbyt wiele słów.

Chwytam pielęgniarkę za ramię.

-- Proszę jej pomóc. Proszę. To dla niej wielki szok. Ta historia w wiadomościach.

Pielęgniarka wprawnie majstruje przy butli z tlenem, nakłaniając mamę do wolniejszego oddychania.

-- Staraj się nie mówić, mamo. -- Nachyliłam się, tak że stykamy się czołami. -- Wiem o tym wszystkim, co pokazano w wiadomościach. Dlatego tu przyjechałam. Proszę, nie denerwuj się. Postaraj się złapać oddech. Nie musisz się tym martwić. Nic mi nie jest. Wszystko będzie dobrze.

## ROZDZIAŁ 24

### Matthew

Jest przedpołudnie i nawet w chwili, kiedy wciska dzwonek, Matthew się zastanawia, czy nie popełnia błędu. Otwiera w telefonie przeglądarkę i przebiega wzrokiem po nagłówkach. Konferencja prasowa poświęcona Alexowi Sunninghamowi zdobyła spory rozgłos, na razie jednak brak nowych wiadomości ze strony policji. Żadnych tropów i wzmianek o tym, że go gdzieś widziano. Matthew początkowo planował wczoraj wieczorem wykonać szybki telefon w sprawie "Iana i małych ludzi", ale zrobiło się za późno. Czasu nie ma też dziś, ale nie potrafi wyrzucić z pamięci cichego płaczu Iana.

Kiedy drzwi się w końcu otwierają, detektyw jest zaskoczony. Mężczyzna okazuje się starszy, niż wskazuje na to jego głos -- jest szczupły i nienagannie ubrany. Koszula i krawat, czysty, aczkolwiek nieco znoszony kardigan, a do tego spodnie z kantem.

-- Ian Ellis?

-- A kto pyta?

-- Jestem Matthew Hill. Rozmawialiśmy przez telefon o małych ludziach.

-- Och, no tak. Rety, a więc w końcu przyjmuje pan tę sprawę?

-- Niezupełnie. Proszę posłuchać, szczerze mówiąc, mam mało czasu, ale pomyślałem, że na chwilę zajrzę. Podczas naszej ostatniej rozmowy wydał mi się pan nieco zdenerwowany.

Ian oblewa się rumieńcem i wbija wzrok w ziemię, jakby się nad czymś zastanawiał. Następnie unosi głowę i spokojnie patrzy Matthew w oczy.

-- Proszę wejść. Są na górze. Będziemy musieli być cicho.

Ian przykładą palec do ust i pierwszy zaczyna wchodzić po stromych schodach. Na piętrze staje naprzeciwko otwartych drzwi, które prowadzą do dużej sypialni. Wskazuje głową na podłogę przy wejściu do pokoju.

Matthew nachyla się w tamtą stronę i wyteża wzrok.

-- Przykro mi, ale niczego nie widzę.

Ian wypuszcza głośno powietrze.

-- No tak, oni to właśnie robią.

-- Co?

-- Robią się niewidzialni, kiedy im tak pasuje. Coś panu powiem, wydaje mi się, że specjalnie zrobili w tej chwili tak, że tylko ja ich widzę. To część ich planu.

-- Aby pana porwać.

-- No tak. -- Ian ściąga brwi. -- To oczywiste.

Matthew milczy. Ma akurat widok na wnętrze pokoju. To raczej sypialnia jakiejś kobiety. Na podłodze leżą różowe kapcie, na łóżku zaś leży miękki, puchaty szlafrok. Na drzwiach szafy wisi elegancka zielona suknia, jakby naszykowana do wyjścia. W kącie stoi toaletka z fiolkami perfum, porcelanowymi miseczkami i świecidełkami.

-- Coś panu powiem, Ianie. Może napijemy się razem herbaty? Przeanalizujemy, czym dysponujemy.

-- Doskonały pomysł. Wiedziałem, że się pan zainteresuje, kiedy dotrze do pana, z czym się muszę mierzyć.

W kuchni na dole Ian parzy herbatę z entuzjazmem i rozmownością osoby nieprzyzwyczajonej do towarzystwa. Matthew słusznie podejrzewał, że obecny stan rzeczy wynika po części z samotności, i martwi się teraz, że oferując fałszywą nadzieję, tylko wszystko pogorszy. Ian jest trochę starszy, niż się spodziewał. Przez telefon brzmiał jak osoba po pięćdziesiątce, ewentualnie po sześćdziesiątce, gdy tymczasem musi się już zbliżać do osiemdziesiątki.

-- Tak po prawdzie nadal uważam, że nie mam odpowiednich kwalifikacji, aby zająć się pańską sprawą, pomyślałem jednak, że może gdybym dysponował nieco większą liczbą informacji, to może udałoby mi się coś wymyślić.

-- Ma pan na myśli innego detektywa? -- Ian układa na talerzyku kilka rodzajów słodkości: herbatniki, ciastka owsiane i dwa wafelki oblane czekoladą. Następnie prowadzi gościa do salonu.

Tutaj także panuje idealny porządek. Matthew przypuszcza, że Ian nie ma nic do roboty poza sprzątaniem. Na tę myśl jeszcze boleśniej ściska mu się serce.

-- Mogę więc wiedzieć, czy mieszka pan obecnie sam? -- Starszy pan wyciąga w jego stronę talerz, ale Matthew kręci głową. -- Po prostu zauważyłem, że ten pokój na górze, ten, którym najwyraźniej interesują się mali ludzie, wygląda jak sypialnia kobiety. Partnerki? Córki? Innej krewnej?

Ian zanurza ciasteczko w herbacie i wpatruje się w nie tak, jakby czekał, aż perfekcyjnie nią nasiąknie. Wtedy szybko wkłada je do ust.

-- Jest pan spostrzegawczy. Spodziewałem się tego. Ale nie zacznie pan znowu mówić o mechanizmach uruchamiających, panie Hill?

-- Nie, nie. Próbuję jedynie zebrać potrzebne mi informacje. Dzięki nim mógłbym zasugerować kogoś, kto być może by panu pomógł.

-- Mam tylko jedno dziecko, córkę, która mieszka za granicą. W Kanadzie. Jessica. -- Ian odstawia talerz i filiżankę, po czym podchodzi do komody i bierze do ręki ramkę. Na zdjęciu widać tęgą, uśmiechniętą kobietę koło pięćdziesiątki, której towarzyszy wielki czarny pies. -- Niestety nie widzieliśmy się już kilka lat, bo żadne z nas nie jest zamożne. A podróże, cóż, są spektakularnie drogie. Poza tym martwię się, co mogłoby się stać, gdyby podążyli za mną mali ludzie. Sytuacja awaryjna podczas lotu. Nie mógłbym tym obarczyć swojego sumienia.

-- Naturalnie. -- Matthew zbliża dłoń do ust, aby zasłonić uśmiech. Zaskakuje go to, że czuje sympatię do tego dziwnego starszaka.

-- Rozmowy telefoniczne także są bardzo drogie, więc po prostu wysyłamy do siebie kartki, ja i Jessie. No wie pan. Z okazji urodzin i Bożego Narodzenia. Ma adres mailowy i mówi, że mogę na niego pisać, no ale jednak nie mogę. Podobno trzeba mieć moduł.

-- Modem?

-- Jakoś tak. Telefony komórkowe powodują raka. Nie zamierzam przykładać czegoś takiego do ucha.

-- A czy Jessica wie o małych ludziach? Ich spisku?

-- Oczywiście, że nie. Nie mogę dopuścić, żeby się o mnie martwiła, będąc na drugim końcu świata. Cóż byłby ze mnie za ojciec? Bo co ona mogłaby zrobić?

-- Czyli to dawny pokój Jessiki? Na górze?

-- O nie. Nie, nie. -- Ian nagle wygląda na przybitego. -- To pokój Barbary.

-- Barbary?

-- Mojej żony.

W tym momencie dzwoni telefon Matthew. Melanie Sanders.

-- Bardzo mi przykro, ale muszę odebrać. Mogę przeprosić pana na chwilę?

-- Wie pan, że komórki smażą panu mózg, prawda, panie Hill? To spisek. Rząd o tym wie, ale siedzi cicho, bo chce kasować podatki. Przez ten telefon nabawi się pan raka mózgu...

-- Będę musiał podjąć to ryzyko. -- Matthew wychodzi na korytarz i zniża głos. -- Halo, Mel. Dobre wieści w kwestii Alexa?

-- Nie. Przykro mi. Na tym polu nic nowego. Chciałam ci jedynie dać znać, że jadę zaraz do redakcji Alice, porozmawiać z jednym z jej współpracowników.

-- Dlaczego?

-- Dlatego, że ten czarny golf, który wydawało ci się, że mógł śledzić ciebie i Alice, należy do jednego z dziennikarzy. Jacka Trentera. Głównie skupiamy się na Alexie, to oczywiste. Ale czy wiesz coś o tym Jacku? Alice o nim wspominała?

-- Nie. Ani razu. Daj znać, jeśli się czegoś dowiesz, okej? Jak już mówiłem, nie miałem stuprocentowej pewności, że nas śledzi. Ale to, co mówisz, brzmi raczej dziwnie. Postaram się dowiedzieć, co sądzi Alice.

-- Okej. I dzięki za cynk. Napiszę do ciebie. Musimy znowu porozmawiać.

Matthew ściąga brwi. Niezupełnie miał to być cynk i wcale nie ma pewności, co z tym zrobić. Sądził raczej, że po odnalezieniu Alexa cała ta sprawa zostanie rozwiązana.

Czemu więc jeden z kolegów Alice miałby ją śledzić?



## ROZDZIAŁ 25

### On -- wtedy

Gruby Brian palcami przytrzymuje klapkę na listy i przysuwa do niej twarz.

-- Mówię poważnie. Otwórz, młody człowieku, w przeciwnym razie zadzwonię na policję.

-- Moja babcia śpi. Obudzi ją pan.

-- Wcale nie śpi. Widziałem, jak wychodzi. Posłuchaj, ja chcę ci tylko pomóc. Nie powinieneś być w mieszkaniu sam. Jesteś za mały. Nie mogę tak tego zostawić, kiedy już wiem, że jesteś w domu bez żadnej opieki. Nie chcę mieć tego na sumieniu i coś mi mówi, że tobie też wcale się to nie podoba. Znaczy to, że jesteś zupełnie sam.

Nie rusza się. Przez chwilę nic nie mówi, ale gruby Brian ma rację. Chłopiec ani trochę nie lubi zostawać sam. Zastanawia się, zresztą nie po raz pierwszy, dlaczego babcia uważa, że coś takiego jest w porządku. A Brian nie. Trudno pojąć dorosłych.

-- Coś ci powiem. Masz jakieś lego? -- Głos Briana jest nieco spokojniejszy. Sąsiad przechyla głowę, tak że teraz przez klapkę widać jego oczy, a nie nos.

-- Lego? -- Zerka w kąt, gdzie babcia stawia czerwony plastikowy pojemnik ze wszystkimi jego klockami. Na zeszłe święta dostali wielkie pudło ze sklepu z używanymi rzeczami. Są tam nawet zwierzęta i literki układające się w słowo zoo. Chłopiec się, zastanawia czy wolno mu powiedzieć o tym Brianowi...

-- Mógłbym ci po prostu dotrzymać towarzystwa, jeśli chcesz. Pobawić się z tobą lego, dopóki nie wróci twoja babcia.

-- Nie wolno mi otwierać drzwi. Takie są zasady.

-- Zasady są też takie, że nie powinieneś być sam w domu, chłopcze. Wybór jest prosty. Albo mnie wpuścisz, bym mógł się upewnić, że nic ci nie jest, albo wezwę policję, żeby oni mogli się upewnić, że nic ci nie jest.

Chłopiec oświetla latarką drzwi i podchodzi do nich bardzo powoli. Jego serce nadal dziwnie się zachowuje, jakby było super-

szybką rakieta. Malec stoi przez chwilę pod drzwiami. Myśli o babci-nej zasadzie dotyczącej nieotwierania drzwi, ale zaraz wyobraża sobie przyjazd policji, syreny i kajdanki. Zwalnia więc zasuwę.

-- Grzeczny chłopiec. Widzisz, wcale nie było to takie trudne, prawda? -- Brian szybko wchodzi do środka i cicho zamyka za sobą drzwi. Trzyma w ręce puszkę z namalowanymi kwiatami i rozgląda się po dużym pokoju.

-- Na co pan patrzy?

-- Na nic. Gdzie masz to lego?

Chłopiec przynosi pudło i stawia je na dywanie, między sofą a krzesłem. Chce zapytać, co jest w tej puszcze z kwiatami, postanawia jednak poczekać.

Brian zaskakująco dobrze radzi sobie z lego. Buduje mały domek i razem ustawiają przed nim zwierzęta. Nie do końca dobrze to wygląda -- dom jest za mały na zoo. Chłopiec uważa, że byłoby czymś przerażającym, gdyby przed jego domem pojawiły się prawdziwe lew i zebra.

Brian mówi, że widział raz lwy na wolności w parku safari i że kiedy przyszli pracownicy parku, by je nakarmić, one walczyły ze sobą o to, któremu przypadnie największy kawał mięsa. Opowiada jeszcze więcej historii o parku safari. O żyrafach i gepardach, które biegają z prędkością milionów kilometrów na godzinę.

Potem Brian na dnie pudła znajduje kilka samochodzików i bawi się tak, że budują z lego niewysoką ścianę, a samochodziki próbują ją rozbić. Chłopcu bardzo podoba się ta zabawa i dochodzi do wniosku, że Brian jest o wiele miłszy, niż się spodziewał.

-- To kiedy babcia wróci do domu?

-- W każdej chwili. -- Nie wie, dlaczego tak mówi. Widzi, że Brian ściąga brwi.

-- Nie wydaje mi się, aby to była prawda. Dwa tygodnie temu, kiedy tu pukalem, nasłuchiwałem. Klucz w drzwiach usłyszałem dopiero wczesnym rankiem.

Chłopiec wzrusza ramionami. W szkole panna Henderley mówi, żeby zamiast wzruszania ramion używać słów, ale on to lubi.

-- Nie podoba mi się myśl, że jesteś tu sam przez całą noc. Babcia nie powinna cię tak zostawiać...

-- Co ma pan w tej puszcze?

Brian się uśmiecha.

-- Cieszę się, że zapytałeś. Dlatego, że to moja niespodzianka.

-- Jaka niespodzianka?

-- Cóż, pomyślałem sobie, że moglibyśmy dobić targu, ty i ja.

-- Jakiego targu?

-- Mógłbyś oddać mi przysługę za to, że dotrzymuję ci towarzys-  
stwa. A potem ja mógłbym ci pokazać moją niespodziankę w puszcze.

-- Jaką przysługę?

## ROZDZIAŁ 26

### Alice

Jest czwartkowy wieczór, a ja po raz kolejny wpatruję się w stojącą w swojej ogromnej kuchni Leanne.

Większość dnia spędziłam z policją. Leanne przyjechała do Dorset, bo obie bardzo martwimy się reakcją mamy.

-- To dobrze, że mama czuję się już ciut lepiej. Dzwoniła pielęgniarka, podobno poziom saturacji prawie wrócił do normy. -- Moja siostra mówi szybko, jak nakręcona. W tym czasie otwiera wielką lodówkę ze stali nierdzewnej. -- Cóż, to znaczy: nie do normy, ale przynajmniej jej normy. A dzięki środkom nasennym powinna przespać noc.

-- Tak.

Na razie rozmawiamy głównie o mamie. Leanne wygląda na spiętą, znowu musiała zostawić w Londynie mojego siostrzeńca i siostrzenicę. Josh i Annabelle z pewnością za nią tęsknią. Jonathan wziął urlop, ale to oczywiste, że ona musi wrócić do Londynu od razu, gdy stan mamy znowu będzie stabilny. Te nagłe wypadki i podróże robią swoje. Sprawia wrażenie mocno zmęczonej.

Ja także jestem wykończona po takiej długiej sesji z policją. Rozpaczliwie potrzebuję wszelkich informacji związanych z moim czasem spędzonym z Alexem, które mogłyby sugerować, dokąd teraz czmychnął. Problem w tym, że karmił mnie tyloma kłamstwami, że nie jestem w stanie niczego zasugerować.

Matthew na szczęście zgodził się dalej prowadzić tę sprawę, ale Tom nadal jest na niego zły za dopuszczenie do ataku, więc atmosfera pozostaje napięta. Trudna. Wyczerpująca.

Kiedy Leanne parzy dla nas herbatę i kawę, dostaję esemesa. Od Jacka z gazety. Chce się spotkać. Jego wiadomość cieszy mnie, ale i zaskakuje. Pisze, że się o mnie martwi oraz że ma nowe wiadomości od osób uczestniczących w kampanii przeciwko Maple Field House. Ustalono datę rozbiórki. Ted, nasz naczelny, chce, aby relacją zajął się inny dziennikarz, z kolei Jack uważa, że to nie fair, abym

straciła temat, w który włożyłam tyle pracy. Przylapuję się na tym, że się uśmiecham -- miło, że się o mnie troszczy.

-- Od kogo? -- Leanne podaje mi kubek z kawą.

-- Od kolegi z pracy. Chce się spotkać. Musimy omówić kilka spraw.

-- Nie powinnaś myśleć teraz o pracy.

-- I tu się mylisz, Leanne. Ta niemożność pracowania doprowadza mnie do szaleństwa. Naczelnicy nie zgadza się na mój powrót, dopóki policja nalega, aby nagrywać moje połączenia. Nie ma takiej opcji, aby jakakolwiek gazeta zgodziła się na coś takiego. Najgorsze jest to, że kadry się upierają, abym wykorzystała cały swój urlop oraz nadgodziny, licząc, że wszystko w końcu ucichnie. Ale ja mam przecież zobowiązania. Tematy, którymi powinnam się teraz zająć. -- Zerkam na zegarek. -- Jack chce się ze mną spotkać. Pogadać.

-- Chyba nie mówisz poważnie? Teraz, kiedy tyle się dzieje? I kiedy ja tu przyjechałam aż z Londynu? Chyba nie myślisz o tym, żeby jechać gdzieś w pojedynkę?

Przygryzam wargę.

-- Nie, nie, masz rację. Oczywiście, że nie. -- Przez chwilę milczę. -- A co ty na to, gdybym go tutaj zaprosiła? To godzina jazdy, więc pewnie odmówi. Ale czy miałabyś coś przeciwko? Gdyby się jednak zgodził? Strasznie bym chciała się dowiedzieć, co się dzieje w pracy.

-- Czemu po prostu do niego nie zadzwonisz?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie chcę przyznać, że chętnie spotkałabym się z Jackiem.

-- I on jest na pewno w porządku, ten facet? Znaczący, bezpieczny? Jej słowa mnie zaskakują.

-- Jack? Bezpieczny? Oczywiście, że tak. Co sugerujesz? -- Poprawiam gumkę na kocyku, zastanawiając się, kiedy to wszystko się skończy. Ten potworny cyrk, który zagościł w moim życiu, sprawiając, że teraz każdy jest podejrzanym. Że nic już nie wydaje się normalne. Że odbywam niekończące się spotkania z policją.

-- Bez urazy, Alice. Ale mając na względzie wszystko, co się dzieje, i po tym, co się stało z Alexem...

-- Co takiego? Sugerujesz, że nadal nie znam się na ludziach? Naprawdę uważasz, że nie dostałam nauczki, jeśli chodzi o obdarzanie innych zaufaniem?

-- Nie, nie. -- Leanne się rumieni. -- Wcale tak nie twierdzę.

Przez długą, nieprzyjemną chwilę stoimy i pijemy swoje napoje.

-- Okej. Jeśli rzeczywiście chcesz zaprosić tego Jacka, proszę bardzo. Ale niech to będzie krótkie spotkanie, dobrze? Obie jesteśmy zmęczone.

Wysłałam esemesa i dopijam kawę. Spodziewam się, że zważywszy na odległość, Jack raczej odmówi, jednak ku mojemu zaskoczeniu od razu odpisuje, że zaraz wsiada w samochód. Podaję mu więc adres.

-- Wiesz, Leanne, Jack był dla mnie naprawdę dobry tamtego dnia, kiedy odebrałam ten pierwszy, przerażający telefon w redakcji. To porządny facet. Sam sporo przeszedł. Jakiś rok temu stracił żonę. W każdym razie mogę liczyć w redakcji na jego wsparcie. Wygląda na to, że naczelny chce oddać temat kampanii komuś innemu. No wiesz, rozbiórka mieszkań, nad czym pracuję od tak dawna.

Moja siostra mruży oczy.

-- Okej. Ale musisz być ostrożna, Alice. Z każdym.

-- Myślisz, że tego nie wiem?

Kiedy Jack w końcu przyjeżdża, wprowadzam go do kuchni. Od razu zjawia się Leanne, udając, że szuka wody gazowanej. To oczywiście, że chce rzucić na niego okiem.

Przywiózł butelkę czerwonego wina i moja siostra unosi brwi, jakby uważała, że coś takiego jest nie na miejscu w przypadku krótkiej wizyty. Ale ja przełamuję lody i nalewam nam obojgu po małym kieliszku, a w tym czasie Jack dopytuje, jak sobie radzę. Wspomina, że wszyscy w redakcji za mną tęsknią i o mnie myślą.

-- Wciąż jej powtarzam, że powinna przestać się zamartwiać pracą. Prawda, Jack? Zgadzasz się ze mną, że potrzebuje przerwy do czasu, aż policja rozwiąże tę paskudną sprawę? -- Leanne zasłania dłonią kieliszek, kiedy chcę nalać także jej.

Jack nie odpowiada od razu. Posyła Leanne półuśmiech, po czym zwraca się do mnie:

-- Przypuszczam, że niemożność pracowania jest dla ciebie trudna, Alice. Część z nas uważa, że to temat, którym powinniśmy się zająć. Ten stalking. Ale Ted jest zdania, że to mogłoby jeszcze wszystko pogorszyć. Zapewnić temu czubkowi tlen, jakim jest dla niego rozgłos. Rozumiem jego punkt widzenia, ale to takie frustrujące. Taki temat i żadnemu z nas nie wolno go podjąć. Chryste. Myślałem, że gdyby chodziło o mnie, to sam bym chciał o tym pisać.

-- Otóż to! -- Biorę głęboki oddech, po czym zwracam się do Leanne: -- Widzisz? Dziennikarz. On rozumie. My, pismaki, mamy potrzebę pisania o wszystkim. Tak, Jack. Tak. -- Stukamy się kieliszkami. -- Tak właśnie się czuję. Jestem wściekła, że nie mogę o tym pisać.

-- Cóż, według mnie oboje jesteście szaleni. Pisanie o sprawach osobistych to proszenie się o kłopoty.

Leanne wstaje i wraca do salonu, zamykając za sobą drzwi. Jack unosi brwi.

-- Przepraszam za nią. Mocno to wszystko przeżywa. Nasza matka jest chora, a to całe policyjne dochodzenie... trochę tego za wiele.

-- Dla ciebie też?

-- Tak.

-- Słyszałem o tym ataku z fałszywym kwasem. Tak naprawdę głównie dlatego tu przyjechałem. To musiało być straszne.

-- Skąd się dowiedziałeś? -- Przez chwilę się zastanawiam, czy to ktoś z tamtej kawiarni napisał coś w mediach społecznościowych.

-- Znowu dzwoniła do mnie policja.

-- Naprawdę?

-- No. Ta ciężarna komisarz. Pewnie postępowanie rutynowe. Rozmawianie ze wszystkimi. A ze mną rozmawiała sam na sam.

-- Po co, u licha, to zrobiła?

Jack pociąga łyk wina, przez chwilę trzyma je w ustach, po czym przeryka.

-- Nieporozumienie. Zajmowałem się tematem na wybrzeżu i podobno nie było to daleko od miejsca, w którym doszło do tego nowego ataku. Widziano mój samochód.

-- Co? Na nagraniu z kamer przemysłowych?

-- Nie wiem. Ale wyjaśniłem, że pracowałem nad artykułem. To musiał być zbieg okoliczności. W sumie dobrze, że tak wszystko sprawdzają.

-- Pewnie tak. Ale przykro mi, na pewno było to dla ciebie naprawdę niezręczne.

-- Nie. Wcale nie. Mniejsza z tym. To, co przydarzyło się tobie, brzmi naprawdę okropnie.

-- I rzeczywiście było okropne, ale teraz już wszystko w porządku. Tom wynajął prywatnego detektywa, który pomaga mnie chronić.

-- No tak. To dobrze. To znaczy jest to trochę zaskakujące, ale... dobrze, jeśli dzięki temu czujesz się bezpieczniej.

-- Czuję. Szczerze mówiąc, na początku wcale nie byłam do tego przekonana, ale ten detektyw wspomaga po prostu działania policji. A właśnie, pani komisarz mówiła coś więcej? To znaczy o mnie? -- Potwornie się boję, że wycieknie prawda na temat mojej tożsamości.

-- Nie. Pytano mnie tylko co robiłem na wybrzeżu. A czemu pytasz? Dzieje się coś jeszcze?

-- Nie, nie. -- Patrzę mu w twarz i tak się cieszę, że Jack nie wie jeszcze o moim prawdziwym imieniu. O związku z Alexem. Na chwilę dopadają mnie rozterki, kiedy się zastanawiam, czy powinnam sama mu o tym powiedzieć i mieć to z głowy. Ale pozwalam, aby minęły. Ciekawe, kiedy brukowce zaczną grzebać w mojej przeszłości. Pewnie całkiem niedługo.

-- Okej. W takim razie już ci mówię, co się dzieje z tą twoją kampanią. Tak jak ci napisałem, Ted chce, aby ktoś inny przejął temat, ale ja na twoim miejscu skontaktowałbym się z ludźmi od kampanii. Przywiozłem ich najnowszy komunikat prasowy. Potwierdza info o ostatnich lokatorach, którzy opuścili budynek. Ma się odbyć spotkanie z firmą zajmującą się rozbiórką oraz fundacją w Londynie. Może skontaktowałabyś się bezpośrednio z nimi i dała Tedowi znać, że zajmujesz się wszystkim z domu?

-- Dobry pomysł. Dziękuję ci, Jack. -- Zerkam na komunikat prasowy i dociera do mnie, że już dawno powinnam była zadzwonić do



mojej głównej osoby kontaktowej. Tak wiele miałam na głowie. Przez chwilę się zastanawiam, dlaczego Jack mi tego po prostu nie przesłał, ale potem dociera do mnie, że prawdopodobnie nie zna mojego prywatnego adresu mailowego. A ja przecież mam nie pracować.

-- Jestem ci naprawdę wdzięczna. I wiesz co, wyślę ci swój prywatny adres, żebyś w razie czego od razu mógł dawać mi cynk, okej?

-- Pewnie. Dobry pomysł. Gdyby to była moja historia, nie chciałbym jej stracić po takim czasie.

Proponuję Jackowi kanapkę, on jednak mówi, że nie chce się narzucać, zwłaszcza że moja siostra sprawia wrażenie nieco drażliwej.

Odprowadzam go do drzwi. Przyłapuję się na tym, że wpatruję się w jego kark. Jack ma charakterystyczną linię włosów, na którą często w pracy zwracam uwagę. Mam ochotę dotknąć jego karku, co przyprawia mnie o zażenowanie. Robię krok w tył, przypominając sobie tamtą katastrofalną kolację we włoskiej restauracji.

Z salonu wychodzi Leanne, aby się pożegnać, i razem obserwujemy jak jego auto kieruje się ku automatycznie otwierającej się bramie.

-- Trochę dziwne, że przyjechał z tak daleka, nie sądzisz? -- pyta mnie siostra.

-- Czy ja wiem? Kumplujemy się, Leanne. Mogę liczyć na niego w pracy. Pilnuje teraz, bym z powodu tej całej przeklętej sytuacji nie straciła swojej historii.

Przygląda mi się bez słowa.

-- No co?

-- Nic.

-- Wyrzuć to z siebie.

-- Jak już mówiłam, musisz być ostrożna, Alice.

-- I ty rzeczywiście sądzisz, że po tym wszystkim, co przesłałam z Alexem, i po tym, co dzieje się teraz, ja o tym nie wiem?

## ROZDZIAŁ 27

### Alice -- wtedy

Tamtego dnia, kiedy do drzwi naszego domu w Szkocji zapukała szukająca Alexa policja, w pierwszej chwili sądziłam, że on nie żyje, że doszło do jakiegoś strasznego wypadku.

Robiłam sobie właśnie tosty, kiedy przez okno zobaczyłam podejrzający radiowóz. Patrzyłam, jak dwóch funkcjonariuszy podchodzi do drzwi, i założyłam najgorsze -- a raczej to, co w tamtym momencie uważałam za najgorsze. Że Alex zginął albo został ciężko ranny w jakimś wypadku.

Początkowo, kiedy wyjaśnili, że jedynie go szukają ("Nie wie pani gdzie teraz jest albo dokąd mógł się udać?"), odetchnęłam z ulgą. Więc Alexowi nic się nie stało. Nie był ranny. Ale gdy pytania nie ustawały, zalała mnie nowa fala paniki.

Co to za dziwne pytania? Dlaczego policja szukała Alexa? Wyjaśniłam, że pojechał z samochodem do serwisu, na co policjanci odparli, że to sprawdzą. Miny mieli jednak takie, jakby mi nie wierzyli.

Z niewiadomych przyczyn chcieli przeszukać nasz dom. Byłam zaszokowana, miałam mętlik w głowie. Poprosiłam o wyjaśnienia. O co, u licha, chodziło? Funkcjonariusze wymienili dziwne spojrzenia, w których podejrzliwość powoli ustępowała miejsca litości.

-- Możecie mi w końcu powiedzieć, co jest grane? -- Serce waliło mi jak młotem.

No i przyznali, że dziś rano z domu zniknęła jedna z uczennic Alexa. Zabrała walizkę i ubrania, a jej rodzice natrafili w pamiętniku córki na "wysoce niestosowne aluzje" w odniesieniu do Alexa...

-- Co to znaczy "niestosowne"?

Ponownie wymienili pełne litości spojrzenia.

-- Twierdzą panowie, że ta dziewczyna durzyła się w moim narzeczonem? Bo jeśli o to właśnie chodzi, to przecież nie jego wina, prawda? Jak ona się nazywa? Jak ta dziewczyna ma na imię?

Serce biło mi tak szybko, jakbym wypła za dużo kawy. Zastanawiałam się czy to ta przeklęta pannica, która się okaleczała i zadzwono-

niła do Alexa tamtego dnia, kiedy się pokłóciliśmy. Ale policjanci podali mi inne nazwisko i tej akurat uczennicy w ogóle nie kojarzyłam.

Próbowałam dodzwonić się do Alexa, ale jego telefon był poza zasięgiem. Jeden z funkcjonariuszy zadzwonił do warsztatu samochodowego, nie powiedział mi jednak, czego się dowiedział. Następnie poproszono, abym pokazała terminarz Alexa. Z harmonogramu zajęć wynikało, że za pół godziny powinien rozpocząć w domu lekcję, a potem czekały go jeszcze trzy.

-- Gdzie więc jest, skoro ma dzisiaj uczyć?

-- Już mówiłam. Zawiózł samochód do serwisu.

Byłam w rozsypce -- roztrzęsiona i skonsternowana. W pracy miałam dziś wolne, a Alex wyjechał wczesnym rankiem, twierdząc, że w warsztacie mu obiecano, iż jego autem zajmą się jako pierwszym. Zaproponowałam, że go zawiozę, on jednak odparł, że w czasie, kiedy samochód będzie serwisowany, on zrobi zakupy. Teraz, kiedy wiedziałam, że miał umówione na dzisiaj lekcje, nie miało to żadnego sensu. Wcześniej zakładałam, że ma wolne. To, co zaczęło się jako zagadka, błyskawicznie przekształciło się w niewyobrażalny koszmar.

Powiedziano mi, że zaginiona dziewczyna ma piętnaście lat. Wpisy w jej pamiętniku sugerowały, że od co najmniej sześciu miesięcy pozostawała w relacji seksualnej z Alexem. Kiedy to się zaczęło, była czternastolatką. Wypłaciła z banku swoje oszczędności i zabrała wszystkie ulubione ubrania.

Kiedy policja zaakceptowała fakt, że nie miałam najmniejszego pojęcia, co się działo, przypisano do mnie policjantkę, która informowała mnie o kolejnych działaniach.

"Żywimy przekonanie, że pani narzeczony pozostawał w intymnej relacji z co najmniej jedną nieletnią. Możliwe, że było ich więcej".

To było jak gra w filmie. Tak -- jakbym stała oparta o ścianę na planie filmowym, podczas gdy wszyscy wokół mnie odgrywali tę potworną, potworną historię.

Gdy czas mijał, a zaginiona nastolatka się nie odzywała, w telewizji wyemitowano apel ze zdjęciami Alexa i tej dziewczyny. Osoby,

które ich widziały, proszone były o pilny kontakt z centrum koordynacyjnym policji.

Mój telefon się rozdzwonił. Zaszokowane reakcje kolegów z pracy. Przyjaciół. Rodziny. Historię opisała naturalnie moja gazeta, no i chciano przeprowadzić ze mną wywiad. Wywiad? Nagle byłam tematem, nie dziennikarką. Odkleiłam się od ściany i zaczęłam grać w filmie. To było przerażające.

Miałam cały czas zaciągnięte zasłony. Przestałam odbierać telefon. Przyleciała do mnie Leanne i chowając się przed mediami, wynajęliśmy pokój w niewielkim hotelu. Cóż za ironia losu.

Autentycznie nie miałam pojęcia, dokąd Alex mógł pojechać z tą dziewczyną. W warsztacie uzyskałam potwierdzenie, że w ogóle nie był tamtego dnia umówiony. Także zabrał swoje ulubione ubrania. I paszport. Więc to oczywiste, że wszystko sobie zaplanował.

Jeszcze nie jeden raz doznałam szoku. Po tygodniu bezowocnego śledztwa zadzwonił do mnie agent nieruchomości z prośbą o spotkanie "w sprawie domu". Okazało się, że Alex wcale nie jest właścicielem. Nie było żadnego spadku po babci. Miał niespłacone karty kredytowe, zalegał z czynszem i zwodził właścicieli szykującym się nowym, lukratywnym kontraktem. Agencja postrzegала mnie teraz jako "stałego lokatora", odpowiedzialnego za ten cały bałagan. Wyjaśniłam, że mnie okłamano, ale nie dysponowałam niczym, czym mogłabym poprzeć swoje słowa. W agencji usłyszałam, że albo mogę przejąć umowę najmu, spłacić zaległości i zobowiązać się do opłacania czynszu, albo będę się musiała wyprowadzić.

Leanne zaoferowała pomoc finansową, ja jednak początkowo zbyt byłam uparta, aby ją przyjąć. Czułam się tak, jakbym musiała ponieść karę za naiwność. Od agenta nieruchomości dostałam dwa tygodnie. Siostra pomogła mi się spakować.

Policja nadal nie miała żadnych konkretnych tropów. Powiedziałam śledczym o kłótni z drugą nastolatką. Została namierzona i przepytana, aż w końcu się złamała i przyznała, że ona także sypiała z Alexem na początku tego roku. Moje przerażenie sięgnęło zenitu...

Wszyscy się zastanawialiśmy, czy Alex i ta druga dziewczyna nie wyjechali razem za granicę. Powtarzałam policji, że nie miałam naj-

mniejszego pojęcia, co się działo, ale zaczęłam się czuć, jakbym z powodu własnej naiwności to ja była za wszystko odpowiedzialna, dlatego że zaakceptowałam jego wyjaśnienia dotyczące tamtego telefonu. Pomimo dokładnej analizy zapisów z kamer z portu i lotniska nie natrafiano na żaden ślad.

Następnie zjawiała się furgonetka po pianino, które, jak się okazało, także było wynajęte. Leanne uparła się wtedy, aby zabrać mnie do Londynu.

"Przestań być taka uparta, Jennifer. Potrzebna ci pomoc. Musisz wyjechać ze Szkocji. I musisz to przeczekać, nie rzucając się w oczy".

Alexa i jego nastoletnią uciekinierkę namierzono w końcu na wyspie Skye w małym, wakacyjnym domu. Plan mieli taki, aby ukrywać się do czasu, aż dziewczyna skończy szesnaście lat, a potem wziąć ślub w Gretna Green. Dopadła ją jednak infekcja pęcherza. Brukowce miały używanie podczas spekulowania przyczyny tej dolegliwości. Infekcja zaatakowała także nerkę, i to tak poważnie, że dziewczyna wylądowała na miejscowym pogotowiu. Dyżurujący lekarz rozpoznał ją z materiałów w mediach i zadzwonił na policję.

Media oszalały. Pisały o tym wszystkie gazety, o sprawie mówiono także w lokalnej telewizji. Oczywiście najbardziej interesowano się Alexem i dziewczyną, nie mną, więc rzadko -- na szczęście -- zamieszczano moje zdjęcie, jednak po tej całej strasznej historii byłam w rozsypce.

Przestałam jeść i cierpiałam na coś, co, jak się później zorientowałam, było depresją.

Pomimo naszej siostrzanej rywalizacji i nieustannego czepiania się siebie nawzajem, to Leanne ostatecznie mnie uratowała. Wzięła mnie do siebie. Karmiła. Po trzech miesiącach odzyskiwania przeze mnie sił to ona zasugerowała, abym zaczęła od nowa. Pusta kartka. Spisałam więc na straty osiem miesięcy stażu dziennikarskiego i przesałam CV do nowej gazety w południowej części Anglii, używając mojego drugiego imienia i nazwiska panińskiego matki. Alice Henderson. Obcięłam i przefarbowałam włosy. Udawałam, że jestem stażystką szukającą swojej szansy. Gazeta była pod wrażeniem mojej pracy podczas okresu próbnego i zaproponowano mi etat. Po osiem-

nastu miesiącach zdałam egzaminy. W głębi duszy czułam wyrzuty sumienia, że podaję się za jakąś Alice, ale niezwykle ciężko pracowałam, aby zasłużyć na drugą szansę. Miałam także ogromne szczęście, że nikt mnie nie sprawdził.

Zmiana imienia i nazwiska nie okazała się błędem. Było nim przekonanie, że mogę zostawić Alexa Sunninghama tam, gdzie jego miejsce: w przeszłości.

## ROZDZIAŁ 28

### Matthew

Jako że Sal bierze akurat prysznic, śniadaniem dowodzi Matthew.

-- Dziś jest dzień Choco Pops, tatusiu. -- Amelie siedzi na wysokim krzeselku i promiennie się uśmiecha.

Każdy by się rozczulił. Matthew stara się sobie przypomnieć, że to dziecko, a nie przeciwnik.

-- Nie, kochanie. Dziś jest piątek. Choco Pops są w sobotę. Jutro.

Obserwuje, jak córka pochmurnieje, i do jego serca zakrada się trwoga. Jak Sally to robi? Jak wytrzymuje codziennie tyle godzin? Zaczyna w myślach przeglądać przeczytaną wczoraj wieczorem listę wskazówek pomagających zażegnać zbliżający się kryzys. Potrzebuje więcej kawy, ale pamięta, że nie powinien mówić "nie", dopóki nie okaże się to konieczne. "Odwrócić uwagę. Odwrócić uwagę. Odwrócić uwagę".

-- Jutro razem zjemy Choco Pops, skarbie. Już się nie mogę doczekać. A co ty na to, żebyśmy dzisiaj przy śniadaniu pokolorowali jakieś obrazki? Albo poukładali puzzle? -- "Daj wybór. Pozwól dzieciom poczuć, że mają jakąś kontrolę nad swoim życiem". -- Ty zdecyduj.

Na twarzy Amelie maluje się podejrzliwość. Dziewczynka ściąga brwi i mruży oczy, jakby oceniała sytuację.

-- Wybieram puzzle.

-- Dobrze.

Matthew szybko się odwraca, nim mała dostrzeże jego zaskoczony uśmiech. Sypie do miski pełnoziarniste płatki, do tego owoce, a całość zalewa podgrzany w mikrofalówce mlekiem. Dorzuca jeszcze kilka truskawek, a ze stojącego w rogu kuchni kosza z zabawkami wyjmuje dwa komplety drewnianych puzzli.

-- Które? -- "Jeszcze większy wybór". Ależ jest z siebie zadowolony.

Kilka minut później zjawia się Sal w szlafroku i z włosami owiniętymi ręcznikiem. Obrzuca spojrzeniem puzzle leżące obok miski ze zdrowym śniadaniem i unosi brwi z rodzicielską aprobatą.

-- Dzięki, Matt. Musisz już lecieć?

-- Tak. Przykro mi. -- Dopija kawę, następnie całuje na pożegnanie córkę i żonę. -- Bądźcie grzeczne, obie. Tatuś was kocha. -- A potem szybko wychodzi. Cóż to za ulga opuszczać dom po małym triumfie zamiast kłótni z powodu butów, kurtki czy fotelika w samochodzie...

Gdy siedzi już za kierownicą, zerka na zegarek, by się upewnić, że starczy mu czasu, aby przed spotkaniem z Melanie Sanders przeprowadzić mały eksperyment dla Iana Ellisa. Sprawdza, czy na pewno zapakował do plecaka swój iPad. Tak. Dobrze...

Po raz kolejny przyłapuje się na tym, że dla niego piątek to dzień płatków na śniadanie. Ale dla Alice? Zastanawia się, jak to musi być: budzić się co rano i liczyć. Ile dni pozostało do kolejnej środy...

Czterdzieści minut później, podjeżdżając pod dom, Matthew zauważa, jak Ian Ellis zerka przez zasłony. Biedny człowiek. Bardzo, ale to bardzo chciałby zrobić za niego krok we właściwym kierunku. Choćby po to, aby przestał tak często dzwonić pod numer alarmowy. Ten spory, zaległy przelew od klienta korporacyjnego zdjął z agencji presję finansową, więc teraz Matthew może poświęcić trochę swojego czasu.

Nie ma pojęcia, co z tego wyjdzie, ale jest zdeterminowany, by spróbować. Wymienił kilka maili z mieszkającą w Kanadzie córką Iana i postanowił zawierzyć intuicji.

-- No więc jestem w kontakcie mailowym z Jessie i chciałem coś panu pokazać -- oświadcza, kiedy Ian wprowadza go do salonu.

-- Kawy?

-- Nie, dziękuję. Dopiero co zjadłem śniadanie i szczerze mówiąc, nie mam aż tak dużo czasu.

-- Dlaczego kontaktował się pan z Jessie?

-- Proszę się nie martwić. Nic nie wspomniałem o małych ludziach. Zastanawiałem się po prostu, czy mógłbym sprawić, aby miał pan lepszy kontakt z córką.



-- Już panu mówiłem. Nie kupię telefonu komórkowego. Są rakotwórcze. A telefon stacjonarny jest za drogi. Funt za minutę, tak myślę. Może więcej.

Matthew wyjmuje z plecaka iPada, wstukuje hasło i ustawia go na ławie.

-- To iPad. Coś jak mały telewizor, tyle że cieńszy. Ma wiele funkcji. Proszę spojrzeć. Znalazłem krótki film prezentujący okolicę, w której mieszka pańska córka.

Ian ogląda filmik z krajobrazami Kanady z autentycznym zachwytem, jakby to była magia.

-- Przypomina mi to *Tomorrow's World*.

Matthew uśmiecha się na wzmiankę o dawno zapomnianym programie prezentującym rozwój nauki i technologii.

-- Nadal go puszczają? *Tomorrow's World*? Nie oglądałem telewizji tak dużo jak kiedyś. Wszyscy strasznie niewyraźnie mówią. -- Ian szeroko otwartymi oczami wpatruje się w iPada.

-- Nie. Wydaje mi się, że zaprzestano produkcji tego programu już dawno temu. Ale mniejsza z tym. Mam dla pana niespodziankę. Tylko proszę mi obiecać, że mi pan tu nie zemdleje. To będzie miła niespodzianka...

Matthew klika w ikonkę Skype'a i łączy się z numerem Jessie. Zdążył już przeprowadzić test. Córka Iana rzeczywiście niewiele zarabia, ale ma smartfona. Tam, gdzie mieszka, jest piąta nad ranem, lecz Jessie pracuje na nocną zmianę jako portierka w miejscowym szpitalu i obiecała, że nie pójdzie jeszcze spać.

Rozlega się sygnał łączenia się -- i oto ona. Zażywna, uśmiechnięta kobieta w niebieskim szlafroku. Matthew ustawia urządzenie tak, by ponownie znajdowało się dokładnie na wprost Iana.

-- Cześć, tato. Niespodzianka!

Starszy pan zaniemówił. Przez jakiś czas patrzy jedynie zaszokowany na ekran, jakby działały się jakieś czary. Jego córka posyła mu całusa, oczy ma pełne łez. Ian zerka na Matthew, szukając u niego wyjaśnienia.

-- To rozmowa wideo. Połączenie wykonuje się za pomocą specjalnej aplikacji i jest darmowe, jeśli tylko ma się narzędzie. Może

pan mówić. Jessie pana widzi i słyszy. Nic mnie to nie kosztuje, więc śmiało. Możecie sobie pogawędzić...

-- Jessie? -- Wypowiada to słowo takim tonem, jakby obraz córki był jakąś zjawą.

-- Tak, tato. Super, prawda? Nie mogę uwierzyć...

-- To może dam wam parę minut na osobności i pójdę się napić wody. Nie musi pan niczego dotykać. Wystarczy, że będzie pan siedział przed iPadem i mówił. Proszę mnie zawołać, jeśli sygnał zacznie wariować i obraz znieruchomieje. Czasem tak się zdarza. Naprawię to wtedy.

-- Co u ciebie, tato? -- pyta Jessie. -- Właśnie wróciłam z pracy, więc wybacz moje zmęczenie. Gdy skończymy rozmawiać, pójdę spać.

Matthew wstaje i udaje się do kuchni. A Ian zaczyna mówić. Początkowo powoli, a chwilę później niemal trajkocze. I macha. Jak ktoś, kto właśnie wypatrzył w oddali krewnego.

Dwie godziny później Matthew czeka na Melanie na parkingu pod supermarketem -- tym razem nie ma czasu na kawę. Nadal uśmiecha się w duchu na myśl o Ianie, kiedy obok jego auta parkuje Mel i powoli wysiada.

-- Dlaczego twoja klientka wybiera się do Londynu? Prosiliśmy, aby pozostawała w okolicy, Matt. Mówiłeś, że jest skłonna do większej współpracy. -- Mel podpira ręką dolną część pleców.

-- Jest, Mel. Jedzie jedynie na weekend do siostry. Mają tam porządne zabezpieczenia. Jeszcze lepsze niż w tym domu w Dorset. Słuchaj, jest zmęczona i potrzebuje odskoczni. W razie czego będzie pod komórką. A w poniedziałek rano ma spotkanie w sprawie artykułu. Potem wróci.

-- Cóż, nie jestem z tego zadowolona. Nadal nie mamy pojęcia, gdzie przebywa ten cały Alex. Nie mam ochoty współpracować z policją londyńską. Wiesz, że tego nie cierpię. -- Obserwuje, jak na drugim końcu parkingu klienci biorą wózki z zatoczki otoczonej pleksi-glasem.

Matthew nic nie mówi. Melanie opiera się o barierkę i zamyka oczy, jakby delektowała się wiatrem owiewającym jej twarz. Detek-

tyw po raz kolejny przygląda się jej wielkiemu brzuchowi i przypomina sobie, że pod koniec ciąży Sal zawsze było za gorąco. Wie, że Mel się obruszy, jeśli znowu wyrazi swój niepokój, ale martwi się, że zbyt się nadwyręza. Widać, że nie jest jej łatwo.

-- A jeśli on zmieni wzorzec, Matt? Jeśli to przestanie być środa?

Matthew natychmiast uświadamia sobie dwie rzeczy. W głosie Mel słyhać głęboki niepokój. Bardzo martwi się o Alice i bardzo się martwi o tę zaginioną dziewczynę. Dobra policjantka i dobry człowiek. Poza tym to niesamowite, że nadal tak samo myślą; identycznie to wyglądało, kiedy pracowali razem w policji.

Wzdycha, a Melanie otwiera oczy i odwraca się w jego stronę.

-- Więc to nie tylko ja. Ty też się martwisz, że ten stalker może zmienić taktykę, Matt.

## ROZDZIAŁ 29

### Alice

Samochód Leanne przyjemnie mruczy. Jest w nim tak dużo miejsca, że wyciągam wygodnie nogi i myślę o własnym aucie -- głośnym dieslu. Powinnam je wymienić. Tak. Kiedy to wszystko się skończy, zmienię samochód. A skoro już o tym mowa, zmienię wiele rzeczy w swoim życiu.

Jest piątek i są spore korki. Stop, start. Stop, start. Gra radio -- jakaś stacja komercyjna z mnóstwem quizów i interakcji z dzwoniącymi słuchaczami. Moja siostra ją lubi. Ja nie. Preferuję muzykę bez tych ciągłych pogaduszek i reklam, nie chcę się jednak kłócić z Leanne.

Co jakiś czas na nią zerkam i próbuję odnaleźć właściwy kształt mojej wdzięczności. Zastanawiam się czy tak to wygląda w przypadku każdego rodzeństwa. Tak po prawdzie, fatalnie czuję się z tym, że Leanne znowu mnie musi ratować.

Przypomina mi się podróż powrotna ze Szkocji po tym koszmarze z Alexem. Najpierw lot niewielkim samolotem z Inverness do Gatwick, potem jazda samochodem do londyńskiego domu Leanne. Była wtedy mężatką od trzech, może czterech lat, a jej dzieci były jeszcze bardzo małe. W domu Leanne i Jonathana mieszkała niania, zajmująca się maluchami podczas ich wyjazdów.

Pamiętam, że w duchu nie pochwalałam tego, że Leanne ma opiekę do dzieci, podczas gdy sama nie pracuje. Teraz mam wyrzuty sumienia, że byłam taka krytyczna. Co ja wiem o wychowywaniu dzieci? I co bym zrobiła bez wsparcia siostry? Wtedy -- i teraz.

-- Naprawdę jestem ci za wszystko bardzo wdzięczna, Leanne.

-- Wiem. I wiem także, że dobija cię fakt, że potrzebujesz mojej pomocy. Czyjejkolwiek pomocy.

Śmieję się, a Leanne szturcha mnie w ramię.

-- Hej. Pamiętasz, jak złamałaś nogę, Alice? Ile miałaś wtedy lat?

-- Dwanaście.

-- No. I nie pozwalałaś, żeby ktokolwiek pomagał ci z kulami. Nie zgodziłaś się sypiać na dole i wspinałaś się po schodach na tyłku. I tak też z nich zjeżdżałaś.

-- Chryste, zapomniałam o tym.

-- Ja i mama nie. To był koszmar. Raz się poślizgnęłaś i zjechałaś ze schodów tak szybko, że myślałyśmy, że będą ci musieli na nowo nastawić nogę.

Wybucham śmiechem, a potem czekam, aż Leanne to powie, i obiecuję sobie, że dzisiaj jej nie odpyskuję -- dlatego, że ma rację.

-- Nasza mała uparciucha.

Wyjmuję telefon, aby czymś się zająć, i kiedy wbijam wzrok w wyświetlacz, ogarnia mnie to nowe uczucie, które naznacza obecnie każdy dzień. Piątek. Jeszcze pięć dni; pięć dni czasu, aż się dowiem, co on robi.

Odwracam głowę, patrzę przez szybę i nagle staję się świadoma swojego oddechu. I swojego ciała. "Załatwię cię żyłką do sera".

Czy to możliwe, że policja ma rację? Czy to może być Alex?

Uważam to za mocno nieprawdopodobne. Zbyt późno uświadomiłam sobie, że dla Alexa nie znaczę zupełnie nic. Byłam częścią jego przykrywki. Płaszczykiem przyzwoitości. Wciągnął mnie do swojego świata wyłącznie z jednego powodu -- po to, aby pokazać rodzicom, szkołom i osobom z zewnątrz, że jest szczęśliwie zaręczony. Uroczy mężczyzna z uroczą narzeczoną, *ipso facto* niegroźny dla nastoletnich dziewcząt.

Szczerze wątpię, aby po wybuchu tego całego skandalu poświęcił mi choć jedną myśl. Pałał wściekłością wobec policji, rodzin i mediów. W sądzie twierdził, że był zakochany w dziewczynie, z którą uciekł, i że wiek to tylko liczba. Zapewniał, że został błędnie i okrutnie oceniony. "Jak można mnie potępiać za to, że się zakochałem?"

W sądzie ani razu o mnie nie wspomniał, więc zupełnie nie pasuje mi to, że miałyby mnie teraz prześladować. Po co miałyby to robić? I co by tym osiągnął?

-- Naprawdę myślisz, że to Alex, Leanne? -- Jestem zaskoczona, że wypowiadam te słowa na głos.

Przez chwilę bawi się pasami, w końcu odpowiada:

-- Naprawdę nie wiem, ale według mnie nie powinnaś odrzucać takiej ewentualności. Miał w więzieniu dużo czasu na myślenie. Kto wie, do czego jest zdolny ktoś taki jak on. Chcę jedynie mieć pewność, że dopóki go nie znajdą, ty jesteś bezpieczna.

-- Co jest ze mną nie tak, Leanne? -- Wzdycham i wyglądam przód bluzy.

-- Co konkretnie masz na myśli?

-- To, że to wszystko przytrafia się właśnie mnie. Jednej osobie. To niedorzeczne. -- Wyjmuję z kieszeni gumkę i związuję włosy w kucyk.

-- Przyznaję, że masz sporego pecha. Tyle że kto jak kto, ale ty, dzięki swojej pracy, powinnaś wiedzieć, że życie nie jest sprawiedliwe.

Pogłośnia radio, a ja wyłapuję aluzję i znów wbijam wzrok w telefon.

Dodałam do zakładek wiele stron poświęconych stalkingowi. Od rozmowy z Jackiem coś nie daje mi spokoju. Ma rację. Tak bardzo chcę o tym napisać. Konieczność duszenia wszystkiego w sobie jest cholernie frustrująca.

Przeskakuję ze strony na stronę, raz jeszcze czytając to, co udało mi się znaleźć po tamtym pierwszym telefonie.

Okazuje się, że większość stalkerów nie jest zabójcami. Ale wielu zabójców zaczyna od stalkingu. Większość ofiar zna swojego prześladowcę. Wiele nie zgłasza stalkingu z obawy przed pogorszeniem sytuacji. Równie wiele skarży się, że policja robi za mało.

Wpisuję w wyszukiwarkę nowe hasło i znajduję link do fundacji zajmującej się ofiarami. Przebiegam wzrokiem stroną główną. Stronę z radami. Statystyki. Aż w końcu docieram do strony z opisami konkretnych przypadków. Czytam o aktorce otrzymującej wstrętne wiadomości, kiedy była w ciąży. O nauczycielce prześladowanej przez byłego ucznia. Pielęgniarkę, która rzeczywiście stała się ofiarą ataku z użyciem kwasu. Całe strony potwornych historii.

Wypowiada się sporo ofiar i pochłaniam cytaty za cytatem. Nieprzyjemnie cierpnie mi skóra, kiedy odkrywam, że przeżywam taki sam rollercoaster emocji jak one. Poczucie bezradności. Nieustanne

oglądanie się przez ramię. Gniew. Rozczarowanie samą sobą za to, że czuje się strach...

Następnie przechodzę na stronę z blogiem.

I wtedy wpadam na pewien pomysł. Dyskretnie wysyłam mail, który -- o czym nie mam w tej chwili pojęcia -- okaże się brzemienny w skutki.

## ROZDZIAŁ 30

### On -- wtedy

Chłopiec patrzy przez okno w klasie na rosnące za placem zabaw drzewa. Krąży nad nimi duży ptak.

Żałuje, że nie wie więcej o ptakach. Dla niego wygląda jak jakaś odmiana orła, ale pokazał kiedyś orła babci, a ona powiedziała, że to wcale nie jest orzeł. To była kania ruda.

Dzięki dorastaniu na farmie babcia zna się na ptakach i innych zwierzętach. Wcale nie lubi miasta. W wakacje czasami wybierają się na wycieczkę autobusem za miasto, spacerują i urządzają sobie piknik. Babcia zawsze wtedy wygląda na naprawdę szczęśliwą, a on żałuje, że nie mogą uciec i mieszkać razem na farmie. Mogliby hodować owce i krowy, i kozy.

Skupia się ponownie na książce z czytankami i przesuwa palcem po kartce. Wolno mu teraz czytać trudniejsze książki, bo świetnie sobie radzi. Jest najlepszy w Czerwonej Grupie.

Do jego stolika podchodzi panna Henderley i przysiadła na brzegu.

-- Proszę pani, mamy jakieś książki o ptakach? -- Chłopiec odwraca się w stronę okna i wskazuje na nadal krążącego dużego ptaka. -- Chciałbym poznać ich nazwy.

-- Wydaje mi się, że to pustułka, ale nie mam pewności. Sprawdzę, czy znajdę coś dla ciebie w bibliotece. U ciebie wszystko dobrze?

-- Tak. -- Kłamstwo. Ale przynajmniej jest poniedziałek, więc nie chce mu się spać. Nie zaśnie na lekcji, nie dzisiaj. Problem w tym, że już tylko dwie noce do czasu, kiedy babcia znowu go zostawi.

Brian mówi, że jeśli zdradzi babci ich sekret -- o lego i przysłudze -- to on będzie musiał powiedzieć policji, że babcia zostawia go w środy samego na noc i wsadzą ją do więzienia. Brian mówi też, że starzy ludzie nie radzą sobie w więzieniu i że najpewniej się wtedy rozchoruje, a może nawet i umrze. Więc nie wolno mu pisać ani słowa. Brian mówi, że będzie najlepiej i najbezpieczniej, jeśli będzie zaglądał i dotrzymywał chłopcu towarzystwa w każdą środę, kiedy



babcia wychodzi na noc. Będzie przynosił specjalne herbatniki i czekoladę z Belgii, według niego najlepszą na świecie.

Na myśl o Brianie chłopiec ma ochotę w coś uderzyć, ale także chce mu się płakać, więc wpycha sobie piąstki w oczy.

-- Co ty robisz?

Otwiera oczy i widzi, że siedzący obok Andrew gapi się na niego. I powtarza pytanie:

-- Co ty robisz z rękami?

-- Próbuję zobaczyć, jak bardzo ciemno może być, kiedy wsadzę sobie ręce w oczy.

-- Dziwne to jest. Ty jesteś dziwny.

-- Wcale nie.

Szturcha kolegę w ramię, a Andrew woła nauczycielkę, która zdążyła wrócić do swojego biurka.

-- Proszę pani, on mnie pchnął. Nic nie zrobiłem, a on mnie pchnął.

-- Hej, hej. Obaj macie się uspokoić i wrócić do czytania.

Później, kiedy chłopiec idzie do domu razem z babcią, zadaje mnóstwo pytań o ptaki. Postanowił, że chciałby mieć ptaka drapieżnego, i wyszkolić go tak, aby ten zabił Briana. Tak. Nauczy go sfruwać i atakować. I nikt nie będzie wiedział, kto jest winny -- wszyscy będą myśleli, że to ptak oszalał -- a jego babcia nie trafi do więzienia.

-- Możemy mieć ptaka? Orła albo jakiegoś podobnego.

-- Nie bądź niemądry. -- Babcia ściska mu dłoń. -- Nie można trzymać dużego ptaka w takim małym mieszkaniu jak nasze.

-- Niektórzy ludzie mają papugi. A one są całkiem duże.

-- To nie to samo. Poza tym nie podoba mi się pomysł trzymania ptaków w klatkach. One muszą fruwać.

-- Dlaczego musiałaś opuścić farmę? Dlaczego nie możemy mieszkać na farmie?

-- To był tylko najem. Skończyły się pieniądze.

Pieniądze, pieniądze. Zawsze pieniądze...

Chłopiec spogląda w niebo i zastanawia się, czy mógłby w tajemnicy wyszkolić wielkiego ptaka. W parku albo gdzieś. Pamięta program w telewizji, w którym mówiono, że ptaki drapieżne zjadają my-

szy i tym podobne. Może spróbowałby złapać mysz i nakarmić nią ptaka w parku. Oswoić go i nauczyć wykonywania poleceń. Wtedy sobie przypomina, że nie wolno mu się bawić samemu w parku. Nie rozumie tego. Jak to możliwe, że w parku nie może się bawić sam, ale może zostawać sam w domu w środowe wieczory?

Po raz kolejny myśli o tym w czasie kąpieli.

-- Chcę znowu sam się wykąpać. Jestem już duży.

Babcia wygląda na zaniepokojoną -- tak jak wtedy, kiedy poprosił o to po raz pierwszy. W zeszły czwartek.

-- Wiem, że jesteś duży, ale muszę pilnować, abyś się nie poślizgnął w wannie i w ogóle. To niebezpieczne.

-- Moglibyśmy zostawić drzwi uchylone, tak jak wtedy. Ale chcę sam to robić. Od teraz już zawsze.

Prawda jest taka, że chce bardzo mocno wyszorować swoje ciało. I martwi się, że babcia jakimś cudem się dowie. Że będzie patrzeć na jego ciało i odgadnie sekret jego i Briana. Przysługi. A jeśli wszystko wyjdzie na jaw, ona będzie musiała iść do więzienia. A co, jeśli każą mu zamieszkać z Brianem?

Raz jeszcze spogląda na babcię. Myśli o ciastkach, które piecze w niedziele, i o opowieściach o farmie. Myśli o tym ciepłym i miłym uczuciu, które go ogarnia, kiedy babcia gładzi go po włosach, i walczy teraz ze sobą, aby nie objąć jej w pasie i wszystkiego nie wyznać. Zaciska dłonie w pięści, chcąc w ten sposób powstrzymać słowa, które pragną się wydostać z jego ust. Zamiast tego myśli o ptaku, którego wyszkoli. Tak. Kiedy tylko będzie mu wolno bawić się samemu, wyszkoli w tajemnicy ptaka. Wielkiego ptaka z ogromnymi szponami, który który zabije Briana.

-- Jestem już dużym chłopcem, babciu. Dam sobie radę -- zapewniam.

## ROZDZIAŁ 31

### Alice

Zdaję sobie sprawę, że moja opinia na temat Londynu jest zapewne niesprawiedliwa. Bo przecież sama dostrzegam jego urok -- rzekę, panoramę, ludzi i gwar.

Mój problem z Londynem nie ma nic wspólnego z logiką; nie mogę zaprzeczyć jego oczywistym plusom. Mam problem z Londynem dlatego, że część dziennikarzy traktuje to miasto jak centrum wszechświata -- uważając, że tam jest wszystko to, co najlepsze. Najlepsze restauracje. Najlepsze tematy. Jako dziennikarka uważam, że znajdują się tutaj po prostu wszystkie główne siedziby, co oznacza, że przedstawicielom prasy łatwiej jest rozmawiać z grubymi rybami.

Jeśli mam być szczerą, to chyba jestem na tym punkcie trochę przewrażliwiona. Ale po latach pracy w redakcjach mieszczących się w dalekiej Szkocji, a potem w Devon, wiem, że artykuły pisze się przede wszystkim o ludziach. A ludzie na prowincji mają równie wiele problemów i wyzwań co ci w Londynie -- i mają takie same prawo do tego, aby być zauważonym i wysłuchanym. I opisanym.

Więc owszem. Wiem, że mój problem z Londynem to kwestia zawodowej drażliwości. Prawda jest taka, że kocham wieś i małe miejscowości, a jako dziennikarka mierzę się z opiniami innych, że brak mi ambicji (albo jestem po prostu zaściankowa) i muszę ciężiej pracować, aby brano mnie na poważnie.

W ten jednak weekend odpuściłam Londynowi. Pozwoliłam, aby to Leanne, która uwielbia to miasto, zadbała o nasz grafik. Szczerze? Zaskakująco miło spędziłam czas. W sobotę zabrałyśmy dzieci do Muzeum Nauki, a w sobotę do Tower of London. Nie mam pojęcia, jak udało mi się dożyć takiego wieku bez obejrzenia klejnotów królewskich. Świetnie się bawiłam. W niedzielę zjedliśmy bardzo późny lunch w eleganckiej kawiarnio-restauracji niedaleko ogrodzonego domu Leanne i Jonathana w Notting Hill.

Okazuje się, że Londyn, jak każde inne miejsce, jest naprawdę fajny, jeśli tylko ma się czas, aby się nim cieszyć.

A teraz, w poniedziałek, na powrót przywdziałam powrót swoją maskę dziennikarki. Wreszcie dokończyłam wywiad z aktorką Belindą Belstroy. Napisała mi, że dużo o tym myślała i że nie wcisnęłaby guzika. Woli zaakceptować swoją chorobę i nauczyć się z nią żyć. Ted przysłał mi mail z informacją, że za kilka dni wywiad zostanie opublikowany. Jestem uradowana -- tak się cieszę, że coś robię! A teraz mam się spotkać z trzema bojowniczkami, które wytoczyły działa, aby zburzyć Maple Field House.

Gill, Naomi i Amy to wyjątkowe trio. Nazywam je mamami z misją. Trzydziestoparolatki, które nie dają sobie w kaszę dmuchać. Poznałam je jakiś czas temu, kiedy przysłały mi pierwszą informację o potwornej wilgoci. Doskonale pamiętam swoją pierwszą wizytę w Maple Field House. Mieszczący się jakiś kwadrans jazdy od Plymouth budynek, w którym mieszkania znajdowały się nad sklepami, wybudowano wokół dziedzińca, który wygląda jak plac bez jednej ściany. Matki wyjaśniły w ulotce, że ich wszystkie dzieci cierpią na astmę, którą nasila panująca wilgoć. Ale w urzędzie miasta nikogo to nie interesowało.

Maple Field House wybudowano w pośpiechu tuż po wojnie jako jedno z wielu szybkich, lecz brzydkich wizualnie rozwiązań ówczesnego problemu mieszkaniowego. Budynek ten należał do miasta. Bezczyńszkowe sklepy kiedyś cieszyły się popularnością i doskonale prosperowały. Ale klienci zmienili przyzwyczajenia, więc Maple Field House także się zmienił. Nawet sklepy z używanymi rzeczami walczyły o klientów, a większość lokali zabita była deskami.

Dzisiaj Gill, Naomi i Amy spotykają się z fundacją, która pomogła w zdobyciu funduszy na kampanię. Ja jedynie opisywałam ich ciężką pracę, dlatego tak się cieszę, że zostałam zaproszona. Podziwiam te kobiety i to dla mnie zaszczyt, że mogłam przedstawić w gazecie ich historię.

W siedzibie fundacji w przytulnym, zielonym, jasnym pomieszczeniu zostajemy poczęstowane kawą i pysznym ciastem z kremem. Prowadzimy pełne ekscytacji rozmowy, jest dużo śmiechu i mnóstwo pozowania do selfie dla mediów społecznościowych.

-- Oczywiście nie udałoby nam się to wszystko bez Alice -- oświadcza Gill, przedstawiając mnie Melody, fundacyjnemu piarowcowi. -- Niewiele osób poświęcało nam uwagę, dopóki Alice nie zaczęła o nas pisać.

-- Bzdura -- protestuję. -- Wykonywałam jedynie swoją pracę. To wy odwaliłyście całą robotę. Zgromadziłyście dane. Nie zgodziłyście się przyjąć odpowiedzi odmownej.

Melody przytakuje i w krótkiej przemowie chwali pracę trzech pań. Opowiada także o współpracy ze spółdzielnią mieszkaniową, która ma zbudować lokale zastępcze. Mówi, że rada miasta korzysta na takim rozwiązaniu. Dodaje także, że ma nadzieję, iż inni pójdą jej śladem. Miejscowe władze wyznaczają właśnie teren dostępny za symboliczny czynsz. Spółdzielnia mieszkaniowa gromadzi fundusze przeznaczone na budowę.

Jakiś czas później podchodzi do mnie Gill i wręcza małą złotą kopertę. Unoszę brwi, zastanawiając się, co to takiego.

-- Chciałybyśmy, abyś była gościem honorowym podczas wyburzenia. W końcu ustalono datę.

-- Dajcie spokój -- mówię. -- Nie potrzebuję specjalnego zaproszenia. Przyjdę i opiszę wszystko w gazecie.

-- Chcemy, abyś była przy nas, kiedy naciśniemy przycisk. Abyś widziała, jak wszystko się wali. To będzie niesamowita chwila.

Otwieram kopertę i wyjmuję z niej imienne zaproszenie ze złocymi literami. Wyburzenie odbędzie się już za dwa tygodnie. A potem raz jeszcze przebiegam wzrokiem po zaproszeniu i wszystko wokół mnie ulega zmianie. Nagle pokój wydaje się zbyt zatłoczony i zbyt w nim gorąco. Nagle nie lubię już Londynu.

Nagle po raz kolejny słyszę w uchu ten głos.

"Załatwię cię żyłką do sera".

Dlatego, że data na zaproszeniu jest niczym okrutny i przerażający żart, przypominający mi, że moje życie -- w Londynie, Devon czy gdziekolwiek indziej -- nie należy już do mnie. Nie jest już normalne.

Do wyburzenia ma dojść dwunastego.

W środę.

## ROZDZIAŁ 32

### Matthew

-- Gdzie masz iPada? -- Sally wgryza się w gruby tost, spoglądając na męża ponad stołem.

Amelie siedzi na swoim krzeselku i koloruje obrazki przedstawiające wróżki. Matthew nachyla się i przygląda rękodziełu córki.

-- Jesteś pewna, że wszystkie wróżki są różowe, skarbie?

-- Tak. Oczywiście. -- Dla poparcia swych słów bierze do ręki jeszcze intensywniej różowy flamaster. -- Są różowe, żeby było je widać w lesie.

-- Sądziłem, że wróżki są niewidzialne.

-- Nie bądź niemądry, tatusiu...

-- Po prostu zauważyłam, że robisz zapiski w notesie, Matt. Jak w starych policyjnych filmach. Czyli to nostalgia? A może zgubiłeś iPada?

-- Trochę nawala. Myślę o jego wymianie. Na mniejszy.

Matthew ma nadzieję, że Sally nie wyczyta prawdy z jego twarzy. Nie jest jeszcze gotowy powiedzieć żonie, że pożyczył iPada człowiekowi, który uważa, że chcą go porwać mali ludzie. Dla Iana to tylko rozwiązanie tymczasowe, bo na karcie SIM znajdują się ograniczone środki. Ale Matthew rozgląda się za tanim pakietem internetowym dla Iana i liczy, że uda mu się przekonać staruszkę do podpisania umowy. Wtedy mógłby mu udzielić paru lekcji, dzięki którym rozmawiałby z córką przez Skype'a tak często, jak tylko miałby ochotę.

-- Ale ten iPad wcale nie jest taki stary.

-- Nie. Ale, jak już mówiłem, psuje się. Zresztą nowy mogę kupić na firmę i wrzucić w koszty. Uzasadniony wydatek. -- Dzięki Bogu za ten przelew od korporacji. Aż go zdziwiło, ile firmy są skłonne zapłacić za pracę konsultanta.

Matthew wstaje, chowa notes i długopis do plecaka i sprawdza godzinę.

Oczywiście szaleństwem jest rozważać podarowanie iPada osobie praktycznie obcej -- człowiekowi, który nawet nie płaci za poświę-

cony mu czas, nie mówiąc o sprzeczcie. Niedługo ponownie złoży wizytę Ianowi, aby się przekonać, czy coś się zmieniło.

Matthew bardzo się cieszy, że oficjalnie wrócił do pracy nad sprawą stalkera Alice -- nawet jeśli Sally pała do tego zdecydowanie mniejszym entuzjazmem. Sporą część wczorajszego wieczoru poświęcił na czytanie kolejnych artykułów poświęconych Alexowi Sunninghamowi i coś mu nie daje spokoju. Krąży po jego umyśle niczym irytujący komar. Detektyw wie, że nie może się kierować wyłącznie intuicją. W policji naciskano, aby swoją ocenę opierał na faktach. Dowodach i nauce. Ale teraz, kiedy sam sobie jest szefem, lubi słuchać intuicji. I komarów.

Przez chwilę pozostaje w kompletnym bezruchu, co z jakiegoś powodu często okazuje się pomocne. No i proszę -- oto pojawia się to coś, co nie dawało mu spokoju.

-- Gretna Green -- mówi nagle na głos.

-- Gretna Green? -- powtarza za nim Sally.

-- Sorki. Muszę lecieć.

-- Mam nadzieję, że nie do Gretna Green?

-- Nie. Później ci opowiem. Przeczucie. W tej sprawie ze stalkin-  
giem. Kocham was obie. -- Całuje w czoło najpierw córkę, potem  
żonę i szybkim krokiem wychodzi z domu.

W samochodzie otwiera w telefonie artykuł, który czytał wczoraj  
wieczorem, chcąc raz jeszcze sprawdzić cytowane wypowiedzi. Do-  
piero wtedy wybiera numer Mel.

-- Cześć, Mel. Posłuchaj, zabrzmiało to trochę wariacko, ale myślę,  
że powinniście sprawdzić akta w Gretna Green.

-- Słucham?

-- Poszukajcie nazwiska Alexa. Mam przeczucie, że ta dziewczyna  
nabrała rodziców i media.

-- Co ty, u licha, sugerujesz?

-- Nie wydaje mi się, aby ją porwał. Uważam, że dziewczyna uda-  
wała tylko, że ją oświeciło. Że to wszystko było zaplanowane.

Przez chwilę Mel milczy, a Matthew czeka.

-- Chyba nie sugerujesz, że nadal jest pod jego urokiem? Gretna  
Green. Myślisz, że planują wziąć ślub? Oszalałeś? Przecież pokazano

ich w telewizji. Nigdy by mu się to nie udało...

-- A jeśli rzeczywiście jest aż tak arogancki, Mel? Jeśli urzędnicy w Gretna Green nie sprawdzili akt? Czy istnieją jakieś aplikacje odsyłające do akt osób na zwolnieniu warunkowym? Wątpię. Przeczytałem jeszcze raz ten wywiad, którego udzieliła długo po sprawie sądowej i w którym twierdziła, że zobaczyła światło. Szczerze mówiąc, wszystko brzmiało zbyt idealnie. A jeśli Alex ją do tego namówił? Jeśli jakimś sposobem pozostawali w kontakcie? Pamiętaj, że ich oryginalny plan to ślub w Gretna Green.

-- Ale ona zeznawała przeciwko niemu, Matt.

-- Tak. Nakłoniona przez rodziców i policję. Ale co, jeśli Alex później znowu zawrócił jej w głowie? Nawiązał z nią kontakt. Jeśli to wszystko ukartował?

-- Jezu. Muszę przyznać, że taka wersja nie przyszła mi do głowy? Choć rzeczywiście pasuje do nowych informacji dotyczących nagrań z kamer przemysłowych, jakie dotarły do nas dziś rano.

-- Jakich nowych informacji?

-- Nie wiesz tego ode mnie, ale udało nam się go namierzyć, jak wynajmował samochód na fałszywe dane.

-- I skierował się na północ?

-- Tak. Stacja benzynowa przy autostradzie. Ale w samochodzie był sam. I na pewno go już porzucił albo zmienił tablice, bo nie wyłapaliśmy go na żadnej innej autostradzie.

-- Mógł się przesiąść do pociągu. I założę się, że ta dziewczyna także jedzie pociągiem do Szkocji. Warto sprawdzić nagrania z kamer na dworcach.

-- Jasne. Nieźle to wykombinowałeś. Gretna Green. Sprawdzimy to i zadzwonię do ciebie. Albo nie. Spotkajmy się lepiej w kawiarni. Napiszę ci godzinę i dam znać, gdybyśmy się dowiedzieli czegoś nowego.

Kilka godzin później Matthew siedzi w kawiarni i próbuje ciasta marchewkowego, które Mel tak bardzo lubi. Według niego jest raczej zapychające. Raz jeszcze sprawdza w internecie zasady obowiązujące w Gretna Green. Nie jest już możliwe zjawienie się i wzięcie ślubu z marszu. Trzeba zarezerwować termin z co najmniej dwu-



dziestodziewięciodniowym wyprzedzeniem, ale wygląda na to, że nikt nie sprawdza, czy ktoś jest notowany albo przebywa na zwolnieniu warunkowym, więc to możliwe, że Alex zaplanował miesięczną przyczajkę, a po niej ślub. Od obywateli brytyjskich w Gretna Green wymagane są tylko akty urodzenia i orzeczenie o rozwodzie, jeśli miało się już żonę lub męża.

Daty pasują do teorii Matthew. Alexa zwolniono tuż przed tym, jak zaczęto prześladować Alice. Mógł wypełnić dokumenty potrzebne do wzięcia ślubu w Gretna Green od razu po wyjściu na wolność. W takim przypadku miałyby właśnie cztery tygodnie i ślub mógłby się odbyć w każdej chwili. Co mogło tłumaczyć, dlaczego Alex nagle przestał się stawiać na widzeniach z kuratorem. I dlaczego dziewczyna uciekła z domu.

Matthew raz jeszcze przebiega wzrokiem po tekście wywiadu, który przeprowadzono z nią w czasie, kiedy Alex spędzał za kratkami drugi rok. Dostrzega, jak często wspomina ona o tym, że żałuje, i o nowym życiu po Alexie. Te słowa były przekonujące, tyle że może aż za bardzo. Niezwykle dojrzałe. Właśnie to uruchomiło w jego umyśle sygnał alarmowy. Fakt, że jej odpowiedzi sprawiały wrażenie przeciwicznych. Dla Matthew brzmiało to tak, jakby dziewczyna aż za bardzo pragnęła przekonać rodziców i świat, że Alex Sunningham to dla niej przeszłość.

Zaczyna żywić coraz głębsze przekonanie, że to Alex włożył jej w usta te słowa. Podczas odsiadki udało mu się znaleźć sposób na odnowienie kontaktu z tą dziewczyną i ponowne przejęcie nad nią kontroli. Coś takiego jak najbardziej było możliwe. Telefony komórkowe w więzieniach są niestety na porządku dziennym.

Matthew pije kawę i myśli o Alexie oraz powodzie, dla którego nadal może on chcieć tego związku. Z pewnością wie, że w końcu zostanie znaleziony i trafi z powrotem za kratki, aby odsiedzieć pozostałą część wyroku. Jednym z wymogów stawianych przy zwolnieniu warunkowym jest poinformowanie kuratora o wzięciu ślubu. W trakcie zwolnienia nigdy by nie uzyskał pozwolenia na ślub ze swoją ofiarą. Dlaczego więc miałyby zrobić coś, co pośle go z powrotem za kratki? Aby pokazać środkowy palec wymiarowi sprawiedli-

wości? Uzyskać przykrywkę w postaci legalnej młodej żony, aby móc się potem uganiać za jeszcze młodszymi dziewczynami? Może sądzi, że nie zostanie znaleziony? A może w ogóle nie zależy mu na byciu namierzonym i odbyciu reszty kary? Może jest na tyle szalony, aby wierzyć, że ślub z tą dziewczyną sprawi, iż odzyska swego rodzaju równowagę moralną? Odrażające. Podstępne. Tak -- szalone.

Pół godziny później do kawiarni wchodzi zaaferowana Melanie Sanders w płaszczu luźno przewiązonym paskiem na wielkim brzuchu.

-- Mam mało czasu, dosłownie pięć minut, więc nie będę niczego zamawiać. Ale mogłabym cię ucałować.

-- Proszę bardzo.

Daje mu kuksańca w ramię i siada.

-- Serio. Nie wiem, jak to robisz. Prawie jestem na ciebie zła za to, że taki z ciebie bystrzak. Alex Sunningham i ta dziewczyna mają zarezerwowany ślub w Gretna Green. Na swoje prawdziwe nazwiska. Zgadnij na kiedy.

-- Nie mam pojęcia.

-- Na jutro. Zbieg okoliczności, a może i nie...

-- Środa. -- Matthew jest oszołomiony w niemal takim samym stopniu jak Melanie.

-- Urzędnicy w Gretna Green czują się strasznie z tym, że nie zwrócili uwagi ani nie rozpoznali nazwiska. Ale Alex złożył dokumenty już kilka tygodni temu. Musiał to zrobić zaraz po wyjściu na wolność. Podobno wyglądał zupełnie inaczej niż na zdjęciach z mediów i nikt nie pamiętał o tamtej aferze ani nie dodał dwóch do dwóch, kiedy pojawiła się informacja o jego zaginięciu.

-- Myślisz, że on i ta dziewczyna rzeczywiście sądzili, że im się uda? Bo przecież urzędnicy rozpoznaliby ich w dniu ślubu. -- Matthew obraca w palcach saszetkę z cukrem. -- Czy ten Alex pragnie po prostu uwagi? Jest narcyzem? Chce pokazać, że nadal sprawuje kontrolę nad tą dziewczyną?

-- Cholera wie. W Gretna odbywa się każdego dnia tyle ślubów, że może nie zostaliby rozpoznani. No ale do rzeczy. Miejscowa policja sprawdza wszystkie dostępne dla turystów domy i mieszkania,

no i zapisy z kamer przemysłowych. Jeśli nie uda im się ich znaleźć, zjawimy się jutro na ślubie i aresztujemy go przed ceremonią.

-- Też tam pojedziesz? Sądziłem, że przydzielono ci tę sprawę dlatego, abyś przed odejściem na urlop macierzyński mogła posiedzieć spokojnie za biurkiem.

-- Formalnie rzecz biorąc, tak. Ale znasz mnie, lubię wszystko nadzorować. Aczkolwiek nie jestem pewna co do tego wyjazdu. Policja właściwa dla miejsca zamieszkania dziewczyny prowadzi oczywiście własne dochodzenie, a znasz moje zdanie w kwestii współprac. Mimo to z powodu sprawy stalkera będę się ubiegać o prawo pierwszeństwa. Zobaczymy. Tak czy inaczej nie mogę się doczekać, kiedy przyjdzie moja kolej na przesłuchanie pana Alexa Sunninghama.

-- Naprawdę sądzisz, że to on jest naszym stalkerem, Melanie?

-- A ty nie?

## ROZDZIAŁ 33

### Alice

Mamy wtorek, a ja nadal jestem w Londynie -- dzisiaj już bardziej zmęczona, bo do środy zostało zbyt mało czasu, abym była w stanie spać. Przyglądam się wzorowi z liści koki na kubku z kawą, a potem przenoszę spojrzenie na skrzypka. Nawet jak na Covent Garden, gdzie zawsze można spotkać świetnych muzyków ulicznych, ten chłopak jest wyjątkowo dobry. Gra na skrzypcach tak, jakby stanowiły przedłużenie jego ciała. Królewska Akademia Muzyczna albo inna podobna uczelnia? Tak. Najpewniej w taki właśnie sposób zarabiają studenci. Wzdrygam się, jak zawsze, kiedy myślę ogólnie o muzyce. Alex przy swoim imponującym pianinie...

-- Dobry jest, no nie? -- Claire podąża za moim spojrzeniem, po czym ponownie koncentruje się na mnie, siedzącej naprzeciwko niej przy kawiarnianym stoliku. -- To co, czujesz się trochę lepiej, Alice?

-- Tak. Przepraszam za tamto. Nie mam pojęcia, skąd mi się to wzięło. -- Nie wyrobiłam sobie jeszcze zdania na temat Claire, ale czuję się potwornie zażenowana tym, że wcześniej wybuchnęłam płaczem.

-- Nie przepraszaj. Powinna była zaproponować jakieś bardziej ustronne miejsce. W sumie o tej porze dnia jest tu spokojniej. Gdyby tylko w biurze nie było dzisiaj zebrania, znalazłybyśmy tam sobie jakiś cichy kącik. Przydałaby nam się większa siedziba, ale staramy się ciąć koszty.

-- Moja wina. Wyskoczyłam z tym w ostatniej chwili. -- Zgarniam spienione mleko łyżeczką, wsuwam ją do ust, a potem piję już samą kawę. Smaczna. Pomimo mojego wcześniejszego zażenowania cieszę się, że się spotkałyśmy. Rozmowa z Claire o tym, co się dzieje, przynosi mi tak bardzo potrzebną ulgę.

-- Nie masz pojęcia, jak dobrze się spotkać z osobą, która mnie rzeczywiście rozumie.

Claire na chwilę ujmuje moją dłoń.

-- Wiem. Dlatego to robimy. Wszyscy mówią to samo, kiedy się skontaktują z fundacją. Stalking jest czymś najbardziej izolującym i przerażającym, co się może przytrafić. Robimy, co możemy. Nie udajemy, że jesteśmy w posiadaniu czarodziejskiego rozwiązania, ale jedno możemy obiecać: pełne zrozumienie.

-- Obecnie rzadko widzisz się z siostrą?

Wyjaśniła mi wcześniej przez telefon, że założyła tę fundację po tym, jak jej siostra Lisa stała się ofiarą ataku z użyciem prawdziwego kwasu. Sprawcą był kolega ze studiów. Wymyślił sobie związek, który nigdy nie istniał, i prześladował Lisę przez cały pierwszy i drugi rok. Kartki, prezenty i niezliczone esemesy. Nieustannie pojawiał się na jej wykładach i wydarzeniach towarzyskich, a także nuchodził ją w mieszkaniu. Lisa zgłosiła nękanie zarówno policji, jak i opiekunom roku na uczelni, nikt jednak nie był w stanie pomóc. Uczelnia jedynie wystosowała do nękańcego ostrzeżenie. Policja zdawała się uważać, że problem z czasem minie.

Aż w końcu na trzecim roku, krótko przed egzaminami, stalker przyszedł do mieszkania Lisy, a kiedy otworzyła drzwi, oblał ją kwasem. Trafił do więzienia. Dziewczyna doznała obrażeń wymagających operacji i wielomiesięcznego leczenia.

-- Ostatecznie postanowiła wyjechać za granicę -- wyjaśnia Claire. -- Powiedziała, że w tym kraju nigdy nie czułaby się bezpieczna. Ten człowiek odsiedział już wyrok, więc wcale się jej nie dziwię.

-- Można więc powiedzieć, że straciłaś siostrę?

-- Rozmawiamy przez Skype'a. Odwiedzam ją tak często, jak to tylko możliwe. Ale tak, czuję, że przez niego ją straciłam.

-- Więc to dlatego założyłaś fundację? Dlatego to robisz? -- Wezłam w tryb zawodowy. Co za temat.

Claire kiwa głową.

-- Ktoś musi. Udało mi się zgromadzić fundusze na cztery lata. To nasz trzeci rok i nie jest łatwo. Nie wiem, co zrobimy, kiedy pieniądze się skończą.

Milczę. Bardzo chciałabym pomóc, wolę jednak nie wyskakiwać z tym zbyt wcześnie. Wyjaśniłam, jak bardzo pragnę opisać swoje

przeżycia. Znaleźć bratnie dusze. Spróbować pokazać społeczeństwu, jakim piekłem dla ofiar jest przechodzenie przez to wszystko.

-- Co więc myślicie o tym, abym publikowała anonimowo wpisy na waszym blogu?

-- Oczywiście byłoby super. Ktoś z twoim talentem pisarskim i osobistymi doświadczeniami bardzo by pomógł fundacji. Ale muszę mieć pewność, że nie pogorszy to twojej sytuacji, Alice. To znaczy, dopóki sprawa nie zostanie zakończona.

-- Szczerze mówiąc, nie wiem, w jaki sposób coś mogłoby pogorszyć, Claire. Nie zamierzam podawać żadnych szczegółów, które mogłyby doprowadzić do zidentyfikowania mnie. Nie wspomnę nic o środach; pragnę jedynie opisać to, co czuję.

-- Z zasady prezentujemy historie konkretnych osób dopiero po rozwiązaniu sprawy. Nie w jej trakcie. Trochę się boję, że stalker może to przeczytać. Że będzie się tym upajał. Nie chcemy dawać tej kreaturze tego, na czym tak jej zależy.

Biorę głęboki oddech.

-- Tak, rozumiem, że rzeczywiście można się tym przejmować. I dokładnie to samo twierdzi mój naczelny. Ale przez to, że nie mogę uzewnętrznić swoich uczuć, chodzę po ścianach. To może zrobimy tak, że zabiorę się do pisania i po prostu zaczekamy chwilę z publikacją materiału? Poczulałabym się o wiele lepiej, gdybym mogła znaleźć ujście dla tego wszystkiego. Coś, co mogłoby pomóc także innym.

-- Okej. -- Claire dopija kawę i wręcza mi wizytówkę. -- Tu masz moje prywatne dane kontaktowe. Prześlij mi mailem pierwszy tekst, a potem porozmawiamy. Jeśli uznam, że typ cię nie zidentyfikuje ani nie zagrozi policyjnemu dochodzeniu, zamieścimy twoje refleksje na stronie z linkami do naszych zestawień w mediach społecznościowych. Liczy się każdy sposób na dotarcie do większej liczby ofiar.

-- Świetnie. To naprawdę dobry serwis -- dodaję. -- Mnie zdecydowanie pomógł.

-- Dziękuję ci. Cieszę się. A czujesz, że masz wystarczające wsparcie? Bo właśnie do mnie dotarło, że jutro jest środa. -- Claire poważ-

nieje.

-- Wieczorem wracam na południowy zachód. Muszę zdecydować, czy noc spędzę w domu siostry, w mieszkaniu mojego chłopaka, czy u siebie.

-- A myślisz, że gdzie będziesz się czuła najbezpieczniej, Alice?

-- W domu, który wynajmuję, zmieniono zamki. Zainstalowałam dodatkowe zabezpieczenia. Powinno być tam okej.

-- A masz osobisty alarm?

-- Mam taki, który po naciśnięciu zaczyna emitować wycie.

-- Nie, nie chodzi mi tylko o hałas. Mam na myśli alarm, który aktywuje działanie.

-- Nie rozumiem.

-- Alarm, który łączy się bezpośrednio z policją albo centrum obsługi.

-- Nie miałam pojęcia, że istnieje coś takiego.

Claire kręci głową, jest wyraźnie poirytowana.

-- No co?

-- Według mnie policja powinna je wydawać standardowo. Świadczyć tego rodzaju usługi. Zdarza się, że tak się dzieje. Kiedy chodzi o kogoś na wysokim szczeblu.

-- Nawet nie słyszałam o tego typu alarmie.

-- Cóż, są już na rynku urządzenia dla osób pracujących w pojedynkę, które się nosi na szyi. Łączą się z centrum obsługi, które z kolei może powiadomić policję. Prawdę mówiąc, pilotujemy obecnie własną wersję, szczególnie dla przypadków stalkingu, ale nie jestem jeszcze gotowa, aby zbyt wiele o tym mówić.

-- Dlaczego? To fantastyczny pomysł. Dokładnie coś takiego potrzebne jest ofiarom.

-- To dopiero początki. Testy są kosztowne. Nie jestem pewna, czy fundacja powinna w to inwestować.

-- Przesłałabyś mi szczegóły? Przynajmniej pozwól mi na to zerknąć. -- Myślę o tym, jak cudownie byłoby nosić coś takiego na szyi. Jedno szybkie wciśnięcie guzika przywołującego pomoc zamiast nieporadnego szukania telefonu.

-- Zastanowię się, Alice. Jeśli chcesz, to prześlę ci linki do opcji, które są już dostępne na rynku, i trochę informacji o tym, co sami pilotujemy.

-- Okej.

W tym momencie otrzymuję esemesa. Matthew Hill. Od razu czuję ucisk w żołądku.

Dobra wiadomość. Możliwe, że jesteśmy blisko odnalezienia  
Alexa.



## ROZDZIAŁ 34

### On -- wtedy

Babcia upiekła mu tort. Siedem świeczek.

-- Co to za ślady masz na ręce? -- Babcia nachyliła się, aby lepiej się przyjrzeć, chłopiec jednak obciąga mankiet swetra.

-- Nic takiego. Podrapała mnie nasza klasowa świnka morska. Nie podobało jej się, kiedy sprzątałem klatkę.

Przytrzymuje kciukiem brzeg rękawa, żeby ten nie podjechał do góry, i dopiero wtedy bierze głęboki oddech, żeby zdmuchnąć świeczki.

-- No dobrze. Nie zapomnij pomyśleć życzenia, kochany chłopcze.

Wypuszcza podmuch powietrza i życzy sobie, aby Brian nie żył. Wyobraża go sobie, jak leży na podłodze w wielkiej kałuży krwi. Wyobraża sobie, jak uderza go czymś ciężkim. Młotkiem. Tak. Trzask, trzask, trzask, prosto w mózg.

-- Nie możesz mi zdradzić tego życzenia, w przeciwnym razie się nie spełni.

-- Wiem. Nie jestem głupi.

-- Dobrze, już dobrze. Uważaj na ton, kochany. Wiem, że masz urodziny, ale nie chcemy kłótni, prawda? Chcę, aby był to dla ciebie miły dzień.

-- Moi koledzy urządzają przyjęcia.

Ma wyrzuty sumienia, kiedy to mówi, nie może się jednak powstrzymać. Ma dosyć bycia innym niż koledzy ze szkoły. I tych ich wszystkich głupich pytań. "Dlaczego nosisz dziwne bluzy? Babcia robi ci je na drutach? Ha, ha".

Bardzo by chciał mieć przyjęcie. Balony. Gry. Normalne rzeczy.

-- Tak, cóż. Naprawdę mi przykro. Nie dałabym rady ogarnąć tego sama. Ale później wybieramy się do kina, pamiętasz? I możesz kupić wtedy popcorn i słodycze. Specjalnie odłożyłam na to pieniądze.

Jest sobota. Babcia ma dzisiaj wolne. Chłopiec dostrzega w jej oczach smutek i wyrzuty sumienia przybierają na sile. Nie rozumie,

jak to możliwe, że przez większość czasu tak bardzo ją kocha, ale też bywa na nią zły. Strasznie to dziwne.

-- Przepraszam, babciu. Przepraszam.

Obejmuje ją w pasie, nadal przytrzymując rękaw swetra. Wykorzystuje znaleziony w szkole kompas. Najczęściej drapie skórę jedynie trochę, ale czasami, kiedy dopada go prawdziwy gniew, wbija ostry koniec głębiej w ciało, aż pojawia się krew. Nie wie, dlaczego przez jakiś czas czuje się wtedy dobrze. Chce przestać to robić, bo się martwi, że babcia albo pani w szkole się dowiedzą. To przecież wcale nie wygląda jak zadrapania zrobione przez świnkę morską.

Brian wie.

"Co to za ślady?"

"Nic takiego".

"Musisz przestać to robić, w przeciwnym razie będę musiał z kimś porozmawiać. O twojej babci. Może jednak powinienem powiedzieć policji".

"Może powinienem powiedzieć im o panu".

"Nie bądź niemądry. Rozmawialiśmy o tym. Nikt nie uwierzy małemu chłopcu. A chcesz, żeby twoja babcia trafiła do więzienia? Naprawdę myślisz, że dałbyś z tym sobie radę?"

-- Pójdziemy się przywitać z dziadkiem? Zjemy tort na dworze na serwetce? -- Zaprawia ton szczyptą entuzjazmu, bo wie, że babcię ucieszy taka propozycja. Chce jej wynagrodzić swoją wcześniejszą marudność.

Rzeczywiście do oczu babci napływają łzy. Wygląda przez okno. Niebo jest błękitne. Ani jednej chmury. Chłopiec bardzo się stara nie myśleć o Brianie. O tym, skąd mógłby zdobyć młotek i jak by było w więzieniu...

-- Cudowny pomysł. Dziękuję ci, mój mały żołnierzu. Dziadek bardzo by się ucieszył.

Razem siadają na ławce na skraju trawnika. Chłopiec spogląda do góry na okna ich mieszkania. Stamtąd babcia zawsze zerka na tę ławkę, kiedy parzy im herbatę na śniadanie.

-- Dzień dobry, mój kochany -- mówi każdego dnia do ławki.

Do drewna przytwierdzona jest tabliczka, którą zrobili przyjaciele dziadka. Wszyscy jego klienci z warsztatu szewskiego. Babcia mówi, że naprawiał buty, torebki i paski. Jak nikt potrafił przesywać skórę. Wynajmował jeden z lokali pod mieszkaniem i ludzie przyjeżdżali do niego z całego miasta z rzeczami do naprawienia.

-- Opowiedz mi jeszcze raz o dziadku.

-- Twój dziadek był wspaniałym człowiekiem. Wysoki i przystojny, ze szczerym uśmiechem i wielkim sercem. Opiekował się mną i opiekował się twoją mamą, kiedy była mała. Całymi dniami pracował w warsztacie, a na tej ławce zawsze jadł lunch. Kanapki, a do tego herbata z termosu.

-- Dlaczego nie przychodził zjeść na górę?

-- Czasem tak robił, ale na ogół lubił świeże powietrze. Powiedział mi, że lubi oddychać świeżym powietrzem i patrzeć na drzewa i ptaki.

-- Lubię ptaki. Czy to na tej ławce jadł lunch?

-- Nie. Tamta zgniła. Ale postawiono nową, a kiedy dziadek umarł, jego klienci przytwierdzili tabliczkę, żeby go upamiętnić. Dlatego jest taka wyjątkowa. Dlatego tak bardzo lubię tu siedzieć. -- Bierze głęboki oddech. -- I dlatego nie chcę mieszkać nigdzie indziej. Mam z okna widok na ławkę dziadka. I wyobrażam go sobie, jak tam siedzi z termosem i kanapkami. Jest tak, jakby wciąż był w pobliżu.

-- Czy ja też pewnego dnia będę miał zawał?

-- Nie, kochanie. Oczywiście, że nie. Twój dziadek miał po prostu pecha.

-- Dlatego nie mamy pieniędzy? Przez zawał dziadka?

-- Jedz tort, mój solenizancie, i nie przejmuj się pieniędzmi. Nie dzisiaj. Dziadek by tego nie chciał. I mówiłam ci już, że odłożyłam trochę pieniędzy na dzisiejsze kino. Prezent urodzinowy.

-- Możesz odłożyć tyle pieniędzy, żeby przestać chodzić do pracy? Żebyś była w domu i nie pracowała na nocną zmianę?

Babcia mierzwi mu włosy, a on czuje, że cały zamiera, jakby był posągiem. Bardzo się stara nie myśleć o młotkach i kałużach krwi, ale jakoś mu to nie wychodzi. Jest tak, jakby skrywał się w nim potężny wulkan, który tylko czeka, aż eksploduje mu wierzchołek.

Chłopiec widział to raz na filmie na geografii. W jednej chwili to była zwykła góra, a w drugiej doszło do gigantycznej eksplozji. Bum!

To ja, pomyślał, kiedy oglądał film. To ja.

-- Myślałam, że już się przyzwyczyłeś do tego, że w środy pracuję na nocną zmianę. Że skoro jesteś coraz starszy, to już ci to tak bardzo nie przeszkadza. Z czasem będzie coraz łatwiej...

Chłopiec wpycha do buzi duży kawałek czekoladowego ciasta i kieruje wzrok na drzewa i ptaki.

Chciałby zapytać babcię o swoją matkę. Obok łóżka trzyma oprawione w ramkę zdjęcie ze swoich pierwszych urodzin, na którym siedzi razem z mamą w babcinej kuchni. Czasami wydaje mu się, że pamięta mamę, ale na ogół jest zdania, że pamięta po prostu to zdjęcie. Niektóre dzieci w szkole mówią, że jego mama "ćpała" i dlatego umarła. Mówią, że tak usłyszeli od swoich rodziców. Pytał babcię, ale ona nie chce o tym rozmawiać.

Więc zamiast tego chłopiec spogląda w błękitne niebo. Ponownie myśli o Brianie. I kałuży krwi. Rozgląda się w poszukiwaniu orła. Myśliwego. Naprawdę wielkiego ptaka z ostrymi szponami, który potrafi pikować i rozszarpywać.

Pikować i rozszarpywać.

## ROZDZIAŁ 35

### Alice

Pociąg jest zatłoczony, więc cieszę się, że wykupiłam miejscówkę. Żałuję jednak, że wybrałam wagon w strefie ciszy. Rozglądam się, omiatając spojrzeniem twarze otaczających mnie mężczyzn.

Jeden ogląda film na laptopie. Jakiś emeryt pięknym wiecznym piórem rozwiązuje krzyżówki. Przyglądam się, dopóki nie zacznie wypełniać kratek. Staranne pismo. Drukowane litery. Natomiast po drugiej stronie przejścia siedzi wysoki, łysiejący facet, z nogami wyciągniętymi pod siedzeniem przed sobą. Mrużę oczy, czując niepewność. Chyba zbyt długo się patrzę, bo nagle podnosi na mnie wzrok. Patrzy prosto na mnie. Po chwili spuszcza wzrok na swoje krocze i znowu patrzy na mnie, unosząc brwi. Szczercząc się.

Czubek.

Odwracam wzrok. Oblewam się rumieńcem. Tak, powinnam była wybrać wagon rodzinny. Cholera. W normalnych okolicznościach unikam hałaśliwych dzieci. Tych wszystkich soczków w kartonikach i książeczek do kolorowania. Ale ten akurat wagon pełen jest osób dojeżdżających w pojedynkę do pracy, mężczyzn i kobiet. Jest wtorkowy wieczór. Powinnam to była przemyśleć; powinnam była posłuchać Leanne, która orzekła, że powrót do Devon tak blisko środy nie jest dobrym pomysłem. Problem w tym, że nadal wstydzę się tego strachu -- tej eskalującej paranoi dopadającej mnie w towarzystwie mężczyzn.

Chryste. To może być ten łysy facet. Każdy z nich. Żaden.

Uspokój się, Alice.

Zamykam oczy i koncentruję się na oddychaniu. Liczę wdechy i wydechy. Zupełnie jak na pilatesie. Tęsknię za dawną rutyną. Pilatesem i kursem francuskiego. Ciekawe, kiedy będę mogła wrócić do tego wszystkiego.

Oddychanie i liczenie pomaga, niestety, nie do końca.

Kiedy otwieram oczy, widzę, że ten łysy zbok zdążył stracić mną zainteresowanie i ma teraz w uszach słuchawki. Zerkam na regał

z bagażami, aby sprawdzić, czy leży tam moja mała różowa walizka. Okej. Jest bezpieczna. Powtarzam sobie, że muszę się uspokoić. Wyjmuję z torby książkę w nadziei, że coś poczytam, ale słowa zlewają mi się w niewyraźną plamę.

Ponownie się rozglądam po przedziale. Głos mojego prześladowcy znam tylko z tamtego pierwszego telefonu, zmieniony przez jakieś urządzenie czy aplikację. Nie mam pojęcia, jak ten człowiek wygląda. Albo jak rzeczywiście brzmi jego głos. Próbuję wyobrazić sobie Alexa z telefonem i tym urządzeniem, słabo mi to jednak wychodzi. Wydaje się to zbyt nieprawdopodobne. Zbyt wygodne. Zbyt oczywiste.

Matthew twierdzi, że policja dysponuje solidnym tropem, jeśli chodzi o poszukiwanie Alexa, ale na razie nie może mi powiedzieć nic więcej z obawy przed narażeniem operacji na szwank. Komisarz Sanders sporo ryzykowała, dając mu cynk. Detektyw obiecuje, że niedługo przekaze mi więcej informacji.

Problem w tym, że nie uważam, aby odnalezienie Alexa położyło kres stalkingowi. Próbuję się wykazać większą wiarą. Próbuję wyobrazić sobie, że rację ma policja, a nie ja. Ulgę, jaką zapewni mi powrót Alexa do więzienia. Ale nie; w ogóle mi to nie pasuje.

Wyczuwam, że tętno mi przyspiesza. Znajome rozczarowanie samą sobą. Dlaczego nie umiem być silniejsza? Odważniejsza? Dlaczego pozwalam, aby ten anonimowy człowiek tak na mnie działał? Robił mi to. Wygrywał...

Znajdujesz się w zatłoczonym pociągu, Alice, mówię sobie. On nie może cię tknąć. Nie może ci tu nic zrobić. Nie przy tych wszystkich ludziach.

Wyjmuję telefon i wkładam do uszu słuchawki. Nie włączam muzyki, po prostu potrzebuję tego rekwizytu. Wizualnego sygnału, że należy się trzymać ode mnie z daleka.

Podczas naszej ostatniej rozmowy przez telefon Tom zaproponował, że przyjedzie do Londynu, aby mi towarzyszyć w drodze do domu. Był zmartwiony tym, że nie udało mu się zgrać służbowego pobytu w Londynie z moimi odwiedzinami u Leanne. Powiedziałam, że to przesada i że nie ma takiej potrzeby, aby tracił czas na podróż

po to tylko, by wrócić ze mną do domu. Ale to mówiła uparta Alice; w tej akurat chwili całym swoim jestestwem żałuję, że nie powiedziałam: "Tak, poproszę".

Przynajmniej wyjedzie po mnie do Plymouth i obiecał, że zjawi się na dworcu przed przyjazdem pociągu. Poza tym ponownie wynajął Matthew, aby ten miał mnie na oku jutro od samego rana. Jutro jest środa...

Słyszę, jak to słowo odbija się echem w mojej głowie. "Środa. Środa. Środa". Dlaczego akurat środa?

Przewijam ostatnie esemesy od Toma.

Wszystko ok? Do zobaczenia niedługo, całusy.

Tak bardzo się stara zachowywać spokój w obliczu tych rewelacji o Alexie, ale widzę, że nadal się tym gryzie. Zresztą trudno mu się dziwić. Powinam mu była o wszystkim powiedzieć. Co sobie teraz o mnie myśli? O osobie, która dała się nabrać komuś pokroju Alexa?

Gdy czytam wiadomości, próbuję wyobrazić sobie Toma; czuć to, co trzeba. Ale z jakiegoś powodu zamiast niego myślę o Jacku. Oczami wyobraźni widzę twarz Jacka, nie Toma. Minę Jacka w tamtej włoskiej restauracji, kiedy tak fatalnie się zachowałam.

Czemu to robię? Co jest ze mną nie tak?

A potem -- po dziesięciu, może piętnastu minutach -- zaczynam się wiercić. Kurde. Muszę do toalety. Niepotrzebnie wypłam na dworcu dużą kawę. Oto, jak absurdalne stało się moje życie. Denerwuję się tym, że muszę pójść w pociąg do ubikacji. Co to za nowe szaleństwo?

Raz jeszcze się rozglądam. Łysol siedzi z zamkniętymi oczami. Pozostali sprawiają wrażenie zajętych laptopami, telefonami albo książkami. Na dworze jest już ciemno, więc wszystkie twarze, laptopy i telefony odbijają się w szybach. Zakładam torebkę na lewe ramię i wstaję z fotela. Mijając miejsce, na którym siedzi ten łysy, celowo się odsuwam. Przechodzę na przód wagonu. Automatyczne drzwi zamykają się za mną. Wyczuwam zmianę temperatury; ktoś musiał zostawić otwarte okno. Zaczynam znowu iść, nim jednak podejmuję decyzję o zamknięciu okna, słyszę za sobą trzaśnięcie auto-

matycznych drzwi. Odwracam się i zaledwie metr od siebie widzę tego łysego faceta. Szczyrzy się, ponownie szeroko otwierając oczy.

Ogarnia mnie ślepa panika. Serce wali mi jak szalone i kiedy się odwracam, aby się od niego oddalić, czuję się taka jakaś lepka. Co teraz? Jakie mam opcje?

Myślę o tym, aby pobiec do toalety i zamknąć się w środku, ale nie. Cholera. Miga czerwone światelko potwierdzające, że jest zajęta. Idę dalej -- coraz szybciej -- do następnego wagonu. Tak. Lepiej iść, niż tkwić w łączniku między wagonami razem z nim.

To pewnie nie on, powtarzam w myślach. Człowiek od telefonu. Człowiek od kwiatów i butelki z lodowatą wodą. To wysoce nieprawdopodobne. Zwyczajny zbok, Alice. Dasz sobie z takim radę...

Przechodzę przez wagon dla rodzin. Po lewej stronie dwójka dzieci siedzi naprzeciwko matki i gra na iPadach. Mijam panią z siwymi włosami, która wygląda, jakby spała. Dwóch starszych mężczyzn debatujących nad otwartą gazetą.

Gdy się odwracam, okazuje się, że ten łysy nadal jest za mną. Idzie równie szybko. Podąża za mną przez wagon.

Śledzi mnie?

Po raz pierwszy dopadają mnie mroczniejsze myśli -- że może to rzeczywiście on. Że działa na bezczelnego. Szydzi sobie ze mnie? To w ogóle nie ma sensu -- przy tych wszystkich ludziach? Czemu miałby być taki głupi? Ryzykować zdemaskowanie?

W końcu docieram do kolejnych regałów na bagaż. Zostawiam za sobą kolejny łącznik między wagonami i w końcu wchodzę do toalety. Uchodzi ze mnie powietrze, kiedy drzwi się zamykają, a zamek wydaje kliknięcie, ale czuję tak silne parcie na pęcherz, że najpierw szybko się załatwiam i myję ręce, a dopiero potem wydaję telefon. Dłonie mam jeszcze mokre. I drżące. Niełatwo mi utrzymać równowagę, kiedy pociąg wchodzi w zakręt.

-- Matthew?

-- Tak, Alice. Co się dzieje?

-- Jadę pociągiem z Londynu i śledzi mnie jakiś facet. Jestem w toalecie, a on zaraz za drzwiami. Wiem, że brzmi to absurdalnie, ale boję się wyjść, Matt. -- Ku swojemu przerażeniu zdaję sobie



sprawę, że płaczę. -- Przepraszam. -- Opuszczam telefon, próbując wziąć się w garść, po czym zbliżam go ponownie do ucha. -- Ale ja się naprawdę boję.

-- Okej. Jestem tutaj i słucham cię, Alice. Sądzisz, że to twój stalker? Co zrobił ten mężczyzna? Dlaczego się go boisz?

-- Nie wiem. Nie wiem. To może być po prostu zwykły zboczeniec. Gapił się na swoje krocze, no wiesz. I generalnie przyprawiał mnie o gęsią skórkę. Ale szedł za mną przez dwa wagony i... a co, jeśli to on, Matthew?

-- No dobrze. -- Słyszę szybki wdech, po czym Matthew kontynuuje: -- Podaj mi wszystkie szczegóły, Alice. Pociąg, wagon i opis tego mężczyzny, a ja się tym zajmę. Gdzie mniej więcej jesteś? Muszę określić, jak silny będzie sygnał sieci komórkowej. Tylko w taki sposób mogę przekazać obsłudze pociągu wiadomość za pośrednictwem straży kolejowej.

-- Możesz zrobić coś takiego?

-- Tak. Istnieje numer, pod który można pisać do straży kolejowej. Zazwyczaj działa to bardzo powoli, ale mam tam znajomego. I liczę, że uda mi się to przyspieszyć dzięki Mel. To znaczy komisarz Sanders. Ale gdzie jesteś? Sygnał jest silny?

-- Niezbyt daleko od Paddington. W tej chwili mam trzy kreski.

-- Dobrze, to dobrze. Do Reading sygnał jest całkiem silny. Okej. Co to za pociąg i który wagon?

-- Jestem teraz w ubikacji pomiędzy wagonami C i D. Pociąg wyruszył z Paddington o siódmej trzy.

-- Rozumiem. Zostań w ubikacji, Alice. Ignoruj każdego, kto będzie pukał, chyba że to obsługa. Okej? Będę się musiał teraz rozłączyć, aby wykonać kilka telefonów, ale niedługo do ciebie wrócę. Rozumiesz?

-- Tak. Chyba. -- Pauza. -- A co, jeśli ktoś będzie musiał skorzystać z toalety? -- Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. -- A jeśli zachowuję się nedorzecznie, Matthew...

Myślę o łysym facecie wskazującym na swoje krocze. Łypiącym na mnie i idącym za mną.

-- Ludzie mogą korzystać z innej toalety, Alice. Bez względu na to, czy to zboczeniec, czy prześladowca, policja musi z nim porozmawiać. I tak się stanie. Jesteśmy z tobą. No dobrze, teraz się rozłączę. Czeka na mój telefon. Tak?

-- Tak. Okej. -- Opieram się ręką o ścianę, aby zachować równowagę. Podaję Matthew dokładny opis tego człowieka i czuję się po tym ciut lepiej. -- Dziękuję ci, Matthew.

-- Nie ma sprawy. Niedługo oddzwonię.

Czekam, ponownie starając się uspokoić oddech.

Ktoś puka do drzwi. Ignoruję to. Ciekawe, czy to ten zboczeniec. Stalker?

-- Źle się czuję -- wołam. -- Przepraszam. Proszę iść do innej toalety.

Znowu pukanie. A potem męski głos, niski i budzący strach:

-- Co tak naprawdę tam robisz? -- Cisza. -- Robisz dla mnie coś przyjemnego? Mokra jesteś? To dlatego nie chcesz wyjść?

Opieram się całym ciałem o ścianę i przyciskam telefon do piersi. Jestem dojmująco świadoma walenia mojego serca. Czuję rozszalały puls na dłoni zaciśniętej na telefonie. Czuję je w uszach. I coraz bardziej kręci mi się w głowie. Spoglądam na sedes, ale nie potrafię na nim usiąść. Jest tu tak nieprzyjemnie.

Stoję w bezruchu, bojąc się tego, co jeszcze usłyszę. Cisza. Zerkam na telefon, wzrokiem przywołując esemesa albo połączenie. Jedna minuta. Dwie.

Staram się wyregulować oddech. Martwię się, że zemdleję, jeśli do moich płuc nie trafi odpowiednia ilość tlenu. Czekam i czekam, aż w końcu dzwoni telefon. Matthew.

-- Nadal jest pod drzwiami, Matthew. Mówi nieprzyzwoite rzeczy. Paskudne. Co powinnam zrobić? -- szepczę.

-- Okej. Wprawiliśmy maszynę w ruch, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Starają się teraz przekazać wiadomość. Musisz na razie być odważna i jakoś wytrzymać. Zrobisz to dla mnie, Alice?

-- Tak. Chyba tak.

Następnie Matthew opowiada o tym, jak mu minął dzień. O córce, która przechodzi bunt dwulatka, co stanowi niezłe wyzwanie

dla rodziców. Mała uwielbia jeździć pociągiem. Matthew mówi mi, że raz wybrali się na dzień z *Tomkiem i przyjaciółmi* i że była wtedy przeszczęśliwa. Słucham, ledwo rejestrując jego słowa, i mało nie płacząc z wdzięczności, że tak się stara mnie czymś zająć.

Co rusz zerkam na drzwi, z drżeniem serca czekając na kolejne pukanie. Kolejne szepty. I wtedy Matthew mówi, że właśnie dostał esemesa. Przerywa, aby go odczytać.

-- Okej. Alice. Dobra wiadomość. Udało się to przyspieszyć. Pomocze ci członek personelu, ma na imię Ben. Jest bezpieczny, Alice. Pracuje w obsłudze pociągu i będzie miał na sobie uniform. Przedstawi się, a potem zaprowadzi cię na inne miejsce w pierwszej klasie. Skontroluje także bilety, żebyśmy wiedzieli, gdzie wysiada ten łysy facet. Wtedy będzie można wysłać policję na dworzec. Powinnaś udawać, że źle się czujesz...

-- Już tak mówiłam.

-- Świetnie. Więc trzymaj się tej wersji, okej? Czekaj na Bena. Czy tak jest okej, Alice?

-- Tak. Poczekam. Nie rozłączysz się?

-- Nie, nie. Pozostanę na linii do czasu, aż zjawi się Ben. Okej?

-- Okej. Nie wiem jak ci dziękować. -- Nadal szepczę, ściskając telefon tak mocno, że aż bieleją mi knykcie.

-- Och, przestań. Zadbamy o twoje bezpieczeństwo, Alice.

-- Myślisz, że to mógł być on, Matthew? Myślisz, że zachowuję się kompletnie niedorzecznie?

-- Nikt nie zachowuje się niedorzecznie, Alice. Po prostu czekaj... okej?

-- Okej.

Zastanawiam się, czy powinnam dalej rozmawiać z Matthew, boję się jednak, że ten łysol słyszy nawet mój szept, dlatego czekam bez słowa, z telefonem przyciśniętym do ucha.

Mam wrażenie, że mijają całe wieki. Matthew opowiada coś jeszcze o swojej córce, a potem w końcu słyhać za drzwiami jakiś ruch. Rozlega się inny głos, mówiący głośno i wyraźnie:

-- Przepraszam, ale czy mógłby się pan odsunąć? Ta toaleta już dość długo pozostaje zajęta. Muszę sprawdzić, czy wszystko w po-

rządki. Czy przypadkiem ktoś nie zasłabł. -- Następnie puka do drzwi. -- Halo? Halo? Mam na imię Ben i jestem z obsługi pociągu. Czy wszystko w porządku?

-- Kiepsko się czuję. -- Przeskakuję wzrokiem ze ściany na ścianę i wypowiadam te słowa głośno, aby było mnie słychać przez drzwi.

-- Okej. Czy mogłaby pani otworzyć drzwi? Sprawdzę, czy mogę pani pomóc.

Powoli otwieram drzwi.

-- Przepraszam. Po prostu zrobiło mi się trochę słabo.

-- Proszę się nie przejmować. Pomogę pani.

Ben -- niski, krępy mężczyzna na oko zbliżający się do czterdziestki -- nachyla się i otwiera szeroko oczy, jakby chciał mnie w ten sposób uspokoić. Pozwalam mu wziąć się pod ramię i wyprowadzić do łącznika między wagonami. Nie muszę wcale udawać; rzeczywiście chwieję się na nogach. Łysy mężczyzna stoi przy drzwiach wyjściowych i udaje, że chłodzi się wpadającym przez uchylone okno świeżym powietrzem.

Gdy przechodzimy w stronę wagonu, łysy wchodzi do toalety i słyszę kliknięcie zamka. Ben szepcze do mnie:

-- Inna osoba z obsługi będzie go miała na oku i sprawdzi jego bilet i przystanek docelowy. Posadzę panią w pierwszej klasie. Jest tam cicho i bezpiecznie, przyniesiemy też pani kanapkę i coś do picia. Woli pani herbatę czy kawę? A może wodę?

-- Poproszę kawę i wodę. Tak bardzo wam dziękuję.

-- Nie ma za co. To część naszej pracy, proszę pani. Z nami może się pani czuć bezpieczna.

Po przejściu przez trzy wagony Ben sadza mnie na nowym miejscu, a krótko potem wraca z napojami i moją różową walizką, którą wskazałam mu, gdy tu szliśmy.

Dzwonię do Matthew i zdaję relację z tego, co się stało.

-- Dobrze. Bardzo dobrze. Lepiej się czujesz, Alice?

Rozglądam się po wagonie. Kilkoro pasażerów siedzi ze słuchawkami w uszach. Inni śpią.

-- Tak. Jeszcze trochę się denerwuję, ale jest już lepiej. No więc co teraz będzie? A jeśli niepotrzebnie spanikowałam, Matthew? A je-

śli to zwykły, pospolity zbok?

-- Bez względu na to, czy to twój stalker, czy nie, prawdziwa z niego menda i musi zostać przesłuchany. W żadnym razie nie czuj się winna, Alice. Dobrze zrobiłaś, że zgłosiłaś jego zachowanie. Będę cię informował na bieżąco.

Dziesięć minut później wraca Ben i przekazuje mi szeptem, że ten mężczyzna wysiada w Newton Abbot. To jeszcze dość daleko. Na dworcu będzie czekać policja, aby go zatrzymać i przesłuchać. Kiedy wysiądę w Plymouth, będę musiała złożyć zeznania. Dobrze? Tamtejsza policja pozostaje w kontakcie i obiecano wysłać po mnie radiowóz.

Kiwam głową, bliska łez. A potem -- cholera -- wyjmuję telefon, bo nagle do mnie dociera, że muszę dać o wszystkim znać Tomowi. Ciekawe, czy będzie zły, że nie zadzwoniłam najpierw do niego.

Myślę o aresztowaniu tego łysego mężczyzny -- i Alexa także? Przykładając telefon do ucha, zastanawiam się, co konkretnie powie dzieć Tomowi. Że już prawie po wszystkim?

Czy też że właśnie zaczyna się kolejny koszmar...?

## ROZDZIAŁ 36

### Alice

Następnego ranka jestem półprzytomna. W pewnym momencie w końcu musiałam zasnąć, ale pamiętam, że kiedy po raz ostatni spojrzałam na budzik, była trzecia. Nie wiem, kiedy Tom wstał.

Słyszę odgłosy krzątania. Dźwięk ekspresu do kawy. Chwilę później Tom wchodzi do sypialni z dwoma kubkami.

-- Jest tu Matthew Hill. W kuchni.

-- Co? Już?

Sprawdzam godzinę i okazuje się, że jest siódma. Czuję skrepowanie: mam na sobie spraną piżamę i towarzyszy mi paskudna dezorientacja. Nie jestem w stanie jasno myśleć. Pamiętam, że po złożeniu wyjaśnień na policji zgodziłam się zostać u Toma, zamiast wracać do siebie, ale kiedy tu dotarliśmy, było już bardzo późno. Długo rozmawialiśmy. Wypiłam zbyt wiele czerwonego wina.

Dowiedziałam się, że Matthew i Mel Sanders mają w straży kolejowej znajomego, który -- tak się akurat złożyło -- był wczoraj na służbie. Pociągnął za odpowiednie sznurki i dzięki temu możliwa była taka szybka reakcja w pociągu. Wygląda na to, że miałam szczęście.

Szczyście?

Jeśli mam być szczerą, to uważam się za największego pechowca na tej planecie. Skoro ten łysy facet nie jest moim stalkerem, to czemu, u licha, wybrał właśnie mnie, spośród wszystkich jadących tamtym pociągiem kobiet? Czy wysyłam jakieś paranoiczne sygnały, które przyciągają rozmaite szumowiny? Mam coś napisane na czole? "Idealna ofiara -- zapraszam". Czy to z powodu Alexa? Czy to wszystko z... powodu... Alexa?

Wyraźnie pamiętam, jak co rusz zerkałam na budzik, tak bardzo pragnąc ukojenia, które przyniósłby sen. Zamiast tego mój umysł odmawiał wyłączenia się i raz za razem przewijał film. Zabierał mnie na wycieczkę po tych wszystkich potwornych scenkach, jednej za drugą. Telefon. Pudełko na ciasto. Lodowaty płyn na skórze.

A teraz? Po raz kolejny nadszedł dzień, którego tak bardzo się boję. Dzień, kiedy on pragnie mojej śmierci -- a ja nie mam w sobie ani odrobiny energii na stawienie mu czoła.

Środa.

Widzę swoje odbicie w jednym z luster na nowej, eleganckiej szafie Toma. Oczy pandy. Najwyraźniej przed pójściem spać nie zmyłam makijażu. Nie pamiętam także, czy umyłam zęby.

Był czas, kiedy chętnie przeglądałam się w lustrze. Miałam szczęście. Geny mojej matki. Odwracam głowę i widzę kopię jej profilu. Taki sam zgrabny nos. Problem w tym, że już od dawna unikam długiego patrzenia na swoje odbicie. Rejestruję cienie pod oczami i przekonuję się ze zdumieniem, że nieszczególnie się nimi przejmuję. Ale wtedy przypominam sobie o czekającym w kuchni Matthew...

-- O Boże. Popatrz na mnie tylko. Muszę wziąć prysznic.

Ton się nachyla i całuje mnie w ramię.

-- Bez pośpiechu. I nie przejmuj się, kotku. Przechodzisz paskudny okres w życiu. Nikt nie zwraca uwagi na to, jak wyglądasz. Przepraszam, ale mogę zostać tylko do wpół do ósmej. Muszę jechać do Sądu Koronnego. Pamiętasz? Nie udało mi się znaleźć nikogo na zastępstwo. Tylko ja dysponuję kompletem informacji, a to ważny klient.

-- Chryste, szczerze mówiąc, zapomniałam. Ale nie szkodzi. Oczywiście. Dam sobie radę.

-- Przykazałem już Matthew, że ma być cały czas blisko ciebie. Żadnych protestów. Do czasu, aż się dowiemy, co się dzieje z Alexem. Albo tym czubkiem z pociągu.

-- Nadal przebywa w areszcie? Facet z pociągu?

-- Nie wiem. Matthew czeka na info od tej swojej znajomej z policji. Ty weź prysznic, a ja przed wyjściem zrobię mu jakieś śniadanie.

-- Chyba nie jesteś już na niego zły, co, Tom? Za ten atak na motocyklu? To nie była jego wina. A wczoraj zachował się fantastycznie.

-- Dla ciebie będę dla niego miły, obiecuję. -- Całuje mnie po raz drugi i wstaje. -- No dobrze. To idę zrobić tosty.

Pół godziny później Tom jest w drodze do sądu, ja zaś siedzę na wysokim chromowanym stołku przy barze śniadaniowym. Matthew, po tym, jak wciągnął większą część świeżego bochenka, pije trzecią kawę.

Przyglądam mu się. Jasne faliste włosy, dość krótko obcięte. Szczupły, pomimo nielicznego apetytu. Zastanawiam się, jak wygląda jego żona. I córka. Siedzi na niedużej skórzanej sofie oddzielającej kuchnię od jadalni i sprawdza coś w telefonie. Ciekawe, czy nie mają nic przeciwko jego pracy.

-- Jakieś wiadomości od komisarz Sanders? -- Staram się, aby mógł głos być spokojny, drga mi jednak mięsień w brodzie. To pewnie zmęczenie. Przeczesuję palcami włosy, którym pozwalam wyschnąć naturalnie. Dzisiaj użycie suszarki mnie przerasta.

-- Na razie nie. -- Matthew przywołuje uśmiech na twarz. -- Najpóźniej o dziesiątej powinniśmy mieć wieści o Alexie.

-- Jak to?

-- Przykro mi, ale nie wolno mi tego mówić, Alice. W każdym razie pewni jesteśmy jego aresztowania.

-- A co z tym facetem z pociągu?

-- Nadal jest w areszcie, ale spodziewamy się, że dzisiaj obrońca z urzędu załatwi mu zwolnienie za kaucją.

-- Och...

Matthew wydaje głośnie westchnienie.

-- Jest notowany. Obnażał się raz w pociągu. Współlokatorka oskarżyła go o kradzież bielizny. Niezły z niego gagatek, ale nie wygląda na to, aby miał coś wspólnego z prześladowaniem ciebie. Aż do weekendu przebywał we Francji, gdzie pracował w barze na kempingu. Zostało to już zweryfikowane i policja nie widzi na razie nic, co by go łączyło z twoją sprawą. Oczywiście Mel Sanders i jej zespół przeszukają dokładnie jego telefon i komputer.

-- Co powiedział podczas przesłuchania? O tym, co się wydarzyło w pociągu? I dlaczego za mną poszedł?



-- Jakieś tam bzdury. Już nie zawracałbym nim sobie głowy.  
Zwykła menda.

-- Nie. Chciałabym wiedzieć, co powiedział, Matthew.

-- Twierdzi, że zachęciłaś go to tego, aby udał się za tobą do toalety.

-- Drań.

-- Zdecydowanie.

-- Czemu więc obrał mnie za cel? I błagam, nie mów, że miałam pecha.

-- Nie wiem, Alice. Ale bywa, że tacy ludzie namierzają kogoś, kto według nich wygląda na... -- Urywa.

-- Bezbronnego?

Matthew ponownie wzdycha.

-- Nie chcę powiedzieć niczego niewłaściwego, Alice. Ale sporo przeszłaś. Czasami coś takiego potrafi nieźle wyczerpać. A mendi szukają potem takich sygnałów. Wyłapują.

-- Powinieneś być detektywem.

Ze śmiechem dopija kawę.

-- No tak. Więc jaki masz plan na dziś? Chcesz zostać w domu i się przespać? Mogę zejść ci z drogi, jeśli masz ochotę pooglądać filmy czy coś. Ale Tom ma rację. Jeśli postanowisz wyjść, to ja jestem kierowcą.

-- Okej. Zastanowię się. W sumie to mogę zostać w domu i trochę popracować.

Przypomina mi się rozmowa z Claire z fundacji. Chętnie sprawdziłabym sobie ten alarm, o którym mówiła. No i z pewnością mam o czym pisać. Zastanawiam się nad założeniem anonimowego bloga. Wyrzuceniem z siebie tego wszystkiego.

Wyjmuję telefon z zamiarem napisania Leanne, że mam przy sobie Matthew, więc jestem bezpieczna. Ale w tym momencie zaczyna dzwonić -- na wyświetlaczu miga imię mojej siostry.

-- Leanne. Czytasz mi w myślach? Dosłownie w tej chwili zamierzałam do ciebie napisać.

-- Nie widziałaś, prawda? -- Ledwie jestem w stanie rozpoznać jej głos. Jest wysoki. Desperacki.

-- Ale czego?

-- Wejdź na Twittera, Alice. To straszne. Jesteś otagowana i ja też.

## ROZDZIAŁ 37

### On -- wtedy

Gabinet dyrektorki jest większy, niż zapamiętał. Wcześniej był w nim tylko raz -- kiedy babcia się rozchorowała.

Wtedy zabrano go z klasy i przyprowadzono tutaj bez słowa wyjaśnienia. Ale wiedział, że stało się coś poważnego, bo przyniesiono mu lemoniadę i czekoladowego herbatnika. Dyrektorka zadawała mu mnóstwo pytań o krewnych. Chciała wiedzieć, czy jest ktoś, do kogo może zadzwonić, bo jego babcia miała "mały wypadek".

Odpowiedział dyrektorce, że ma tylko babcię, a wtedy wyraz jej twarzy uległ zmianie. Usłyszał, że ma się nie martwić i że teraz ona, pani dyrektor, musi wykonać kilka telefonów w sąsiednim gabinecie. Dostał więcej ciastek.

Ostatecznie zjawiała się jakaś dziwna pani i też mu powiedziała, aby się nie martwił. Przez co oczywiście zaczął się martwić bardzo. Zawiozła go samochodem do jakiegoś domu w mieście, gdzie pani o imieniu Abby wyjaśniła, że zamieszka u niej na kilka dni. Chłopiec sądził, że to jakiś podstęp, i wpadł w panikę. Zastanawiał się, czy nie powinien uciec, ale wieczorem obie zabrały go do babci do szpitala. Babcia oświadczyła, że to "wiele hałasu o nic". Przewróciła się w pracy, skręciła nogę w kostce i nalegano na prześwietlenie. Powtarzała pielęgniarce, że chce wyjść do domu, a kiedy odparły, że to kiepski pomysł, rozplakała się. Chłopiec doskonale to pamięta -- jak babcia płacze.

W szpitalu była jeszcze inna pani, Dawn, która powiedziała, że do czasu, aż babcia poczuje się lepiej, on może mieszkać u Abby. Zapytał, czy może zostać zamiast tego w szpitalu, ale nie pozwolono mu na to. Dlatego skłamał. Powiedział babci, że sobie poradzi. Abby dała mu piżamkę i czyste ubranie. W sumie była raczej miła, ale w jej domu trochę dziwnie pachniało, no i chłopiec nadal nie wiedział, czy to podstęp. Nigdy dotąd tak bardzo się nie bał.

Po dwóch nocach babcia przyjechała taksówką i zabrała go do domu, on zaś tulił się do niej mocno, najmocniej na świecie. Obie-

cała, że nigdy więcej nie będą już mieli styczności z opieką społeczną.

"Co to jest opieka społeczna?"

"Intryganci. Nie potrzebujemy, aby wściubiali nos w nasze sprawy. Jeszcze mi cię zabiorą. Masz z nimi nie rozmawiać, słyszysz? Jeśli ktoś ci zada pytanie, masz mówić, że u nas wszystko w porządku".

Na szczęście były akurat ferie zimowe, więc chłopiec został w domu i pomagał babci, aż w końcu zaczęła się sprawniej poruszać.

Dzisiaj w gabinecie dyrektorki ponownie panuje poważna atmosfera. Tym razem obok niego siedzi babcia. Musiano poczekać, aż skończy pracę.

Dyrektorka nazywa się pani Price. Wygląda na bardzo zdenerwowaną. Stara się zachować spokój, ale ma bardzo czerwoną szyję.

Chłopiec ma już osiem lat i lepiej umie czytać z twarzy. Dużo się można dowiedzieć, jeśli obserwuje się ludzi bardzo, bardzo uważnie.

-- Nie wierzę, że mój wnuk mógłby kogoś prześladować -- oświadcza babcia. -- Uważam, że doszło do nieporozumienia. To kochany chłopiec. Łagodny. Według mnie to jego się czepiają.

-- To drugie dziecko trafiło do szpitala ze złamaną ręką. -- Głos dyrektorki jest cichy, ale czerwień na szyi staje się jeszcze intensywniejsza. -- Sprawa jest poważna. Świadkowie twierdzą, że to było działanie umyślne. Drugie dziecko zostało uderzone i przewrócone na ziemię, a potem kopnięte. Pani wnuka trzeba było od niego odciągnąć. -- Pani Price wbija w niego wzrok. -- Dlaczego to zrobiłeś? Nie pozwalamy na tego rodzaju zachowanie. Jesteś bardzo bystrym chłopcem i może cię czekać świetlana przyszłość. Ale musisz zrozumieć, że ta sprawa jest bardzo, ale to bardzo poważna, i być może będę musiała wziąć pod uwagę zawieszenie cię w prawach ucznia. Musisz wyjaśnić, dlaczego zrobiłeś coś tak okropnego.

Doskonale pamięta dlaczego. Był zdenerwowany z powodu Briana. Myślał o obrzydliwych "przysługach" i puszcze pełnej słodyczy i specjalnych czekoladek, od których robiło mu się niedobrze. Wyobrażał sobie te wszystkie rzeczy, które robi Brianowi, kiedy będzie większy. Młotek i atak orła. W brzuchu miał to "wulkanowe

uczucie". I wtedy Toby zaczął mówić jakieś bzdury o tym, że jego babcia bardzo staro wygląda. Niedawno zmarł dziadek Toby'ego i spalono go razem z trumną, tak że został z niego sam popiół, jak w palenisku po ogniu. Toby opowiadał głupoty o umieraniu starych ludzi, mówił, że to jest naturalne, a on strasznie się na niego zdenerwował i w końcu wulkan w jego brzuchu eksplodował.

-- To był wypadek -- mówi teraz.

-- Widzi pani. -- Babcia bierze go za rękę i mocno ją ściska. -- Nieporozumienie. Tak jak mówiłam. Jestem przekonana, że doszło do prowokacji. Mój wnuk nigdy by rozmyślnie nikogo nie skrzywdził.

## ROZDZIAŁ 38

### Matthew

-- To moja matka. O nie, moja matka. Moja matka!

Alice stoi ze wzrokiem wbitym w telefon, a z jej twarzy odpłynęła cała krew. Chwieje się lekko i Matthew się martwi, że może się przewrócić i uderzyć w głowę.

Chwyta ją za łokieć i próbuje pociągnąć lekko w stronę stołka, ona jednak wyrywa mu rękę i woła:

-- Nie! Nie. Nie dotykaj mnie. O Jezu. Moja matka. On dopadł moją matkę!

-- Pokaż mi, Alice. Pokaż mi, co to takiego. Pomogę ci. Ale muszę zobaczyć. Zrozumieć, o co chodzi.

Alice patrzy na niego takim wzrokiem, jakby go nie usłyszała. Telefon ściska tak mocno, że aż ma białe knykcie. Matthew otwiera szeroko oczy, próbując sprawić, by zwróciła na niego uwagę. W końcu podaje mu telefon. Palce jej się trzęsą, a w oczach szaleje strach.

Zapętlony filmik na Twitterze. Widać na nim kobietę walczącą o oddech. Tak. Walczącą o oddech, jakby się dusiła.

Przez jedną koszmarną chwilę Matthew się boi, że to nagranie z ataku. Jakiś rodzaj duszenia? Ten drań zaatakował matkę Alice i zamieścił w sieci dowód. Robi głośny wdech i próbuje przywołać w sobie profesjonalistę. Tym razem rejestruje detale; widzi, że z nosa tej kobiety wystają rurki. Ściąga brwi. Hmm. Wygląda to tak, jakby się znajdowała w jakiejś placówce medycznej. Za nią widać butlę z tlenem.

-- Dopadł ją? Jest z nią? To transmisja na żywo? Czy to się dzieje w tej właśnie chwili? -- Po twarzy Alice płyną łzy.

-- Nie wiem. Ale zaraz to zgłoszę na policję, a ty musisz mi pomóc. Obejrzyj jeszcze raz nagranie i powiedz mi, czy rozpoznajesz to miejsce. Pomieszczenie...

Kręci głową. Nie chce patrzeć.

-- Przykro mi, Alice. Ale musisz mi pomóc.

Drugą ręką wyjmuje swój telefon. Wybiera numer Mel Sanders i modli się, aby odebrała. Słyszy sygnał...

-- Proszę, Alice. Wiem, że to straszne. Ale musisz jeszcze raz na to spojrzeć. Czy rozpoznajesz miejsce... -- W końcu Mel odbiera. -- Mel. Tu Matt. Coś nowego w sprawie stalkera Alice. W sieci umieszczono nagranie, na którym jej matka ma trudności z oddychaniem.

-- Jezu. Co na nim widać? Jest ranna? Dzieje jej się krzywda? Gdzie to zobaczę, Matt?

-- Jest otagowane na twitterowym feedzie Alice. @alicejournalhenderson. Małe litery, bez znaków interpunkcyjnych. Alice jest teraz ze mną. Jest w szoku, ale pozostań na linii, a ja przekażę ci to, co uda mi się z niej wydobyć. -- Odwraca się. -- Alice. Rozpoznajesz to pomieszczenie?

Nie chce spojrzeć, więc umieszcza telefon przed jej twarzą.

-- Przykro mi, ale sprawa jest pilna. To miejsce, Alice. Znasz je?

W końcu przygląda się nagraniu i ściąga brwi.

-- Tak. Znam. To jej pokój w domu opieki.

-- Na pewno?

-- Na pewno. W tle widać regał z *Wichrowymi Wzgórzami*. Czytałam jej *Wichrowe Wzgórze*, kiedy ją odwiedziłam...

Matthew unosi rękę, sygnalizując tym samym, aby chwilę zaczekała.

-- No dobrze, Mel. Na tym nagraniu widać matkę Alice w jej pokoju w domu opieki. Jak on się nazywa, Alice?

-- Dom Opieki Heatherdown. W Mitsford. Na wybrzeżu pomiędzy Brixham i Paignton. Pokój numer czternaście. Drugie piętro.

Powtarza to wszystko Mel.

-- Dobrze, Matt. Mam już to nagranie. Jezu. Co za okropieństwo. Co on teraz kombinuje? Okej, no więc ja jestem w Szkocji. Szykujemy się do aresztowania Alexa. Każę jednemu z moich ludzi zadzwonić do domu opieki, ty zrób to samo. Zobaczymy, komu pierwszemu uda się sprawdzić sytuację matki. Natychmiast wyślę tam radiowóz; przekonamy się, o co chodzi.

-- To może wcale nie działać się w tej chwili -- mówi Matthew. -- To może być nadal Alex.

-- Wiem. Co za cholerny obrót spraw.

-- No dobrze. Dzwonź więc do domu opieki, ja zrobię to samo. Do usłyszenia niedługo.

Matthew się rozłącza i nachyla ku Alice.

-- Zadzwoń do domu opieki. Wybierz numer. Szybko. Porozmawiam z nimi.

-- On jest z nią? Zrobił jej krzywdę?

-- Po prostu wybierz dla mnie numer, Alice. Proszę. Teraz!

Bierze do ręki telefon i przez chwilę przewija kontakty. W końcu wybiera odpowiedni numer i oddaje telefon Matthew.

-- Jak się nazywa twoja matka?

-- Harriet Wallace.

-- Dobrze... Halo, jestem prywatnym detektywem współpracującym z policją. Mamy uzasadnione podejrzenie, że ktoś zamierza zrobić krzywdę jednej z waszych rezydentek, Harriet Wallace. Pokój numer czternaście. Czy może pani natychmiast do niej zajrzeć? Pozostanę na linii, a pani musi mi mówić, co widzi. Natychmiast. Zadzwońi także ktoś z policji. Już do was jadą. Wkrótce będzie słychać syreny.

Recepcjonistka początkowo nie jest skora do współpracy. Zadaje mnóstwo pytań, zapewne sądząc, że to jakiś głupi żart. Matthew warczy, że chce rozmawiać z jej przełożonym. Zostaje przełączony. Powtarza wszystko i w końcu coś się zaczyna dziać...

-- Okej. Pozostanę na linii. Musi mi pani powiedzieć, czy Harriet Wallace nic się nie stało. Jest przy mnie jej córka.

Tego dla Alice już zbyt wiele. Siedzi na podłodze, oparta o ścianę, i z twarzą mokrą od łez dzwoni z telefonu stacjonarnego do siostry. Każe Leanne zaczekać na linii, a potem mamrocze coś do niej, niemal niezrozumiale. Wini siebie. Mówi, że Leanne miała rację; że powinny były przenieść matkę do innego domu opieki od razu, kiedy stalker użył peonii. Kiedy wspomniał o ulubionym gatunku kwiatów ich matki.

-- Powinnyśmy to były przewidzieć. To moja wina -- wydusza z siebie, podnosząc wzrok na Matthew.

W tym momencie odzywa się siostra przełożona.



-- Pani Wallace śpi. Nic jej nie jest. Była w pokoju sama. Stan stabilny. Poleciałam jednej z pracownic, aby przy niej była. Czy mogę się dowiedzieć, o co chodzi? Słyszemy policyjne syreny. Właściwie to widzę zatrzymujący się pod budynkiem radiowóz. Co się dzieje?

## ROZDZIAŁ 39

### Alice

Patrzę, jak moja matka wwożona jest na łóżku na kółkach do prywatnej karetki. Na twarzy ma maskę tlenową, widzę więc tylko jej oczy.

Mama unosi lekko brwi i szeroko otwiera oczy. Od pielęgniarek wiem, że odczuwa dzisiaj ból w klatce piersiowej i bokach. Bardzo martwi się także tym, co się tutaj dzieje, ale stara się to przede mną ukrywać. Próbuje sygnalizować, że nic jej nie jest. Że nie mam się martwić. Że wszystko będzie dobrze.

To sprawia, że rozpadam się na kawałki. Jest gorzej niż wtedy z policją. Gorzej niż podczas kłótni z Leanne o to, kiedy przewieźć mamę. Gorzej niż wczoraj -- w środę, cholerną środę -- kiedy najpierw towarzyszył mi Matthew Hill, a potem dołączył do nas Tom i razem opracowywaliśmy logistykę przenosin mamy w jakieś sekretne miejsce. Gdzieś, gdzie będzie bezpieczniejsza.

Choć mama jest zdezorientowana i zmęczona, a od sześciu miesięcy cierpi na problemy z oddychaniem, nie ma pojęcia, co się naprawdę dzieje. Nie wie o kamerze ukrytej w dostarczonej do jej pokoju roślinie doniczkowej, rzekomo "prezencie" ode mnie. Pozostaje nieświadoma umieszczonego w sieci nagrania. Stalkingu. Wie tylko to, co jej powiedziałyśmy, a mianowicie, że jej potrzeby się zmieniają, więc uznałyśmy, że lepiej jej będzie w bardziej wyspecjalizowanym domu opieki bliżej Leanne, która nie pracuje i częściej ją może odwiedzać. A mama, dzięki usposobieniu i bezinteresowności, nas stawia zawsze na pierwszym miejscu. Pokazuje, że jej nic nie jest. Że nie powinno się o nią martwić. Robić zamieszania.

Wchodzę po dwóch stopniach do karetki, gdzie ujmuję dłoń mamy i odgarniam jej włosy z czoła. Ponownie dostrzegam w jej jasnoszarych oczach uśmiech. To ta sama twarz, którą pamiętam z dzieciństwa, i ta sama uspokajająca mina, która sprawiała, że czułam się bezpiecznie.

Odkąd pamiętam, była tylko mama. Tata umarł nagle na zawał, kiedy byłam bardzo mała. W szkole było mi smutno w Dniu Ojca, kiedy wszystkie inne dzieci rysowały laurki, a mama mnie pocieszała, mając taki sam wyraz twarzy, jak teraz.

Robiła to także, kiedy przystępowałam do pierwszego egzaminu z gry na pianinie. Miałam dziewięć lat i byłam przerażona. Dobrze sobie radziłam i nauczyciel spodziewał się, że zdobędę wyróżnienie. Ale presja nagle się okazała zbyt dojmująca. Kiedy w poczekalni wywołano moje nazwisko, zamarłam. Odwróciłam się do mamy i poprosiłam, aby zabrała mnie do domu. Nogi miałam jak z ołowiu.

Nie mogę, myślałam. Nie dam rady.

Mama zachowała spokój. Nie była na mnie zła. Nie była rozczarowana. Jedynie przyłożyła mi dłoń do policzka.

"Oczywiście, że dasz radę, kochanie. Wiem, że dasz. Nie musisz się spieszyć. Chwilę poczekają. I nie ma znaczenia, jak ci pójdzie... liczy się tylko to, że zagrasz. Że zagrasz najlepiej, jak potrafisz. Nieważne, czy zdasz, czy nie". A potem nachyliła się nade mną dokładnie z takim samym wyrazem twarzy. Lekko uniesionymi brwiami. Z uśmiechem i miłością w otwartych szeroko oczach.

Tak. Z tym wyjątkowym uśmiechem, który mówił: "Już dobrze, córeczko. Wszystko będzie dobrze".

Odwracam się, aby wytrzeć napływającą do oka łzę. Zastanawiam się, jak sobie poradzę bez tej siły miłości w moim życiu.

-- No dobrze, wiesz, że nie wolno mi jechać karetką razem z tobą. Kwestie związane z ubezpieczeniem. -- Kolejne kłamstwo. Nieodrodna córka swojej matki. Tuszuję swój niepokój tak samo jak ona. Prawda jest taka, że denerwuję się tym, że ktoś może mnie śledzić. Planuję znowu jeździć w kółko, żeby -- jeśli to prawda -- zgubić prześladowcę. Całuję mamę w czoło. -- Poradzisz sobie w towarzystwie pielęgniarki?

Mama kiwa głową i jeszcze szerzej otwiera oczy.

-- Okej. Spróbuj odpocząć. A na miejscu będzie już czekać Leanne, pomoże ci się rozlokować. Jest tam uroczo. Przykro mi, że musisz się przenieść, ale tam mają odpowiedni personel. A ja nie-

długo cię odwiedzę, żebyśmy mogły dokończyć *Wichrowe Wzgórza*. Dobrze?

Mama ponownie kiwa głową. Unosi prawą dłoń do maski, ale ją powstrzymuję.

-- Nie, mamó. Nic nie mów. Ja też cię kocham. Spróbuj się prześpać. Leanne przyśle mi zdjęcia twojego nowego pokoju. Twierdzi, że jest piękny. Trafia tam wszystkie twoje rzeczy. Książki. Będzie ci tam bardzo wygodnie... wszystko będzie dobrze. A ja odwiedzę cię niedługo, ani się obejrzysz.

Ostatni pocałunek w czoło i wysiadam z karetki. Posyłam mamie całusa, kiedy pielęgniarka zamyka tylne drzwi.

Po głowie kołacze mi się myśl: dlaczego nie jestem odważniejsza?

Dopiero teraz, kiedy karetka powoli odjeżdża, po twarzy zaczynają mi płynąć łzy.

Znowu jestem dzieckiem; patrzę, jak mama opuszcza plac zabaw i pragnę pobiec za nią. Ponownie tamten egzamin z gry na pianinie, szept mamy w moim uchu. Mój powrót do Anglii po tamtym horrorze z Alexem -- mama w hali przylotów. Ten sam uśmiech w oczach. "Wszystko będzie dobrze"...

Obserwuję, jak karetka staje się coraz mniejsza i mniejsza i wbijam paznokcie w dłonie. Żałuję, że nie mogę jej towarzyszyć, ale Matthew uważa, że tak będzie najlepiej. Najbezpieczniej.

Wszyscy są zdania, że to koniec śledzenia i prześladowania, dlatego Matthew mnie dzisiaj nie pilnuje. Tom -- wpadłszy w panikę po tym, jak w necie zamieszczono nagranie z moją matką -- zaproponował, abyśmy zarezerwowali detektywa na każdy dzień aż do końca śledztwa, ale ja tego nie chcę. Dosyć już tego wszystkiego...

Jest czwartek. Alex trafił do aresztu.

Jest głównym podejrzanym w sprawie stalkingu. I głównym podejrzanym o wysłanie "prezentu" z ukrytą kamerą. Po interwencji policji nagranie w końcu zostało usunięte, ale i tak zdążyło się pojawić nie tylko na Twitterze, lecz także na Facebooku i Instagramie.

Biorę głęboki oddech, przypominając sobie wiadomości od przyjaciół Leanne. "Widziałaś to? To chyba twoja mama".

Próbuję wyobrazić sobie Alexa w pokoju przesłuchań, siedzącego  
naprzeciwko komisarz Sanders.

Złamie się? Czy to on?

Czy nareszcie jest po wszystkim?

## ROZDZIAŁ 40

### Matthew

Metalową łopatką przerzuca trzy małe naleśniki. To zabronione - używanie metalowych akcesoriów do patelni z nieprzywierającą powłoką -- ale Sally tu teraz nie ma. Naleśniki mają ładny kolor. Są także małe i grube, w stylu amerykańskim, takie, jakie jego córka lubi najbardziej.

W większości przypadków Matthew podziwia gust żony, ale są dwa obszary, które napawają go konsternacją. Sally ma obsesję na punkcie opery, czego on nie potrafi zrozumieć. No i zupełnie nie ma racji, jeśli chodzi o naleśniki. Ona lubi te tradycyjne -- duże i cienkie, zwijane z cytryną i cukrem. Matthew wzdryga się na myśl o tym całym przrzucaniu, przypalaniu i nagłym zassaniu powietrza, kiedy się poczuje cytrynę. Nie. To błąd. Dziś rano u sterów stoi on, więc z radia sączy się jazz, a naleśniki będą grube i bajeczne.

-- Pani zamówienie już się robi: naleśniki z jagodami.

-- To nie restauracja, tatusiu. Dlaczego mówisz, jakbyśmy byli w restauracji?

-- Możemy udawać, że jesteśmy.

-- Ale czemu? Będziemy musieli zapłacić.

-- Wcale nie. Moja restauracja, moje zasady. Naleśniki na koszt firmy.

-- Firmy? -- Amelie ściąga brwi. -- Niemądry jesteś, tatusiu. Przecież to restauracja, a nie firma.

-- Nie, nie. Tak się mówi i to znaczy "za darmo". Ale mniejsza z tym, skarbie. Proszę bardzo.

Umieszcza w miseczce dwa pulchne naleśniki, po czym dokłada kilka łyżek jagód i jogurt. Przerzuca sobie kuchenny ręcznik przez ramię i z teatralnym gestem stawia przed córką śniadanie, na co ona chichocze.

-- Gdzie mamusia?

-- Mamusia pojechała do pralni. Uważaj, bo naleśniki są jeszcze gorące. Posmakuj mały kawałek. Mam ci pokroić, żebyś się nie opa-

rzyła?

-- Nie. Nie jestem małym dzieckiem. -- Amelie unosi rękę, zdecydowana, aby nie dopuścić taty do pomocy.

Matthew dostrzega w jej oczach znajome ostrzeżenie. Nie pozwól jej zobaczyć, że się boisz, myśli. Żadnych dramatów. Proszę.

-- Okej. To spróbuj kawałek z jogurtem i sprawdź, jak bardzo jest gorące. Dobrze?

-- Okej.

Matthew przygląda się, jak jego córka kroi naleśnik swoim widelczykiem. Jej spojrzenie łagodnieje, a wtedy i on się rozluźnia. Wyjmuje telefon, by sprawdzić, czy ma nową wiadomość od Mel Sanders. Wciąż nie może uwierzyć w szybkie tempo śledztwa i modli się, aby wyraziła zgodę na jego ostatnią prośbę.

Wie, że to nie byle co -- prośba o przyglądanie się przesłuchaniu Alexa. W takich przypadkach gorąco żałuje, że nie pełni żadnej oficjalnej funkcji. Że nie ma oficjalnego statusu. Dawno temu zastanawiał się nad przekwalifikowaniem się. Fascynowały go różne techniki przesłuchiwania. I profilowanie. Odbył podstawowy kurs prowadzenia negocjacji i to także mu się podobało; przez jakiś czas myślał, czy nie spróbować uzyskać nowych kwalifikacji, dzięki którym znowu mógłby się okazać przydatny dla policji.

Teraz jednak patrzy, jak jego córka je naleśniki, i przypomina sobie, jak wygląda jego życie. Ma rodzinę na utrzymaniu. Musi rozkręcać agencję. Nie ma czasu na kursy. Nie wróci do policji -- bez względu na to, jak usilnie namawia go komisarz Sanders. Nie. Już na to za późno.

W końcu dzwoni telefon.

-- Cześć, Mel. No i co się dzieje? -- Z komórką tkwiącą między brodą a ramieniem dolewa do różowego, plastikowego kubka Amelie trochę soku pomarańczowego, do miseczki dorzuca zaś więcej jagód.

-- Jest wściekły. Twierdzi, że nie dopuszczając do jego ślubu, naruszyliśmy prawa człowieka. Grozi, że nas pozwie.

-- Powodzenia, Alex. Czyli co, cierpi na urojenia?

-- Zdecydowanie. Wcale nas to nie zaskoczyło. Czekamy na obrońcę z urzędu, no a potem zostanie przesłuchany w sprawie zła-

mania warunków zwolnienia. Zespół bada już jego telefon. Jest tam sporo wiadomości do tej dziewczyny od czasu, kiedy wyszedł z więzienia, ale jak na razie nie znaleźliśmy niczego, co by go łączyło z Alice.

-- To co, mogę przyjechać? Na coś się przydać? Mogę ci pomóc, gdybyś zaczęła przedwcześnie rodzić.

-- Zamknij się.

-- Poważnie, chciałbym widzieć to przesłuchanie.

-- Daj spokój, Matt. Wiesz, że nie mogę na to pozwolić.

-- Nieoficjalnie. Jako doradca. Obserwator.

-- Oszalałeś? Ty naprawdę chcesz jechać taki kawał drogi do Szkocji?

-- Chcę. Jest lot z Exeter do Glasgow. Mogę tam być dziś po południu. Na kiedy planujecie przesłuchanie?

Cisza, jakby Mel rzeczywiście się nad tym zastanawiała. Świetnie.

-- Daj spokój, Mel. Wiesz, że najlepiej pracujemy jako zespół. Bywam pomocny. Inspirujemy siebie nawzajem. Kiedy się do niego bierzecie?

-- Ja na razie tylko obserwuję. Kiedy przyjdzie kolej na mnie, zaangażuję do tego bardzo dobrego detektywa, a sama będę patrzeć i czekać. Wiesz, jak to lubię rozgrywać.

-- Mnie też pozwól patrzeć. Chcę go zobaczyć. Proszę, Mel. Chcę się przekonać, czy to nasz stalker.

-- A to nie jest przypadkiem moja praca?

-- No tak, sorki. Ale jakoś tak czuję, że moja także.

Na drugim końcu linii przez długą chwilę panuje cisza.

-- Słuchaj, Matt, nie mogę ci niczego obiecać. Jak chcesz, to przyleć, a ja zobaczę, co da się zrobić. Ale to wszystko będzie nieoficjalnie. Możliwe, że będziemy musieli naściemniać.

-- Jesteś boska.

W chwili, kiedy Mel się rozłącza, Matthew słyszy dźwięk otwierających się drzwi. Zerka na zegarek i puszcza oko do Amelie.

-- No dobrze, kwiatuszku. Wróciła mamusia, a tatuś musi jechać do pracy. Lecę dziś samolotem i przywiozę wam haggis\*.

-- A co to takiego?



- Coś podobnego do kiełbaski, tylko lepsze. Pychotka, mówię ci.
- Takie pyszne jak naleśniki?
- Zdecydowanie.

Gdy Matthew jedzie wynajętym na lotnisku samochodem, dopadają go wyrzuty sumienia z powodu tych niewinnych kłamstewek, którymi ostatnio musi karmić Sally. Nadal udaje, że zepsuł mu się tablet, a zaraz po powrocie planuje ponownie odwiedzić Iana. Staruszek przystał na miesięczny koszt pakietu internetowego i bardzo poważnie traktuje lekcje obsługi iPada. No a teraz Matthew niejako zasugerował żonie, że to Tom sponsoruje tę podróż do Szkocji. Owszem, opłaca jego usługi od czasu, kiedy Alice ponownie go wynajęła. Ale na razie nie było mowy o zwrocie kosztów za ten wyjazd.

Matthew doskonale zdaje sobie sprawę, że lepszy z niego gliniarz niż biznesmen, i duma, czy ośmieli się bez wcześniejszego uzgodnienia dodać te wydatki do faktury Alice. Co prawda Tom oświadczył, że "zapłaci, ile tylko będzie trzeba", ale wyjazd do Szkocji trudno uznać za konieczny. Piłka znajduje się teraz na stronie boiska Mel. Minie trochę czasu, nim technicy sprawdzą telefon Alexa i prześledzą cały materiał z kamer przemysłowych dokumentujący jego działania z ostatnich kilku tygodni. Według Matthew jest mało prawdopodobne, aby Alex do czegokolwiek się przyznał. Już teraz odgrywa rolę ofiary i nie zamierza im niczego ułatwiać. Tak po prawdzie najwięcej sensu miałyby zaczekanie i przekonanie się, co się stanie. On jednak jest niecierpliwy; bardzo chce spojrzeć w twarz przesłuchiwanego Alexa. Pragnie się wsłuchać w podszepty intuicji. Ufa jej i musi zobaczyć tego człowieka na żywo. Przede wszystkim chciałby, aby cała ta żałosna sprawa została zamknięta. Dla dobra Alice.

Gdy wjeżdża na parking sąsiadujący z komisariatem, czuje znajomy przyływ adrenaliny, który pojawia się zawsze wtedy, kiedy do aresztu trafia główny podejrzany. Mel także będzie to czuła.

W budynku prosi, by ją zawołać, a ona zjawia się po kilku minutach. Sierżant w recepcji sprawia wrażenie zdeprymowanego. Pyta Matthew o jego status, ale Mel nagle zaczyna się bawić telefonem, udając, że sprawdza wiadomości, następnie szybko gdzieś dzwoni.

- Jest już; maksymalnie pięć minut -- mówi tylko.

W recepcji czekają dwie inne osoby. Mel unosi brwi i znacząco spogląda na zegarek. Prosi o wydanie przepustki dla gościa, wyjaśniając enigmatycznie, że Matthew jest "byłym policjantem" zaangażowanym w sprawę "na południu" i jest pilnie potrzebny do przesłuchań. Przez chwilę Matthew sądzi, że ten blef nie zadziała, wtedy jednak sierżant spogląda na wielki brzuch Mel, a potem na czekających w kolejce ludzi.

Matthew otrzymuje przepustkę.

Komisariat jest nieduży. Szybko docierają do niewielkiego pomieszczenia sąsiadującego z pokojem przesłuchań. Dochodzi czwarta i Alex urządza scenę, skarżąc się, że źle się czuje. Że jest prześladowany. Że "brexit, nie brexit, pójdę z tym do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka". Zjawił się obrońca z urzędu i zdążył już wysłuchać instrukcji. Mel wyjaśnia: Alex utrzymuje, że nikogo nie powinno obchodzić, z kim bierze ślub. Ta dziewczyna jest już pełnoletnia.

-- Oto i on -- mówi Mel, wskazując głową na niemożliwie przystojnego mężczyznę siedzącego po drugiej stronie lustra weneckiego.

Matthew robi długi, głęboki wdech i wpatruje się w Alexa. Nagle wraca myślami do tamtej straszliwej chwili, kiedy obok nich śmiął motocykl. Kiedy Alice chluśnięto w twarz płynem. Do tych potwornych minut, kiedy naprawdę sądził, że to kwas i że życie Alice zmieni się na zawsze.

Coś takiego mógłby zrobić tylko ktoś z wyjątkowym tupetem. Mrozącą krew w żyłach arogancją.

Obserwuje postawę Alexa. Mężczyzna siedzi rozparty na krześle, nogi ma wyciągnięte, ręce skrzyżowane na piersi. Mruży oczy.

-- Pozwę was -- oświadcza teraz chłodno.

Okej, a więc arogancji w nim aż nadto, myśli Matthew. Ale czy to nasz stalker? Czy to naprawdę ty jesteś sprawcą tego wszystkiego?

## ROZDZIAŁ 41

### On -- wtedy

Jeszcze tylko dwa tygodnie i będzie miał dziesięć lat.

Dwie cyferki. Długo na to czekał. Myśli o lekcjach matematyki. Nowa nauczycielka trzyma na półce liczydło. To czarna rama ze lśniącymi czerwonymi kamykami. Chłopiec uwielbia to liczydło. W ogóle bardzo lubi matematykę i uczy się jeszcze pilniej niż do tej pory. Najlepsza grupa. Najlepszy uczeń. Jest przekonany, że wszystko się zmieni; że będzie zupełnie inaczej, kiedy przestanie być "jednocyfrowy". Dwie cyfry na liczydło.

Marzy, aby być wyższym i silniejszym. Myśli o tym wszystkim, co zdoła zrobić, kiedy podrośnie, kiedy będzie mógł chodzić na siłownię i budować mięśnie.

-- O czym myślisz? -- pyta babcia. Robi mu na drutach nowy sweter do szkoły. Chłopiec go wcale nie chce. Kolor jest nie taki jak trzeba -- zbyt ciemny. Wełna będzie go drapać i inni będą się z niego śmiać. "Może babcia zrobi ci też i majtki? Wełniane majtki, wełniane majtki!" -- Grosik za twoje myśli? -- Nadal na niego patrzy.

-- Nic takiego.

-- No tak. Wy, dzieci, spędzacie mnóstwo czasu na myśleniu właśnie o tym. -- Uśmiecha się, kątem oka zerka jednak na zegarek.

Jest środa.

Kiedy już będzie dwucyfrowy, wszystko się zmieni. Kiedy będzie dwucyfrowy, nie otworzy Brianowi drzwi. Zastawi je krzesłem i będzie udawał, że nie słyszy pukania.

Będzie chodził do dużej szkoły i założy swój gang. Powie kumpłom o Brianie. Nie prawdę -- nie brudną, parszywą prawdę. Ale wyjaśni, że Brian skrzywdził jego babcię i trzeba mu dać nauczkę. I razem dadzą mu popalić. Każą mu błagać... i błagać... i błagać.

Chłopiec spogląda na babcię, która nadal się do niego uśmiecha. Wygląda na taką zmęczoną. Ciągle tak ciężko pracuje. Co niedzielę piecze dla niego babeczki z dżemem i lukrem, a przed szkołą gotuje

jajka na miękko. I każdego dnia wygląda przez okno, żeby przywitać się z dziadkową ławką.

-- Kiedy będę duży, zaopiekuję się tobą -- oświadcza. -- Żebyś w ogóle nie musiała chodzić do pracy.

-- Oczywiście. I to będzie wspaniałe, skarbie. -- Składa druty i chowa je do leżącej obok torby. Ponownie spogląda na zegar.

Obecnie ma nocną zmianę tylko raz na dwa tygodnie. Jakoś dogadała się w pracy ze Stanem. Chłopiec nie wie jak.

Więc tylko raz na dwa tygodnie rozlega się pukanie do drzwi. Brian z ciastkami i żarcikami. Z wielkim, tłustym brzuchem. I ich umową.

Raz chłopiec nie chciał otworzyć drzwi, ale Brian oświadczył, że to się już ciągnie zbyt długo i za późno na wątpliwości. Nikt mu nie uwierzy, a babcia trafi do więzienia za to, że go zostawia samego w domu.

Zamyka oczy i wraca myślami do lekcji matematyki. Przekonał się, że jeśli dobrze się uczy, nauczyciele się nie czepiają. Został zawieszony wtedy, kiedy złamał rękę tamtemu chłopcu, a dyrektorka wpadła w złość. Babcia się rozplakała i zawieszenie nie trwało długo. Powiedziała, że edukacja to jego jedyna szansa, aby coś w życiu osiągnąć. Postanowił zatem nigdy więcej nie przysparzać jej powodów do płaczu.

Teraz nosi odznakę prymusa. Na każdym przedmiocie należy do grupy najlepszych uczniów. A niedawno otrzymał specjalną szkolną nagrodę i może bezpłatnie chodzić na lekcje muzyki. Może sobie wybrać dowolny instrument.

Sam nie wie. Gitara czy pianino? Niedługo będzie musiał podjąć decyzję.

Wyobraża sobie, jak gra i jak ludzie patrzą na niego i mówią: "Cóż za zdolny chłopiec". Uważa, że to fajna sztuczka: ludzie będą słuchać jego muzyki i nie będą mieli pojęcia, co tak naprawdę dzieje się w jego głowie.

Nigdy nie odgadną prawdy. Że nadal myśli o młotkach i orłach, i o tym, ile jeszcze minie czasu, nim dorośnie i będzie na tyle duży i silny, aby założyć gang i odegrać się na Brianie.

Sprawić, aby błagał.

## ROZDZIAŁ 42

### Alice

Kiedy przychodzi mail z pracy, siedzę akurat w kawiarni. Zdążyłam już wykorzystać cały zaległy urlop i kierownictwo zgadza się ze mną, że musimy podjąć jakieś decyzje co do "dalszej współpracy". Politycznie poprawna gadka szmatka od Helen z kadr o tym, że priorytetem jest moje bezpieczeństwo i tak dalej. Jest też kilka słów od naczelnego: po raz kolejny odmówił policyjnej prośbie o wydanie zgody na uznanie linii telefonicznych za dowód w sprawie. W pełni to rozumiem. Żadna gazeta nie mogłaby funkcjonować, gdyby jej władze zgodziły się na coś takiego. Ale przynajmniej widzą potrzebę spotkania. To dobrze.

Wciąż jest czwartek. Mama aklimatyzuje się w nowym lokum, a ja potrzebuję choć częściowego powrotu do rutyny. Mieszam kawę ze spienionym mlekiem. Tak -- czuję ogromną potrzebę, aby wrócić do pracy. Prowadzę blog dla fundacji, ale na razie moje wpisy nie zostały opublikowane. Martwią się, że zbiega się to w czasie z aresztowaniem Alexa, i chcą poczekać na wynik śledztwa. Szczerze mówiąc, ostatnie maile od Claire są trochę dziwne. Ciągłe pisze, abym wypróbowała ich nowy alarm i pisała właśnie o nim. Z jakiegoś powodu mnie to niepokoi. Przecież mówiła, że projekt alarmu znajduje się na wczesnym etapie.

No ale mniejsza z tym. Odsuwam od siebie myśli o Claire i fundacji i zamiast tego odpisuję Helen. Wyrażam zgodę na spotkanie i podkreślam, że najchętniej wróciłabym do pracy w przyszłym tygodniu. Minęło wystarczająco dużo czasu. Na razie nie naciskam, ale zrobię to, jeśli będę musiała. To nie ja powinnam ponosić koszty zachowania tego czubka.

Chowam telefon do kieszeni, a kiedy podnoszę głowę, moim oczom ukazuje się coś niesłychanie zaskakującego. A raczej ktoś. Ma na sobie elegancki wełniany płaszcz i szal w kolorowe paski, którego wcześniej u niego nie widziałam, tak że przez kilka chwil nie do końca mam pewność, że to on. Potem się jednak odwraca i coś mnie

ściska w żołądku. Wygląda tak atrakcyjnie i dopadają mnie znajome wyrzuty sumienia, bo nie czuję niczego takiego, kiedy niespodziewanie ujrzę Toma.

-- Jack. Co ty tu robisz?

On także wygląda na zdumionego.

-- Alice! O mój Boże. -- Malujące się na jego twarzy zaskoczenie ustępuje radości. Cieszę się, że tak reaguje na mój widok. -- Wpadłem coś przekąsić przed wywiadem. -- Bawi się szalikiem, jakby nagle ogarnęło go skrępowanie. -- W miejscowej podstawówce. Nagrody dla nauczycieli. No a ty? Trochę to nie twoje strony, co?

-- Nudzi mi się i jeździłam sobie po okolicy. No to siadaj i opowiadaj, co słyhać. Akurat przed chwilą dostałam mail z redakcji. Liczę na to, że za tydzień wrócę do pracy.

-- Byłoby fantastycznie. Bardzo nam ciebie brakuje. Wszyscy uważają, że to nie fair, że musiałaś pójść na urlop. To co u ciebie? Nie towarzyszy ci ten twój ochroniarz? -- Rozgląda się za Matthew.

-- On nie jest ochroniarzem. I nie. Nie dzisiaj. Tylko w środy. Aresztowano właśnie głównego podejrzanego, ale zachowaj to, proszę, dla siebie.

-- Doskonała wiadomość. -- Nachyla się i patrzy mi w oczy. -- Prawda?

-- Tak. Chyba.

Próbuję sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widziałam się z Jackiem. Ach tak, u Leanne, kiedy przyjechał mnie ostrzec, że naczelny chce przekazać komuś innemu temat kampanii. Zburzenie Maple Field House. Uśmiecham się na wspomnienie bezinteresowności Jacka. Bardzo mu jestem wdzięczna.

-- Przepraszam -- mówię. -- W sumie powinnam czuć większą ulgę, ale tak się stanie chyba dopiero, kiedy policja znajdzie niezbite dowody. Na razie to taka gra na przeczekanie.

-- Kto to taki? Ten aresztowany. Ktoś, o kim pisałaś?

-- Nie. Nie powinnam ci tego mówić, ale to mój eks.

-- Dobry Boże, nie miałem pojęcia.

W tym momencie do stolika podchodzi kelnerka i Jack zamawia podwójne espresso i opiekaną kanapkę. Machnięciem ręki sygnali-

zuję, że mnie wystarczy zamówiona wcześniej kawa.

-- Tak w ogóle jestem ci naprawdę wdzięczna za ten cynk o wyburzeniu mieszkań... Spotkałam się w Londynie z organizatorem, więc jestem na bieżąco. Nie pozwolę, aby Ted przekazał to komuś innemu. Nie ma mowy.

-- Nie ma za co. Zresztą skoro wracasz w przyszłym tygodniu, to wszystko będzie dobrze. Więc to naprawdę koniec? Co za ulga. -- Mówiąc to, nie odrywa wzroku od mojej twarzy.

Wraca kelnerka z kawą i wyjaśnia, że kanapkę przyniesie za kilka minut. Zauważam, że Jack jest tak skupiony na mnie, że nie dziękuje ani nawet nie odwraca się w jej stronę, więc zamiast niego to ja się do niej uśmiecham i kiwam jej głową.

-- Naprawdę się o ciebie martwiłem, Alice. Zresztą jak my wszyscy. Nie chciałem ci się narzucać mailami czy esemesami. Wiem, że opiekuje się tobą Tom.

Z jakiegoś powodu się czerwieni. Zastanawiam się, czy tak jak i ja myśli teraz o tamtej kolacji we włoskiej restauracji. O moim faux pas.

-- Nic mi nie jest, Jack. Cóż, to znaczy: nie, to nieprawda. Ale Tom zachowuje się świetnie i jakoś sobie radzę, poza tym liczę, że ten koszmar niedługo się skończy. -- Robię pauzę, zastanawiając się, czy powinnam powiedzieć mu więcej. Jack zdaje się to wyczuwać i unosi brew, jakby mnie zachęcał do mówienia. -- Przenieśliśmy moją matkę do nowego domu opieki. Lepsze warunki. -- Nie wiem, dlaczego nie mówię mu prawdy. Jack milczy, więc zakładam, że nie wie o nagraniu. Widziało je paru znajomych rodziny, czemu jednak miałyby je widzieć ktoś z redakcji? -- Później do niej jadę; chcę się upewnić, że jest jej tam dobrze. Lepiej się wtedy poczuję.

-- To wspaniale. Bardzo się cieszę.

Zjawia się kelnerka z kanapką, a ja patrzę na wylewający się spo między przyrumienionych kromek roztopiony ser. Zaczyna mi burczeć w brzuchu, ale nim zdążę podjąć decyzję o zamówieniu podobnej kanapki, dzwoni mój telefon. Przepraszająco unoszę rękę i odbieram. To sekretarka naczelnego, Samantha. Wyjaśnia, że dostała z kadr informację o spotkaniu, i mówi, że musimy zmienić ustaloną



godzinę. Sugeruje trzecią zamiast południa, bo Ted zdążył się już umówić na spotkanie w porze lunchu.

-- Jasne, nie ma sprawy. -- Dodaję, że dzięki zbiegowi okoliczności jestem właśnie z Jackiem, który pałaszuje tost z serem.

Samantha się śmieje, a potem dodaje coś, co w ogóle nie ma sensu.

-- Dobrze wiedzieć, co Jack porabia w dniu wolnym od pracy.

## ROZDZIAŁ 43

### Alice -- wtedy

Kiedy moja matka zobaczyła mnie po raz pierwszy w nowym kolorze włosów, dostrzegłam zmianę w jej oczach. To było krótko po procesie Alexa. Przechyliła głowę, lustrując mój nowy wygląd, i przez krótką chwilę widziałam w jej spojrzeniu dojmujący smutek.

-- Jesteś zaszokowana, mamó? Strasznie ci się nie podoba? Bo jeśli nie chcesz, abym to robiła... No wiesz, chodzi mi o zmianę imienia i nazwiska... Jeśli masz się tym bardzo martwić...

-- W porządku. Pasuje ci nowa fryzura. I jeśli to właśnie musisz zrobić, aby się odciąć od tego przekłętą człowieka, to ja nie mam nic przeciwko.

-- I myślisz, że sobie poradzisz z używaniem mojego drugiego imienia? Nie będzie cię to za bardzo wkurzało?

Wtedy moja matka zrobiła tę swoją uspokajającą minę, a w jej oczach pojawił się uśmiech.

-- Obserwowałam, jak cierpisz na bezsenność, Jenny. Obserwowałam, jak tracisz na wadze. Obserwowałam, jak łykasz tabletki na depresję, aby przetrzymać proces. Nie myśl, że o tym nie wiem. Chcesz znać prawdę? Serce mi pękło na milion kawałków i gdybym mogła dorwać tego człowieka, nie wiem, co bym mu zrobiła. Leanne słusznie postąpiła, że ci to zasugerowała. Dałam ci na drugie Alice, bo uważam, że to śliczne imię. Przyzwyczaję się. Będę ćwiczyć. A ty będziesz piękną Alice.

-- W nowej pracy nikomu nie powiem. Fatalnie się z tym czuję. Dziennikarka, tropicielka prawdy, zaczynająca od kłamstwa... Jaką to ze mnie czyni osobę?

-- Taką, która miała pecha. Taką, która spotkała na swojej drodze węża. Mnóstwo pisarzy używa pseudonimów. Nazwiska pańskiego albo zupełnie innego. Masz słuszny powód do tej zmiany, poza tym to nie jest wcale wymyślone imię. Widnieje na twoim akcie urodzenia. To imię, które sama dla ciebie wybrałam.

-- Ale czy wyglądam inaczej niż na tamtym zdjęciu z gazety? Bardzo się boję, że i tak mnie rozpoznają.

-- Wyglądasz ślicznie. Moja piękna córka. A media niewiele pisały o tobie.

Warga mi drżała, kiedy mama mnie przytuliła. Wciąż nie byłam przekonana do tego, co robię -- w sensie moralnym i praktycznym -- ale nie chciałam, by Alex wygrał. By moja kariera dobiegła końca. Bym przestała pisać. Kiedy Leanne zasugerowała zmianę imienia i nazwiska, uznałam ten pomysł za szalony. Odparłam, że nie ma mowy. Byłam pewna, że się pomylę, że odbierając telefon, odruchowo przedstawię się jako Jenny i stanę się bohaterką kolejnej historii.

Nowe nazwisko. Czysta karta. Nowy początek. Co miałam do stracenia?

Kiedy postanowiłam rozważyć pomysł siostry, nadal u niej mieszkałam. Leanne zaczęła mówić na mnie Alice, aby sprawdzić, czy to się przyjmie. Po jakimś czasie czułam się z tym już dobrze. A potem, kiedy jako Alice otrzymałam propozycję nowej pracy na stanowisku stażystki w Devon, nagle poczułam, że to może wypalić. Redakcja mieściła się wystarczająco daleko od Szkocji, by tematy i kontakty się nie nakładały, a tym samym prawdopodobieństwo tego, że ktoś mnie zdemaskuje, było znikome. Wiedziałam, że rzadziej będę widywać mamę i Leanne, i zastanawiałam się, jak sobie poradzę bez ich wsparcia, ale w sumie do Szkocji było równie daleko.

-- Będę dzwonić i przyjeżdżać tak często, jak się da, mamó.

-- Oczywiście, że tak.

A potem zadała mi to samo pytanie co policja.

-- Na pewno o wszystkim mi powiedziałaś, skarbie? O Alexie? O tym, jak się zaczęło to całe okropieństwo? Nie zrobił ci nigdy krzywdy, prawda?

-- Nie, nie.

-- I nie było niczego, co mogło wywołać... zapoczątkować...

-- Nie.

Moje odpowiedzi były zbyt szybkie. Zbyt głośne. Poczułam, że się rumienię. Nadal byłam zmęczona, słaba i przytłoczona. Szczerze? Nocami dręczyło mnie coś nowego. Coś bardzo intymnego. Jedna mała, krępująca i intymna rzecz, o której nie powiedziałam policji, bo nie mogłam się przemóc, aby uwierzyć, że mogła mieć coś wspólnego z tym, co się stało. To było zbyt krępujące. Zbyt osobiste.

Chodziłam na terapię i tam wielokrotnie słyszałam, że nie powinnam odtwarzać minionych wydarzeń i winić siebie. Że to Alex był odpowiedzialny za te perwersje. Za swoje kłamstwa. Za swoje zachowanie. Nie ja.

Zostałam oszukana. Nabrana. "To nie twoja wina. Nie wolno ci obwiniać siebie".

Ale ciemną i cichą nocą ja nadal się zastanawiałam. Analizowałam wspólnie spędzony czas. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia z powodu tego, że nie przejrzałam Alexa, kiedy doszło do tamtej rozmowy telefonicznej z jego uczennicą.

No i ta druga niedająca spokoju rzecz. Ten drugi prywatny, osobisty drobiazg, który dotyczył Alexa. Raz niemądrze go przywołałam, a wtedy on bardzo się zdenerwował.

Nie chciałam wierzyć, że mogło mieć to z tym wszystkim coś wspólnego.

Bo co, gdyby miało? Czy wtedy wina leżałaby jednak po mojej stronie?

I czy moim obowiązkiem było powiedzenie o tym policji? Nawet po takim czasie...

## ROZDZIAŁ 44

### Matthew

-- Na pewno nie chcesz krzesła, Mel?

Matthew obserwuje, jak Melanie Sanders przyciska dłoń do dolnej części pleców, przez co jej spektakularny brzuch przysuwa się jeszcze bliżej szkła weneckiego, oddzielającego ich od pokoju przesłuchań.

Ten szkocki komisariat jest mniejszy niż inne, w których Matthew miał okazję pracować. Jest tu także czyściej i jaśniej. Detektyw przenosi wzrok na wiszącą na przeciwległej ścianie korkową tablicę ze schludnie poprzypinanymi różnymi plakatami. Najnowszymi apelami. Numerami infolinii.

W końcu Melanie głośno wzdycha.

-- Masz rację. Niepotrzebnie się tak upieram. Ale martwię się, że jeśli usiądę, to już nie wstanę. Jezu, to dziecko trenuje dziś do igrzysk olimpijskich. Tam... -- Wskazuje na niewielki pokój po drugiej stronie korytarza i Matthew szybko przynosi jej stamtąd krzesło, czując na sobie zaskoczone spojrzenia zebranych w pokoju osób. -- Nakłamałam -- rzuca Mel, osuwając się na siedzenie i sygnalizując, aby zamknął drzwi. -- Powiedziałam im, że jesteś byłym policjantem i że masz ważne informacje dotyczące tej sprawy.

-- Ale to przecież prawda.

-- Możliwe, że dodałam, że jesteś teraz szanowanym profilerem.

-- Profilerem?

-- No. Tym im zamknęłam buzie. -- Uśmiecha się. -- A wszyscy wiemy, co większość myśli o profilerach. Przy odrobinie szczęścia poplotkują za twoimi plecami i dadzą nam spokój.

Oboje wzrok mają wbity w lustro. Alex siedzi obok swojego obrońcy, ale osobę przesłuchującą w związku z naruszeniem warunków zwolnienia zastąpił Mark Fisher, kolega Mel, który zajmie się przesłuchaniem dotyczącym Alice. Alex ma już pewność, że za złamanie warunków zwolnienia wróci do więzienia, więc nie ma nic do ugrania deklaracją o współpracy.

Matthew nie spodziewa się, że Alex okaże się pomocny. Żywi podejrzenie, że prawnik mu poradził, aby podczas drugiego przesłuchania w ogóle się nie odzywał. Niestety na razie nie ma przeciwko niemu żadnych dowodów, więc mogą jedynie mieć nadzieję, że dopisze im szczęście. Matthew liczy, że przynajmniej uda mu się coś wyczytać z twarzy podejrzanego i jego zachowania.

-- No dobrze, Alex. Czyli wracasz do więzienia. To nie było zbyt mądre, prawda? -- Mark Fisher robi pauzę, następnie kładzie na stole zdjęcie Alice czy raczej Jenny. Zdjęcie, na którym ma ciemniejsze, dłuższe włosy.

Alex Sunningham przygląda się fotografii, a Matthew nachyla się bliżej lustra, obserwując twarz podejrzanego. Nic. Alex, bez względu na to, co myśli, pilnuje się, aby niczego nie dać po sobie poznać. Cholera, dobry jest, myśli Matthew. Bardzo dobry.

Mel zdaje się wstrzymywać oddech.

-- Twoja narzeczona. Ta, która nie miała pojęcia o tym, co się dzieje. -- Ton głosu Marka pozostaje spokojny. Pewny.

Alex zerka na swojego obrońcę, który także przygląda się zdjęciu.

-- Zastanawia mnie, co teraz czujesz względem dawnej narzeczonej, Alex. Po czasie spędzonym w więzieniu.

Cisza. Zero reakcji.

-- Już ci mówię, o co chodzi. Uważamy, że przez te ostatnie lata dużo rozmyślałeś o tym, co się stało. I że zacząłeś żywić do niej urazę. Zupełnie niezasłużoną. Czy to prawda, Alex?

Nadal nic.

Matthew odwraca się do Mel, która wciąż wygląda tak, jakby wstrzymywała oddech.

Na tym etapie przesłuchania Mark nie będzie chciał zbyt wiele zdradzić. Bez dowodów można powiedzieć, że trochę podpuszcza podejrzanego. Będzie liczył, że Alex zdradzi jakiś mały szczegół, którego nie może znać bez osobistego zaangażowania. Że stanie się to punktem wyjścia do porządnego przesłuchania. Ale Alex nie sprawia wrażenia choćby nieznacznie zainteresowanego. Jego twarz jest zupełnie pozbawiona wyrazu.

-- W takim razie zapytam wprost. Czy od czasu rozprawy wysłałaś wiadomości swojej dawnej narzeczonej Jennifer Wallace albo komunikowałaś się z nią w jakikolwiek sposób? A w szczególności od czasu, kiedy wyszedłaś na wolność?

Przez długą chwilę panuje cisza. Niedający niczego po sobie poznać Alex odwraca się, aby spojrzeć na prawnika, następnie ponownie patrzy na Marka. I wtedy się zaczyna...

W pierwszej chwili Matthew nie może w to uwierzyć. Wymienia zdumione spojrzenie z Mel. A potem, kiedy dźwięki stają się coraz głośniejsze, dopada go irytacja i poczucie beznadziejności całej tej sytuacji.

-- Co on, u licha, śpiewa? -- pyta w końcu Mel.

-- To opera -- wyjaśnia Matthew.

-- Tak. Wiem, że to cholerna opera. Nie jestem kompletną ignorantką.

-- Masz przestać to robić... natychmiast. -- Mark na pozór jest spokojny, ale podnosi głos, aby zostać usłyszanym ponad śpiewem.

Tymczasem Matthew zamyka oczy i słucha.

Na komisariatach czasami rozbrzmiewa śpiew. Głównie pijacki. Najczęściej kiepski.

Tym jednak razem jest inaczej. Ten śpiew jest niezły. Matthew zaskakuje także coś jeszcze. Błysk rozpoznania. Słucha, desperacko starając się gdzieś umiejscowić tę melodię.

-- Ostrzegam cię, Alex. Masz natychmiast przestać śpiewać. Sytuacja jest poważna. -- Następnie Mark zwraca się do obrońcy: -- Czy może pan poradzić klientowi, aby dobrowolnie przestał utrudniać przesłuchanie i wykazał się chęcią współpracy?

Prawnik wzrusza ramionami, jakby nie był w stanie nic zrobić.

-- Proszę posłuchać. Jeśli pański klient nie przestanie śpiewać, zostanie zaprowadzony do celi i pozostanie tam do czasu, aż się uspokoi.

Śpiew nie cichnie...

-- W sumie jest całkiem niezły -- stwierdza Matthew, otwierając oczy.

-- Nie pomagasz, Matt. -- Mel bawi się obrączką, wyraźnie rozdrażniona.

I wtedy Matthew nagle rozpoznaje słowa. Tak. *L'amour, l'amour!... Ah! Lève-toi, soleil...*

-- To *Romeo i Julia*. -- Jest z siebie absurdalnie dumny. -- Po francusku.

Melanie otwiera szeroko oczy.

-- A więc nagle się stałeś inspektorem Morse'em\*\*?

-- Sally lubi operę -- wyjaśnia z zakłopotaniem. -- Ma to nagranie. Nie zna włoskiego i podoba jej się akurat ta opera, bo jest po francusku. Skomponował ją bodajże Gounod.

Melanie kręci zaskoczona głową, a w tym czasie w pokoju przesłuchań Mark oświadcza do dyktafonu, że przerywa przesłuchanie, a Alex wróci do celi i pozostanie tam do czasu, aż przestanie się popisywać. Następnie sierżant wyprowadza przesłuchiwanego, który nie przestaje śpiewać na cały głos.

-- No to nieźle poszło -- odzywa się w końcu Melanie i wstaje. -- Napijemy się kawy z ekspresu? Pozwolono mi skorzystać z biura na czas sprawdzania telefonu Alexa. Ale coś mi mówi, że tracimy tylko czas, a tobie? Dopóki nie znajdziemy żadnego dowodu, mamy związane ręce. Założę się, że załujesz teraz, że tu przyleciałeś.

W niedużym gabinecie Melanie ma pękatą teczkę z notatkami z wcześniejszych przesłuchań Alexa i sprawy w sądzie.

-- Tych poprzednich nie nagrywano?

-- Nie, mam tylko to. Przejrzałam wszystko w trakcie lotu.

Do pokoju zagląda Mark.

-- Sorki, Melanie. Tego akurat nie przewidziałem. Pierwszy taki przypadek. Aria w połowie przesłuchania.

-- Nie twoja wina, Mark. Zrób sobie przerwę. Idź po kanapkę. Ja jeszcze raz przejrzę te zapiski. Poczekajmy godzinę. Przekonajmy się, czy Upiorowi w Operze zacznie się nudzić w celi. W razie braku postępów pozwolimy, aby wrócił do więzienia, i tam go przesłuchamy, kiedy w końcu znajdziemy jakieś dowody.

Mark unosi kciuki i zamyka drzwi.



-- Dobry z niego gliniarz. Oczywiście nie taki dobry jak ty -- przekomarzy się Mel. -- Ale wydaje mi się, że nikt nie wyciągnie żadnych informacji z naszego pana Sunninghama, dopóki nie będziemy dysponować czymś konkretnym. Co za marnowanie czasu nas wszystkich.

Wtedy Matthew robi głośny wdech.

-- Romeo i Julia. Młodzi kochankowie.

-- Słucham? -- Na twarzy Mel ponownie maluje się konsternacja.

-- Tak sobie myślę, że nasz narcyz próbuje obsadzić się w roli romantycznego bohatera. Stąd Gretna Green. I chęć poślubienia tej dziewczyny.

-- Żartujesz sobie? Uwodzi czternastolatkę i sądzi, że odgrywanie Romea ujdzie mu płazem?

-- Ależ o to dokładnie chodzi. On żyje złudzeniami. Co oznacza, że jest zdolny do wszystkiego. Mogę zobaczyć te notatki? Wszystkie zeznania Alice sprzed procesu.

-- Nie. Oczywiście, że nie możesz -- mówi Mel. Przesuwa w jego stronę teczkę i mruga. -- Pójdę zrobić nam kawę. Może uda ci się wypatrzeć coś, co ja przeoczyłam. Nie znalazłam w zeznaniach z sądu Alice, a raczej Jenny, niczego, co sugerowałoby motyw obecnego stalkingu. Zresztą jej rola w procesie była niewielka. Wszystko kręciło się wokół tamtych dwóch dziewczyn, zwłaszcza tej, którą Alex uwiódł i porzucił.

Wychodzi z pokoju i pięć minut później wraca z dwoma dużymi, obtłuczonymi kubkami. Przez następną godzinę czytają razem wszystkie zeznania i notatki z procesu. Zaskoczony Matthew znajduje wzmiankę o trzeciej dziewczynie. Także czternastoletniej.

-- Była i trzecia ofiara?

Melanie robi głęboki wdech.

-- W żadnym razie nie powinieneś mieć w to wglądu. Ale tak. Pojawiła się trzecia dziewczyna, tyle że nie chciała zeznawać, więc przesłuchano ją nieoficjalnie. Ten sam wzorzec. Alex ją uwiódł, a potem porzucił. To było w tym czasie, kiedy zaręczył się z Alice.

-- Co za menda.

-- Nie naciskano na tę dziewczynę. I bez jej zeznań dysponowano wystarczającymi dowodami.

Matthew wraca do zapisków, żałując, że nie mają czasu, aby wyskoczyć po porządną kawę. Po mniej więcej trzech kwadransach odkłada notatki z procesu i zapis przesłuchań, po czym sięga po teczkę z dodatkowymi materiałami poświęconymi Alice.

I wtedy natrafia na złożoną kartkę umieszczoną w jednym ze starych zeznań. Z dziwną datą. Jakiś czas po aresztowaniu Alexa i postawieniu go w stan oskarżenia.

Matthew wygląda kartkę i odczytuje kilka akapitów. To zapis krótkiej rozmowy z Alice -- wtedy Jenny -- na komisariacie w Londynie. Zgłosiła się z dodatkowymi informacjami do przekazania policji w Szkocji i podkreślała, że nie chce, aby do Alexa dotarło, że to powiedziała. Czyta uważnie. U dołu kartki widnieje pieczęć potwierdzająca przekazanie tego protokołu zespołowi w Szkocji, ale wygląda na to, że nie podjęto dalszych działań. Przypuszczalnie zgromadzono aż nadto dowodów świadczących przeciwko Alexowi, a Alice poinformowała, że nie powtórzy tych słów w sądzie, więc nie chce, aby stanowiły część jej oficjalnych zeznań.

Matthew wraca do notatek z sądu i nie widzi w nich żadnego nawiązania do tego materiału. Nic dziwnego. Prokurator nic by nie zyskał, zresztą i tak nie miałyby to żadnej wartości, skoro Alice nie chciała powtórzyć tego na rozprawie.

Matthew stuka się w brodę. Chwileczkę. A jeśli ktoś wspomniał o tym Alexowi podczas przesłuchań przed procesem, żeby go zdenerwować?

Jeśli Alex wiedział, że Alice powiedziała o tym policji?

-- Nie ekscytuj się, Mel. Ale możliwe, że coś znalazłem. -- Odwraca kartkę i kładzie ją przed Melanie. -- Okazuje się, że nasz Romeo miał zaburzenie czynności seksualnych.

-- Co? Impotent? -- Melanie przebiega wzrokiem po kartce i ściąga brwi. -- Ale to niemożliwe. Został skazany za seks z nieletnimi.

-- Nie. Nie był impotentem. Chodzi o coś innego. Alice nie chciała, aby użyto tego w sądzie. Chciała jedynie, by policja miała

tego świadomość na wypadek, gdyby okazało się istotne. Ale co, jeśli ktoś się wygadał? Nieoficjalnie. Może chcąc wkurzyć Alexa? Co, jeśli nasz narcyz domyślił się, że źródłem tych informacji jest Alice? Cóż, mocno by to zraniło jego dumę. A w więzieniu miał dużo czasu na obmyślenie zemsty. Oczywiście tylko zgaduję. Ale niewykluczone, że miał motyw, aby być wściekłym na Alice.

## ROZDZIAŁ 45

### Alice -- wtedy

Dobry Boże, kto by chciał opowiadać policji o swoim życiu seksualnym? Wystarczająco źle się z tym czułam za pierwszym razem. Kiedy Alex został aresztowany, zespół dochodzeniowy pragnął poznać każdy cholerny szczegół naszego życia w sypialni. Jasne -- starali się być delikatni. Przeprosili za to, że muszą wchodzić z butami w tak intymną sferę. Tak czy inaczej zadano mi całe mnóstwo krępujących pytań. Czy Alex miał jakiś fetysz? Kazał mi robić coś dziwnego? Stosował przemoc? Czy coś mogło wskazywać na jego pociąg do młodszych dziewcząt? Do dzieci?

Zgodnie z prawdą na wszystkie pytania udzieliłam odpowiedzi przeczącej. Nasze życie seksualne było normalne. Zwyczajne. Pamiętam, że użyłam tego właśnie słowa. Dopiero później, po powrocie do Londynu i Leanne, zaczęłam wszystko analizować i zastanawiać się, czy nie powinnam się była wykazać większą szczerością.

Dlatego ostatecznie zdecydowałam się wybrać na komisariat mieszczący się najbliżej domu Leanne i uzupełnić zeznania.

Zrobiłam to nieoficjalnie. Policjantka zaprosiła mnie do niedużego pokoju przesłuchań, a ja kazałam jej zanotować, że to nie jest zeznanie oficjalne.

-- Nie jestem gotowa, aby mówić o tym w sądzie. Musi to pani zapisać. To bardzo ważne. Mam informacje, które być może okażą się przydatne. Nie wiem. Tak mi przyszło do głowy. Ale w sądzie niczego nie opowiem. Tabloidy dopiero miałyby używanie.

Obserwowałam, jak funkcjonariuszka notuje, i próbowałam odczytać jej zapiski do góry nogami, aby się upewnić, że wszystko jest tak, jak należy. Miała staranne pismo i piękne pióro. Drogie.

-- Co więc pani uznała, że powinniśmy wiedzieć?

Wzięłam głęboki oddech. Miałam problem ze znalezieniem odpowiednich słów.

-- Nie ma pośpiechu. To na pewno nie jest dla pani łatwe.

-- Zdecydowanie nie jest. Proszę posłuchać, podczas pierwszego przesłuchania zapytano mnie, czy Alex zachowywał się w sypialni w jakiś nietypowy sposób. Odpowiedziałam, że nie, bo to prawda. Zapytano mnie, czy regularnie uprawialiśmy seks, i odparłam, że tak. Co także było prawdą. -- Zaczekałam, aż wszystko zapisze. -- Nie powiedziałam natomiast, że Alex... -- Urwałam i zacisnęłam usta. Po prostu wyrzucić to z siebie... -- Okej. No więc nie był zbyt dobry w łóżku. -- Wyraz twarzy policjantki uległ zmianie. Wyraźnie nie była pewna, jak zareagować na moje słowa. -- Rany, jakie to krępujące. Nie był beznadziejny. Jezu, nie związałamby się z nim, gdyby było inaczej. Był mężczyzną wyjątkowo przystojnym i bardzo dla mnie atrakcyjnym. Oczywiście zanim poznałam prawdę o nim. Dobrze całował. I generalnie można powiedzieć, że był zadowolającym kochankiem. Jak już mówiłam, zgodziłam się zostać jego żoną, a przecież nie zrobiłabym tego, gdyby w sypialni był kompletnie beznadziejny. Ale... -- Wzięłam jeszcze jeden głęboki oddech. -- Prawda jest taka, że istniały ograniczenia.

-- Ograniczenia? -- Funkcjonariuszka zastygła z piórem nad kartką.

Czekałam. Ona czekała.

-- Miał problem z szybkością.

-- Słucham?

Zamknęłam oczy, marząc, by zapaść się pod ziemię.

-- Przedwczesny wytrysk. Nie był w stanie długo wytrzymać.

Odniosłam wrażenie, że się uśmiecha pod nosem. Czy tylko to sobie wyobraziłam? Oblałam się rumieńcem -- to na pewno.

-- Wiem, że wszyscy stroją sobie z tego żarty. I że ma to być prze-zabawne. Ale w prawdziwym życiu wcale takie nie jest. Na pewno nie dla Alexa.

-- No dobrze. Dlaczego więc pani uważa, że to może być ważne? To znaczy dla sprawy?

-- Cóż, mam nadzieję, że wcale takie nie jest. Chodzi o to, że na początku trochę się zdziwiłam. No bo Alex był taki seksowny i pewny siebie, więc tak jakby założyłam, że będzie naprawdę dobry w te klocki. W związku z tym ta przypadłość okazała się zaskocze-

niem. Nie chciałam nic mówić. On sam poruszył temat po pierwszych kilku razach. Wyjaśnił, że ten problem pojawia się tylko wtedy, kiedy jest zadurzony. Zakochany. Można powiedzieć, że przekuł to na komplement. Powiedział, że to minie. Ale później, kiedy nic się nie zmieniało, zaczęłam się trochę martwić. Bardzo szybko się zaręczyliśmy. To wszystko było szalenie romantyczne. Jak już mówiłam, w sensie ogólnym był dobrym kochankiem. Dbał, abym była... no wie pani... zadowolona. Ale problem z szybkością się utrzymywał.

-- Niemniej była pani szczęśliwa w tym związku. Na tyle, aby wziąć ślub.

-- Tak. To znaczy wierzyłam, że Alex jest po prostu nieco przytłoczony. Że z czasem powinno się poprawić. No ale mniejsza z tym. Po jakimś czasie postanowiłam odbyć z nim bardziej otwartą rozmowę, no wie pani, przedstawić kilka pomysłów, jak sobie z tym radzić. A on wpadł w prawdziwą wściekłość.

-- W jakim sensie?

-- Och, tylko werbalnym. Nie fizycznym. W pierwszej chwili doznałam lekkiego szoku, potem jednak dotarło do mnie, że uraziłam jego dumę. Zrobiło mi się głupio, że okazałam się tak mało wrażliwa. Wie pani przecież, jacy są mężczyźni. Postanowiłam odpuścić i zobaczyć, co przyniesie czas. Pewna byłam, że problem sam się rozwiąże. Jak już mówiłam, ogólnie byłam bardzo szczęśliwa. To znaczy zanim poznałam prawdę na jego temat. O dziewczętach.

Przez długą chwilę policjantka milczała.

-- Dlaczego więc teraz o tym pani mówi?

-- Cóż, sporo myślałam. Zastanawiałam się i martwiłam, czy powodem, dla którego zaczął się uganiać za młodszymi dziewczynami, nie był fakt, że miały mniejsze doświadczenie. Mogły go nie krytykować. Bo nie znały niczego innego.

Kobieta odłożyła pióro.

-- Chyba nie obwinia pani siebie? Dobry Boże. Naprawdę nie powinna pani tego robić.

-- Nie, nie. W głębi duszy to wiem. Ale uznałam, że może powinienam o tym wspomnieć. Na wypadek, gdyby fakt, że go zdenerwowa-

łam... no wie pani, kiedy tak niemądrze skomentowałam jego osiągi, przyczynił się do tego, że zaczął uwodzić te młodsze dziewczęta. -- Proszę. W końcu to powiedziałam.

Czy to była moja wina?

Policjantka wszystko zanotowała, ale i tak twierdziła, że nie ma powodu, abym w jakikolwiek sposób czuła się winna. Obiecała przekazać notatkę zespołowi dochodzeniowemu. Upewniła się, czy nadal uczęszczam na terapię, tak jak mi poradzono.

Dwa tygodnie później zadzwonił do mnie starszy oficer śledczy i oświadczył, że są wdzięczni za dodatkowe informacje. Podkreślił, że mam zapewnioną dyskrecję. Powiedział mi także w zaufaniu, że w czasie, kiedy dochodziło do czynu zabronionego, pojawiła się trzecia dziewczyna, zaledwie czternastoletnia, twierdząca, że Alex ją uwiódł, zanim go w ogóle się poznaliśmy. Okazuje się, że nadal z nią sypiał w czasie, kiedy mi się oświadczył. Jej przypadek nie zostanie przedstawiony w sądzie, gdyż dziewczyna nie jest w stanie znieść związanej z tym traumy, funkcjonariusz miał jednak nadzieję, że tym sposobem odzyskam spokój. Nie odegrałam żadnej roli, jeśli chodzi o wybory Alexa. Żadnej.

Pamiętam, że zalała mnie wtedy fala przemożnej ulgi. Oficer śledczy okazał się jeszcze bardziej rozmowny. Stwierdził, że zachowanie Alexa w łóżku i nasza kłótnia najpewniej były konsekwencją jego zboczenia, na pewno nie czynnikiem je wywołującym.

Pamiętam, że wzięłam długi, bardzo gorący prysznic i żałowałam, że nie mogę pozostać pod strumieniem wody już na zawsze, by zmyć z siebie tę całą obrzydliwą sprawę.

Ale ze mnie frajerka, pomyślałam leżąc potem w łóżku w pokoju gościnnym Leanne. Frajerka jakich mało.

## ROZDZIAŁ 46

### On -- wtedy

Zawsze sobie wyobrażał, że kiedy dorośnie i znajdzie pracę, on i babcia wyprowadzą się w jakieś ładniejsze miejsce.

Tak. Kiedy tylko to on będzie się mógł opiekować nią, a nie odwrotnie, wynajmie mieszkanie gdzieś bardzo, bardzo daleko. Bardzo, bardzo daleko od obleśnego Briana.

Doznał więc szoku, kiedy się okazało, że tak się nie stanie.

Pierwsza praca zawiodła go do Londynu. Druga do Sussex. A kiedy w końcu zaczął osiągać przyzwoity dochód i odłożył wystarczająco dużo pieniędzy, aby zaproponować pomoc, reakcja babci kompletnie go zaskoczyła.

-- Nie bądź niemądry. Przeprowadzka? Nie przychodzi mi do głowy nic gorszego. Nie potrzebuję twoich pieniędzy i nie chcę się stąd wyprowadzać. Ani teraz, ani nigdy.

Uszom nie wierzył. Wszystko już sobie zaplanował. Oszczędzał i oszczędzał, aż w końcu dysponował kwotą wystarczającą na kaucję za wynajem ładnego, nowoczesnego lokum bliżej siebie.

-- Ale mogę ci zapewnić mieszkanie o wiele ładniejsze od tego. Cieplesze. W przyjemniejszej okolicy. Jesteś już na emeryturze. Nie chciałabyś żyć w jakimś ładniejszym miejscu, babciu? Znalazłbym ci coś blisko mnie. Albo mógłbym wynająć mieszkanie z dwiema sypialniami niedaleko mojej obecnej pracy i mieszkalibyśmy wtedy razem.

Wtedy wyraz jej twarzy uległ zmianie i babcia wyglądała na szczerze urażoną. Przeszła do aneksu kuchennego, aby nastawić wodę na herbatę, a kiedy czekała, aż się zagotuje, stanęła przy oknie i popatrzyła w stronę ławki.

Przez długą chwilę panowała cisza. Zrobiło się nieprzyjemnie. Babcia zerknęła na niego takim wzrokiem, jakby go nie poznawała.

-- Naprawdę nie wiesz, dlaczego tak mi się tu podoba?

Wzruszył ramionami. Co za okropna sytuacja.

Babcia ponownie spojrzała w okno.



-- Jemu też się tu podobało. Twojemu dziadkowi. Uwielbiał widok z tego okna. Uwielbiał swój mały warsztat i uwielbiał siedzieć na swojej ławce i jeść lunch. Zawsze nam tu było dobrze. Kocham to miejsce z jego powodu. Czemu, u licha, miałabym chcieć się wyprowadzić?

-- Ale dziadek by się ucieszył, gdybyś zamieszkała w jakimś przyjemniejszym miejscu.

-- Przyjemniejszym. Twierdzisz, że tutaj nie jest przyjemnie? -- W jej głosie słyhać było urazę. Odwróciła się, a on dojrzał w jej oczach łzy. -- W miejscu, w którym się wychowałeś? Robiłam, co tylko mogłam, wiesz?

-- Nie, nie. Nie twierdzą, że tu nie jest przyjemnie. I jestem niezmiennie wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. -- Podeszedł do babci i ją przytulił. Jak zawsze zdumiało go to, jaka ostatnimi czasy wydaje się drobna i krucha. Jak mały ptaszek. Nie tylko dlatego, że sam stał się już dorosłym mężczyzną. Z biegiem lat babcia zdawała się kurczyć. -- Martwię się o ciebie, babciu. Chcę się tobą opiekować tak, jak ty opiekowałaś się mną.

-- Przecież się mną opiekujesz. Jestem z ciebie taka dumna. I szczęśliwa, że tak świetnie sobie radzisz. Ale proszę, nigdy więcej mnie nie proś, abym się przeprowadziła. To właśnie dzięki temu jakoś się trzymam. Dzięki temu miejscu. -- Ponownie wyjrzała przez okno. -- Dzięki codziennemu mówieniu "dzień dobry" ławce dziadka. I wszystkim moim wspomnieniom.

Następnie umieściła torebki z herbatą w tym samym czerwonym imbryku, którego używała, kiedy był dzieckiem.

Zamknął oczy i pomyślał o tysiącu kubkach herbaty wypitych w ciągu minionych lat. A potem w jego głowie pojawiły się inne wirujące sceny. Wcześniej wyobrażał sobie, że przeprowadzka babci wszystko rozwiąże. No i co teraz?

Wizyty Briana dobiegły końca, gdy miał jedenaście lat. Nie wiedział dlaczego. Zastanawiał się czy grubas znalazł sobie kogoś innego do prześladowania.

Wcześniej sądził, że kiedy Brian przestanie pukać do drzwi, on będzie przeszczęśliwy, że poczuje niewysłowioną ulgę. Dziwne, ale

tak się wcale nie stało. Czuł się coraz bardziej brudny. A nocami dręczyły go potworne koszmary. Zaczęło do niego docierać, że przed laty powinien był zabarykadować drzwi. Że powinien był odmówić. Powiedzenie o wszystkim babci? Telefon na policję? Dlaczego nie przyszło mu do głowy, że to on powinien był zadzwonić na policję?

Otworzył oczy. Spojrzał na nalewającą herbatę babcię i zrobiło mu się niedobrze. Dotarło do niego, że przeraźliwie pragnie przestać tu bywać. Wcześniej wyobrażał sobie, że babcia się przeprowadzi i to będzie koniec. Nigdy więcej nie musiałby odwiedzać tego wstrętnego miejsca.

-- Będiesz mnie dalej odwiedzał -- odezwała się nagle, a przez jej twarz przemknął cień strachu.

Spojrzał na jej dłoń -- lekko drżała, kiedy babcia otwierała paczkę czekoladowych ciastek, aby je wyłożyć na talerz malowany w róże.

Wpatrywał się w ten talerz ze złotą obwódką. Oczami wyobraźni widział, jak wyciąga w jego stronę rękę odzianą w niebieski sweter. Ten, który zrobiła mu na drutach. Ten, przez który się z niego śmiano.

I w tamtej chwili zrozumiał, że znowu będzie się musiał wykazać odwagą. Dla babci. Aby zapewnić jej bezpieczeństwo. Sprawić radość.

Poradził sobie z kpinami ze swetra. Poradził sobie z wieloma potwornymi rzeczami...

Zrobi to; poradzi sobie z wizytami w tym miejscu. Z miłości.

-- Oczywiście, że będę cię odwiedzał. Kocham cię. Wiesz o tym.

Wpatrywał się w babcię, przypominając sobie, jak w soboty kupowała jeden kotlet schabowy z kością, bo on za nim przepadał. Udawała, że nie jest głodna. Jak co tydzień zabierała go do biblioteki, a potem robiła mu pod stołem czytelnicy jaskinię z koców i prześcieradeł; przynosiła ciastka na tym samym talerzyku w róże.

-- I nie każesz mi się nigdy wyprowadzić? -- zapytała. -- Nie pozwolisz, by ktokolwiek mnie stąd zabrał? Umieścił w domu opieki albo innym podobnym miejscu? Obiecujesz?

Patrzył na nią bez słowa.

-- Proszę. Musisz mi to obiecać.

-- Obiecuję.

Na jej twarzy pojawiła się ulga i babcia raz jeszcze zerknęła na stojącą pod oknem ławkę. Uśmiechnęła się i gestem wskazała, że powinni przejść do części jadalnianej. A gdy za nią tam poszedł, dotarło do niego coś jeszcze.

Skoro babcia się nigdy nie wyprowadzi, on będzie musiał zrobić to, o czym marzył, odkąd był małym chłopcem.

Sam będzie się musiał rozprawić z Brianem.

## ROZDZIAŁ 47

### Alice

Jest niedziela, a ja wróciłam do Londynu, aby obejrzeć nowy dom opieki mamy.

Zgodnie z zapewnieniami umieszczonymi w broszurze miejsce to jest eleganckie i nieskazitelnie czyste. Wygląda bardziej jak pięciogwiazdkowy hotel niż dom opieki. Ale nie ma widoku na morze. Kiedy kończę czytać mamie rozdział książki, zauważam, że zamykają jej się oczy. Ostatnio coraz więcej śpi, a poziom saturacji jest coraz niższy.

-- Wystarczy na dzisiaj?

W odpowiedzi kiwa głową, a ja się nachylam i całuję ją w czoło. Pachnie Chanel. To dobrze. Dbają tu o te wszystkie detale. Mama zawsze lubiła ładnie pachnieć.

-- Tęsknisz za morzem, mamo?

-- Jest dobrze.

Oczy ma zamknięte, więc nie jestem w stanie odczytać prawdziwej odpowiedzi. Zdaje się zasypiać, więc szepczę, że powinna odpocząć i że niedługo znowu ją odwiedzę. Kiedy się podnoszę, by odejść, nagle wyciąga rękę, chwyta moją dłoń i mocno ją ściska.

Trzyma ją dłużej niż zazwyczaj, oczy ma nadal zamknięte, a ja czuję, że do moich napływają łzy.

Wiem, mamo. Wiem...

Przyglądam jej włosy, jeszcze raz całuję, następnie odkładam książkę na półkę i wychodzę z pokoju.

Wcześniej spotkałyśmy się z zespołem pielęgniarstwa i widzę, że ośrodek jest przygotowany do radzenia sobie z chorobą mamy lepiej niż poprzedni. Zapewniają tutaj pełną opiekę "do samego końca". Nie trzeba będzie ponownie jej przenosić do szpitala czy hospicjum. Szukając nowego domu opieki, Leanne stanęła na wysokości zadania.

Mama otrzymuje maksymalną ilość tlenu, ale istnieje granica pomocy, jaką można jej w tej chwili zapewnić. Usłyszałyśmy, że pro-

blemem jest nie tyle dostarczenie tlenu do jej płuc, ile fakt, że zniszczony organ nie jest już w stanie go przetwarzać. Codzienne pomiary nie pozostawiają wątpliwości: wyniki są coraz gorsze.

Wszyscy wiemy, w jakim to zmierza kierunku.

Personel jest niesłychanie życzliwy. Pracownicy ośrodka są kompetentni i wierzę, że robią wszystko, co w ich mocy. Mamy szczęście, że Leanne stać na taką opiekę. Słyszałam, że państwowa służba zdrowia także świetnie się wywiązuje ze swoich obowiązków, ale podoba mi się, że tutaj zatrudnia się najlepszych. A więc to tyle w kwestii mojego liberalizmu. Kiedy coś dotyczy bezpośrednio ciebie, poglądy stają się kwestią drugorzędną.

Myślę o tym, jak mama paliła papierosy w ogrodzie, kiedy byliśmy małe. Twierdziła, że pomagają jej radzić sobie ze stresem po śmierci taty. Wdowa z dwiema małymi córkami. Mogę mieć do niej o to pretensje? Gdy Leanne i ja byliśmy starsze, męczyłyśmy ją o te papierosy. Ale ona nazywała palenie "jedyną przyjemnością, jedyną słabością". W końcu się poddałyśmy i teraz dręczą mnie z tego powodu wyrzuty sumienia.

Siadam w recepcji, aby sprawdzić w telefonie wiadomości. Ani słowa od Matthew czy Melanie Sanders. Co się, u licha, dzieje?

Czy to Alex? Czemu miałyby to być Alex? Muszę się dowiedzieć.

Rozglądam się. Piękne zasłony w oknie z widokiem na ogród. Świeże, starannie ułożone kwiaty w stojącym na biurku wazonie. Wracam myślami do czasu, kiedy mama wprowadziła się do pierwszego domu opieki w Devon, i zastanawiam się co tak naprawdę sądzi o przenosinach. Na pewno czuje konsternację. Każdy dzień jest teraz dla niej walką o oddech. Co ona tak naprawdę myśli? Nigdy nie pytam, czy boi się tego, co nieuchronne.

Sama za bardzo się boję...

Kiedy zdiagnozowano u mamy przewlekłą obturacyjną chorobę płuc, mieszkała w naszym domu rodzinnym kilka kilometrów od Hastings. Tam, gdzie wychowałyśmy się razem z Leanne i dokąd uwielbiałyśmy wracać. Na szczęście ojciec miał wysokie ubezpieczenie na życie i przyzwoitą pensję, więc nie musiałyśmy się martwić o finanse. To był śliczny dom ze ślicznym ogrodem.

Początkowo stan mamy pogarszał się dość powoli i usłyszałyśmy, że przebieg tej choroby u każdego pacjenta wygląda inaczej. Nauczono ją ćwiczeń oddechowych i przez jakiś czas jakoś dawała sobie radę. Potem jednak zaczęły się epizody, po których trafiała do szpitala, a po każdym jej stan okazywał się coraz poważniejszy. Kiedy stało się oczywiste, że nie może dłużej mieszkać sama, stanęłyśmy przed potwornym dylematem.

Leanne od razu zasugerowała dom opieki niedaleko siebie w Londynie. Ale mama zaskoczyła nas obie, oświadczając, że chce ten czas spędzić nad morzem. W Devon. Tam, gdzie przed laty jeździliśmy na wakacje.

Leanne poczuła się urażona. Ja w duchu byłam uradowana. Szczerze? Wydaje mi się, że mama pragnęła mieszkać -- przynajmniej przez jakiś czas -- bliżej mnie. Bliżej Jenny -- Alice, która nie ma na razie męża ani rodziny. Myślę, że po prostu pragnęła być blisko mnie ("wszystko będzie dobrze, Alice"). No i Leanne w końcu się ugięła. Ona nie pracowała, ale ja tak. Prościej jej było zostawić dzieci pod opieką niani i przyjechać do Devon niż mnie wybrać się do Londynu.

Telefon sygnalizuje nadejście maila od z fundacji. Claire po raz kolejny naciska, abym przyjrzała się temu osobistemu alarmowi, i pyta, czy chciałabym napisać o nim artykuł na stronę. Znowu mam to dziwne uczucie w żołądku.

Nie do końca rozumiem tę zmianę -- najpierw Claire dawała do zrozumienia, że stosowanie takiego alarmu raczej nie jest właściwym krokiem dla fundacji, a teraz nagle zależy jej na moim wsparciu?

Postanawiam nie odpisywać. Zamiast tego wpisuję w wyszukiwarkę imię i nazwisko Claire. Znajduję jej profil na LinkedIn i kilka wywiadów dotyczących fundacji. Poza tym wyświetla mi się jej prywatne konto na Facebooku, ale odkrywam także starsze, nieużywane. Niektóre z postów są ustawione jako prywatne i zakładam, że porzuciła ten profil, aby chronić swoją siostrę. Ale nie skorzystała ze wszystkich zabezpieczeń. Okazuje się, że da się obejrzeć starsze zdjęcia i część starszych postów. Bardzo dziwne. Część tego, co znaj-

duję, w ogóle nie pokrywa się z tym, co mi o sobie powiedziała podczas naszego spotkania.

Szukam dalej, ale telefon mam zbyt wolny, no i pada mi bateria. Muszę wrócić do domu Leanne.

Coś mi tu nie gra.

## ROZDZIAŁ 48

### Matthew

-- Czyli Romeo nadal śpiewa?

-- Za każdym razem, kiedy ktoś go próbuje przesłuchać. -- W głosie Mel słychać rozdrażnienie. -- Poważnie. To powinno być traktowane jak przestępstwo, Matt. Śpiewanie opery w trakcie przesłuchań. Jak dla mnie winny jest ten serial o inspektorze Morsie.

-- No więc co się dzieje?

-- Przewożą go z powrotem do więzienia. Podobno cieszy się tam dużą popularnością. Prowadzi chór i obrzydliwie się wszystkim podlizuje. Chodzą słuchy, że namawia swoją tak zwaną narzeczoną do rozdmuchania w mediach kampanii poświęconej ich "historii prawdziwej miłości". Jej rodzice usilnie próbują ją od tego odwieść. Nie wykluczone, że powiemy jej o tej trzeciej uwiedzionej przez Alexa nastolatce. Może to w końcu ją otrzeźwi.

-- Ale z niego menda. -- Matthew przyciska telefon do ucha i odpiną pasy. Zerka na drzwi wejściowe Iana, po czym sprawdza godzinę.

-- Żebyś wiedział. Tak bardzo bym chciała, żeby technicy coś znaleźli. Okazuje się, że Alex korzystał z dwóch telefonów. Na drugim szukał w necie informacji o Alice, używając imienia Jenny, ale poza tym nic. Mogła to być zwykła ciekawość. Na razie nie mamy niczego konkretnego.

-- I nadal nic w kwestii tych kwiatów w pudełku na ciasto? I motocykla?

Słyszając głośne westchnienie, Matthew żałuje, że o to zapytał. Mel robi, co może. Wszyscy są sfrustrowani. Mają za przeciwnika kogoś wyjątkowo sprytnego. Żadnych odcisków palców. Żadnych innych śladów.

-- Okej, sorki. Wiem, że to dla ciebie frustrujące. Daj znać, gdyby coś się zmieniło. Po prostu strasznie bym chciał wiedzieć, na czym stoimy. No wiesz... zbliża się kolejna środa.

-- Okej, Matt. Niedługo się odezwę.



Matthew szybko wysiada z auta i przechodzi przez ulicę. Mało ma dzisiaj czasu. Drzwi otwiera Ian, jak zawsze elegancki. Porządna koszula. Spodnie w kant. Prowadzi gościa prosto do jadalni, aby zaprezentować nowy nabytek.

-- Dwa dni temu przyszedł moduł. Oferują bezpłatny trzymiesięczny okres próbny. Jest pan stuprocentowo pewny, że to coś nie wysyła żadnych niebezpiecznych sygnałów? Jakiegoś promieniowania? Nie chcę zostać napromieniowany. No i gdzieś czytałem, że te urządzenia potrafią podsłuchiwać.

-- Zapewniam pana, że modem jest niegroźny. Nie ma wbudowanego mikrofonu. -- Prosi Iana, aby przyniósł pożyczonego iPada, i odkleja z modemu plastikowy kwadracik z hasłem. Włącza tablet i czuje ulgę, kiedy ten natychmiast się łączy. Na szczęście Ian naładował go zgodnie z instrukcjami. Widać, że ćwiczy, korzystając ze sporządzonych przez siebie notatek. -- Świetnie. Wszystko śmiga. Ma pan teraz wi-fi, co oznacza, że może pan rozmawiać z Jessicą w dowolnej chwili. Żadnych dodatkowych kosztów, jedynie comiesięczny rachunek za wi-fi. Wczoraj wieczorem otrzymałem od niej wiadomość, że mniej więcej o tej godzinie kończy pracę, więc raz jeszcze panu pokażę, jak do niej zadzwonić przez Skype'a.

Ian wygląda na nieco zestresowanego.

-- Zapewniam, że wszystko pan ogarnie, ale będzie się pan musiał skoncentrować. Okej? I wszystko można zapisać.

-- Okej, panie Hill. Już zapisuję.

Matthew wyjaśnia Ianowi kolejne kroki i obserwuje, jak starszek skrzętnie notuje w małym zeszycie. Postanawia, że przy herbacie, kiedy już ojciec z córką się nagadają, przedstawi swoją hipotezę dotyczącą małych ludzi.

Pół godziny później częstuje się czekoladowym ciastkiem.

-- Pańska córka napisała mi w mailu, że niedługo obchodziliby państwo złote gody. Na pewno bardzo pan tęskni za żoną. Tak mi przykro.

Ian nie odpowiada.

-- Jessie mówi także, że pańska żona skończyłaby siedemdziesiąt lat... mniej więcej w tym czasie, kiedy pojawili się mali ludzie.

-- Nie rozmawiam z Jessicą o małych ludziach.

-- Wiem, wiem. Nie pisałem ani słowa. Jedyne skojarzyłem sobie daty.

Ian patrzy na swojego gościa i drży mu warga. Matthew czeka. Obaj sączą herbatę.

W końcu starszy pan odstawia filiżankę i głośno wzdycha, jakby się poddawał.

-- No więc było to tak. Oszczędzaliśmy na odwiedzinach u Jessie w Kanadzie. Wymarzona podróż, podczas której mieliśmy świętować złote gody. Wszystko zaplanowaliśmy. Zaciskaliśmy pasa i odkładaliśmy każdy grosz. Barbara nie kupowała sobie niczego nowego. Wszystkie pieniądze odkładała na fundusz wyjazdowy. Tamta zielona sukienka była jej ulubioną. Zakładała ją w każde urodziny. Mówiłem, że na siedemdziesiąte powinna sobie kupić nową sukienkę, ale nie chciała o tym słyszeć. Woląca oszczędzać na odwiedzinach u córki. A potem zachorowała. Rak trzustki. Wszystko poszło strasznie szybko. I ostatecznie fundusz wyjazdowy musiałem wykorzystać na jej pogrzeb.

Matthew wyczuwa zmianę temperatury powietrza. W pokoju robi się nagle zbyt cicho. Wpatruje się w idealnie odprasowaną koszulę Iana i kanty na spodniach.

-- Powiesiłem tamtą zieloną suknię na drzwiach, bo dzięki temu miałem wrażenie, że Barbara nadal tu jest. Że w każdej chwili może wstać i ją założyć. Ale nagle zbyt mocno zaczęło mnie to denerwować. Żałowałem, że nie zmusiłem jej do kupowania sobie czasem czegoś nowego. Ładnego. Dlaczego nie nalegałem, panie Hill? -- Podnosi wzrok na Matthew. -- Nie chciałem zdejmować tej sukni z drzwi szafy, więc zamiast tego przenieśliśmy się do pokoju gościnnego.

-- I wtedy właśnie pojawili się mali ludzie? Strzegący pokoju? Strzegący zielonej sukni?

-- Wiem, co pan sobie myśli, panie Hill. Myśli pan, że jestem szurnięty. Stary głupiec.

-- Wcale tak nie myślę. Nie uważałem tak ani przez chwilę. Natomiast wydaje mi się, że ci mali ludzie nie lubią rozwiązań technicz-

nych. Modemów... I szczęśliwszych czasów. Przekonajmy się więc, jak to będzie wyglądało teraz, kiedy zaczniesz pan regularnie gawędzić z Jessie.

-- Dobry plan, panie Hill. -- Ian odchrząkuje i Matthew ledwie jest w stanie znieść napięcie malujące się na twarzy staruszka.

-- Tak przy okazji, może pan pożyczyć iPada na dłużej. -- Stara się, aby zabrzmiało to niezobowiązująco. -- Kupuję sobie nowy. Ten nie jest mi w tej chwili potrzebny.

Ian wpatruje się w niego przez długą chwilę, po czym robi powolny wdech.

-- Ale nie omówiliśmy jeszcze kwestii pańskiego honorarium. Chciałbym zapłacić. Odkładam na ten cel z emerytury. Każdego tygodnia...

-- Och. Proszę się tym nie przejmować. Porozmawiamy o tym innym razem.

Kolejna pauza.

-- Przyzwoity z pana człowiek, panie Hill. -- Ian ponownie odchrząkuje. Wygląda spodnie. -- Bardzo przyzwoity, w rzeczy samej.

## ROZDZIAŁ 49

### Alice

Jest poniedziałek, a ja wieczorem jadę pociągiem do Devon, gdzie jutro mam spotkanie w redakcji. Tym razem kupiłam bilet w pierwszej klasie.

Policja gromadzi materiały, aby postawić w stan oskarżenia tego zbrodźcę, który uprzykrzał mi poprzednią podróż. Cieszy mnie to, ale wcale nie mam ochoty na składanie zeznań. Denerwuję się, że może wyjść na jaw moje powiązanie z Alexem -- ale jaki mam wybór? Ten człowiek musi zostać ukarany; nie chcę, aby robił coś takiego innym kobietom.

Dziś rano jestem w trybie dziennikarskim i korzystam z gabinetu Leanne. Z okna rozciąga się widok na przydomowy ogród i Notting Hill. Coraz bardziej się przekonuję, że mieszkanie w Londynie ma swój urok. Wczoraj wieczorem Leanne i Jonathan zabrali mnie na kolację na South Bank. Do siedmiopoziomowej restauracji ze spektakularnym widokiem. Przyglądałam się miastu, migającym latarniom i światłom sunących ulicami samochodów, krajobrazowi tak bardzo różniącemu się od mojego. Tak. Po trochu zaczynam lepiej rozumieć swoją siostrę.

Ponownie skupiam się na laptopie. Im głębiej kopię, tym większą czuję konsternację i niepokój. Namierzyłam producenta tego osobistego alarmu, który testuje Claire, i na jego stronie nie ma żadnej wzmianki o fundacji jako udziałowcu czy stronie zainteresowanej. Zamiast tego znalazłam informację, że spółka jest zarejestrowana na nazwisko panięńskie Claire (które bez problemu poznałam dzięki jej kanałom w mediach społecznościowych) i tajemniczego mężczyznę - Paula Crosswella. Po wygooglowaniu go odkrywam, że ma burzliwą historię w różnych obszarach związanych z zabezpieczeniami i ochroną. Miał już kilka firm -- dwie zbankrutowały, a trzecia, specjalizująca się w alarmach domowych, obecnie znajduje się pod sekwestrem sądowym.

Bardzo to wszystko dziwne. Nie mam wyjścia i muszę zrobić coś, co odkładałam na później: wykonać pewien telefon. Rzykuję w ten sposób, no i wydaje mi się to czymś podstępny. Jeśli moje podejrzenia okażą się niesłuszne, Claire się dowie, że ją sprawdzałam za jej plecami i się na mnie wkurzy.

A co, jeśli mam rację? Ponad godzinę namierzałam ten numer i nie mogę teraz odpuścić.

Raz kozie śmierć. Trzy sygnały. Cztery.

-- Halo? -- Kobięcy głos pełen jest wahania. Zapewne jego właścicielka korzysta głównie z komórki, a telefon stacjonarny odzywa się u niej bardzo rzadko.

-- Przepraszam najmocniej, że zawracam pani głowę. Ale czy dozwoniłam się do matki Claire? Claire Hardy?

-- Kto mówi?

-- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Jestem dziennikarką i piszę artykuł poświęcony stalkingowi. Ktoś zasugerował, abym się skontaktowała z pani córką, Claire.

-- Skąd pani ma ten numer? Kim pani jest?

-- Mam na imię Alice i, jak już mówiłam, jestem dziennikarką. Bardzo bym chciała porozmawiać z Claire o jej siostrze i fundacji.

-- Claire nie ma siostry. Nie wiem, co z pani za dziennikarka, ale ma pani nieprawdziwe informacje.

-- Powiedziano mi, że siostra Claire padła ofiarą stalkingu. Co z kolei doprowadziło do tego, że Claire założyła fundację.

-- Jaką fundację? Nie mam bladego pojęcia, o czym pani mówi. Proszę posłuchać, Claire i ja od wielu lat nie utrzymujemy ze sobą kontaktów. Jest jedynaczką i szczerze mówiąc, cieszę się z tego. Jedna córka dała nam wystarczająco popalić.

A potem się rozłącza.

Po raz kolejny spoglądam na ogród i obserwuję rudzika siedzącego na dachu drewnianego domku mojej siostrzenicy. Myśli pędzą mi jak szalone -- w opozycji do rudzika, który przechyla łepkę, jakby pytał, nad czym się tam zastanawiam.

Mrużę oczy, próbując zrozumieć o co, u licha, chodzi z Claire, ale nie potrafię się skupić. Zamiast tego myślę o mojej siostrzenicy.

Śliczny, drewniany domek ma celowo przekrzywione drzwi i komin. Wczoraj bawiłam się w nim z Annabelle, wspominając zabawy moje i Leanne. Najbardziej lubiłyśmy się bawić w szpital dla lalek. Miałyśmy zestaw małego lekarza i stawiałyśmy diagnozy wszystkim naszym lalkom, no i oczywiście zalecałyśmy stosowne kuracje.

Na to wspomnienie znów staje mi przed oczami mama. Przypominam sobie o kamerze ukrytej w jej pokoju i ogarnia mnie nagła nienawiść. Gniew i całe mnóstwo gwałtownych myśli w stosunku do człowieka, który umieścił w internecie tamto okropne nagranie. Nowy dom opieki otrzymał wyraźne instrukcje: nie dostarczać żadnych przesyłek, prezentów ani niczego innego do pokoju mamy. Żadnych gości, chyba że uzyskają zgodę moją lub Leanne. Teraz powinna być bezpieczna.

Powinna...

Po raz kolejny powraca myśl o tamtym strumieniu lodowatej wody na twarzy. Przykładam dłoń do policzka, przypominając sobie strach przed bólem i okaleczeniem. A potem myślę o tym, co moja biedna matka znosi z takim stoicyzmem każdego dnia, i ten strach mnie zawstydzają.

W końcu udaję się do kuchni po kawę. Zaczyna mnie boleć głowa. Próbuję rozwikłać zagadkę Claire i jej fundacji. Czy to oszustka? O co, do diabła, chodzi?

Wracam z kawą do gabinetu i pozwalam, aby pochłonęła mnie praca. Mam wrażenie, że zagłębiam się w króliczej norze. Im jestem głębiej, tym dziwniej się robi. W mediach społecznościowych znajduję kolejne dowody łączące Claire z Paulem Crosswellem. Natrafiam także na dawny wycinek z gazety opisujący toczące się przeciwko niemu postępowanie związane z niedotrzymaniem warunków umowy na zabezpieczenie centrum handlowego. Ostatecznie nie został skazany i nie pojawiło się na ten temat wiele wzmianek w prasie. Ale pokopawszy głębiej, odkrywam, że Paula Crosswella oskarżono o składanie fałszywych obietnic i nieuczciwe praktyki biznesowe. No więc Claire i Paul. Co oni kombinują?

Stukam palcami o usta. Ten osobisty alarm. A jeśli to przekręt? Powiązany z biznesami Paula? A jeśli chodzi wyłącznie o zarabianie

kasy? A jeśli wykorzystują kobiety dręczone przez stalkerów?

Potrzebuję więcej dowodów. Czemu jednak Claire miałyby wymyślić tak potworną historię o siostrze? Coś mi mówi, że prawdopodobnie jestem na tropie całkiem niezłej historii. Szokująca wydaje mi się świadomość, że Claire ośmieliłaby się próbować wykorzystać mnie, dziennikarkę. Ale potem myślę, jak bardzo bezbronna musiałam się jej wydać podczas pierwszego kontaktu. Mój gniew i jej zachwałność owocują teraz czymś nowym. Podekscytowaniem? Tak. Buzuje we mnie adrenalina. Cieszę się, że po tak długim urlopie udało mi się natrafić na porządny temat. Jeśli Claire rzeczywiście oszukuje ofiary stalkingu, zasługuje na wszystko, co może ją spotkać z mojej strony.

Biorę do ręki telefon i wybieram numer Matthew Hilla. Możliwe, że pomoże mi się przyjrzeć Claire i Paulowi. Poza tym muszę się dowiedzieć co się dzieje z Alexem.

Czy to on?

Czy już po wszystkim?

## ROZDZIAŁ 50

### On -- wtedy

Bierze dwa tygodnie urlopu i każdy dzień poświęca na obserwację Briana. Bardzo uważa, aby nie zostać zauważonym przez babcię. Kapelusz. Ciemne okulary. Szeroki szal owinięty kilka razy wokół szyi, zasłaniający usta. Niechlujny strój.

Brian jest jeszcze grubszy niż przed laty. Dobiega sześćdziesiątki, ale wygląda na znacznie starszego. Dawniej twierdził, że pracuje w przedsiębiorstwie autobusowym, ale obecnie nic nie wskazuje na to, aby parał się jakąkolwiek pracą. Flejtuchowaty tłuszcioch nie zpuszcza się daleko -- głównie do pubu, monopolowego i bukmacherów. Ale istnieje pewien wzorzec. To dobrze.

Mężczyzna zapisuje sobie w telefonie codzienne czynności Briana.

Aż go mdli, kiedy widzi, że niektóre poranki mężczyzna spędza na ławce w pobliżu placu zabaw. Tylko obserwując.

W końcu dopisuje mu szczęście. Codziennie o tej samej godzinie Brian udaje się do bukmacherów. Korzysta z długiej i wąskiej uliczki za nieużywanymi garażami niedaleko dawnej fabryki obuwia. Większość ludzi nie lubi tamtędy chodzić. Dzieciom każe się trzymać od niej z daleka. Tylko menda pokroju Briana wybrałaby taką trasę.

Mężczyzna dokonuje starannych oględzin tego przejścia. W pobliżu żadnych kamer. Świetnie.

Wraca do pracy i każdego dnia zastanawia się, jak to zrobić. Nawiedzają go potworne sny o przeszłości. I te wspaniałe, w których widać minę Briana na jego widok.

Na widok młotka.

Tylko czasami ma wątpliwości, czy rzeczywiście będzie to w stanie zrobić. Na ogół jednak -- co nawet go zaskakuje -- nie może się doczekać tej chwili. Skoro babcia jest zdeterminowana, aby pozostać w swoim mieszkaniu, skoro to miejsce naprawdę tyle dla niej znaczy, trzeba to zrobić i już.



Czeka miesiąc, a potem bierze kolejny tydzień urlopu. Dużo czasu poświęca przygotowaniu stroju. Oczywiście zaopatruje się w rękawiczki. Ale musi myśleć o tylu innych rzeczach. Policyjni technicy będą szukać także włókien i włosów.

Uświadamia sobie, że bez względu na to, jak wielką wykaże się ostrożnością, i tak może zostać złapany. Mimo to nie rezygnuje.

Tak więc pakuje ubranie na zmianę do foliowego worka, a ten chowa do plecaka. Zakłada rękawiczki, czapkę, szalik i ciemne okulary.

Przegląda się w lustrze. I czuje się pełen życia.

Po raz pierwszy, odkąd sięga pamięcią, czuje, że żyje.

## ROZDZIAŁ 51

### Alice

Macham prawą stopą i się rozglądam. Dziwnie się czuję w gabinecie naczelnego. Jest wtorek, a ja myślę o tamtym pierwszym telefonie, kiedy Jack mnie tu przyprowadził, aby zgłosić incydent Tedowi. Mam wrażenie, że od tamtego czasu minęły całe wieki. Że byłam wtedy zupełnie inną Alice.

-- Czyli satysfakcjonuje cię propozycja Helen? -- Ted podnosi lekko głos, jakby przywoływał mnie z powrotem do teraźniejszości. Helen z kadr z uśmiechem zbiera swoje rzeczy.

Zdejmuję nogę z nogi.

-- Tak. Jasne. Zacznę w czwartek. Mam już nawet ciekawy temat, Ted.

Dostrzegam w jego oczach błysk zainteresowania. Gazeta może i umiera, ale nie można tego powiedzieć o apetycie naczelnego na dobry artykuł. To dziennikarz ze starej szkoły, który nigdy nie przestanie gonić za nagłówkami. Ciekawe, co zrobi po redukcji etatów.

Ciekawe, co ja zrobię.

Oboje czekamy, aż Helen pożegna się i wyjdzie. Kompromis wygląda tak, że zgadzam się nie pracować w środy do czasu, aż policja uzyska większą pewność, że zagrożenie uległo zdecydowanemu zmniejszeniu. Zamiast tego będę pracować w soboty i niedziele. Gazeta twierdzi, że ma na uwadze moje bezpieczeństwo, ale to oczywiste, że martwi się także tym, co może się wydarzyć w redakcji. Podejrzewam, że oprócz względów moralnych może chodzić o kwestie ubezpieczeniowe.

-- No to oby to wszystko było już za tobą, Alice. -- Ted odchyła się na fotelu. -- A teraz opowiedz mi o tej nowej historii.

Patrzę na niego i zastanawiam się, czy powinnam mu wyznać prawdę. O tym, kim naprawdę jestem. O tym, że tę pracę zdobyłam poniekąd podstępem.

Nie. Jeszcze nie teraz...

-- Wciąż muszę trochę pogrzebać, Ted. Ale chodzi o kogoś, kto próbuje naciągać ofiary stalkingu.

Wyraz jego twarzy ulega zmianie.

-- Nic się nie martw -- dodaję szybko. -- Wiem, co sobie myślisz, ale napiszę to tak, że nie będzie to artykuł w całości osobisty. Znajdę inne ofiary. Mam nadzieję, że kogoś z okolicy.

Przechyla głowę.

-- To dobry temat, Ted. Muszę jeszcze nad nim popracować, ale w skrócie chodzi o to, że ktoś wymyśla paskudne historie, aby zjednać sobie ludzi i zarobić szybką kasę.

-- Wydawało mi się, że miało nie być żadnych osobistych krucjat, Alice. -- Na jego twarzy maluje się niepokój. -- Nie możemy zwracać na ciebie uwagi w tym temacie, to znaczy do czasu, aż zostanie schwytyany twój prześladowca. Masz mnie informować o wszystkim na bieżąco. Żadnego ryzykowania.

-- Obiecuję.

Ted ściąga brwi. Przekłada na biurku jakieś papiery i dopiero po chwili kontynuuje:

-- Słuchaj. Nie jest to dla mnie proste, Alice. Czuję na karku oddech kadr. Chcę, byś wiedziała, że osobiście zajmiemy się tym tematem, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, kiedy policja przytknie tego człowieka. Uwierz mi, damy tego drania na pierwszą stronę, ale potrzebne mi oskarżenie i proces. Na razie mam związane ręce. -- Sprawa wrażenie zmieszanego, może nawet dręczonego wyrzutami sumienia. Niefajnie czuję się z tym, że kazano mi wziąć urlop. Ale ja też nie mówię Tedowi wszystkiego, kim więc jestem, aby go oceniać? -- Brakowało nam ciebie, Alice. Bez ciebie ta redakcja nie jest taka sama. I wszyscy się martwiliśmy.

Jestem wzruszona. Ted nigdy nie mówi takich rzeczy. Kiwam w podziękowaniu głową i w tym momencie odzywa się mój telefon. To wiadomość od Gill, jednej z kobiet od kampanii na rzecz wyburzenia Maple Field House. Zdążyłam ją już dyskretnie poinformować, że wróciłam na dobre do tej historii. Chce się ze mną spotkać w sprawie relacji z wyburzenia. Nie śmiem jej teraz powiedzieć, że w środy nie pracuję. Będę musiała jakoś to obejść.

Wstaję i podchodzę do drzwi.

-- Jack jest w terenie? -- Zerkam na swoje puste biurko, sąsiadujące z równie opuszczonym biurkiem Jacka.

-- W tym tygodniu pracuje na drugą zmianę. Komu jak komu, ale jemu to dopiero cię brakowało. Zachowuje się jak niedźwiedź z bólem głowy.

-- Po prostu brakuje mu kawy, którą mu regularnie przynoszę -- rzucam z udawaną lekkością i wychodzę z boksu Teda.

Ucinam krótką pogawędkę z obecną w redakcji trójką kolegów, po czym schodzę na dół do samochodu.

Dzwonię do Gill i potwierdzam powrót z urlopu. Sugeruje, abym napisała artykuł poświęcony jednej z rodzin, która zdążyła się już przeprowadzić do nowego domu z ogródkiem. Chce, aby relacja z wyburzenia skupiła się na pozytywach i przyszłości. Wyrażam zgodę i obiecuję, że wkrótce dokładniej to omówimy. Rodziny przenoszą się do nowych lokali etapami. Wiele osób pozostaje w mieszkaniach zastępczych do czasu, aż miejscowa spółdzielnia zakończy budowę nowego osiedla. Ale muszę uważać, aby zbyt szybko nie odtrąbić zwycięstwa. Powinnam sprawdzić, czy wszystko idzie zgodnie z planem i czy wszyscy dotrzymują obietnic danych po wystawieniu zgody na wyburzenie.

Następnie dociera do mnie, że muszę zdecydować, czy pozostanę u Toma, czy też wrócę do siebie. Próbuję się dodzwonić do wynajmującego, aby się upewnić, że światło zostało naprawione, a zamki wymienione. Uzgodniliśmy nowe, surowsze zasady dotyczące tego, komu wolno mieć dostęp do zapasowych kluczy, i przed powrotem potrzebuję zapewnienia, że wszystko jest tak, jak należy. Nikt nie odbiera, więc jadę do Exeter do Toma.

On się ucieszy, jednak podczas jazdy przyłapuję się na tym, że myślę o Jacku. Ściągam brwi. Dlaczego wtedy, kiedy wpadłam na niego w kawiarni, w redakcji sądzono, że ma dzień wolny? Wspomniał coś o artykule poświęconym nauczycielowi i jakiejś nagrodzie, zastanawiam się jednak, czy nie pracuje przypadkiem nad zupełnie innym tematem, o którym nie chce, by ktokolwiek wiedział. Może nad czymś dla którejś z gazet o zasięgu ogólnokrajowym?

Jack jest ambitny. Nie chcę go zdradzić przed Tedem, jeśli robi coś na boku. Przy najbliższym spotkaniu dyskretnie go o to wypytam.

## ROZDZIAŁ 52

### On -- wtedy

Wcale nie było tak, jak się spodziewał.

Było więcej adrenaliny. Więcej krwi. Więcej emocji...

Kiedy po wszystkim przebiera się w jednym z opuszczonych garaży, serce mu wali jak młotem. Od początku wiedział, że to będą najważniejsze minuty. Jeśli ktoś znajdzie Briana zbyt szybko -- zanim on zdąży się przebrać i uciec -- niemal na pewno zostanie złapany.

Złamie to babci serce.

Ale dobrze sobie wszystko zaplanował i przekonuje się teraz, że więcej w nim upojenia niż strachu. Wykonuje szybkie ruchy. Zdejmuje z siebie zakrwawione ubrania i wkłada je do foliowego worka w plecaku. Krew tryskała dalej, niż się spodziewał, i dostrzega kilka plamek na paskach plecaka. Cholera. Powinien był to przewidzieć i zabrać drugi worek. Trudno. To tylko małe plamki, a plecak spali później razem z zawartością worka.

Zmienia rękawiczki, czapkę i szal -- dopilnował, by zabrać wszystko na zmianę. Następnie przechodzi przez opuszczony parking pod starą fabryką obuwia, przeskakuje przez ogrodzenie i okrężną drogą wraca do samochodu.

Wcześniej sprawdził lokalizację wszystkich kamer i starannie obrał trasę. Wrzuca plecak do bagażnika, na plastikową matę, a ze schowka wyjmuje portfel. Ściąga czapkę i szalik, żeby w razie namierzenia przez którąś z ulicznych kamer wyglądać inaczej -- spokojnie i zwyczajnie.

Jedzie do domu wyjątkowo ostrożnie -- żadnego przekraczania dopuszczalnej prędkości -- a tam, w małym salonie, szybko rozpala żeliwny piecyk na drewno. Obserwując pomarańczowe płomienie, tnie zakrwawione dowody na kawałki, po czym jeden po drugim wrzuca je do ognia. Następnie szoruje dłonie i paznokcie i wychodzi z domu po rybę z frytkami. Ucina sobie ze sprzedającym żartobliwą

rozmowę. Alibi. Na wszelki wypadek. ("Nie. Byłem w domu. Oglądałem telewizję, potem zjadłem rybę z frytkami. A co się stało?")

Później siada na kanapie z frytkami i keczupem, nadal w stanie upojenia. Babcia się nie odezwała. Ani policja.

W wiadomościach na razie cisza.

Spuszcza wzrok na keczup. I zamyka oczy, aby raz jeszcze odtworzyć tamtą scenę. Zaszokowana twarz Briana. Głuchy odgłos uderzeń młotka o ciało. O czaszkę.

Szok wywołany tak dużą... ilością... krwi.

Przypomina sobie te wszystkie lata w szkole, kiedy marzył o władzy; marzył o orle z ostrymi szponami. Pikującym. Rozszarpującym.

Kiedy marzył, że jest dorosły.

Wszystko okazało się o wiele bardziej satysfakcjonujące, niż to sobie wyobrażał. Na tyle, że nie potrafił się powstrzymać i zadawał ciosy jeszcze długo po tym, jak Brian znieruchomiał.

## ROZDZIAŁ 53

### Alice

Umieszczam dłoń tuż nad patelnią, aby sprawdzić, czy jest wystarczająco gorąca, by wrzucić rybę. Zdecydowanie tak.

-- Zaraz będzie kolacja! -- wołam do siedzącego w salonie Toma, ale nie słyszę żadnej odpowiedzi.

Staję w drzwiach i widzę, że ma na uszach słuchawki. Powtarzam swoje słowa jeszcze głośniejszym głosem. Tom odsłania jedno ucho -- słyszy, jak mówię "kolacja" -- i pokazuje mi uniesiony kciuk. Uśmiecham się. On też się uśmiecha. Mam całkiem dobry nastrój. Nadal jest wtorek, coraz bliżej kolejnego dnia "D", ale dzięki temu, że Alex wrócił za kratki, boję się nieco mniej. Poza tym myśl o powrocie do pracy naprawdę dodała mi energii. W piątek zaś wracam do swojego domu.

Mówię sobie: wszystko będzie dobrze, Alice.

Oprószam steki z tuńczyka solą i pieprzem, po czym kładę je na patelni i się odsuwam, aby uniknąć tryskającego tłuszczu. Chcę tą kolacją podziękować Tomowi za cierpliwość. Za to, że czuję się tutaj mile widziana. Niełatwo mi spędzać z nim tyle czasu. On to wie i wie także, że z własnej woli nie zdecydowałabym się tak szybko na wspólne mieszkanie. Niemniej jestem mu wdzięczna. W końcu widzę światelko w tunelu. Muszę się jedynie mylić; policja musi powiedzieć, że to był jednak Alex. Że już po wszystkim.

Zerkam na wiszący w kuchni zegar i obracam steki. Świetny kolor. Zdążyłam porządnie zgłodnieć. W chwili, kiedy zabieram się do nalewania wina do kieliszków, w kieszeni dzwoni mi telefon.

Jack. Ściągam brwi -- nie rozumiem, po co miałby dzwonić o tej porze. Jest już późno.

-- Cześć, Jack. Sorki, ale szykuję właśnie późną kolację. Mogę do ciebie oddzwonić?

-- Przykro mi, Alice, ale jestem w pracy i nie wiem, jak ci to powiedzieć. -- Ton jego głosu jest straszny. Zbyt cichy. Jakby pozbawiony powietrza.

Zdejmuję patelnię z palnika.



-- Co się stało? -- Tak, przypomina mi się teraz, jak Ted mówił, że Jack pracuje na drugą zmianę. Spędzi w redakcji jeszcze koło godziny.

-- Wybuchł pożar, Alice. Właśnie się dowiedziałem, wykonując ostatnią rundkę telefonów.

-- Co takiego? -- Nie bardzo rozumiem. Zaraz jednak zaczyna mnie ścisnąć w żołądku. Wyobrażam sobie, jak Jack wykonuje rutynowe telefony na policję i straż. Ale dlaczego dzwoni do mnie? Nie jest w stanie się tym zająć? Potrzebuje mojej pomocy? -- Rozumiem. A czemu dzwonisz do mnie? Ktoś jest ranny?

-- Nie. Z tego, co nam wiadomo, to nie. -- Długi wydech. -- Słuchaj, chodzi o to, że... -- Dziwna pauza.

-- O co, Jack?

-- To twój dom, Alice. -- Kolejna pauza, jakbym miała w tym czasie przyswoić sobie znaczenie jego słów. -- Pożar wybuchł w wynajmowanym przez ciebie domu. Na miejscu są dwa wozy strażackie. Sąsiedzi zostali bezpiecznie ewakuowani. Nie znam jeszcze skali zniszczeń. Zaraz tam jadę.

Samochodem dojeżdżamy w czterdzieści minut. Tom nalega, że będzie prowadził. Ja siedzę na fotelu pasażera. Oniemiała. Oszołomiona. Ręce mi się trzęsą.

Mam gonitwę myśli. Uświadamiam sobie, że tak naprawdę liczyłam na to, że się mylę; że to jednak Alex. Więc to oznacza, że nie? I dlaczego stalker wybrał wtorkowy wieczór zamiast środy? Sądził, że jestem w domu?

Gdy zbliżamy się do ostatniego zakrętu, w oknach sąsiednich domów i zaparkowanych wzdłuż ulicy samochodów dostrzegam migające koguty wozów strażackich. Chwilę później wjeżdżamy na moją ulicę i elektryzuje mnie szok. Nie ma już płomieni, za to ku nocnemu niebu unosi się gęsty, czarny dym. Na ulicy stoi kilkanaście osób w zbitej grupce. Niektóre rozmawiają przez telefon. Inne starają się pilnować dzieci.

Przez chwilę nie wysiadam z samochodu, wpatruję się jedynie w okno swojej sypialni. Rama jest cała czarna, zawałiła się spora część dachu. Odruchowo wyobrażam sobie, że tam jestem. Gorąco.

Ogień. Nie przychodzi mi do głowy nic straszniejszego niż bycie uwięzioną w pożarze. Zastanawiam się, czy wyskoczyłabym z okna. Przypomina mi się wiele potwornych historii, w których ludzie musieli dokonać takiego właśnie wyboru.

-- Skoczyłbyś?

-- Co? -- Tom jest wyraźnie zaskoczony moim pytaniem. Krzywi się, wpatrując się w budynek.

-- Czy gdyby uwięził cię ogień, to czy byś skoczyła?

Odpina pasy i kręci głową.

-- Musisz przestać tak myśleć, Alice. Spójrz na mnie. Nic ci się nie stało. Jesteś bezpieczna. Powinniśmy ci pewnie załatwić kubek herbaty albo czegoś innego, na szok. Nie sądzę, abyś była już gotowa na rozmowę z policją.

-- Słucham? -- Oczyma wyobraźni nadal widzę siebie w oknie. Czy dym by mnie udusił, nim zdążyłabym podjąć decyzję?

I wtedy w mojej głowie pojawia się nowa i straszna myśl: moje rzeczy! Mam w nosie ubrania, ale nagle sobie przypominam, że są tam cenne pamiątki...

-- O nie, moje rzeczy, Tom. Wszystkie listy mojej matki. Były tam listy mojej matki.

-- Dobry Boże. Tak bardzo mi przykro. Słuchaj, naprawdę jesteś na to gotowa? Na rozmowę z policją? A może to dla ciebie zbyt wiele, Alice? Chcesz odjechać i najpierw napić się czegoś gorącego? -  
- Tom kładzie mi delikatnie dłoń na ramieniu.

-- Nie, nie. Muszę się wszystkiego dowiedzieć. Przede wszystkim, czy da się cokolwiek uratować.

Wysiadam z samochodu. Na autopilocie. W trybie dziennikarki. Najpierw podchodzę do dowodzącego akcją strażacką, wyjaśniam, że to mój dom, i wypytyuję, co już wiadomo. Mężczyzna potwierdza, że nikt nie ucierpiał.

-- A jak wielkie są zniszczenia? Wszystko przepadło? -- Oczyma wyobraźni widzę plik listów. Leżały w szufladzie obok łóżka.

-- Bardzo mi przykro. Staraliśmy się, jak mogliśmy, ale w środku wygląda to bardzo źle. -- Pauza. -- Zwłaszcza na górze.

Widzę obserwujących mnie sąsiadów; odwracają się do siebie i coś szepczą, strażak zaś odciąga mnie kilka metrów dalej i zdaje relację z działań swoich ludzi. Wygląda na to, że pożar bardzo szybko się rozprzestrzenił. Trochę potrwa ustalenie przyczyny, ale najprawdopodobniej przez otwór na listy wrzucono prymitywny koktajl Molotowa. Nie ma świadków. Sąsiedzi usłyszeli brzdęk, nim jednak dotarło do nich, co się dzieje, i ewakuowali się z sąsiednich domów, nie było śladu po osobie, która mogła to zrobić. Żadnego samochodu. Motocykla. Zagadkowej postaci. Nic.

-- I na pewno nic się nikomu nie stało? -- Wpatruję się w oczy strażaka, bo muszę raz jeszcze usłyszeć odpowiedź.

-- Na szczęście nie. Sąsiedzi okazali się szybcy. Mogło być o wiele, wiele gorzej. Właśnie wszystko sprawdzamy. Oczywiście policja także jest zaangażowana. Będą chcieli z panią porozmawiać. A kiedy zostanie potwierdzona przyczyna pożaru, będziemy z nimi współpracować.

-- Oczywiście. -- Rozglądam się i dopiero teraz dostrzegam rozmawiających ze świadkami dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Zastanawiam się, czy wiadomość o pożarze dotarła już do Melanie Sanders.

I wtedy zauważam Jacka. Właśnie kończy rozmawiać z kilkoma sąsiadami. Zawzięcie coś notuje, następnie sygnalizuje fotografowi, aby zrobił zdjęcie tej rodzinie.

Obserwuję, jak spokojnie i pewnie wykonuje swoją pracę -- uspokajając świadków pozujących z poważnymi minami do zdjęcia. To para po trzydziestce. Początkowo stoją do mnie tyłem, kiedy się jednak odwracają, rozpoznaję ich. James i Louise, mieszkający trzy domy ode mnie. Ich dwoje dzieci -- dziesięcioletni na oko chłopiec i dużo młodsza dziewczynka -- są w piżamach, a na ramiona mają narzucone koce. Przyglądam im się, próbując sobie przypomnieć ich imiona. Jack im dziękuje, po czym się odwraca i mnie dostrzega. Natychmiast kieruje kroki w moją stronę.

-- Alice, tak bardzo mi przykro. Jak się trzymasz? -- Kładzie mi dłoń na ramieniu.

-- A jak ci się wydaje? -- Ton głosu Toma jest szorstki, postawa pełna rezerwy.

Zauważam, że zerka na dłoń Jacka na moim płaszczu, i czuję się nieswojo; cieszę się, że Jack tu jest, ale nie chcę, aby Tom o tym wiedział.

-- Dzięki, że do mnie zadzwoniłeś, Jack. -- Unoszę rękę, aby odgarnąć z czoła pasmo włosów, a wtedy on musi zabrać dłoń.

Patrzę mu w twarz i próbuję cokolwiek z niej wyczytać. Wygląda na zaniepokojonego, ale towarzyszy temu coś jeszcze. Odruchowo cofam się myślami do naszego spotkania w kawiarni, kiedy twierdził, że jest w pracy, a od sekretarki naczelnego dowiedziałam się, że ma wolne. Mam wielką ochotę go o to zapytać. Ale nie w obecności Toma.

-- Przepraszam. Muszę wykonać kilka telefonów, Jack. Do wynajmującego. -- Odwracam się do Toma. -- Do Melanie Sanders. No i do Matthew Hilla. Musimy zadzwonić do Matthew. -- Staram się mówić spokojnie, ale myśli wirują mi jak szalone, a głos drży. Czuję, że dłonie także zaczynają mi drżeć. Ponownie odwracam się w stronę Jacka. -- Wszystko straciłam. -- W moim głosie słychać niedowierzanie, jakby dopiero teraz docierało do mnie, że to się dzieje naprawdę. Że to nie jest historia do gazety, ale moja historia. Wkładam dłonie do kieszeni, aby je ukryć, i oglądam się na poczerniałe okno mojej sypialni. -- Wszystko.

## ROZDZIAŁ 54

### Matthew

Matthew nie potrafi przestać chodzić tam i z powrotem. Telefon od Alice potwierdził jego najgorsze obawy.

Eskalacja. Słowo to odbija się echem w jego głowie, a mózg przetrawia wszystko, czego się dowiedział. Ale dlaczego pożar we wtorek, a nie w środę? Czy jutro będzie ciąg dalszy, a może nawet wydarzy się coś gorszego?

Mel nie odbiera telefonu, co wcale go nie zaskakuje. Najpewniej jedzie właśnie na miejsce pożaru.

Znajduje się w kuchni i dzięki elektronicznej niani słyszy, jak Sally próbuje uspokoić Amelie, którą obudził jakiś zły sen. Coś związanego z psem. Matthew na chwilę nieruchomieje i słucha córki. Serce mu się ściska, kiedy dziewczynka relacjonuje: "Ten pies miał naprawdę wielkie zęby, mamusiu". Sally tłumaczy małej: "Teraz już nie śpisz, skarbie. Nic ci nie grozi". Matthew wstrzymuje oddech. Amelie w końcu zdaje się uspokajać. Następnie Sally śpiewa. Matthew wyobraża sobie, jak jego żona gładzi ich córeczkę po głowie. Podchodzi do niani, ścisza ją i ponownie zaczyna chodzić po kuchni.

Podpalenie. Wystarczająco często oglądał je w czasie służby w policji i wzdryga się na myśl, co to oznacza. To nie jest jak ten atak z fałszywym kwasem. Albo paskudne nagranie czy makabryczna przesyłka. To duży krok naprzód. Tak. Eskalacja. Słowo-klucz używane we wszystkich materiałach poświęconych stalkingowi. Kwestia, którą badacze tak chętnie analizują i próbują zrozumieć. Punkt zwrotny -- sygnał, że stalking może prowadzić do przemocy fizycznej, a nawet zabójstwa.

Eskalacja.

Aż do teraz stalker Alice bazował na budzeniu strachu. Sprawowaniu kontroli. Ale podpalenie?

Matthew próbuje ustalić, czy czas zajścia wskazuje na Alexa.

Alice zapewniła go przez telefon, że godzina podpalenia wyklucza jej byłego, ale on nie jest tego taki pewny i przestrzegł ją przed przy-

mowaniem przedwczesnych założeń. Alex równie dobrze mógł nawiązać w więzieniu szmerane znajomości i teraz je wykorzystywać -- wściekły z powodu powrotu za kratki. Jest o wiele za wcześnie na wyciąganie wniosków.

Najważniejszym wyzwaniem jest teraz zapewnienie Alice bezpieczeństwa. Matthew musi koniecznie porozmawiać z Mel, aby się dowiedzieć, jakie może teraz zapewnić środki ochrony. Stawka wzrosła, mimo to detektyw wątpi, aby Alice mogła liczyć na policyjną ochronę. Policja nie jest w stanie zapewnić nadzoru nawet ofiarom przemocy domowej.

To na nim ciąży ogromna odpowiedzialność. To on pozostanie dla Alice pierwszą linią obrony. Jutro... w środę... i w kolejne dni.

Matthew wraca myślami do tamtej okropnej sprawy podczas studiów. Zdjęcia zwłok Rachel Allen na podłodze w jej łazience. Taka młoda dziewczyna. Straszna tragedia. Myśli także o tamtym pierwszym spotkaniu w biurze z Tomem i Alice i doskonale pamięta, dlaczego tak się obawiał przyjąć to zlecenie. Nie licząc całodobowej ochrony, odpieranie stalkingu jest czymś niemal niemożliwym.

Ponownie zerka na nianię i widzi, że światełko miga coraz wolniej; Amelie najwyraźniej się uspokoila. Kilka minut później na schodach słycać kroki i w drzwiach pojawia się Sally.

-- Już dobrze?

-- Tak. Nie wiem, skąd jej się to wzięło. Nie chcę, aby bała się psów. No ale co się dzieje z tobą, Matt? Wyglądasz strasznie.

-- Podpalenie domu Alice. Jej tam nie było, ale sprawy nabierają tempa.

-- Dobry Boże. Ktoś ucierpiał?

-- Nie. Na szczęście nie.

-- Ale mamy wtorek. Sądziłam, że ten czubek atakuje w środy.

-- My też tak sądziliśmy.

Sally siada na krześle.

-- Nie podoba mi się to wszystko, Matthew. To znaczy współczuję tej kobiecie, oczywiście, że tak. Ale czy nie wynajęto cię do pilnowania jej jutro? Nie, nie... nie, Matt. Nie chcę, żebyś się tak narażał. Sądziłam, że praca poza policją będzie mniej niebezpieczna. Że sam bę-

dziesz sobie wybierał sprawy. Dopiero co dostaliśmy ten duży przelew. Nie musisz tego robić...

-- Chodź tutaj. -- Przywołuje żonę i bierze ją w ramiona. Wie, że Sally ma rację. Nie zapewni Alice bezpieczeństwa, nie w pojedynkę. Sally ulżyło, kiedy Tom tymczasowo go zwolnił, i zaniepokoiła się, kiedy Matthew zgodził się jednak kontynuować to zlecenie.

-- Musisz myśleć teraz o mnie i Amelie, Matt. Nie możesz się narażać na niebezpieczeństwo.

Gładzi włosy Sal i ją odsuwa, tak by móc ją pocałować w czoło. I właśnie wtedy dzwoni jego telefon. Wyjmuje go z kieszeni. Nareszcie Mel.

-- No więc co się dzieje? -- Robi przeproszającą minę, a Sally z rezygnacją kręci głową i przechodzi do salonu.

-- Podpalenie, Matt. Nie ma co do tego wątpliwości. Ponownie przesłuchamy Alexa. Mógł wykorzystać jakiś kontakt.

-- Pomyślałem o tym samym.

-- Ale może być tak, że znowu zaczniesz śpiewać, więc strasznie się tym stresuję.

-- Może tym razem kamery coś uchwyciły. Każdy nowy incydent oznacza nowe ryzyko popełnienia błędu.

-- No tak. -- Przez długą chwilę milczy.

-- Wszystko w porządku, Mel?

-- Nie bardzo. Dostanę więcej środków na dochodzenie, no i muszę wiedzieć, jakie Alice ma plany na jutro i na kolejne dni. Mogę załatwić, aby nieoznakowane radiowozy co jakiś czas przejeżdżały pod miejscem jej pobytu, ale wiesz, że nie dam rady odpowiednio jej chronić.

-- Wiem, Mel. -- Pauza. -- Ale to nie twoja wina.

-- Ale tak to odbieram, Matt. No a ty co myślisz? Ten Alex komuś płaci... czy to ktoś zupełnie inny? Myślisz, że ktokolwiek to jest, rzeczywiście pragnie ją zabić? Coś ci powiem, ale to tak między nami. Po tamtym ataku z fałszywym kwasem sądziłam, że chodzi tylko o to, aby ją zastraszyć. Raczej wzbudzać strach, niż skrzywdzić fizycznie. Teraz jednak boję się, że to może być sprawa podobna do

Rachel Allen. Czy ty też tak teraz uważasz? Że on może próbować ją zabić?

Matthew bierze długi, powolny oddech. W jego głowie ponownie rozbrzmiewa słowo "eskalacja". Pamięta nie tylko Rachel Allen, ale także inną sprawę cytowaną w badaniach, sprawę kobiety, którą nekano przez dziesięć miesięcy. Powtarzała matce, że pewnego dnia na pewno usłyszy o niej w wiadomościach. Tak właśnie się stało. Jej stalker ją utopił.

-- Nie powiem tego Alice, ale sądzę, że to możliwe, Mel.

-- Tak. Ja też.



## ROZDZIAŁ 55

### Alice

I znowu siedzę w wielkiej, błyszczącej kuchni Leanne w Dorset. Jestem w dziwnym stanie wzburzonego oszołomienia, napędzanego przez nadmiar kofeiny. Dzisiaj jest środa. Tom wziął dzień urlopu, przyjechał tu także Matthew Hill i monitoruje właśnie system kamer. Bez przerwy gdzieś chodzi, sprawdza drzwi, okna, a czasem nawet zapuszcza się na dwór.

Dzwoniła Leanne i nalegała na wynajęcie ochroniarzy. Powiedziała, że wrzucą to w koszty. Ale ja nie mogę iść tą drogą. Co to za życie? Czy to by się kiedykolwiek skończyło?

Informacje o podpaleniu przez cały dzień pojawiają się w lokalnej telewizji i nagle coś sobie uświadamiam.

-- Chwileczkę. Myślisz, że właśnie dlatego zmienił dzień, że dlatego zrobił to wczoraj późnym wieczorem? To znaczy we wtorek wieczorem? -- pytam Matthew, który właśnie wrócił z ogrodu i rygluje drzwi prowadzące z kuchni na taras.

-- Wybacz, ale nie bardzo rozumiem, co masz na myśli, Alice.

-- Żeby dzisiaj przez cały dzień trąbiono o tym w wiadomościach. Środa. To moje tortury na ten tydzień. Mój spalony dom w telewizji... przez całą środę. -- Odwracam się w stronę wielkiego telewizora, wiszącego na ścianie obok lodówki. Dźwięk jest wyciszony; kamera robi zbliżenie na piętro mojego domu. Na pasku pod obrazem widnieje informacja, że to rzeczywiście podpalenie i że policja prowadzi dochodzenie. Zauważam, że śledczy nie wspomnieli o powiązaniu ze stalkingiem.

Matthew wzrusza ramionami, po chwili jednak mruży oczy, jakby się zastanawiał nad tym, co powiedziałam.

-- Niewykluczone. Ale dlaczego nie zrobił tego w środę wczesnym rankiem?

-- Bo musiało być ciemno, żeby go nie złapano. Gdyby to zrobił w środę wieczorem, większość relacji pojawiłaby się w czwartek. Atak późnym wieczorem we wtorek gwarantował relacje przez całą

środe. -- Gdy słucham własnego głosu uświadamiam sobie, że część mnie pragnie uwierzyć w tę wersję dlatego, że nie chcę wyobrazić sobie kolejnej traumy. Dzisiejszej.

-- W sumie to możliwe. Kto wie, jak funkcjonuje umysł taki jak jego? Ale nie możemy zakładać, że dzisiaj nie wydarzy się już nic więcej. Musimy zachować czujność. No i powinniśmy porozmawiać o tym, co dalej, Alice. To znaczy po dzisiejszym dniu. O tym, jak wygląda twój plan powrotu do pracy. Rozumiem, że się nad tym zastanawiasz?

-- W gruncie rzeczy nie mam wyboru. Dzwonił mój przełożony. Poprosił, abym wzięła kolejny tydzień urlopu. Co najmniej tydzień. Do czasu, aż dochodzenie w sprawie pożaru przyniesie jakiegokolwiek wyjaśnienia. Według mnie martwi się teraz, że ktoś może podłożyć ogień w siedzibie redakcji. Albo tym, że stalker pojawi się jako osoba udzielająca wywiadu. Coś w tym rodzaju.

Matthew i Tom wymieniają spojrzenia i wyczuwam nowe napięcie -- coś, co nie do końca jestem w stanie odczytać.

-- No co? O co chodzi?

-- O nic. Po prostu rozmawialiśmy podczas twojej drzemki. -- Tom stara się mówić łagodnie. Ponownie zerka na Matthew. -- I zastanawialiśmy się, czy nie powinnaś może na jakiś czas wyjechać. Zupełnie zmienić otoczenie.

-- To znaczy uciec?

-- Nie. Ale moi rodzice nadal odpoczywają na statku, zresztą wiesz o tym. Wkrótce dopłyną do Włoch i mają tam spędzić trochę czasu. Może na chwilę do nich dołączymy? Wybierzemy się na kilka dni do Włoch?

-- Na rejs?

-- Nie, nie na rejs. Moglibyśmy zarezerwować hotel gdzieś na wybrzeżu i spotkać się z nimi. Trochę się odstresować w czasie, kiedy policja zajmuje się tą sprawą.

Nie wiem dlaczego, ale ta propozycja przepelnia mnie gniewem. Tom już wcześniej chciał, abym poznała jego rodziców -- w Paryżu. Nie zgodziłam się. Za wcześnie na to. Pewnego dnia usłyszałam, jak rozmawia z nimi przez Skype'a: zapytał wtedy, czy chcę się przywi-

tać. Wymówiłam się. Poczułam się osaczona. Poznanie rodziców to poważny krok. Przypomina mi czas spędzony z Alexem. Pierścionek zaręczynowy. Te wszystkie cholerne bzdury.

-- Nie chcę jechać do Włoch. Nie chcę uciekać. No bo jak długo mogłabym to robić? Ile miałabym się ukrywać? To absurd. Nie zrobiłam nic złego, a moje życie wywróciło się do góry nogami. -- Czuję napływające do oczu łzy. -- Zresztą moja matka jest w kiepskim stanie. Personel w domu opieki się o nią martwi. Nie mogę jechać na żadną wycieczkę. Muszę odwiedzić ją w ten weekend. Nie ma takiej opcji, abym z tego zrezygnowała.

Ponownie wymieniają spojrzenia. Tym razem więcej w ich oczach rezygnacji. Więcej niepokoju.

-- Oczywiście. Przepraszam. To był tylko taki pomysł. -- Ton głosu Toma jest przepraszający. -- Zaparzyć więcej kawy?

-- Jeśli wypiję jeszcze trochę, że zacznę łązić po ścianach.

-- Okej. W takim razie miętowa herbata.

Podchodzi do czajnika, a ja wpatruję się w jego plecy, kiedy otwiera kolejne szuflady, szukając sztucców.

Nie znoszę miętowej herbaty, ale Tom się przecież stara. Zachowuję się jak mała. Nic nie potrafię z tym zrobić, bo nie mam pewności, ile jeszcze zdołam znieść. Jak długo wytrzymam z tym uczuciem totalnej bezradności. Ze świadomością, że jestem łatwym celem.

-- Możemy odpuścić tę herbatę? Pójdę wziąć kąpiel. Spróbuję się uspokoić. Odzywała się Melanie Sanders? -- Ponownie spoglądam na Matthew, on zaś sprawdza telefon i kręci głową.

Nie wiem, dlaczego tak się trzymam nadziei, że policyjne śledztwo zakończy się sukcesem. Ponownie próbowano przesłuchać Alexa, ale niezmiennie odmawia współpracy. Gorzej, że wspomniałam Matthew o Claire Hardy i fundacji i obróciło się to przeciwko mnie. Poinformował Melanie Sanders, że Claire może być podejrzaną w sprawie mojego stalkingu. Absurd. Z tego, co widzę, ta kobieta próbuje naciągać ludzi, a nie ich nękać. Jasno dałam do zrozumienia, że to ja nawiązałam kontakt z fundacją, a nie odwrotnie, Matthew jednak twierdzi, że do zaznajomienia mnie z fundacją Cla-

ire mogła wykorzystać reklamy na Facebooku. Policja nie może pozwolić sobie, aby odpuścić ten trop. A Claire ma szemranego chłopaka. No więc ją teraz prześwietlają. Moim zdaniem marnują czas.

Patrzę, jak Matthew chowa telefon z powrotem do kieszeni, a potem udaję się na górę.

Dom Leanne ma cztery sypialnie z prywatnymi łazienkami, no i jest jeszcze osobna łazienka z piękną, wolnostojącą wanną. Zamiast małego prysznicza w mojej łazience wybieram właśnie ją. To pomieszczenie mieści się na uboczu i jakoś tam jest mi najlepiej. Oto, jak teraz wygląda moje życie: przejmuję się, w której łazience czuję się bezpieczniej...

Zamykam drzwi na klucz i sprawdzam, czy okno także jest zamknięte. Na półce znajduję olejek do kąpieli i napełniam wannę w trzech czwartych, a potem zanurzam się w wodzie. Cudny zapach. Wanilia i coś jeszcze, czego nie potrafię zidentyfikować. Ciepła woda rzeczywiście działa kojąco i przez chwilę czuję się lepiej. Kiedy jednak zagarniam ręką pianę, nagle rozlega się dziwne pukanie w okno. Nieruchomieję. Nasłuchuję w nadziei, że tylko to sobie wyobraziłam. Ale nie. Znowu ten dźwięk.

Siadam wyprostowana, przez co na marmurowe płytki wylewa się woda. Mam ochotę wyskoczyć z wanny, martwię się jednak, że się poślizgnę na mokrej podłodze. Wykręcam szyję, aby dojrzeć okno. I nagle zalewa mnie fala emocji. Bo w chwili, kiedy je widzę, widzę też absurdalną prawdę. Wyraźny cień gałęzi, zwyczajnie poruszonej przez wiatr.

Wtedy pojawiają się łzy. Wstyd z powodu rozmiaru mojego strachu. Reakcji nieadekwatnej do sytuacji. Przeraziła mnie zwykła gałąź. Tak właśnie wygląda teraz moje życie. Nie mogę pracować. Nie jestem w stanie normalnie funkcjonować. Spłonął mój dom. Moja matka jest chora. Nie potrafię sobie wyobrazić, że moje życie znowu może być normalne.

## ROZDZIAŁ 56

### On -- wtedy

Kiedy na progu jego mieszkania zjawia się policja, sądzi, że chodzi o Briana. Zastanawia się co po tylu latach doprowadziło ich w końcu do niego. Jakies nowe odkrycie? Świadek, który dopiero teraz się ujawnił?

Zdażył się już zdomować w nowej pracy, a teraz myśli ponownie wirują mu w głowie. Jaki popełnił błąd? Co znaleziono? Ale przede wszystkim martwi się o babcię. Kto się nią zaopiekuje, jeśli on trafi do aresztu? Czuje łomotanie serca, stara się jednak zachować pozorny spokój. Może uda mu się jakoś z tego wykręcić. Do niczego się nie przyzna.

Nic nie powie.

Wpuszcza funkcjonariuszy do mieszkania. Stoją teraz w salonie i się rozglądają. A potem policjantka mówi, że bardzo jej przykro, ale ma "niedobrą wiadomość dotyczącą pańskiej babci".

Funkcjonariusze wymieniają dziwne spojrzenia. Mężczyźnie wydaje się, że widzi współczucie w ich oczach. Nic nie rozumie. Po chwili czuje, że drga mu głowa i jego całego ogarnia dziwne oszołomienie. Policjanci nadal coś mówią, on jednak znajduje się teraz w bańce i te słowa do niego nie docierają.

Patrzy na ich poruszające się usta i zaklina ich w myślach, aby się stąd wynieśli. Nie chce ich tutaj. Nie potrzebuje słuchać tych bzdur.

-- To z pewnością pomyłka. Przykro mi, ale będę musiał państwa prosić o opuszczenie mojego mieszkania.

-- Strasznie mi przykro, ale to nie pomyłka. Może zaparzyć panu herbatę?

-- Nie.

Dużo później znajduje się w tym strasznym miejscu, w którym unosi się woń chemikaliów i czuć jakiś kwiatowy zapach, który być może ma maskować ten chemiczny. Nic z tego. Starano się, aby

w pomieszczeniu unosiła się aura spokoju i szacunku. Tylko zmarowano czas.

Twarz martwej kobiety zakrywa biała płachta. Mimo to mężczyzna ma pewność, że to pomyłka. Jego babcia by tego nie zrobiła. Raz jeszcze słyszy ostrzeżenie, że okoliczności śmierci doprowadziły do zniekształcenia jej wyglądu. Musi się na to przygotować. Konieczne jest dokonanie identyfikacji. I jest im "bardzo, bardzo przykro".

Płachta zostaje uniesiona i znowu pojawia się to okropne drganie jego głowy. Nie może uwierzyć w to, co widzi, więc zamyka oczy. Ma wrażenie, jakby czas stał się długim, wąskim tunelem, a on był przez niego zasysany -- do tyłu, do tyłu, do tyłu. Jest małym chłopcem zdmuchującym świeczki na urodzinowym torcie -- babcia się do niego uśmiecha. Bawi się w parku na zjeździe -- uśmiechnięta babcia czeka na dole. Jest w swoim pokoju, z kolanami podciągniętymi pod brodę, i ze strachem czeka na pukanie do drzwi w środowy wieczór.

Słyszy jakiś głos. Otwiera oczy. Pytają go, czy jest w stanie potwierdzić, że to jego babcia. Wraca do swojej bańki, a oni powtarzają pytanie, więc kiwa głową. Chcą położyć płachtę na jej miejscu, on jednak kręci głową i unosi rękę, aby ich powstrzymać.

Raz jeszcze patrzy.

Nie może uwierzyć w to, co się z nią stało. Przygląda się ciemnemu zniekształceniu, które kiedyś było śliczną, łagodną i uśmiechniętą twarzą babci, i przysięga sobie w duchu, że znajdzie tego, kto ją do tego doprowadził.

Każe mu za to zapłacić.

Poruszy niebo i ziemię, dopóki nie zrozumie, co ją pchnęło do tak potwornego czynu. A potem ten ktoś... mu za to zapłaci.

## ROZDZIAŁ 57

### Alice

Leanne przysłała ich firmowego kierowcę, aby tym razem to on zabrał mnie do Londynu. Koniec z pociągami. Jest piątek i są koszarne korki. Szczerze mówiąc, na tylnej kanapie czuję się absurdalnie. Jak członek rodziny królewskiej czy ktoś podobny. Ale kierowca jest sympatyczny; prowadzi dobrze i pewnie, no i wyczuwa, że nie mam ochoty na pogawędkę.

Od nowego domu opieki mamy dzieli nas już tylko dziesięć minut, więc raz jeszcze piszę do Jacka. Wczesnym rankiem dał mi znać, że na polecenie Teda ma, zamiast mnie, zdać relację z wyburzenia Maple Field House. Źle się z tym czuje; martwi się, że będę mu miała za złe przejęcie mojej historii. Szczerze? Jestem wściekła na Teda, lecz równocześnie czuję ulgę, że wybrał właśnie Jacka. No i mimo wszystko chciałabym po cichu odegrać w tym swoją rolę. Jakoś.

Poprosiłam Jacka, aby nie rozgłaszał sprawy. Tom i Matthew oszaleją, jeśli zbyt szybko zdradzę im swój plan. Ale Jack denerwuje się bardziej, niż się spodziewałam. Jego słowa były echem słów Teda -- martwi się o moje bezpieczeństwo. Do wyburzenia ma przecież dojść w środę. Mam plan, aby tam pojechać i dyskretnie wmieszać się w tłum -- jeśli uda mi się nakłonić Matthew, by mi towarzyszył. Ta historia wiele dla mnie znaczy. Bardzo chciałabym zobaczyć jej zakończenie. Zobaczyć, jak to przekłute miejsce zostaje zrównane z ziemią. Widzieć twarze organizatorek kampanii.

Nie zamierzam się wychylać. Po prostu chcę tam być.

-- Jesteśmy na miejscu. Otrzymałem instrukcje, aby odprowadzić panią do środka. W porządku? -- Kierowca odpina pasy.

-- W porządku. Dziękuję.

Wysiada i otwiera mi drzwi. I znowu wydaje mi się to zbyt oficjalne, ale nic nie mówię, żeby go nie urazić. To miło ze strony Leanne, że załatwiła mi transport.

Po wejściu do budynku po raz kolejny przekonuję się, że personel rzeczywiście przestrzega surowych procedur. Nim otrzymam przepustkę dla gościa, zostaje sprawdzona moja tożsamość. Użytkuję także potwierdzenie, że nie zezwala się na żadne przesyłki dla mojej matki. Bardzo dobrze.

Inna pracownica jedzie razem ze mną windą na drugie piętro. Nie mam pewności, czy taką tu mają normę, czy też próbują zrobić dobre wrażenie.

Pokój mamy jest równie uroczy jak zapamiętałam z poprzednich odwiedzin. Na stojącym w rogu niedużym stoliku dostrzegam szklany wazon z białymi różami. Przez chwilę się martwię, przypominając sobie roślinę doniczkową i ukrytą w niej kamerę, ale pielęgniarka podąża za moim wzrokiem i potwierdza, że to Leanne je wczoraj przywiozła.

Odwracam się w stronę mamy. Leży w łóżku w jasnoniebieskiej koszuli nocnej, wsparta na poduszkach.

-- Czuje się dzisiaj trochę słabo, więc poczekamy jeszcze trochę z ubieraniem. Czy to problem? Planowały wyjść panie do ogrodu?

Kręcę głową. Nie mam odwagi zabierać mamy na dwór. Nie w obecnej sytuacji.

Przy łóżku stoi fotel obity jasnoróżowym pluszem. Okazuje się nieziemsko wygodny.

-- Witaj, mamo.

Na dźwięk mojego głosu mama natychmiast otwiera oczy.

-- Moja kochana dziewczynka.

Trzy słowa. Nadal jej maksimum.

Uśmiecham się, choć na jej widok walczę z napływającymi do oczu łzami. Po raz pierwszy jej skóra ma kolor nie taki, jak trzeba. Usta są lekko sine. Leanne ostrzegła mnie przez telefon, ale każda zmiana podczas kolejnych wizyt niezmiennie mnie szokuje.

Mama wskazuje głową na nocną szafkę, na której czekają *Wichrowe Wzgórza*. Zawsze trzymamy się tej rutyny. Leanne czasami gra z nią w karty. Albo w scrabble. Zdarza się też wspólnie rysują -- to umiejętność, której ja nie mam. Za to czytanie należy do mnie.



-- No dobrze. Na czym skończyłyśmy? -- Otwieram książkę. W miejscu, gdzie rozpoczyna się rozdział dwudziesty, włożono nową zakładkę. Została stworzona ręką dziecka i chwilę trwa, nim ją rozpoznaję. To zasuszone płatki kwiatów -- różowe i fioletowe -- pod czymś plastikowym. Nie jest to porządna laminacja, lecz bardziej prymitywna metoda, jakiej używałyśmy do obkładania podręczników. Tak. Pamiętam teraz te arkusze z odklejonym na spodzie papierem. Na dole zakładki widnieje dziurka, przeciągnięto przez nią wyblakłą różową wstążkę i zawiązano ją w kokardę. Sama to zrobiłam. W szkole podstawowej? Raczej nie miałam wtedy więcej niż osiem lat.

-- Skąd to masz?

-- Z pudełka.

Mama ponownie wskazuje coś głową. Przed kominkiem stoi srebrne pudełko, które najwyraźniej przywiozła Leanne. Oczami wyobraźni widzę je w innym miejscu -- w naszym domu pod schodami. Nie zaglądałyśmy do niego od wielu lat. Wypełniają je różnego rodzaju pamiątki rodzinne, głównie rzeczy, które ja i moja siostra zrobiłyśmy w szkole.

-- Robisz się sentymentalna? -- Staram się, aby brzmiało to lekko, w rzeczywistości jednak myślę o tych wszystkich cennych liściach, które straciłam w płomieniach. Nie chcę, aby mama wiedziała cokolwiek o tym koszmarze, przywołuję więc uśmiech na twarz. Mama wzrusza ramionami i także się uśmiecha, następnie gestem pokazuje, że powinnam zacząć czytać. Zamyka oczy. Głośno oddycha. Jej klatka piersiowa prawie wcale się przy tym nie unosi. Usta nadal są zbyt sine.

Zasypia po niecałym kwadransie. Wciskam guzik i po chwili zjawia się pielęgniarka. Potwierdza, że to obecnie norma. Mamie trudno jest nie spać przez zbyt długi czas. Brak tlenu.

-- Rozmawiałyśmy o tym? -- Pielęgniarka patrzy na mnie pytająco, jakby się upewniała, że rozumiem, co się naprawdę dzieje.

Kiwam głową. Nie jestem w stanie nic powiedzieć.

Proszę ją, aby pożegnała mamę ode mnie, i przekazała jej, że niedługo znowu ją odwiedzę. Następnie ostrożnie wkładam zakładkę do

książki. Przez jakiś czas siedzę z dłonią na okładce, aż w końcu czuję się gotowa, aby się od niej odkleić.

Kierowcy mówię, że do domu Leanne musimy pojechać okreśną drogą, i podaję mu kod pocztowy matki Claire. Może jej wcale nie być w domu i może się nie zgodzić na rozmowę, jestem jednak dziennikarką, nawet jeśli nie wolno mi jeszcze wrócić do redakcji, więc praca nad tym tematem wydaje mi się czymś właściwym. Jeśli Claire i jej partner próbują oszukać ofiary stalkingu, muszę coś z tym zrobić.

Podjeżdżamy pod segment podzielony na trzy mieszkania i dociera do mnie, że większe szanse miałabym, gdyby były tu dzwonek i główne drzwi wejściowe. Domofon nie działa na moją korzyść. Matka Claire nie zobaczy mojej twarzy. Cholera.

Wciskam nieduży guzik.

-- Tak. Kto tam?

-- Alice. Dziennikarka. Dzwoniłam do pani w sprawie Claire. Mam nowe informacje, które muszę pani przekazać. To bardzo ważne.

-- Już pani mówiłam, że nie utrzymujemy kontaktu. Proszę odejść.

-- Sądzę, że będzie to pani chciała usłyszeć. -- Ściema. Przez długą chwilę panuje cisza, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, rozlega się brzęczyk zwalniający zamek.

-- Proszę wejść.

Kiedy matka Claire wpuszcza mnie do niedużego mieszkania, wydaje się zaciekawiona. Jest tu czysto i jasno, a pod ścianą stoi obita czerwonym pluszem sofa, na niej zaś widzę kremowe poduszki. Zupełnie nie tego się spodziewałam. Z jakiegoś powodu wyobrażałam sobie miejsce jako smutniejsze i nie tak schludne.

-- No więc co to za informacje, które pani zdaniem będę chciała usłyszeć?

-- Bez urazy, ale martwię się, że Claire wplątała się w coś podejrzanego, możliwe, że niezgodnego z prawem. -- Obserwuję jej twarz. W ogóle nie wydaje się zaszokowana. -- Okej, więc moje źródła sugere-

rują, że Claire i jej partner wykorzystują fundację do wyciągania z ludzi pieniędzy.

Wydaje dziwny dźwięk przypominający parsknięcie.

-- Cóż, jakoś mnie to nie dziwi.

-- Naprawdę?

-- Rozumiem, że nadal się trzyma z Paulem Crosswellem?

-- Pewności nie mam, ale do spółki z nim założyła firmę. Firmę sprzedającą alarmy dla ofiar stalkingu. Powiedziała mi, że ma siostrę, która była nękana. Przeżyła potworny atak i dlatego musiała wyjechać za granicę, co popchnęło Claire do założenia fundacji.

-- Wierutne bzdury. Jest jedynaczką, zresztą już to pani mówiłam. To on ją pewnie do wszystkiego namówił.

-- Mogę usiąść? -- Wyjmuję z torby notes i długopis.

-- Skoro pani musi. Ale mogę pani poświęcić tylko pięć minut.

Nie proponuje mi nic do picia i choć bardzo się staram, pani Bruce wyraźnie nie może się doczekać, kiedy sobie pójdę. Nie chce wypowiadać się oficjalnie, ale podaje mi wystarczająco wiele informacji, abym się upewniła, że miałam nosa z tą historią.

Powodem, dla którego Claire i jej matka nie utrzymują kontaktu, jest Paul Crosswell. A Hardy to nie jest nazwisko po mężu, jak zakładałam. To po prostu nowa przykrywka.

Claire i Paul są w poważnych tarapatkach finansowych. On najpierw próbował szczęścia z innego rodzaju alarmem, dla użytkowników biznesowych. Nie udało się i nawet wszczęto policyjne dochodzenie, które jednak nic nie wykazało. Okazuje się, że mówił klientom o infolinii, która w razie konieczności przekazuje zgłoszenia od razu na policję. Dokładnie to samo usłyszałam od Claire. Ale ta infolinia nie istniała. Nie było żadnego specjalnego systemu. Połączenia przechodziły przez osobisty telefon Paula. Pobierał od klientów nie małą miesięczną opłatę za usługę, która była oszustwem. Lepiej zrobiliby, samodzielnie dzwoniąc na policję.

Mówię pani Bruce, że według mnie próbują stworzyć nową wersję tego samego oszustwa, tym razem za pomocą fundacji.

-- Jak mieliby to zrobić? Fundacje nie muszą się rozliczać z zebranych pieniędzy? Nie ma żadnych przepisów?

-- Formalnie rzecz biorąc, tak. Ale przestępcy potrafią je obejść.

-- To zdecydowanie w stylu Paula. Założył i zamknął cały ciąg biznesów. -- Pauza. Jakby matka Claire zastanawiała się, czy już wystarczy. -- Proszę posłuchać, to właśnie dlatego zerwałyśmy kontakt -- mówi w końcu. -- Oświadczyłam Claire, że nie chcę mieć z nią do czynienia, dopóki nie odejdzie od tego okropnego człowieka. Kazałam jej dokonać wyboru. -- Na jej twarzy pojawia się smutek. -- Cóż za naiwność z mojej strony. Głupio sądziłam, że wybierze mnie. Przykro mi, ale naprawdę muszę panią prosić o opuszczenie mojego mieszkania.

Zostawiam swoją wizytówkę, a w drodze do londyńskiego domu Leanne dzwonię do Matthew, aby przekazać mu najświeższe wiadomości. Przykro mi z powodu pani Bruce, ale w duchu jestem podekscytowana tematem.

On nie.

-- Sądziłem, że ustaliliśmy, że zostawisz to policji, Alice.

-- Słucham? -- Jestem lekko zaszokowana jego tonem. Niczego takiego nie ustalaliśmy. Powiedział jedynie, że mądrze będzie pozwolić, aby Mel przyjrzała się Claire i jej chłopakowi. Po raz pierwszy, odkąd wyszło na jaw, jak się naprawdę nazywam, Matthew wydaje się na mnie gniewać.

-- Mel sprawdziła Paula Crosswella. Wyjątkowo nieciekawy człowiek. Nie tylko oszust. Są rzeczy, o których nie wiesz; miał także sprawy o uszkodzenie ciała. Może być naszym podejrzanym, Alice.

-- Och, daj spokój, Matthew. Już ci mówiłam: to ja nawiązałam kontakt z fundacją, a nie odwrotnie. Nie jest możliwe, aby ta para miała jakiś związek ze stalkingiem. Oni jedynie próbują kantować ludzi i liczą, że zrobią to dzięki mojemu pisaniu.

-- Proszę, Alice. Nadal to sprawdzamy. Musisz się trzymać na uboczu. Pilnować się. I dać temu spokój.

## ROZDZIAŁ 58

### Alice

Jakoś mijają kolejne dni. Weekend. Poniedziałek. Wtorek. No i znowu nadchodzi środa. Każdy mój tydzień to teraz miotanie się między strachem, gniewem i nudą. Minał już ponad miesiąc i jestem wykończona.

Mam dość zwłaszcza uczucia izolacji. Zbyt wiele ludzi mi mówi, że nie mogę teraz pracować jako dziennikarka, i jest to dodatkową solą na moje rany. Wysyłam mail do kierownictwa kadr, w którym piszę, że zgodnie z zaleceniem wykorzystałam już cały swój urlop i chcę teraz wrócić do pracy. Powtarzam, że jestem gotowa brać w każdą środę wolne, tak jak ustaliliśmy, ostrzegam jednak, że jeśli nadal będzie mi się utrudniać powrót do pracy, to skonsultuję swój przypadek z prawnikiem.

Zaraz po wysłaniu maila odrobinę tego żałuję. Część mnie rozumie punkt widzenia szefostwa. Ale podczas naszego ostatniego spotkania przytoczyłam przypadki znacznie bardziej znanych dziennikarzy mierzących się z problemem stalkingu. Im nie zabroniono pracować.

-- Nie jesteśmy BBC -- taką usłyszałam odpowiedź. -- Jesteśmy lokalną gazetą w tarapatach finansowych, walczącą o przetrwanie. Nie mamy środków, jakimi dysponuje BBC. Nie mamy nawet recepcjonistki na pełen etat, Alice. Nie możemy przeświecić całej korespondencji. To trudne.

Trudne? Sądzą, że nie wiem, że to jest trudne?

Wpatruję się w wyświetlacz telefonu. "Śr" -- białe litery na niebieskim tle... znowu. Tak szybko. Siedzę u Toma i plan jest taki, że mój chłopak będzie mnie miał na oku do czasu, kiedy o dziesiątej zjawi się Matthew. Jest jeszcze wcześnie, ale już dawno nie śpię, więc Tom przynosi mi kawę. Jest wyjątkowo cierpliwy, ja z kolei nie umiem sobie znaleźć miejsca. Chodzę z kąta w kąt. Cała jestem podenerwowana.

Kiedy opowiadam Tomowi o mailu do pracy, dzwoni domofon. Poranny kurier z przesyłką. Tom czuje wyraźną ulgę. Spodziewa się ważnych dokumentów potrzebnych do negocjowanej przez siebie trudnej umowy. Prosi kuriera, aby wniósł przesyłkę na drugie piętro, ale ten mu odpowiada, że ma na głowie kask motocyklowy i że firmowe zasady nie pozwalają mu wchodzić powyżej parteru w kasku. Ludzie się skarżą. Tom każe zdjąć mu kask. Ale kurier odpowiada, że nie ma na to czasu ("Wie pan, jak mało czasu mam na każdą dostawę?"), i dodaje, że albo Tom zejdzie na dół, albo przesyłka zostanie oznaczona jako niedostarczona.

Tom próbuje się spierać, ale kurier oświadcza, że nie płacą mu za takie przepychanki.

-- Och, po prostu zejdź, Tom -- odzywam się.

-- Nie ma mowy. Nie zostawię cię samej.

-- Przecież mieszkanie jest zabezpieczone, a ty potrzebujesz tych dokumentów. I co, w środy już nigdy nie będziemy odbierać żadnych przesyłek? Nawet służbowych? Nie da się tak żyć, nie sądzisz? Robi się niedorzecznie. Zejdź i już. Odbierz te papiery. Przestań się martwić.

Wchodzę do kuchni i włączam ekspres. Na dworze jest jeszcze ciemno i czekając na zielone światelko i espresso, sprawdzam w telefonie godzinę. Mam też kilka nowych maili. Nic ważnego.

To się dzieje wtedy, kiedy pozostaję odwrócona w stronę blatu.

Tak szybko, że nie mam czasu na myślenie. Ani obronę. Na chwycenie za coś, co mogłoby to powstrzymać.

Nagle dłoń w rękawiczce przyciska mi do twarzy dużą szmatę. Czuję woń chemikaliów. I skóry.

Próbuję walczyć -- wymachuję rękami, starając się chwycić za blat -- nic to jednak nie daje. Czuję teraz coś słodkiego. Spodziewam się, że upadnę, ale dzieje się to nie od razu. Coś paraliżuje mi mózg, a potem nagle zasysa mnie ciemny tunel. Nie przestaję machać rękami. Próbuję krzyczeć. Wiem, że nie wolno mi się dostać do tego tunelu, lecz światła bledną w oddali, aż w końcu jestem już tak daleko od nich, że w ogóle ich nie widać. Pochłania mnie ciemność.

Kiedy się budzę, głowa boleśnie mi pulsuje. Nadal czuję ten dziwny zapach. Lekko słodki. Usta mam zasłonięte, ale oczy nie. Mimo to nic nie widzę. Opuszczam powieki, próbując wyczuć, jak długo pozostawałam nieprzytomna, gdzie się znajduję i co się dzieje.

Czy nadal jestem w mieszkaniu Toma? Nie potrafię tego określić. Och, dobry Boże. Co on zrobił Tomowi?

Siedzę. Wyczuwam pod tyłkiem twardą powierzchnię. Ręce mam ciasno związane w nadgarstkach. Siedzę na krześle? Tak. To drewniane krzesło. Nie przypominam sobie, aby takie krzesło znajdowało się u Toma. Więc zostałam przeniesiona?

Ponownie próbuję otworzyć oczy i tym razem mój wzrok powoli przystosowuje się do ciemności.

Znajduję się w pokoju, którego nie rozpoznaję, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Rozglądam się. Kuchnia połączona z jadalnią. Zasunięte zasłony, po prawej stronie drzwi. Żeby się zorientować, gdzie jestem.

Na ścianie widzi dziwna zbieranina obrazków. Portret królowej. Kiczowaty print z wiejskim krajobrazem, kaczkami i gęśmi, a obok niego duże, oprawione w ramkę szkolne zdjęcie chłopca z szerokim uśmiechem i wyraźną szparą między górnymi jedynekami. Rozglądam się, głowa nadal boleśnie mi pulsuje, ale nie widzę niczego, co mogłoby mi pomóc. Drewniany stojak na gazety. Pusty. Na podłodze obok krzesła z wysokim oparciem leży jakaś torba. W rogu aneksu kuchennego zauważam półki.

Dopiero teraz dociera do mnie, jak ciasno jestem zakneblowana. Usta oklejono mi taśmą. Odruchowo próbuję unieść ręce, aby zerwać tę taśmę, ale są mocno przywiązane do oparcia krzesła.

Wzbiera we mnie autentyczna panika. Czasami w nocy mam problem z oddychaniem przez nos -- zwłaszcza podczas sezonu pylenia, gdy dręczy mnie katar sienny. Zaczynam odczuwać tak dobrze mi znane przerażenie. A jeśli zatoki zaraz mi się zablokują? Jeśli nie będę mogła oddychać przez nos, to się po prostu uduszę. Umrę. Rozglądam się po tym smętnym pomieszczeniu i wyobrażam sobie, że to właśnie tutaj wszystko się może skończyć. Oddech mi przyspiesza

i wiem, że muszę się jakoś uspokoić. Przekonuję siebie: musisz od-  
dychać, Alice.

I wtedy z sąsiedniego pomieszczenia wyłania się on. Cały na  
czarno. Czarne spodnie. Czarna bluza. Czarne rękawiczki i coś w ro-  
dzaju czarnej kominiarki.

W tym momencie dociera do mnie, że to, co wcześniej brałam za  
strach, w ogóle nim nie było. Przez wszystkie tygodnie bałam się  
stalkera? To nie był prawdziwy strach.

Kiedy ciemna postać siada na krześle na drugim końcu pomiesz-  
czenia, wydaję dziwny, zwierzęcy dźwięk, zduszony przez taśmę.

Oto prawdziwy strach.



## ROZDZIAŁ 59

### On -- wtedy

Na komisariacie pokazują mu list pożegnalny babci. Włożony do foliowego woreczka na dowody. Jeden wers na białej kartce. Schludne, znajome pismo. Pozwalają mu zrobić telefonem zdjęcie, słyszy jednak, że ten list oraz teczkę może otrzymać dopiero po zakończeniu dochodzenia odnośnie do przyczyny zgonu.

-- Jaką teczkę?

Pokazują mu schowaną do innego, większego woreczka teczkę formatu A4 i wyjaśniają, że jego babcia wycinała z lokalnej gazety artykuły poświęcone przyszłości mieszkań. Niedawno od spółki odpowiedzialnej za ten budynek otrzymała ostateczne wezwanie do opuszczenia lokalu, a razem z nim pismo od rady miasta ponaglące ją do wyrażenia zgody na spotkanie ze spółdzielnią mieszkaniową, która zaproponuje lokal zastępczy.

Funkcjonariusz informuje, że babcia nie odpowiedziała na żadne pismo dotyczące ustaleń związanych z nowym zakwaterowaniem. Wszystko to trafi do akt.

Nie bez trudu zachowuje spokój przy policjancie. Rozmawiał w przeszłości z babcią o tej głupiej lokalnej kampanii na rzecz wyburzenia budynku.

"Nic z tego nie wyjdzie -- tak mu powiedziała. -- Trąbią o tym na prawo i lewo od lat. Ale ja jestem bezpieczna".

Praca zajmowała mu mnóstwo czasu. Nie odwiedzał babci tak często, jak powinien. Jakaś niewielka część niego martwiła się śledztwem dotyczącym śmierci Briana. Ale pocieszał się tym, że babcia jest szczęśliwa. Była w miejscu, które kochała, a on jej obiecał, że będzie tam mogła pozostać. Pomógł uczynić je bezpieczniejszym. Pozbył się tej wstrętnej, mieszkającej po sąsiedzku zarazy.

Dwa miesiące później tylko on bierze udział w rozprawie kończącej dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu jego babci. Żadnej prasy. Żadnych przyjaciół. Jedynie kilka osób czekających na następną rozprawę.

Tyle że teraz w końcu rozumie, co tak naprawdę się stało.

Dwa dni po śmierci babci dotarła do niego przesyłka. Długi list i jej pamiętnik. Musiała ją wysłać, zanim...

Podczas rozprawy zamyka oczy, wyobrażając sobie, jak babcia siedzi przy stole i pisze ten list. Policja powiedziała mu, że musi przekazać wszystko, co może mieć znaczenie dla sprawy -- ale nie. Nie odda listu ani pamiętnika, nie da im nic więcej. Po co się tym przejmują? Spowodowanie, aby sprawiedliwości stało się zadość, to teraz jego zadanie, nie ich.

W teczce znalezionej w mieszkaniu kryły się wycinki z ostatnich sześciu miesięcy. To właśnie w tym czasie kampanią nagle zainteresowała się miejscowa dziennikarka. Alice Henderson.

Koroner, któremu prezentowane są te wycinki, wygląda na skonsternowanego. Pojawiają się pytania. Czy ta starsza kobieta zmęczona była czekaniem na nowy dom? O to właśnie chodziło? Borykała się z fatalnymi warunkami mieszkaniowymi?

Policja twierdzi, że przepytano sąsiadów, ale nie dowiedziano się niczego pomocnego. Starsza pani była bardzo skrytą osobą. Z nikim się nie spoufalala. Nie zaangażowała się w kampanię i najprawdopodobniej z nikim o niej nie rozmawiała. Brak korespondencji z miejscowymi władzami.

Sekcja zwłok potwierdza zaawansowany artretyzm i pojawiają się spekulacje, że towarzyszący tej chorobie ból mógł być potęgowany przez panującą w lokalu wilgoć.

Nie ma jednoznacznych konkluzji. Jedyne, czym dysponuje sąd, to krótki list pożegnalny pozostawiony na stole w kuchni.

"Dłużej tak nie mogę. Przepraszam".

Mężczyzna obserwuje, jak koroner raz jeszcze przegląda wycinki z gazet, następnie odczytuje list babci -- nie na głos, lecz szeptem. Na jego twarzy widać smutek.

Koroner na chwilę wychodzi z sali, a po powrocie oświadcza, że jest przekonany, iż babcia odebrała sobie życie, aczkolwiek konkretny powód pozostaje niejasny. Zostaje orzeczone samobójstwo. Potworna prawda jest taka, że jego biedna babcia połknęła mnóstwo tabletek, a potem włożyła głowę do piecyka. Gaz w pewnym momen-

cie odcięto, ale i tak zdążyła się nacierpieć. Wymiotowała. Dlatego jej twarz była taka czerwona i wykrzywiona, kiedy go poproszono o identyfikację zwłok.

Zastanawia się -- to straszne pieczenie w jego trzewiach -- ile trwało, nim umarła. Co czuła. Co czuła jego ukochana babcia. Zupełnie sama.

Po rozprawie zostaje wezwany na komisariat i wolno mu zabrać list pożegnalny oraz teczkę wypełnioną wycinkami z gazet. Wszystkie artykuły wyszły spod pióra Alice Henderson. Na górze kilku dłuższych widnieje jej zdjęcie. Alice ze schludną fryzurą i lekkim uśmiechem. Uszczęśliwiająca na siłę Alice. Wszechwiedząca Alice. Jakaś uprzywilejowana, pochodząca z klasy średniej dziwka, która nic nie wie o życiu prawdziwych ludzi i która postanowiła wesprzeć głupią kampanię. Naciskała, naciskała, naciskała, aż w końcu politycy zaczęli słuchać.

W domu raz jeszcze czyta pamiętnik babci. Prawdziwą historię. Całą historię -- o tym, jak z każdym tygodniem stawała się coraz bardziej zdesperowana, kiedy kampania nagle i nieoczekiwanie rozwinęła skrzydła przez tę przeklętą Alice Henderson. Ton codziennych zapisków babci jeszcze bardziej się zmienił, kiedy kampania nabrała większego pędu. Przeczytawszy ostatnie wpisy, miało się jasność, że babcia wychodziła z siebie. Napisała, że po prostu nie jest w stanie znieść mieszkania w innym miejscu. Z dała od swoich wspomnień. Z dała od ukochanej ławki. Zawsze była przekonana, że kampania nic nie da, i doznała szoku, kiedy się okazało, że jest inaczej. Przeklinała Alice Henderson i jej głupią gazetę. "Dlaczego nie może zostawić nas w spokoju?" Napisała, że nikomu nie mówi o tym, co czuje, bo i po co? Lokalne władze nigdy nie słuchały ludzi takich jak ona. Kiedy więc przyszło pismo wzywające do opuszczenia lokalu, podjęła decyzję. Nie wyprowadzi się. Nie ma mowy...

Poprosiła go w liście, aby ukrył dobrze ten pamiętnik, bo nie chciała, aby ktoś obcy mieszał się w jej sprawy.

Ponownie bierze do ręki list pożegnalny. Czytał go tyle razy, że potrafi go wyrecytować z zamkniętymi oczami. Po raz kolejny wy-

obraża sobie, jak babcia ostatni raz siada przy stole, aby napisać tych kilka słów... zupełnie sama.

Nie płakał od czasu, kiedy był dzieckiem. Od czasu tych okropnych śród z Brianem. Myśli o tym, co robił, aby zapewnić babci bezpieczeństwo. Myśli o Brianie w tamtej uliczce. Rozbryzgującej się krwi. Uderzeniach młotkiem. *Łup, łup, łup.*

Nie znosił tamtego miejsca -- tamtego budynku. Ale ona je kochała. Jego babcia. A on kochał ją. Zaakceptował więc jego obecność w swoim życiu dla dobra jedynej osoby, której kiedykolwiek na nim zależało. Zrobił dla niej to, co trzeba. Był silny. I obiecał babci, że może tam zostać.

Patrzy, jak na list spada łza. Przebiega wzrokiem tekst, słysząc w głowie głos babci.

*Mój najdroższy chłopcze,  
piszę to, aby wyjaśnić Ci kilka spraw. Nie możesz za bardzo się na mnie złościć ani za bardzo smucić. Tak będzie dla mnie najlepiej. Jestem taka dumna z Twoich osiągnięć. Proszę, proszę, wybacz mi i kontynuuj to swoje cudowne nowe życie.*

*Nie mam w sobie siły na przeprowadzkę. Nie zniosłabym jej. Jestem za stara i zbyt zmęczona, mój ukochany mały żołnierzu.*

*Naprawdę ani przez chwilę nie wierzyłam, że ta kampania może coś zmienić. O wyburzeniu marudzono przecież od wielu lat. Ale ta cała Alice nagle sprawiła, że wszystko nabrało rozpędu. Co tydzień piszą o tym w gazecie. I wszystko poszło nie tak, jak trzeba. Dostałam pismo z informacją, do kiedy muszę się wynieść.*

*A ja tego nie zniosę, mój słodki chłopcze. Tak mi przykro. Nie zniosę i już.*

*Twoja kochająca babcia.*

*PS Wysyłam Ci swój pamiętnik, bo nie chcę, żeby wpadł w łapska innych ludzi. Nigdy nie lubiliśmy, kiedy ktoś grzebał w naszych sprawach -- ja i Twój dziadek. Kiedy ludzie za dużo o nas wiedzieli.*

Ociera twarz i mówi sobie, że nigdy więcej nie będzie płakał. Musi znaleźć coś lepszego od łez. Ponownie patrzy na ostatni arty-

kuł wklejony do pamiętnika babci. Obwieszczający decyzję o wyburzeniu mieszkań. Nagłówek głosi: UDAŁO SIĘ!

Pluje na zdjęcie dziennikarki i na głos wypowiada jej imię i nazwisko.

-- Alice Henderson.

## ROZDZIAŁ 60

### Matthew

Amelie siedzi na wysokim krzeselku, gotowa na drugie śniadanie. Dziś rano znowu wcześniej się obudziła, a Sally wspaniałomyślnie pozwoliła mu jeszcze pospać, sama zaś zajęła się przygotowaniem płatków z ciepłym mlekiem i włączeniem bajek w telewizji. Matthew z uśmiechem wspomina dni, kiedy oboje byli przekonani, że w życiu nie pozwolą małej oglądać telewizji o tak wczesnej porze.

-- Głodna jeszcze jesteś, królewno?

-- Nie jestem królewną. Nie mam korony. -- Amelie przechyla główkę, jakby się nad tym zastanawiała. -- Mogłabym mieć koronę?

-- Sprawdź, co da się zrobić -- odpowiada Matthew, unikając kontaktu wzrokowego. Negocjacje z dwulatką są obarczone wysokim ryzykiem niepowodzenia.

-- Dlaczego mamusia robi chude naleśniki? -- Amelie ze ściągniętymi brwiami przygląda się, jak Sally kładzie na środku kuchennego stołu talerz z dużymi, tradycyjnymi naleśnikami. Przekłada jeden na mniejszy talerzyk dla Amelie, posypuje go cukrem i spryskuje sokiem z cytryny, po czym zwija go w długi rulon i kroi na małe kawałki. -- Lubię grube naleśniki. Tatuś robi grube naleśniki. Dlaczego niektóre naleśniki są grube, a niektóre chude?

Matthew już ma się zamiar odezwać, ale w tym momencie dzwoni jego telefon. Numer nieznany. To połączenie przekazane z biura.

-- Matthew Hill. W czym mogę pomóc? -- U Alice ma się zjawić dopiero o dziesiątej i liczył na spokojne śniadanie. Spodziewa się długiego i trudnego dnia.

-- Nie zna mnie pan, ale bardzo się martwię o Alice Henderson. Ktoś zabrał jej samochód. A ona nie otwiera drzwi w mieszkaniu swojego chłopaka.

-- Słucham? A pan to kto?

-- Nieważne, kim jestem. Ważne jest to, że potrzebujemy pańskiej pomocy. W trybie pilnym.

-- Przykro mi, ale muszę wiedzieć, kto dzwoni. Co pan robi w mieszkaniu?

-- Proszę posłuchać, nie ma mnie tam teraz. Pojechałem za samochodem i nie wiem, co zrobić. Został porzucony. Nie ma śladu Alice.

-- No dobrze. Proszę mi podać lokalizację. Pojadę tam i zadzwonię... -- Mało nie dodaje, że "na policję", ale dociera do niego, że nie ma przecież pojęcia, o co chodzi. Zadzwoni do Melanie Sanders po cichu. Nieoficjalnie. Jak tylko będzie mógł. Teraz wstaje. -- Proszę mnie posłuchać. Może pan pozostać na linii? Właśnie idę do samochodu. Proszę się nie rozłączać. Potrzebuję chwili, a potem poda mi pan szczegóły.

-- Już jedziesz? -- Na twarzy Sally maluje się niepokój. -- Sądziłam, że dzisiaj zaczynasz później.

-- Zmiana planów. Nie mam wyboru. Nic mi nie będzie. Nie martw się. -- Całuje żonę i córkę w czoła, z telefonem nadal przyciśniętym do ucha, następnie udaje się do wyjścia, zabierając po drodze kluczyki od samochodu.

Nie ma pojęcia, czy to podstęp -- czy nie dzwoni sam stalker -- czy prawdziwa informacja. Będzie musiał być bardzo, ale to bardzo ostrożny. Nie chce, aby Sally się martwiła, ale przez jego głowę przebiegają różne scenariusze.

Ten człowiek musi pozostać na linii. A on musi wydobyć z niego więcej informacji. Nazwisko. Musi także znaleźć sposób na dodzwonienie się do Mel Sanders i poproszenie o wsparcie. Jezu.

Co tu się, do diaska, wyprawia?

## ROZDZIAŁ 61

### Alice

Bardzo się staram uspokoić oddech. Powoli, Alice. Powoli. Przez trzy uderzenia serca robię wdech i przez trzy wydech, modląc się, aby nie zatkał mi się nos. Nie chcę, aby ten człowiek widział mój strach. Mam przeczucie, że tego właśnie chce. Mojego strachu. Prawda jest taka, że mu go zapewniam. Jestem totalnie przerażona. To taki strach, kiedy można się nawet posikać. Napinam mięśnie i staram się utrzymać głowę nad powierzchnią wody, ale mam uczucie, że tonę. Tak. Jakbym rzeczywiście topiła się we własnym strachu.

Wdech... raz... dwa... trzy... Wydech... dwa... trzy... Zamykam oczy i widzę mamę z plastikowymi rurkami w nosie. Dociera do mnie, jakie to musi być dla niej okropne. Niemożność normalnego oddychania.

Nic nie jestem z tym w stanie zrobić; na myśl o matce załamuję się.

Mężczyzna zdaje się to dostrzegać, lecz nic nie mówi. Na razie nie odezwał się ani słowem. Jedynie siedzi, cały na czarno. W cieniu, tak że nie widzę jego oczu.

Próbuję sobie przypomnieć jego wzrost z chwili, kiedy wszedł do pokoju i usiadł. Czy to Alex? Jest podobnego wzrostu? Czy o możliwe, że uciekł z więzienia? Alex przez jakiś czas przebywał w zakładzie otwartym i zastanawiam się, czy zdołał zbiec. Czy od samego początku miał taki plan? A może zorganizował to wszystko w czasie zwolnienia warunkowego?

Próbuję sobie wyobrazić, do czego jest zdolny. Czy rzeczywiście zrobiłby mi krzywdę -- twarzą w twarz? Mógłby skrzywdzić Toma? Dobry Boże. Co on zrobił z Tomem? Myślę o Alexie w kasku i niczego niepodejrzewającym Tomie.

Już dłużej nie wytrzymam. Tego milczącego wpatrywania się we mnie. Tego, że nie wiem, co będzie dalej. Rozglądam się i nie dostrzegam tego, czego się boję najbardziej -- żyłki do sera. Kwasu.



Próbuję nie myśleć o tych rzeczach. Przedmiotach, których się obawiam. Nie. Muszę się skupić na oddychaniu. Muszę przestać sobie wyobrażać, co on zamierza zrobić.

Nie poruszając głową, ponownie omiatam wzrokiem pomieszczenie. I dzieje się coś dziwnego. Tak. Układ tego miejsca wydaje mi się dziwnie znajomy. Nie pomieszczenie jako takie, ale jego układ. Ze ściągniętymi brwiami przeskakuję wzrokiem z prawa na lewo, a mój mózg próbuje wszystko przetworzyć.

Dlaczego to miejsce wygląda znajomo?

Raz jeszcze się przyglądam. Po lewej stronie mieści się aneks kuchenny ze staromodnymi szafkami wiszącymi wokół okna o zaciągniętych zasłonach. Jest tu coś w rodzaju baru śniadaniowego, oddzielającego kuchnię od części jadalnianej, i właśnie to wydaje mi się znajome. Drzwi wejściowe znajdują się dokładnie naprzeciwko baru.

Przed sobą widzę drzwi wewnętrzne. Są uchylone i zdają się prowadzić do niewielkiego korytarza i łazienki, a może także sypialni.

I wtedy spływa na mnie olśnienie. Ten układ to lustrzane odbicie mieszkania, które znam całkiem dobrze. Mieszkania znacznie elegantszego, w którym szafki zastąpiono pomalowanym drewnem. W tamtym drugim lokalu umeblowanie jest znacznie bardziej stylowe. Ale... tak. Ten sam układ, co tutaj, tyle że w lustrzanym odbiciu. Jest tu tak samo jak w mieszkaniu Gill, jednej z organizatorek kampanii. Wielokrotnie przeprowadzałam tam z nią wywiad. Raz jeszcze się rozglądam. Oczami wyobraźni widzę, jak wchodzę do mieszkania Gill. Mieszczącego się na ostatnim, trzecim piętrze.

Nie rozumiem. To nie ma sensu. Dlaczego to pomieszczenie wygląda jak mieszkanie Gill?

Mężczyzna poprawia się na krześle i wyjmuje z kieszeni telefon. Zbliża go do ust. Zdejmuje jedną rękawiczkę, kilka razy naciska wyświetlacz, a potem zaczyna mówić przez telefon. To głos z tamtego pierwszego telefonu do redakcji. Zniekształcony przez jakieś oprogramowanie. Niski. Automatyczny. Budzący grozę.

-- Już wszystko rozumiesz, Alice?

## ROZDZIAŁ 62

### Matthew

Matthew sprawdza przysłany mu kod pocztowy, a na widniejącym przez sobą niezagospodarowanym terenie widzi dwa samochody. Rozpoznaje pojazd Alice, przed nim zaś stoi drugi, ciemniejszy. Bardzo dziwne. Wygląda jak tamten czarny golf, który już raz sądził, że ich śledzi. Ten, który należy do jej kolegi z pracy.

Wyjmuje z kieszeni telefon i raz jeszcze dzwoni do Melanie.

-- Właśnie dotarłem, Mel.

-- Niedługo zjawią się moi ludzie, Matt. Ja będę za dziesięć, góra piętnaście minut. Co się dzieje?

-- Wygląda na to, że to Jack, jej kolega z pracy.

-- Jezu. Ale przecież jest podejrzanym. Przesłuchiwaliliśmy go. Widać gdzieś Alice?

-- Nie.

-- Zaczekasz na nas, tak?

-- Będę cię na bieżąco informował. Muszę kończyć.

Matthew rozłącza się i powoli wysiada z samochodu. Jack robi to samo i zaczyna iść szybkim krokiem w stronę detektywa.

-- Okej, Jack. Co się tu dzieje? Gdzie jest Alice?

-- W tym rzecz. Nie wiem. Śledziłem samochód, ale ciągle mi uciekał. Był za daleko. Straciłem sporo czasu. Źle skręciłem. A kiedy go w końcu znalazłem, nikogo w nim nie było.

-- Czemu więc nie powiedziałeś mi przez telefon, że to ty, Jack?

-- Bałem się, że nie przyjedziesz. Że uznasz, że cię wkręcą albo po prostu powiesz policji. Zameczą mnie. Uważają za podejrzanego. Bałem się, że zostanę aresztowany.

Matthew bardzo powoli idzie w jego stronę. Ręce trzyma w lekkim oddaleniu od tułowia -- gestem tym próbuje uspokoić Jacka, który jest niesamowicie pobudzony. Przeczesuje palcami włosy i się rozgląda. Matthew próbuje rozszyfrować, czy to osoba, której szukają. Czy zrobił krzywdę Alice, a to jest jakaś pułapka.

Znalazłszy się bliżej, patrzy mu w oczy. Są wielkie i niespokojne, o rozszerzonych źrenicach.

-- Dlaczego śledziłeś Alice, Jack?

-- Bo mi na niej zależy, człowieku. I cholernie się martwię. Policja niewiele jest w stanie zrobić. Śledziłem ją, aby spróbować jej pomóc.

-- No dobrze. Więc co tak naprawdę się tutaj dzieje?

-- Nie wiem. Nie wiem! Dlatego jesteś mi potrzebny, Matthew. Musimy znaleźć Alice.

Detektyw się rozgląda. Całkiem możliwe, że Jack mówi prawdę. Możliwe jest także, że ma obsesję na punkcie Alice. Matthew podchodzi do samochodu dziennikarki i zagląda do środka. Żadnych wskazówek. Próbuje otworzyć drzwi. Wszystkie zamknięte. Ale wtedy dostrzega wzdłuż samochodu szeroki ślad na piachu. Ciągnie się dalej, aż do ogrodzenia wokół dużego, starego bloku. Część siatki została wycięta, a ślady prowadzą dalej, za ogrodzeniem w stronę budynku.

-- Nie wygląda to dobrze. -- Wyjmuje telefon. Ma świadomość, że sprawcą może być Jack. Że zabrał Alice do środka, a potem upozorował tę troskę o nią. -- Mel. Na razie to tylko przeczucie, ale wygląda na to, że ktoś zabrał Alice do opuszczonego bloku w pobliżu miejsca, którego kod ci podałem. Ogrodzenie zostało przecięte. Widać ślady ciągnięcia. Jestem tu teraz z Jackiem. -- Zerka na niego. -- Znasz to miejsce, Jack?

-- Znam. To o nim pisała Alice. Maple Field House, ten blok, który dziś po południu ma zostać wyburzony. Nie rozumiem. Dlaczego tutaj? Dlaczego stoi tu jej samochód?

-- Okej, Mel. A więc jest to miejsce, o którym pisała Alice. Nie rozumiemy dlaczego, ale istnieje jakiś związek. A na dzisiaj zaplanowano wyburzenie.

-- Dobra, nie ruszajcie się z miejsca. Zaraz tam będziemy. Jest gdzieś jakiś sztyl z nazwą firmy odpowiedzialnej za wyburzenie?

-- Stąd żadnego nie widzę.

Matthew rozłącza się w chwili, kiedy z małego białego vana wysiada strażnik odziany w uniform.

-- Hej. Co kombinujecie? To teren prywatny. Dzisiaj wszystko będzie wyburzone. Nie jest tu bezpiecznie. Nie widzieliście znaków ostrzegawczych?

-- Jasna cholera. Dlaczego tego nie skumałem? -- Jack rozgląda się niespokojnie. -- Dlaczego akurat tutaj? Co się, u licha, dzieje, Matthew?

-- Okej. Policja już tu jedzie. -- Matthew spogląda na strażnika. -- Ale musi się pan skontaktować z ekipą od wyburzenia i ściągnąć tu natychmiast kogoś decyzyjnego. Wstrzymać akcję. Potrzebna mi nazwa tej firmy.

-- A na jakiej podstawie? Kim tak w ogóle jesteście? Wszystko zostało już przygotowane. Otoczone ładunkami wybuchowymi. Od drugiej strony terenu pilnuje drugi strażnik. Do czasu powrotu firmy wyburzającej to my tu rządymy.

Matthew przenosi spojrzenie na Jacka.

-- No dobrze, Jack. Ty tu zostań, a kiedy przyjedzie policja, powiedz im wszystko, co wiesz.

-- Nie. Chcę iść z tobą. Muszę znaleźć Alice.

-- Bardziej pomożesz mi tutaj, Jack. Musisz poczekać na policję. Zdobyć namiary na firmę wyburzeniową i natychmiast sprowadzić tu jej pracowników. Tak? To bardzo ważne.

W końcu Jack kiwa głową, a Matthew rusza w stronę dziury w metalowym ogrodzeniu.

-- O nie, nie, nie. Nie wolno tam panu wejść. Nie ma mowy. -- Ton głosu strażnika jest stanowczy, ale mężczyzna nie próbuje powstrzymać Matthew siłą. Zamiast tego wybiera numer w telefonie. -- Ostrzegam pana. To teren niebezpieczny. Mówię poważnie. W żadnym razie nie wolno tam panu wchodzić...

## ROZDZIAŁ 63

### Alice

-- Ty naprawdę nie masz pojęcia, Alice?

Głos zmieniony przez oprogramowanie brzmi tak groźnie. Jak z filmu. Mężczyzna nadal pozostaje w cieniu, więc nie widzę jego oczu.

Wdech, jeden, dwa... wydech, jeden, dwa.

Zamykam oczy, aby wyłączyć się na jego głos, i zamiast tego koncentruję się na oddychaniu. Ponownie trudność należytego wypełnienia powietrzem płuc sprawia, że myślę o mojej matce.

Wyobrażam ją sobie w nowym domu opieki z tym wspaniałym personelem. Oczami wyobraźni widzę wazon z różami na stoliku. Widzę czekające na mnie na półce *Wichrowe Wzgórze*. Próbuję myśleć o innych rodzinnych scenkach. Przywołać kojące obrazy. Leżymy na trawie i pleciemy wianki ze stokrotek. Mama nas woła na koc. "Dziewczynki, lunch!" Kanapki z jajkiem, roztaczające intensywną woń, lecz pyszne. Zimny napój nalewany z termosu do czerwonych plastikowych kubków.

Przywołuję więcej takich scen. Szare szkolne skarpetki i znośzone buty. Mama stoi za mną i zaplata mi warkocz. Mama mi śpiewa. Gładzi moje włosy po nocnym koszmarze. "Wszystko będzie dobrze, kochanie. To tylko sen. Wszystko będzie dobrze"...

-- Kiedyś tu mieszkałem, Alice. W tym mieszkaniu. Z moją babcią.

Nie wiem, co myśleć. Co on mówi? Otwieram oczy i ponownie na niego patrzę. Nie rozumiem.

-- Zabiła się właśnie tutaj, Alice. Przez ciebie.

Doznaję szoku. Nie mam pojęcia, o czym on, u licha, mówi. Nic nie zrobiłam. Nie wiem, co ma na myśli. Wszystko zmyśla. To szaleńiec. Jak nic postradał zmysły.

A potem bardzo powoli chowa telefon do kieszeni i zdejmuje kominarkę.

Zaczyna mi drgać lewe oko. Jakby to był tik. Nie ogarniam tego, co widzę, nawet w tym półmroku. Nie dociera to do mnie.

Tom.

Widzę, że to on. To jego twarz. I jego włosy. I jego usta. Ale mój mózg mówi, że to nie może być Tom.

Tom jest w mieszkaniu. Ranny. Ten człowiek zrobił mu krzywdę. Uprowadził mnie. Nie rozumiem.

Śmieje się. To śmiech Toma. A jednak nie jestem tego w stanie przetworzyć. Oko nadal mi drga.

-- Naprawdę nie miałaś pojęcia, co? -- Kręci głową. Głos Toma. Wersja Toma, która jest pełna nienawiści. Tom. Ale nie Tom.

-- Wszystko lyknełaś. Rodzice na wycieczce dookoła świata. Elegancka rodzina. Eleganckie życie. -- Robi pauzę. -- Tamto zdjęcie przy moim łóżku? Wyciąłem je z gazety, Alice. -- Czuję, że coraz trudniej mi się oddycha. -- A rozmowy przez Skype'a? Zmyśliłem je. Wiedziałem, że nie będziesz się chciała przywitać. -- Głośno się śmieje. -- Och, a wynajęcie Matthew? Genialne posunięcie, nie sądzisz? Ukryty na widoku. Ależ mi się to podobało. -- Milknie na chwilę i patrzy na aneks kuchenny. -- Zapłaciłem strażnikowi, żeby mnie wpuścił. Myśli, że przyszedłem po rodzinne pamiątki, które przypadkiem tu zostały. -- Jego spojrzenie ponownie zatrzymuje się na mnie. -- Twoja gazeta nawet o tym nie napisała. O dochodzeniu w sprawie przyczyny zgonu. Ona umarła. Moja babcia umarła i żadnego z was to nie obeszło.

Wdech, jeden, dwa... wydech, jeden, dwa. Nie zemdlej, Alice. Nie zemdlej.

-- Otwórz oczy i patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

Robię, co mi każe. Cała się trzęsę.

-- Połknęła tabletki, Alice. I włożyła głowę do tego piekarnika. Przez ciebie. Przez ciebie i twoje głupie artykuły.

Odruchowo próbuję wypuścić powietrze ustami, moje płuca pracują jeszcze ciężiej. Są puste. Mam problem ze zrobieniem wdechu. I nie rozumiem tego, co on mówi. Nikt nie sprzeciwił się kampanii, o czym on, u licha, mówi?

Zerkam na piekarnik i na półki wiszące w rogu kuchni. Stoją na nich garnki, patelnie i różne kuchenne utensylia, natomiast po lewej, na końcu rzędu, dostrzegam coś innego. Przez chwilę się w to wpatruję i oblewa mnie nowa fala przerażenia. Drewniana deska z metalowym ramieniem. Dobry Boże. O nie. To specjalna deska do serów. Mała deska z *żyłką do krojenia sera*...

Widzi, na co patrzę, i ponownie wybucha śmiechem.

-- Boisz się, nie? -- Mruży oczy, wyraźnie się rozkoszując moim strachem. -- Babcia mi mówiła, że używała tego do robienia kanapek dla dziadka, które on potem zjadał na ławce pod blokiem. Każdego dnia. Ser i korniszony. -- Milknij na chwilę. -- A ser lubił cienko pokrojony. Żyłka jest o wiele lepsza niż nóż.

Mówi teraz wolniej. Cały czas mi się przygląda. Pod powiekami czuję łzy. Robi mi się słabo.

"Załatwię cię żyłką do krojenia sera".

-- Och, Alice. Okropne, prawda? Taki strach przed czymś. Ale wiesz, co jest w tym wszystkim najpiękniejsze? -- Znowu milknij. -- Ja nie zrobię ci krzywdy. Nie muszę.

Nie mam pojęcia, co teraz myśleć. Pozwolić sobie na ulgę? Czy on właśnie stwierdził, że zamierza puścić mnie wolno? Chciał mnie jedynie nastraszyć? Chodzi mu tylko o mój strach... a może to kolejna sztuczka? Jakaś nowa drwina?

-- Sama się zabijesz, Alice. -- Śmieje się. -- W tym samym miejscu. -- Ponownie spogląda na piekarnik.

Co takiego? Wyobrażam sobie, jak mnie tam ciągnie. W stronę piekarnika. Staram się nie myśleć, ale i tak widzę oczami wyobraźni, jak faszeruje mnie tabletkami. Pozoruje samobójstwo. O to mu chodzi, temu szaleńcowi? Tej szalonej wersji Toma?

Nachyla się i patrzy mi w oczy.

-- Nadal nie rozumiesz? -- I znowu śmiech. -- Po prostu cię tu zostawię, Alice. Wyślę strażnikowi wiadomość, że już wyszedłem. A oni zamierzają wyburzyć to miejsce. Bum! Z tobą w środku.

Nagle serce bije mi jeszcze szybciej. Wyburzenie. Boże święty.

-- Tego przecież chciałaś, prawda, Alice? Aby to miejsce zniknęło z powierzchni ziemi.

I nagle zaczynam rozumieć. Nie mam pojęcia, dlaczego to robi. Nie mam pojęcia, skąd ta wersja Toma w ogóle się wzięła. Ta gadka o babci. Zupełnie inna niż historia, którą poznałam. Ale wiem już, gdzie się znajduje. To Maple Field House. Wiem także, co się stanie.

Przygląda mi się tak, jakby się starał dojrzeć moją reakcję. Ale większym szokiem dla mnie okazuje się to, że mój strach nie rośnie. Oczami wyobraźni widzę to, co się stanie, i razem z tym obrazem przychodzi myśl, że nie potrwa to długo. Jakimś cudem ta świadomość mi pomaga. Podobnie jak fakt, że po tym kilkutygodniowym koszmarze nareszcie wiem, o co chodzi.

W mieszkaniu panuje cisza. Moje kolejne myśli ponownie okazują się dla mnie zaskoczeniem. Czuję niemal euforię. Jakby uniosła się przytłaczająca mnie chmura.

Skoro on jest teraz tutaj, nie może być z moją matką; nie może zrobić jej krzywdy. Nie o to w tym wszystkim chodzi. Chodzi o mnie, nie o nią.

Uświadomienie sobie tego okazuje się zarówno przerażające, jak i dziwnie kojące. A kolejne uczucie, które na mnie spływa, jest ostateczne i stanowi największy szok. To ulga.

Tak. Ulga, że ten człowiek nie skrzywdzi mojej matki.

Do oczu napływają mi łzy, bo nagle sobie uświadamiam, że kocham ją tak ogromnie, że bardziej troszczę się o nią niż o siebie.

Boję się, zgoda. Ale mój strach nagle nie jest już taki ważny. Dlatego, że ważniejsze jest dla mnie to, że ona jest bezpieczna. Że ten człowiek nie zrobi krzywdy jej.

Czuję coś, co nigdy nie sądziłam, że poczuję. Zwłaszcza tutaj. W takiej sytuacji.

Czuję się odważna.

Tak. Trzęsę się zaszokowana, odkrywszy, że jednak wcale nie jestem tchórzem.

Ten człowiek, ta wynaturzona wersja Toma, nie może mi nic więcej zrobić. Dlatego, że nie rozumie, jak wielką czuję ulgę. Nie rozumie miłości.

Oczami wyobraźni widzę mamę w jej przytulnym pokoju. Białe róże na stole, a na półce *Wichrowe Wzgórze*.



Odczuwam teraz dziwną radość. Rezygnację. Ulgę. Nic już nie ma znaczenia. Moja mama jest bezpieczna. Dlatego zaczynam uderzać stopą w stojący przede mną stół, aby narobić hałasu. Może ktoś mnie usłyszy. Nie wiem. Mam to gdzieś. Tak naprawdę nie ma to już znaczenia.

-- Masz przestać, Alice.

Kopię dalej, mocniej i głośniej. Tom podchodzi i odsuwa ode mnie stół, ale ja się odwracam i zamiast tego kopię w kredens.

-- Przestań, Alice. Ostrzegam cię.

Kopię coraz głośniej, aż w końcu z jego gardła wydobywa się ryk jak u rannego zwierzęcia. Rzuca się na mnie i zaciska mi palce na szyi, ja jednak dalej kopię.

Zaciska je coraz mocniej, lecz ja się nie przejmuję. Moja matka jest bezpieczna. Moja matka jest bezpieczna. Nie przejmuję się nim.

Kopię, kopię, kopię...

I wtedy nagle rozlega się ogłuszający dźwięk. Przez chwilę się boję, że zbyt wcześnie doszło do jednej z eksplozji. Słabo mi od tej walki o oddech. Bardzo boli mnie szyja i chcę, aby już było po wszystkim.

Udaje mi się obrócić głowę w prawo. Czy to eksplozja? Czy przyspieszono akcję? Ale nie ma żadnego kurzu. Nie. To nie wyburzenie. To drzwi. Coś w nie uderza. Trzy porządne uderzenia i drewno w końcu ustępuje.

Gasnę. Mam wrażenie, że spadam. Nic nie widzę. Nie mogę odychać. Spadam, spadam, a kiedy udaje mi się otworzyć oczy, niewiele rozumiem.

Jakimś cudem znalazł się tu Matthew. Tak -- to Matthew z gaśnicą w ręce. Robi nią zamach i uderza Toma w plecy.

Dłonie puszczają moją szyję, ale mnie kręci się w głowie. Próbuję wypełnić płuca tlenem. Nieruchomieję.

Jak przez mgłę widzę ich walkę. Widzę, jak Tom mocno uderza Matthew, a potem się odsuwa. Próbuje otworzyć okno w aneksie kuchennym. Widzę, jak wchodzi na zlew. Chyba zamierza skoczyć i myśleć: dobrze, skacz.

Matthew ściąga go jednak na podłogę. Znowu walczą. Kotłują się, słysząc odgłosy ciosów, uderzenia ciała w ciało. Jęki. I w końcu słyszę, jak Matthew mówi do mnie:

-- Alice. Musisz spróbować powoli oddychać. Możesz to dla mnie zrobić, Alice?

Słyszę syreny. Mimo to spadam. Blaknę. Przez taśmę zaklejającą usta wołam ją. Wołam moją mamę...

-- Jest tu policja. Wszystko będzie dobrze, Alice. Musisz powoli oddychać i nie odpływać, Alice.

Tym razem to nie jego głos. Dłoń mamy gładzi mnie po włosach. Jej głos w moim uchu.

"Wszystko będzie dobrze, kochanie".

## EPILOG

### Alice

Typowy październikowy dzień -- niebo w większej części czyste, ale jest zaskakująco zimno i wieje przenikliwy wiatr. Obserwuję, jak spiesznie umykają rozganieane przez niego chmury. Pośród niewielkiego zgromadzenia rozlega się śmiech.

Nadal przemawia burmistrz; najwyraźniej opowiedział jakiś dowcip, ale ja już nie słucham. Wpatruję się jak urzeczona w promienie słońca igrające na jego łańcuchu i stalowych nożyczkach w ręce, malujące gwiazdzistymi aureolami kurtki dzieci, zbitych z przodu w ciasną grupkę i wyraźnie niemogących się doczekać, aż wolno im będzie się bawić.

Na te nożyczki czeka żółta wstążka. Zawiązano ją na wielką kordę w poprzek wejścia do nowego parku -- ostatniego etapu projektu przebudowy dla dawnych mieszkańców Maple Field House.

Rozlegają się brawa i w końcu wstążka zostaje przecięta, a uśmiechnięci rodzice pozwalają dzieciom wbiec do parku. Przyglądam się, jak fotograf z mojej byłej gazety prosi o uśmiechy i robi zdjęcia małym grupkom przy każdym nowym sprzęcie. Jest tu podwójna zjeżdżalnia na gustownym podłożu z kory i drewniane zwierzątka na wielkich sprężynach z uchwytyami w miejscach na uszy. Wszystko w stonowanych kolorach. Wszystko tak pięknie zaprojektowane, tak odległe od wilgoci i zabitych dechami sklepów Maple Field House.

A teraz, kiedy tłum zaczyna się rozpraszać, widzę, że w moją stronę idzie Matthew. Ach. Mówił, że postara się zjawić, no i dotrzymał słowa. Towarzyszy mu córeczka. Urocza -- złote loczki do ramion. Pokazuje palcem zjeżdżalnię, mając wyraźną ochotę na zabawę.

-- Żadnych zdjęć -- rzuca Matthew do fotografa. -- Nie mojej córce. Przykro mi.

Podchodzę do nich.

-- Jesteś.

-- Chciałem sprawdzić, jak to teraz wygląda. No i zobaczyć ciebie, Alice. Jak sobie radzisz?

Wzruszam ramionami.

-- Lepiej.

-- To dobrze.

Obserwujemy, jak jego córka pokonuje schodki prowadzące na mniejszą zjeżdżalnię.

-- Przepraszam cię na chwilę. -- Matthew podchodzi do zjeżdżalni i staje za drewnianą drabinką, a potem podbiega do przodu, aby powitać małą na dole błyszczącego stalowego jęzora. Jego córka powtórza całość trzy razy, a potem zgadza się pójść na huśtawkę, gdzie trochę łatwiej nam rozmawiać.

-- Więc nadal mieszkasz w okolicy, Alice?

-- Tak, ale trochę podróżowałam. Z siostrą i jej dziećmi.

-- No i super. Tak. Pamiętam, jak o tym wspominałaś.

-- A właśnie, co u Melanie? Przekazałeś jej pozdrowienia?

-- Przekazałem. Coś ci pokażę.

Wyjmuję z kieszeni telefon, przez chwilę czegoś w nim szuka, a potem odwraca wyświetlacz w moją stronę. Na zdjęciu Melanie śmieje się, a na kolanach trzyma radosne, pulchne niemowlę.

-- Wow. Piękny chłopczyk. Duży -- śmieję się. -- Jak Melanie sobie radzi?

-- Jest wykończona i cały czas ubrudzona wymiocinami. I bardzo, bardzo szczęśliwa.

-- Tak się cieszę.

Matthew chowa telefon i mocniej popycha huśtawkę.

-- Wiesz, tak naprawdę nigdy ci nie podziękowałam, Matthew. To znaczy nie tak jak należy. W trakcie procesu byłam w kiepskim stanie.

Te wszystkie procedury prawne tak długo trwają. Matthew skupia się na huśtawce.

Obserwuję go, zgadując, o czym myśli. Początkowo nie chciał się zgodzić, aby Leanne uregulowała jego rachunek. Obwinił się o to, że nie przejrzał Toma. Ale to nie była niczyja wina. Nawet sędzia tak powiedział.

Pechowy krąg zaufania. W kwestii sprawdzenia Toma Matthew zaufał komisarz Sanders. Ona z kolei zleciła to jednemu ze swoich detektywów, który twierdził, że porządnie wykonał swoją pracę, tyle że tak naprawdę poszedł na skróty. Jego błąd polegał na tym, że pozwolił, aby koledzy z pracy Toma, prawnicy, poręczyli za niego. Wystarczyłby jeden telefon do prywatnej szkoły, do której Tom nigdy nie uczęszczał, i wszystko byłoby jasne.

-- To nie twoja wina. Ani twoja, ani Melanie Sanders. Był bardzo sprytny -- mówię. -- Wszystkich nabrał, Matthew. Nawet sędzia powiedział o tym w podsumowaniu przemowy.

Pamiętam te słowa: "Zadał pan sobie wiele trudu, aby stworzyć siebie na nowo i utkać szczególnie przebiegłą sieć kłamstw".

Dowiedzieliśmy się, że w czasie studiów Tom należał do kółka teatralnego i pobierał lekcje emisji głosu, aby uzyskać akcent charakterystyczny dla środkowej części Anglii. Nikt w pracy go nie przejrział.

-- Nie każdy wszedłby za mną do tamtego budynku. Bardzo ci jestem za to wdzięczna, Matthew.

Nie przestaje huścić córki, ale w pewnej chwili delikatnie dotyka mojego ramienia.

-- Nie masz za co dziękować, Alice.

Ten gest sprawia, że pod powiekami czuję łzy, dlatego nie mówię nic więcej. Jedynie kiwam głową.

Nadal chodzę na terapię -- raz na dwa tygodnie -- próbując odzyskać zaufanie do samej siebie. Najpierw nabrał mnie Alex, potem Tom. Leanne i moja terapeutka twierdzą, że stało się tak dlatego, że jestem dobrym człowiekiem i skupiam się na tym, co w ludziach najlepsze. Według nich to zwątpienie w siebie w końcu minie.

Dręczy mnie teraz potworna fobia związana z przeziębieniami. Zatkaniem nosa. Mam na tym punkcie lekką obsesję -- każdego wieczoru stosuję specjalne krople, aby mieć w nosie tak czysto, jak to możliwe.

Wdech, jeden, dwa... wydech, jeden, dwa.

Tom odsiaduje wyrok dożywocia, ale proces był straszny. Do niczego się nie przyznał ani nie odpowiedział na żadne pytanie. Jakby

tym milczeniem mógł nas w jakiś sposób pokonać.

Najpierw mogliśmy się tylko domyślać jego motywu. Nie wyjaśnił go w żadnym z policyjnych przesłuchań. Jego babcia rzeczywiście popełniła samobójstwo, ale na początku nikt nie rozumiał dlaczego. Miała teczkę z moimi artykułami, lecz to jedyne, co było wiadomo. Jedyne powiązanie ze mną. Nasza gazeta nie zamieściła informacji o dochodzeniu przyczyny jej zgonu, bo tamtego dnia mieliśmy za mało pracowników. Sprawdzono to jednak i okazało się, że motyw samobójstwa pozostał niejasny.

Potem, podczas przeszukania mieszkania Toma, znaleziono list i pamiętnik jego babci, które w końcu wszystko wyjaśniły. Babcia Toma kochała swoje mieszkanie i desperacko pragnęła w nim pozostać. Kiedy się o tym dowiedziałam, przeszedł mnie dreszcz. Nie mieliśmy pojęcia, że ktoś się sprzeciwia kampanii na rzecz wyburzenia. Pukałam do tak wielu drzwi, aby uzyskać pełen obraz, nie pamiętam jednak, abym rozmawiała z tą kobietą. Twórcy kampanii z całą pewnością nie byli świadomi, że ktoś się jej sprzeciwia.

Pamiętnik sugeruje, że tylko Tom znał prawdziwe uczucia swojej babci. A daty potwierdzają, że z rozmysłem obrał mnie za cel. Zaczęliśmy się spotykać zaledwie kilka tygodni po dochodzeniu przyczyny zgonu jego babci. Robi mi się zimno, kiedy o tym myślę. O tych pierwszych spotkaniach. Ja w jego mieszkaniu. Ja w jego łóżku. Nieświadoma tej maski. Tej całej nienawiści...

Policja odkryła, że miał współników. Głównie młodych przestępców, których poznał po studiach, kiedy pracował jako obrońca z urzędu. Okazuje się, że opłacił kogoś, kto opryskał mi wodą twarz. Kto kupił dla mojej matki kwiatek w doniczce. Kto zadzwonił tamtego ranka do jego mieszkania, podając się za kuriera. Poza tym przekupił strażników, żeby móc wciągnąć mnie do budynku. Nagrania z kamer pokazują wielką torbę nurkową -- zapinaną na zamek i wyposażoną w kółka. Na samą myśl o niej robi mi się słabo. Mogłam umrzeć w tej torbie.

Jeszcze większym szokiem jest fakt, że Toma oskarżono nie tylko o stalking. Po pobraniu od niego DNA okazało się, że pokrywa się ono z materiałem znalezionym na miejscu niewyjaśnionego

morderstwa. Ofiarą był mężczyzna, samotnik mieszkający po sąsiedzku z babcią Toma. Kilka lat temu został zatłuczony w nieuczęszczanej alejce.

Nie mamy pojęcia dlaczego.

Tak samo nie wiemy, skąd się wzięły środy. Dlaczego właśnie ten dzień? Policja wielokrotnie pytała o to Toma. On jednak milczał.

Wiatr nagle przybiera na sile i zawiewa mi włosy na twarz. Odgarniam kosmyk i przyłapuję się na tym, że wpatruję się w prawą dłoń.

Przebiega mnie dreszcz, kiedy przypominam sobie jej dłoń w mojej...

Zostałam wezwana do Londynu zaledwie trzy dni po tym, jak Tom mnie zaatakował. Czuwałyśmy przy mamie -- Leanne na małym łóżku polowym po lewej stronie, ja po prawej. Ja trzymałam jedną rękę, ona drugą.

Trzeba było aplikować jej mnóstwo leków na uśmierzenie bólu i w końcu zapadła w śpiączkę. Leżałam na swoim łóżku i nie puszczałam jej dłoni. Przez całą noc obserwowałam, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada i odliczałam w myślach. Wdech, jeden, dwa. Wydech, jeden, dwa.

Kiedy klatka piersiowa w końcu znieruchomiała, ogarnęła mnie rozpacz. Wcześniej sądziłam, że poczuję ulgę, bo już nie cierpi, tak się jednak nie stało. Narobiłam tyle hałasu, że przybiegło kilka osób z personelu.

-- Musisz się uspokoić, skarbie. -- Leanne przeraziła się, widząc mnie w takim stanie. -- Proszę, Alice. Musisz się uspokoić.

Wkładam rękę do kieszeni i widzę, że Matthew daje mi znaki, że powinnam spojrzeć za siebie.

Dobry Boże. Jack.

Matthew bierze córkę na ręce i się żegna. Są umówieni z Sally, jego żoną, na lunch. Muszą się pospieszyć.

Patrzę, jak się oddalają, a w tym czasie podchodzi do mnie Jack, chowając do kieszeni notes i długopis.

-- Piszesz o tym?

-- Tak. Mam już wszystko, czego potrzebuję. Ładne zdjęcia.

W parku kilkanaścioro dzieci korzysta nadal z nowego sprzętu, a na nowych ławkach siedzi kilkoro rodziców.

-- Dobrze, że jest tu gdzie usiąść -- mówię.

-- To prawda. Przytwierdzono do tych ławek tabliczki zdjęte z tych starych i rozpadających się. Miły gest. Są dedykowane pierwszym mieszkańcom.

Kiwam głową. Nie wiedziałam. Podoba mi się wygląd Jacka. Skomplikowane uczucie. Jest tak znajomy, a mimo to dziwnie się czuję, będąc znowu w jego pobliżu. Mam wrażenie, że nie wpasowuję się w ten świat tak, jak powinnam. W niektóre dni wydaje mi się, że przepływam przez poszczególne wydarzenia, raczej je obserwując, niż biorąc w nich udział. Terapeutka twierdzi, że to etap adaptacji, który w końcu minie.

-- Dziękuję ci za wszystkie esemesy, Jack. Przepraszam, że nie zawsze odpisuję. Trochę podróżowałam.

-- Nic się nie dzieje. Tak na marginesie, widziałem w "Sunday Herald" twój artykuł demaskatorski o tej fundacji i przekręcie z alarmami. Naprawdę dobra robota, Alice.

-- Dziękuję. Fajnie było się czymś zająć. Nie myśleć przez cały czas o procesie.

-- No tak. To dobrze. Czyli udało ci się dzięki temu podpisać kontrakt? Znaczący, w Londynie?

-- Nie, nie. W sumie nie mam pewności, czy dziennikarstwo to nadal zawód dla mnie.

Jestem dojmująco świadoma, że Jack z pewnością wie -- jak zresztą wszyscy inni -- o mojej zmianie nazwiska. O Alexie i przeszłości. Wszystko zostało ujawnione w mediach podczas relacjonowania procesu Toma. Nie wiem czemu, ale teraz nie ma to już dla mnie większego znaczenia.

-- Naprawdę? Wobec tego jakie masz plany? Nadal mieszkasz w okolicy? -- W jego głosie słychać ostrożność. Może rozczarowanie. Trudno powiedzieć.

-- Na razie korzystam z domu Leanne w Dorset.

-- Ach. Czyli zadowolasz się byle czym?

Śmieję się, a on uśmiecha się w odpowiedzi.



-- Trochę pracuję społecznie na rzecz fundacji. Prawdziwej fundacji, wspierającej badania chorób płuc.

-- Och, rozumiem.

-- Chcę mieć jakieś zajęcie. Dopóki nie podejmę decyzji, co dalej. Kiwa głową.

Wiatr po raz kolejny niespodziewanie zawiewa mi kosmyki na twarz, wyjmuję więc ręce z kieszeni i wsuwam włosy pod kołnierz płaszcza.

-- Posłuchaj, Alice, musisz koniecznie powiedzieć, jeśli jest za wcześnie. Albo jeśli to kiepski pomysł.

Zaciskam prawą dłoń, tak że paznokcie wbijają mi się w skórę; po raz kolejny myślę o tym, jak fatalnie zachowałam się w tamtej włoskiej restauracji. Myślę o tym, że Jack stracił żonę. Puścił jej dłoń tak samo, jak ja musiałam puścić dłoń mojej matki. Przez głowę przebiega mi: musisz się uspokoić, Alice. Proszę.

Co ja sobie myślałam? Pragnę ponownie go przeprosić, zapewnić, że teraz trochę lepiej go rozumiem.

Ale on się rumieni.

-- Zastanawiam się czy nie moglibyśmy się spotkać. Raz jeszcze umówić się na kolację...

Zaskoczona, spoglądam na jego twarz.

-- Kolację?

Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Spuszczam wzrok na lewą dłoń. Jest blada w tym zimnie. Obok niej znajduje się prawa ręka Jacka. Bardziej różowa.

-- Jako przyjaciele, to masz na myśli? -- Rozpaczliwie pragnę, aby wiedział, jak bardzo mi przykro, że ostatnim razem tak go zdenerwowałam. Że teraz naprawdę lepiej wszystko rozumiem.

-- Właściwe to nie. -- Rumieniec na jego szyi staje się jeszcze intensywniejszy. -- Miałem na myśli randkę. Jak już mówiłem, jeśli to za wcześnie, koniecznie mi to powiedz, Alice -- mówi zdecydowanie zbyt szybko. -- Ostatnim razem wyszedłem, bo nie byłem gotowy. Wiesz, nadal tęsknię za żoną. Nie będę kłamał. Ale sęk w tym, że naprawdę bardzo mi na tobie zależy. I naprawdę chciałbym się przekonać, czy...

Delikatnie przesuwam dłoń, a on nagle ją chwyta. Mocno. Ma rękę o wiele cieplejszą od mojej.

-- Przepraszam. Zimne ręce... -- bąkam.

-- Ciepłe serce. Czy to znaczy, że się zgadzasz, Alice?

Kiwam głową i spuszczam wzrok na nasze złączone dłonie.

Uczę się tego, że żałoba to przedziwny stan. Czasami jestem przekonana, że ją widzę -- moją mamę. Przywołuję jej ducha i mam wrażenie, że widzę, jak odwraca się na ulicy, aby mi pomachać. A czasami w ciszy nocy jestem przekonana, że słyszę jej głos.

Jack wpatruje się we mnie, a ja nasłuchuję, bo wydaje mi się, że właśnie teraz ją słyszę. Szept blisko mojego ucha.

"Wszystko będzie dobrze, moja kochana dziewczynko".

Jack uśmiecha się do mnie.

Ja także się uśmiecham.

"Wszystko będzie dobrze".

## OD AUTORKI

Kiedy byłam początkującą dziennikarką rzeczywiście ktoś do mnie zadzwonił -- tak jak do Alice. Telefonował trzy razy... co tydzień tego samego dnia. Najpierw mi groził. Potem wyśmiewał się ze mnie. A na koniec (co było bardzo dziwne) przeprosił za to, że mnie zdenerwował. Powiedział, że przechodził trudny okres i że bardzo mu przykro, że się na mnie wyżył. Zapewnił, że nigdy nie chciał zrobić mi krzywdy... i nie odezwał się już nigdy więcej.

Pamiętam, jak wielką poczułam ulgę, że to się skończyło. Ale nigdy nie zapomniałam o tym doświadczeniu. Czułam potworny strach podczas tych kilku tygodni, kiedy nie miałam pojęcia, o co chodzi z telefonami. Ani jak bardzo jest to poważne.

Kiedy kilka dekad później uświadomiłam sobie, że mam ochotę przyjrzeć się temu tematowi w od początku do końca fikcyjnej historii, i obiecałam sobie, że zrobię to, tylko jeśli uda mi się skontrolować tę potworność z celebracją odwagi i miłości. I właśnie dlatego wpłótłam w tę opowieść miłość Alice i jej matki...

Dlatego, że strach to coś straszego. Ale, co wiem po wielu latach pracy w dziennikarstwie, odwaga i miłość na szczęście zawsze okazują się silniejsze.

Jeszcze raz dziękuję za przeczytanie *Zapłacisz mi za to*. Jeśli moja historia się Wam spodobała, byłabym ogromnie wdzięczna za wystawienie oceny na Amazonie. One naprawdę pomagają innym odkrywać moje książki.

Poza tym bardzo lubię wiadomości od czytelników, więc śmiało, piszcie do mnie. Adres mojej strony internetowej to [www.teresadriscoll.com](http://www.teresadriscoll.com). Można się ze mną skontaktować także na Twitterze - @teresadriscoll -- albo za pośrednictwem Facebooka: [www.facebook.com/TeresaDriscollAuthor](http://www.facebook.com/TeresaDriscollAuthor).

Serdecznie wszystkich pozdrawiam,  
Teresa

## PODZIĘKOWANIA

Powinna istnieć specjalna nagroda dla rodzin pisarzy, które nigdy nie wiedzą, z którą wersją autora spotkają się danego dnia: skrzącą pewnością siebie, spanikowaną czy też oświadczającą, że deadline'u nie da się dotrzymać za nic w świecie.

Dlatego przede wszystkim dziękuję mojej fantastycznej rodzinie -- Pete'owi, Jamesowi i Edowi -- której jestem dozgonnie wdzięczna za cierpliwość i wsparcie. Chciałabym Wam powiedzieć, że w trakcie pisania kolejnej książki będzie we mnie o wiele więcej spokoju. Ale przecież wiemy, jak to wygląda!

Specjalne podziękowania dla niesamowitego zespołu wydawnictwa Thomas & Mercer, który broni moich powieści z niezwykłą energią i znanstwem. Szczególnie wdzięczna jestem cudownym redaktorom, Jane Snelgrove i Ianowi Pindarowi.

Jak zawsze pozostaję wdzięczna mojej wspaniałej agentce Madeleine Milburn i jej zespołowi, których wsparcie, kompetencje i słowa zachęty są po prostu genialne.

Ściskam serdeczną i cudowną społeczność pisarską -- mam na myśli autorów, którzy tak hojnie dzielą się mądrością (oraz wirtualnie stukają się kieliszkami późną nocą, kiedy wszystko idzie nie tak, jak trzeba).

Na koniec dziękuję z głębi serca wszystkim moim wspaniałym czytelnikom. Nie macie pojęcia, jak wiele znaczą dla mnie Wasze recenzje i wiadomości.

\* Szkocka potrawa z wątróbek baranich (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

\*\* *Sprawy inspektora Morse'a* -- brytyjski serial policyjny, którego akcja dzieje się w eleganckiej dzielnicy w okolicy Oxfordu.

## **I Am Watching You**

Copyright © Teresa Driscoll 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2021

Copyright © for the translation by Monika Nowak 2021

Redakcja -- Joanna Mika

Korekta -- Agnieszka Zygmunt

Projekt typograficzny i skład -- Joanna Pelc

Adaptacja okładki -- Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce -- Ghost Design

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2021

ISBN EPUB: 9788382101454

ISBN MOBI: 9788382101447



---

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiąg, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

Promocja: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagatka, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Paweł Kasprowic

Administracja i finanse: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)

[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Rozdział 1. Alice

Rozdział 2. Alice

Rozdział 3. Alice

Rozdział 4. On -- wtedy

Rozdział 5. Matthew

Rozdział 6. Alice

Rozdział 7. Alice

Rozdział 8. On -- wtedy

Rozdział 9. Matthew

Rozdział 10. Alice

Rozdział 11. Matthew

Rozdział 12. On -- wtedy

Rozdział 13. Alice

Rozdział 14. On -- wtedy

Rozdział 15. Alice

Rozdział 16. Alice

Rozdział 17. Matthew

Rozdział 18. On -- wtedy

Rozdział 19. Alice

Rozdział 20. Alice -- wtedy

Rozdział 21. On -- wtedy

Rozdział 22. Matthew

Rozdział 23. Alice

Rozdział 24. Matthew

Rozdział 25. On -- wtedy

Rozdział 26. Alice

Rozdział 27. Alice -- wtedy

Rozdział 28. Matthew

Rozdział 29. Alice

Rozdział 30. On -- wtedy

Rozdział 31. Alice

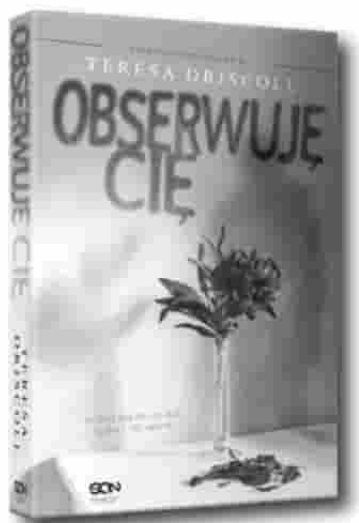
Rozdział 32. Matthew

Rozdział 33. Alice  
Rozdział 34. On -- wtedy  
Rozdział 35. Alice  
Rozdział 36. Alice  
Rozdział 37. On -- wtedy  
Rozdział 38. Matthew  
Rozdział 39. Alice  
Rozdział 40. Matthew  
Rozdział 41. On -- wtedy  
Rozdział 42. Alice  
Rozdział 43. Alice -- wtedy  
Rozdział 44. Matthew  
Rozdział 45. Alice -- wtedy  
Rozdział 46. On -- wtedy  
Rozdział 47. Alice  
Rozdział 48. Matthew  
Rozdział 49. Alice  
Rozdział 50. On -- wtedy  
Rozdział 51. Alice  
Rozdział 52. On -- wtedy  
Rozdział 53. Alice  
Rozdział 54. Matthew  
Rozdział 55. Alice  
Rozdział 56. On -- wtedy  
Rozdział 57. Alice  
Rozdział 58. Alice  
Rozdział 59. On -- wtedy  
Rozdział 60. Matthew  
Rozdział 61. Alice  
Rozdział 62. Matthew  
Rozdział 63. Alice  
Epilog. Alice  
Od autorki  
Podziękowania  
Strona redakcyjna



## **ŚWIETNIE SKONSTRUOWANA INTRYGA I ZNAKOMICIE ZARYSOWANI BOHATEROWIE**

Kiedy Elle Longfield spotyka w pociągu dwóch młodych mężczyzn rozmawiających z nastoletnimi dziewczynami, nie widzi w tym nic niepokojącego, dopóki nie dowiaduje się, że właśnie opuścili więzienie. Ostatecznie przenosi się do innego wagonu, nie chcąc się wtrącać. Nazajutrz okazuje się jednak, że jedna z dziewczyn, Anna, zaginęła. Elle zgłasza się na policję.



### **JAK SAM POSTĄPIŁBYŚ W TEJ SYTUACJI?**

**Szukaj w dobrych księgarniach**

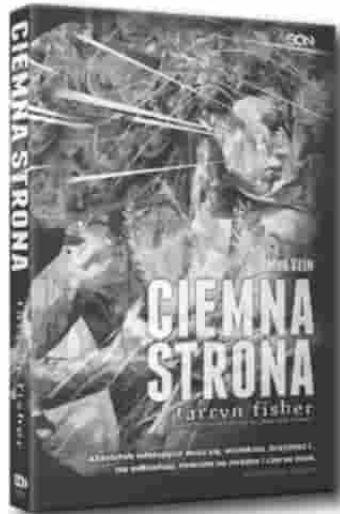
**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)  
[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

## **MROczNA, HIPNOTYZUJĄCA HISTORIA, KTÓRA MOŻE SIĘ PRZYDARZYĆ KAŻDEMU**

W dniu swoich trzydziestych trzecich urodzin popularna pisarka Senna Richards budzi się uwięziona w obcym domu. Została porwana, ale nie wie przez kogo ani dlaczego. Szybko staje się jasne, że jeśli chce odzyskać wolność, powinna dokładnie przyjrzeć się swojej przeszłości i odczytać pozostawione jej wskazówki. Jednak przeszłość skrywa mroczne tajemnice...



### **A JAKA JEST TWOJA CIEMNA STRONA?**

**Szukaj w dobrych księgarniach**



WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)  
[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

## W CIENIU KŁODZKIEJ TWIERDZY SKRYWA SIĘ WIELE PONURYCH TAJEMNIC

Mistrzowsko skonstruowane kryminały Tomasza Duszyńskiego trzymają w napięciu do ostatniej strony. Ich szczególnym bohaterem jest Glatz – dolnośląskie miasteczko, w którym wciąż pobrzmiwają echa niedawno minionej wojny.



**WCIĄGAJĄCE, MOCNE KRYMINAŁY RETRO!**

**Szukaj w dobrych księgarniach**

**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)  
[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

## ROZRYWKOWY KRYMINAŁ W STYLU JOANNY CHMIELEWSKIEJ DLA TRZECH POKOLEŃ KOBIEC

Kiedy Magda Garstka wraca po studiach do rodzinnej Ustki, nie spodziewa się, że czeka ją najbardziej ekscytujące lato w całym życiu.

Zatrzymuje się w pensjonacie, który prowadzi jej babcia, rozpoczyna pracę w kawiarni i niedługo później... znajduje zwłoki. Kim był martwy mężczyzna? Jak zginął i czego szukał w pensjonacie Garstków?



**KAŻDA RODZINA TRZYMA TRUPY W SZAFIE.  
W NIEKTÓRYCH DOMACH SZAFY SĄ WIĘKSZE**

**Szukaj w dobrych księgarniach**

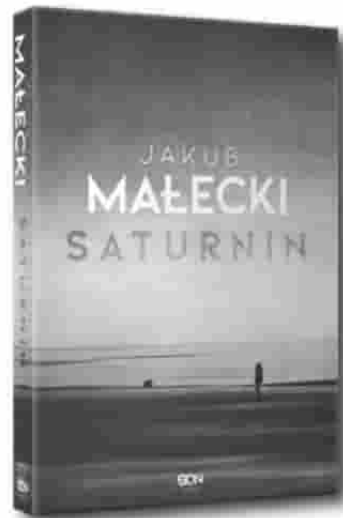
**sqn**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)  
[www.labortiga.pl](http://www.labortiga.pl)

## **ŻYĆ TYLKO W POŁOWIE**

Saturnin to nie tylko powieść. To także powrót do przeszłości.  
W świat niezamkniętych spraw i niespełnionych marzeń.  
Próba odnalezienia własnych korzeni, ale przede wszystkim: SIEBIE.  
To co się wydarzy, na zawsze odmieni życie tytułowego bohatera.



**CZY ODWAŻYSZ SIĘ POCZUĆ TO CO SATURNIN?**

**Szukaj w dobrych księgarniach**



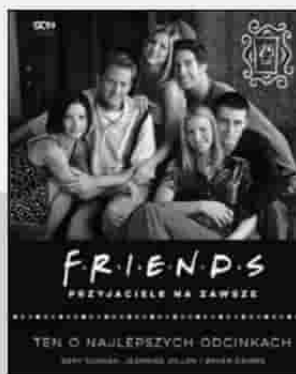
**[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)  
[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)**

## Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

**SQN**STORE.PL

labotiga.pl

